

Huśtawka

Poruszająca
i refleksyjna opowieść
o kobietach takich
jak my. Polecam!

AGATA PRZYBYLEK

Agnieszka
LIS



Huštawka

Huśtawka

Agnieszka
LIS

Copyright © Agnieszka Lis, 2018

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktorzy prowadzący: Monika Długa, Szymon Langowski

Redakcja: Agnieszka Czapczyk / panbook.pl

Korekta: Maria Moczko / panbook.pl

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Design Partners / designpartners.pl

Zdjęcia na okładce: © daffodil / depositphotos.com

© Danussa / depositphotos.com

Zdjęcie autorki na skrzydełku: Anika Nojszewska

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie elektroniczne 2018

ISBN 978-83-7976-927-8

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

PROLOG

Całe życie zastanawiałam się nad sensem istnienia. Dwa samochody w garażu przy willi, liczba przeczytanych książek, kolekcja cennych monet? Odchowane i wykształcone dzieci? Wnuki przewracające szafkę z zabytkowymi kryształami, wolność dysponowania własnym czasem? Podróżowanie? Późne wstawanie?

Tyle lat przeżyłam i wciąż nie wiem. Jako dzieci uważamy rodziców za wszechwiedzących. Wydaje nam się, że jak skończymy studia, wyjdziemy za mąż, ożenimy się... też tacy będziemy. Że objawienie spłynie, gdy urodzą się dzieci. Gdy przekroczymy czterdziestkę. Gdy odbędziemy podróż życia. A ja za każdą kolejną granicą czułam się równie głupia, na zawsze pozostałam w najgłębszym przekonaniu dzieckiem, potrzebującym przytulenia i rady.

Dwudziestoletnia i po siedemdziesiątce – wciąż dziewczynka. I ciągle mam nadzieję, że gdzieś jest ta brama, po przejściu której wydorosłeję. Będę mądra.

Nie, nie mam nadziei. Ja to wiem. Już tam dotarłam. A skoro już tu jestem, to wam opowiem. Historię zwyczajną, moją, jedyną w swoim rodzaju, chociaż typową jak każda inna.

Patrząc wstecz, dostrzegam, jak wiele błędów popełniłam. Żałuję, że nie mogę przeżyć tego jeszcze raz, podjąć lepszych decyzji. Żałuję, nawet zdając sobie sprawę, że owe inne decyzje oznaczałyby odmienny nurt życia. Byłabym kimś obcym w nieznanym mi dziś miejscu. Żałuję więc i nie żałuję jednocześnie, pozostawiając własny świat perfekcyjnie dualnym. Chcę, nie chcę, lubię, nienawidzę, postępuję i nic nie robię. Bo to ja.

Na zawsze ja.

Rozdział 1

ONE

Małgorzata zawsze nosiła rajstopy. *Rajstopy są dobre* – myślała moja córka. *Praktyczne*. Uważała je za takie, bo ukrywały brak depilacji, uda opięte nylonową siatką nie podrygiwały bezwładnie, no i wiatr nie podwiewał „tych” części ciała. Małgorzata pozbywała się rajstop rzadko, przed kąpielą lub do snu, a i wtedy opatulała ciało kołdrą, by się nazbyt nie odsłonić.

W tamtym momencie siedziała w wannie i nie miała pancerza; wszystko w niej drgało w rytm uderzeń podwodnego masażu i Małgorzata miała wiele przeciwko temu. W domu czekał stos studenckich prac, do sprawdzenia teraz, nie wieczorem, gdy zmęczenie już zmaci rzetelność oceny. *Wszystko przez Katarzynę* – myślała. *Z nią zawsze same problemy. Ani męża, ani dzieci. Sklepek zamiast prawdziwej pracy, w głowie kolorowe szmatki. Namiastka realnego życia. Wieczna trzpiota.* Małgorzata pokręciła głową.

Młodsza córka – zgryzota. To była moja decyzja, że Małgorzata poszła rok później do szkoły. Miała pomagać siostrze i to zadziałało – były w tej samej klasie, starsza kryła bumelanctwo młodszej i ratowała ją od konsekwencji młodocianej fantazji.

Katarzyna zawsze mościła się wygodnie na plecach starszej siostry.

Małgorzata wciąż nie mogła uwierzyć w najnowszą wiadomość. *Ależ Katarzyna wymyśliła, Indie. Też coś!*

Strasznie tu głośno – pomyślała chwilę później i rozejrzała się po wilgotnej, zaparowanej hali. Ciepła woda rozpuszczała sprawność myślenia. *A gdybym tak w wannie sprawdzała prace semestralne?* Patrząc w stronę dzieci szalejących na wodnej zjeżdżalni, Małgorzata wyobraziła sobie rozmiękły papier i kleksy z czerwonego tuszu. Odrzuciła wizję ze wstrętem.

– Nieźle, mamuśka – powiedziała moja wnuczka, balansując na kafelkowym brzegu. Podeszła i obserwowała pełną sprzeczności twarz matki. Zamknięte oczy, niby odpoczynek, a jednak ściągnięte brwi nie wskazywały na rozluźnienie. – Nigdy jeszcze nie widziałam cię w takim relaksie. – Irytująco dla Małgorzaty przeciągnęła ostatnie „e”.

– Bo nigdy w czymś takim nie siedziałam. – Moja starsza córka drgnęła, jakby została przyłapana na czymś niestosownym. Natychmiast usiadła prosto. – Strata czasu – rzuciła rozdrażniona. – Zamiast sprawdzać...

– Mamo, przestań! – Joanna ziewnęła, wyciągając się efektownie na brzegu wanny. – Ciesz się chwilą! Nie żadna strata czasu, tylko higiena psychiczna.

– Nie spieraj się. – Sztandarowy unik matki nie robił już na młodej wrażenia. – Kiedy pojawi się Katarzyna?

– Ciotka spóźni się pół godziny. I dobrze, w tym czasie odmoczymy...

– Pół godziny?! Czekam czterdzieści minut! I nie ciotka, tylko ciocia Katarzyna.

– Mamo, byłyśmy umówione równo w południe; jest dopiero sześć po.

– Przyszłam wcześniej i popływałam trochę. Wyprawa na basen nie może być tak zupełnie – zastanowiła się nad właściwym słowem – bezproduktywna.

– Bąbelki bezproduktywne? – Joanna dopiero teraz zanurzyła się całkowicie w wodzie. – Jak miło!

Matka z dezaprobatą patrzyła na wyrażającą rozkosz minę córki.

– Za głośno tu, nie lubię – mruknęła. – Już dawno powinniśmy mieszkać poza miastem. Cisza, ogród z żywopłotem, fontanna...

– I przystojny ogrodnik. – Joanna uśmiechnęła się, nie otwierając oczu.

– Tak, specjalnie dla ciebie. Miałabym już dwoje wnuków.

– A ja nieskończone studia i brak perspektyw.

– Niańka załatwiłaby sprawę. Wszystko powinno mieć swój czas i odpowiednie miejsce. Ja w twoim wieku miałam już ciebie. A studia skończyłam w terminie. – Małgorzata, z braku biurka, stuknęła palcem w kolano.

– Co u taty? – Joanna wołała szybko zmienić temat.

– Karol jak zwykle, zajęty. – Małgorzata zaczęła mówić głośniej. – W ubiegłym tygodniu tylko dwie noce był w domu. Z poniedziałku na wtorek inwentaryzacja. We środę pojechał na Śląsk i tam został. Na jakiejś integracyjnej imprezie. Ty wiesz, co znaczy dzisiaj integracja? Hasło, którym hotelowe korytarze wycierają podpici mężczyźni i zbyt rozebrane kobiety. Całe szczęście, że to ponad klasę Karola. A w ogóle to ten towar mogliby policzyć jego ludzie! – Głos Małgorzaty wszedł w piskliwe rejestry.

– Mamo, nie denerwuj się. – Córka próbowała łagodzić. – Rozumiem, że brak ci taty...

– Brak! – Małgorzata prychnęła. Moja córka zawsze była dobra w prychnaniu. – Jestem zbyt zajęta! Wiktor zaproponował

mi wejście w skład nowej komisji naukowej, to niesłychane wyróżnienie. I poprawi moje notowania w staraniu o stypendium. No i zbliża się sesja!

– Mamo, ja i tak tego nie łapię. Pozdrów tatę.

– Jak go zobaczę.

– Sama do niego zadzwonię. Jest już Kaśka!

– Ciocia Katarzyna, Joanno.

Ale Aśka i Kaśka nie słuchały. Ścisnęły się, cmokały, wymieniały serdeczności.

– Katarzyno, skąd ci przyszło do głowy jacuzzi? Nie mogliśmy się spotkać normalnie, w kawiarni? – dopytywała Małgorzata.

– Gośka, w jacuzzi jeszcze się nie umawialiśmy!

– I to ma być powód?

– Każdy jest dobry. Nie będziemy się widziały przez kilka miesięcy.

– No właśnie. Też wymyśliłaś. Na co ci te Indie? Żle ci tutaj? I jeszcze ten Janusz. Nie za stary on?

– Tylko pięć lat starszy, nie przesadzaj. Tyłek ma fajny. – Kaśka się rozmarzyła, a Małgorzata wzdrygnęła.

– Katarzyno! Tu jest moja córka, hamuj się!

Joanna ryknęła śmiechem. Nawet wrzeszczące w pobliżu dzieci na chwilę ucichły.

– W kawiarni wygodniej się rozmawia. – Małgorzata się upierała.

– Wciskałabyś mi kremówkę, pączka i kawałek tortu, a ciotce małą czarną zamiast zielonej herbaty. Mamo, nie jest ci tu po prostu przyjemnie?

– Masaż jest miły, ale kręgosłup mnie boli. – Mojej starszej córce nie bywało ot tak, po prostu przyjemnie. To odczucie było bezproduktywne, jej zdaniem zatem niepotrzebne.

– Woda odciąża kręgosłup. Skoro cię boli, może zaczniemy przychodzić tu regularnie? – zaczęła moja wnuczka.

Małgorzata spojrzeniem schłodziła wodę w wannie o dobre dwa stopnie.

– Popływać, mamo, popływać! Dla zdrowia, dobrego samopoczucia i kondycji! I dla twojego kręgosłupa.

– Porozmawiamy o tym innym razem.

W jacuzzi zapadła cisza. Joanna bardzo chciała coś powiedzieć. Coś, co nie dawało jej spokoju. Poprawność matki była jednak barierą nie do przebicia.

Joanna była moją nieodrodną wnuczką, wyglądała niemal jak ja – w czasach młodości. Tak przynajmniej chciałam sobie siebie sama wyobrażać, bo zdjęć specjalnie nie miałam. Na tych nielicznych, w ruinach starówki, uśmiechałam się do fotografa. Wysoki przystojny brunet, przyjechał z matką i małą siostrą spod Torunia, mieszkali przez kilka tygodni w sąsiednim mieszkaniu. To były czasy zdobywania smalcu i dwóch kromek chleba, o zdjęciach rzadko kto myślał. Aparat był wtedy dobrem luksusowym, a Bogdan zabrał go z zamkniętego zakładu fotograficznego swojego stryja. Straciłam potem chłopaka z oczu. Być może nie byłam gotowa na opowieści o żydowskiej rodzinie, z której zostały szczątki.

Zdjęć z lat pięćdziesiątych jest też zaledwie kilka, wszystkie pozowane u fotografa. Dopiero lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte obfitują w portrety. Jeden bardzo lubię. Siedzę w kawiarni Bristolu i jem kremówkę. Mam na sobie najelegantsze ubranie, na jakie było mnie stać w życiu. Rozkloszowaną sukienkę w niewielkie różyczki, bardzo dopasowaną w talii, z dużym dekoltem na plecach. Pozostałe zdjęcia są ślubne lub domowe, na tych ostatnich występuję głównie jako cień majaczący z kuchni. Jest jeszcze partia zdjęć z dziećmi, tam też jestem tylko tłem dla tych małych postaci.

Moja wnuczka była wysoka i wiotka, tym większą uwagę zwracał opadający szeroko na plecy – w opozycji do cienkiej talii

– ciężki bagaż kasztanowych włosów. Oczy z zielonymi tęczęwkami, na których z bliska było widać cętki, nie pozostawiały obojętnym żadnego chłopaka, a kilkanaście piegów zachęcało do całowania w zadarty nos. Lekko wygięte ku górze końcówki warg wywoływały wrażenie niegasnącego uśmiechu. Lokalna miss – tak o niej mówili na podwórku.

Tak, zdecydowanie Joanna była podobna do mnie, i to pod każdym względem. Razem chodziłyśmy na wystawy, dyskutowałyśmy o sztuce. Dzięki wnuczce zaczęłam czytać współczesną literaturę iberoamerykańską, a Joanna pod moim wpływem zainteresowała się historią kina. Eksperymentowałyśmy w kuchni. Punkt wyjścia – moje doświadczenie. Przyprawa – wyobraźnia wnuczki. Efekt kulinarny – zaskakujący. Obydwie lubiłyśmy mało ortodoksyjne wege – wybierałyśmy kotlet z sera zamiast plastra szynki. Z tym że gotowałam ja. Joasia była od zachwycania się.

Małgorzata była o to zazdrosna, martwiła się nawet. Joanna wolała rozmawiać ze mną i z ciotką – nie z matką. Kasia miała butik z indyjskimi ciuchami, wolne życie, żadnych zobowiązań, a jej jedyne osiągnięcie – w ocenie Małgorzaty – liczyło sześćdziesiąt siedem metrów kwadratowych na Górnym Mokotowie. Małgorzata za to – miała. Poza mieszkaniem dorobek naukowy, habilitację i widoki na katedrę fizyki w odległej przyszłości. Oraz męża, który był dyrektorem w koncernie handlującym herbatą i dlatego raczej go miewała, niż miała stale w domu.

Młodsza siostra, Kasia, podobnie jak Joanna, chciała powiedzieć Małgorzacie coś ważnego. Janusz miał faktycznie zgrabny tyłek i jego rytmiczne ruchy sprawiały Katarzynie przyjemność, ale wady przewyższały zalety. Pracował razem z Karolem i Katarzyna wyobrażała sobie rodzinne spotkania: kolejny kieliszek, rozluźnione krawaty, wódczana erystyka

o pracy. Kobiety zaś, stłoczone w kuchni, popijają soki i dziewiętnastą kawę. Nie. Nie. Nie. Dlatego Katarzyna wyjeżdżała do Indii z Miłoszem i o tym chciała porozmawiać z siostrą. Bo moja starsza córka znała Miłosza aż za dobrze. Po dziś dzień zachowała listy, które pisał z wakacji w Kanadzie. Urlop się znacząco przedłużył, listy przychodziły przez dwa miesiące. Miłosz chciał żyć zwyczajnie, bez patosu, lęku i niepokoju o jutro. Tchórz czy realista? – żadna z nas nie chciała głośno osądzać. Ja uważałam, że zrobił dobrze i Małgosia powinna do niego dołączyć. Ona nie chciała o tym rozmawiać, chociaż było o czym. Kasia się nie wtrącała.

Jak to powiedzieć Małgorzacie? – zastanawiała się Katarzyna.

Milczenie wymieszane z wodną parą unosiło się nad wanną, a słowa wzbudzały lęk swoim ciężarem. Każda chciała coś powiedzieć – żadna nie chciała zacząć.

– Mamo, zakochałam się, wiesz? – Głos Joanny zatrzepotał niby motyl złapany w siatkę. Spojrzenie jak szpilka zatrzymało lot słów.

– Kochanie, cudownie! – powiedziała Małgorzata, moja córka, uśmiechając się samymi ustami. – Znam go?

Joanna pomyślała w tamtej chwili, że to grymas zniechęcający do rozmowy, postanowiła jednak kontynuować.

– Nie, ale może zjemy kiedyś razem obiad? – powiedziała wnuczka, przygryzając dolną wargę.

– Świetny pomysł. Porozmawiamy o tym wieczorem. – Małgorzata miała zaprojektowaną przyszłość. Ślub i dzieci. Waga tematu nie licowała z wilgotnym otoczeniem.

Starsza z sióstr wyciągnęła rękę w kierunku ręcznika. Joanna postanowiła zmienić temat.

– Wiesz, że mama dostanie awans? – Zwróciła się do ciotki.

– Fantastycznie! – Kaśka była podekscytowana. – Coś więcej?

– Nic takiego. – Małgorzata machnęła ręką. – To tylko komisja

naukowa.

Małgorzata była dobra w pozornym bagatelizowaniu swoich osiągnięć. W tym była moją nieodrodną córką. Wiele lat zajęło mi uznanie, że coś potrafię, nawet dobrze: prowadzić dom. Przez większość swego życia wierzyłam, że istnieję i jestem ważna dzięki swojemu mężowi. Musiałam nieświadomie wpoić to swojej starszej córce – nie ceniła własnych osiągnięć, tak jak ja, gdy przy stole mówiłam na wypracowane przez siebie ciasto „gnieciuch”. Małgosia mimochodem wspominała o swoich sukcesach i zawsze je bagatelizowała, twierdząc raczej, że to przypadek, fart, czyjaś uprzejmość, a nie wynik jej ciężkiej pracy.

– Siostra, co ty, pochwal się.

– Mama mówiła, że to ważne, że dzięki temu stypendium ma prawie w ręku.

– Oj tam, stypendium! – Małgorzata znów machnęła ręką. – To nic takiego.

– Nic takiego. Starasz się o nie od dwóch lat, o niczym innym nie rozprawiasz z takim zaangażowaniem. – Joanna wykrzywiła twarz.

– Nawet ja słyszałam – potwierdziła moja młodsza córka. – Są już jakieś konkrety?

Małgorzata pokiwała głową na boki, to był jej charakterystyczny gest, gdy skupiała się przed wypowiedzią. Często tak robiła na wykładach, dlatego jeden z roczników nazwał ją „kiwaczkiem”. Przewisko się jednak nie przyjęło, gdyż jako wykładowca Małgorzata była tak sztywna, że dla studentów wręcz przeźroczysta.

– W przyszłym roku, w Stanach Zjednoczonych. Pół roku, zapewne w Nowym Orleanie.

Joanna aż podskoczyła.

– Mamo, nie mówiłaś, że tam!

– A cóż to takiego? Miasto jak miasto. – Małgorzata wzruszyła ramionami.

– Kolebka jazzu – wtrąciła moja młodsza. – I słońce przez cały rok.

– Mówisz tak, jakbyś słuchała jazzu, a poza Louistem Armstrongiem nigdy u ciebie żadnego jazzmana nie słyszałam. Poza tym, przestańcie. Jeśli się uda, to będę całe dni spędzać na uczelni, nie w knajpach ani na plażach.

– Możesz to połączyć...

– Kochane, przestańcie. To palcem na wodzie pisane. A w ogóle to kolacja o szóstej. Mam mnóstwo pracy w domu, a na jutro jestem umówiona z Wiktorem, muszę się rzetelnie przygotować. Wybaczcie – powiedziała, podnosząc się i sięgając po ręcznik, którym starannie okryła biodra.

– Przecież dopiero zaczęłyśmy rozmawiać! – zaprotestowała młodsza z moich córek.

– Spóźniłaś się. – Małgorzata myślami była już gdzie indziej.

– Dziesięć minut! Może kwadrans.

– To był błąd, ten basen, tu się nie da rozmawiać. Spotkajmy się w jakimś normalnym miejscu.

Słowa niewypowiedziane odleciały, innych zabrakło. Małgorzata dystyngowanie uśmiechnęła się do córki, kiwnęła głową siostrze i zniknęła w oparach przebieralni.

Milczenie jeszcze trwało, mgła rozwiewała się powoli; radosny krzyk dzieci znów dotarł do siedzących w jacuzzi kobiet.

– Moja mama – wnuczka pokręciła głową – to jest jakaś masakra.

– Tylko taką mamę masz, więc nie marudź. Ale cieszę się bardzo! Fantastyczna wiadomość, nareszcie, wręcz nie mogłam się doczekać. Ten przystojniacha, Artur, specjalista od kina iberoamerykańskiego? – Uśmiech Katarzyny miał być lubieżny.

– Ciotka, daj spokój. Lepiej opowiedz o tym Januszu.

– Nie Januszu, tylko Miłoszu... Tak, tym Miłoszu. Wrócił, spotkał się z Małgošką, nie mieli o czym rozmawiać. Moja siostra była jak Królowa Śniegu, a Kaj we mnie znalazł Gerdę. – Uśmiechnęła się lekko zmieszana. – Na imprezie u dawnych znajomych. I teraz jest dla mnie wczoraj, czyli tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty.

Ile odcieni może mieć milczenie?

– Mama wie?

– Chciałam z nią porozmawiać.

– Ale wiedziała lepiej, co chciałaś powiedzieć – dokończyła moja wnuczka.

Przerwa w basenowych zajęciach szkolnych. Teraz ciszę rozpraszało tylko uporczywe brzęczenie neonówek.

– Zamierzamy się pobrać w Indiach. Nie wiem, kiedy wrócę do Polski. Małgoška wie, że wyjeżdżam na kwartał, ty – że na pół roku; a kto wie, jak będzie.

– A co z butikiem? Wiem, mam się nim zająć, ale jak długo?

– Do końca. Twojego albo butiku. Nie cętkuj mnie tak.

Rodzinne powiedzenie miało źródło w tęczęwkach Joanny.

– Tak naprawdę to są trzy butiki. Któregoś dnia, jeszcze przed wyjazdem, muszę ci o tym więcej opowiedzieć. Część udziałów odsprzedałam Iwoni, jednej z pracownic. Właściwie bardziej przyjaciółce. Pozostałe notarialnie przepisałam na ciebie. Możesz te butiki prowadzić, uczyć się na nich biznesu, doglądać od czasu do czasu, albo wyłącznie uzyskiwać dochód. Pańskie oko konia tuczy, wiadomo, jak nie zadbasz o interesy, to Iwona, chociaż świetna dziewczyna, może... Co ci zresztą będę tłumaczyć. Zapisalam ci też mieszkanie na Mokotowie. Z butikami możesz zrobić, co chcesz, nawet sprzedać. W mieszkaniu mam zapisaną służebność, żeby nie musiała się prosić o lokum.

Joanna prowokację zbyła trzepotem mokrych rzęs.

I milczeniem.

– Do kompletu, żeby butiki miały dobry towar, mam też hurtownię. Wszystko ci pokażę, w przyszłym tygodniu może, a Iwona ma naprawdę dużą wiedzę o firmie. No i czterdzieści procent udziałów.

– Ciotka, i ty chcesz, żebym ja to matce powiedziała?

Kaśka pokręciła głową. Zmieniła temat.

– Opowiedz o tym Arturze.

– To nie on. – Joanna westchnęła.

– Obydwie mamy niusy, jak widzę. – Ciotka się uśmiechnęła.

– Artur to kumpel. Do kina i na imprezę. Bezpieczniej iść do klubu z facetem, idealnie jak o piątej rano jest trzeźwy, a Artur nie pije.

– Do wszystkiego się nadaje?

Joanna w ciszy przeczekwała czas na odpowiedź.

– No to jak ma na imię twój wybranek?

– Mamy wiele wspólnych zainteresowań.

– Dzięki temu więcej o nim wiesz, to dobrze. Studiujecie razem?

– Zmieniłam kierunek studiów. Anglistyka jest nudna, angielski znam jak własny. Ojciec w dzieciństwie faszerował mnie słówkami i idiomami jak kaczkę. Ciągnie mnie w kierunku biznesu, zarządzania, marketingu. Wiem, to modne, dla mamy to znaczy plebejskie. Już ją słyszę. Co poradzę, że mi się podoba?

Nabrała powietrza.

– Ojciec wie. Nie mam odwagi powiedzieć matce.

Ciotka ułożyła wygodnie głowę na oparciu wanny.

– To się Gośka zdenerwuje. I twój wybranek też studiuje biznes? To będziecie mogli praktykować na moich butikach. Jak ma na imię?

– Grażyna.

Bezdech ogarnął Katarzynę; nie szarpnęła głową, nie wyskoczyła z wanny i nie krzyknęła. Tylko milczenie nabrało gęstości smoły.

– Przyda ci się moje mieszkanie. Zamierzasz powiedzieć dzisiaj matce?

– Kiedyś muszę. Może dzisiaj powiem tylko o studiach.

– Dobrze wybierz moment. Twoja matka, wbrew pozorom, nie jest z kamienia.

– To dlatego nie powiedziałaś, z kim jedziesz do Indii, prawda?

– Moja siostra jest fantastyczną kobietą. Zazdroszczę jej poukładanego życia, wspaniałej córki, dobrej relacji z mężem. A ja co? Nawet nie wiem, czy jadę w podróż przedślubną, poślubną, czy rozwodową.

– Ciotka, co ty opowiadasz? – Znów widziałam w mojej wnuczce siebie. Wywróciła oczami zupełnie jak ja, gdy mój mąż wracał po spożyciu albo gdy któraś z dziewczynek przynosiła uwagę w dzienniczku. Gdy Kasia przynosiła uwagę, Gosi się to nie zdarzało.

– Zamierzamy wziąć ślub, mówiłam ci. Wyjeżdżam więc w podróż przedślubną, która w trakcie zmieni się w poślubną, a że do instytucji małżeństwa mam stosunek... pełen rezerwy, to może się okazać rozwodowa.

– Nic nie rozumiem.

– I o to chodzi.

Cisza zawierała tajemnicę.

– Kaśka, dlaczego jesteście tak różne? Ty i mama, jak noc i dzień.

– Któż to wie? Może dobrze byłoby zapytać naszą mamę.

– Babcię? – Wielkie oczy Joanny stały się jeszcze bardziej zielone, a może tylko bardziej cętkowane; w każdym razie stały się dużo bardziej. – Chyba jednak nie zapytam. – Zaśmiała się.

– Milczenie jest złotem.

– I mamie też nie powiem. Sama pewnie nie zapyta, a jakby co, to wytłumaczę jej, że to pomyłka.

– Zrób, jak uważasz.

– Ciociu, a kiedy wrócisz...

– A kiedy wrócę, to może będziesz o sobie ciut więcej wiedziała. Teraz idę na solarium. Indie Indiami, ale muszę pięknie wyglądać, zanim wyjadę.

Akcent na „zanim” zabrzmiał frywolnie.

– W końcu, żeby się rozwieść, najpierw muszę wyjść za mąż.

Joanna popatrzyła skrzywiona.

– Ty jeszcze nic o tym nie wiesz. Jeszcze nie potrzebujesz wiedzieć. – Ciotka mamrotała pod nosem, wychodząc z wanny. Nie umilkła nawet, stojąc w szatni przed zaparowanym lustrem. Czuła się tam jak duch – obecna, a niewidoczna.

Duchem czuła się też Joanna. Oddzielona myślą od reszty świata.

W tym samym czasie Małgorzata zdążyła dotrzeć do domu. W drodze do sterty studenckich prac właśnie spełniała się, wyrównując rząd szklanek w szafce, nieuważnie potrąconych przez Karola w porannym pośpiechu. Może tak właśnie należy – porządkować rzeczywistość, zaczynając od rzeczy najprostszych. Do bardziej złożonych człowiek dojrzewa powoli. Ale czy zdąży dojrzeć?

Rozdział 2

TUTAJ

Tak właśnie bywa we śnie.

*Wszystko wiesz, wszędzie jesteś, wszystko słyszysz.
I wszystko działa jak sobie życzysz. Prawie.*

Kto by się spodziewał.

*Chodzę, wszyscy chodzą. Rozmawiam, wszyscy rozmawiają.
Działam, robię, czynię, zastanawiam się, nie rozumiem.*

*Istnieje wiele udogodnień. Najważniejsze z nich – mogę robić,
co uważam za stosowne. Ja! – uważam.*

Fantastyczne uczucie.

– Idziesz? – pyta Stanisław.

Lubię jego pytania. W ogóle go lubię, już teraz.

*– Właściwie nie musimy nigdzie iść – odpowiadam. – Tu też
jest dobrze.*

– Dobrze – zgadza się Stanisław.

*Jedyne, czego brakuje, to jedzenia. Nie żebym miała jakieś
abdominalne problemy, jednak dobrego jedzenia mi brak.*

*Nie jemy więc. Siedzimy, wpatrując się w niebo, ja na zachód,
Stanisław na południe. Po prostu on woli ostre słońce, a ja
czerwień zachodzącego.*

– Słuchaj, widziałem Romana – mówi ostrożnie, a ja zaczynam

się śmiać.

– Wydawało się, że zazdrość mamy już za sobą –
odpowiadam.

– Tak... – Waha się.

– To dobrze. – Wchodzę mu w słowo. – Bo Roman będzie tu
dzisiaj.

Stanisław markotnieje. Mam ochotę zaproponować mu
kielicha, w porę przypominam sobie jednak, że stał się
abstynentem. Stanisław!

Ma za to inne aberracje. Patrzenie prosto w słońce. Co gorsza,
i na mnie patrzy jak na słońce. Nie wiem, czy tego chcę. We śnie
można sobie pozwolić na niewiedzenie, wystarczy tylko nie
chcieć wiedzieć.

Rozdział 3

MA

Nie zdążę. Na pewno nie zdążę! Moja starsza córka nakręcała się jak ruski budzik. Tykała wtedy regularnymi machnięciami ścierki. Joanna chciała mi coś powiedzieć... Jak mam rozmawiać z córką w takim bałaganie? Zakochała się... Ciekawe, co za jeden? Może Artur? Miły chłopak. Ale czy on ich utrzyma? Żeby Joanna nie musiała pracować. Nie musi mieć tak jak ja. Dość. Muszę się przygotować do jutrzejszego spotkania z Wiktorem. Mam doktorat, habilitację, a kierownik wciąż mnie onieśmiela. Coś ma w sobie. Gdyby był młodszy...

Małgorzata zapatrzyła się w okno, jakby miała tam dostrzec unoszącego się na wysokości siódmego piętra przełożonego. Dwadzieścia lat młodszego i trzydzieści przystojniejszego. Ja też tak marzyłam w jej wieku. Później marzyłam już tylko o tym, żeby nikogo w pobliżu nie było. U Małgosi też nikt nie unosił się za oknem. Zawiedziona wróciła do szklanek. *Bałagan ma zdolność rozmnażania się przez pączkowanie. Jeśli na blacie stoi szklanka, za chwilę pojawi się kolejna. A jeśli nie sprzątnę, pojawią się kolejne dwie. Potem zabrudzi się podłoga, bielizna wyjdzie z kosza i w końcu dom zarośnie jak tajemniczy ogród. Nie mogę w takich warunkach prowadzić ważnych rozmów.*

I jeszcze się przebrać. Muszę wyglądać.

Zerknęła z dezaprobatą na swoją prawą nogę. Podczas sprzątanía wykwitło na niej długie oczko, jak wąż wspinało się po napiętej łydce. Oczko w rajstopach może mieć tylko dziwka, porządna kobieta nigdy, tego ją nauczyłam. Zmieniła rajstopy.

Układała, ścierała, polerowała. Zamierzała zjeść z córką w wysprzątanym salonie i pachnącej kuchni. Joanna zastała matkę wyłączającą odkurzacz.

I wzór porządku. Wszędzie?

Rozdział 4

JO

– Mamo, po co to?! – Moja wnuczka nie była zaskoczona, chociaż taką odgrywała.

– Już skończyłam, umyj ręce. – Małgosia nie zwracała na nią uwagi. – Zaraz kolacja.

– Jeśli pozwolisz, zjem z podłogi.

Spojrzały na siebie.

Kocham ją i nie znoszę – pomyślała moja wnuczka.

– Joanno...

– Mamo...

Podany przez Małgorzatę rosół, którego Joasia nie cierpiała, parował jak lokomotywa. Po jego zjedzeniu zawsze bolał ją żołądek, ale według matki „mięso trzeba jeść, bo zdrowe”.

Wnuczka mozolnie przetykała kolejne łyżki, kiedy Małgosia zebrała się na odwagę.

– To jak to jest z tym zakochaniem. Artur?

– Mamo, pomyliłam się. – Joasia przestała jeść i oglądała swoje krótko obcięte paznokcie. – To nie Artur. Co prawda jutro po basenie idę z nim do teatru, ale mam inną wiadomość.

Moja córka przeżuwała słowa swojej córki. W nocy będzie rozpamiętywać każde zdanie, doszukiwać się ukrytych znaczeń.

– Próbowałam ci to kiedyś powiedzieć... – Joasia odsunęła talerz. – Od czego tu zacząć...

– Od początku.

– Nie wiem, co miałabym robić po studiach.

– Tłumaczyć albo uczyć.

– Zaplanowałaś już dla mnie karierę, prawda? Uniwersytecką?

– Bardzo dobra praca. Niewiele godzin, długie wakacje, jesteś w stanie pogodzić wychowanie dzieci i dbanie o dom. I przynosi, jak wiesz, mnóstwo satysfakcji.

– Nie wiem, mamo. Zmieniłam kierunek studiów.

Małgorzata potrąciła stojący na skraju stołu talerz. Nie spadł. *Lepiej, gdyby się potłukł, na szczęście* – pomyślały równocześnie.

– Joanno, nie miałaś prawa tego robić bez porozumienia z nami – powiedziała chłodno matka.

– Czy jest coś, cokolwiek, co skłoniłoby cię do przyznania mi racji?

– Zmiana kierunku studiów nigdy nie powinna być nawet dyskutowana. Podjęłaś się czegoś – dokończ. Wybieraliśmy razem z ojcem dla ciebie najlepiej. Nie potrafisz jeszcze tego docenić. Joanno, nie masz pojęcia, ile wyrzeczeń...

Młoda kobieta patrzyła na matkę. Chwilowo jej nie słyszała. Tamta także nie słyszała Joanny. Za chwilę miały się zrealizować kolejne punkty scenariusza – podniesiony głos, dłoń na sercu, w końcu spazmatyczny szloch za drzwiami sypialni. *Muszę temu zapobiec* – pomyślała dziewczyna.

– Mamo, nie rób sceny.

Małgorzata zamarła w wędrówce od zlewu do stołu, przez otwarte drzwi do kuchni, omijając lekkim wahanieniem biodra stojący tuż przy wejściu śniadaniowy stolik. I z powrotem.

– Zmieniłam kierunek, bo to moje życie, nie wasze. A ja nie

chcę anglistyki. Wiem, ile to wyrzeczeń, i wiem, jaką drogę przeszliście z tatą. Dlatego mam przez całe życie robić coś, czego nie lubię? Wybrałam marketing i zarządzanie. Straciłam tylko rok. Wydział zmieniłam w październiku.

– Marketing i zarządzanie! – Małgorzata nie kryła odrazy. – Każdy plebejusz to dzisiaj studiuje.

– Nic nie poradzę, że to popularny kierunek. Mnie pasuje!

– Nie krzycz.

O! To był prawie dialog! Joanna czuła się bliska złamania szyfru do własnej matki. *Wysłuchiwała przynajmniej jednego mojego zdania.*

Małgorzata tymczasem drażyła:

– Co zamierzasz robić po tych studiach?

– Wyjść bogato za męża, powić dla ciebie pięcioro wnuków i zarządzać piętnastoma osobami służby w pięćsetmetrowej rezydencji.

Widząc minę matki, zmitygowała się.

– Żart. Daj tego babcinego ciasta. Ślinię się od samego zapachu.

Ciasto dostarczyłam wczoraj, zanim jeszcze moja starsza córka wymyśliła tę kolację. Lubiłam piec, nie byłam w stanie sama zjeść. Podrzucałam więc od niechcenia blachę do domu Małgosi, gdzie ciasto zniknęło w satysfakcjonującym mnie tempie. Albo Karol wpadał i zjadał kawał drożdżówki zamiast kanapki, ku oburzeniu własnej żony, albo Joanna przyprowadzała koleżankę, albo ciasto po obiadokolacji lądowało na stole na porcelanowych talerzykach. Joasia jęczała, ale zjadała ze smakiem, a jej figura kompletnie tego nie zauważała. Wszyscy byli zadowoleni, najbardziej chyba ja. Odbierałam blachę i eksperymentowałam z następnym przepisem.

– Mało śmieszny żart. Ciasto będzie po jedzeniu. – Małgorzata

odsunęła paterę w głąb stołu.

– Zamierzam prowadzić jakiś biznes. Może uda mi się dostać na praktyki do taty, może z ciotką poprowadzę jej butik.

– Ten nibysklepik z ciuszkami? – prychnęła Małgorzata.

– Mamo, ten nibysklepik to trzy duże punkty handlowe, do których zjeżdżają klientki nie tylko z Warszawy. Dużo sprzedają przez internet. Ciotka ściąga towar na specjalne zamówienia: ubrania, materiały, dodatki..., nawet dywany. Żebyś je widziała!

– Joannie błysnęło oko, ale Małgorzata nie wykazała zainteresowania. – Firma współpracuje z kilkoma krawcowymi, dla wybranych szyją ubrania na miarę. Ostatnio zaczęła handlować meblami i dodatkami wnętrzarskimi. Do tego hurtownia, która zaopatruje pół Polski. Ten ciotki nibysklepik to duży biznes, może nawet zbyt duży, żeby się na nim uczyć.

– Uczyć? Nie zmarnuj Katarzynie interesu! Ojciec wie?

– Tak.

Zawsze mówiła mu wszystko – pomyślała moja córka. *Zawsze mu wszystko mówiłam* – pomyślała wnuczka.

– Pójdę otworzyć – powiedziała Małgorzata po długiej chwili ciszy. Dzwonek rozerwał ją niczym wystrzał.

– To pewnie ciotka. Siedź, mamo, ja pójdę. – Zanim jednak Joanna zdążyła się podnieść, Małgorzata była w drzwiach przedpokoju.

Kasia już samym wejściem wprowadziła zamieszanie.

– Co robisz? – zapytała starszą siostrę, zdejmując buty.

– Odwieszam twój płaszcz.

– Nie może tu zostać?

– A nie może wisieć porządnie?

Katarzyna weszła do jadalni, wruszając ramionami. Joanna uśmiechnęła się do przybyłej.

– Z mamą nie wygrasz.

– Nie próbuję nawet – odparła moja młodsza, siadając.

– Joanno, pomóż mi, proszę. – Małgorzata udała, że nie słyszy.

– O rany, mamó! Kto to zje?

Małgorzata nie raczyła odpowiedzieć.

– Siostra, kto to zje? – skomentowała Katarzyna przy trzeciej turze wnoszenia półmisek.

– Nie dyskutuj, raczej się streszczaj. Masz tyły. Jesteśmy po rosole.

– I Joasia jadła rosół?

– I żyję, jak widać – powiedziała Joanna, wywracając oczami.
– Ale ledwo.

– Wiesz siostra, naprawdę potrafisz gotować – powiedziała Katarzyna przy dokładce. – A gdzie Karol?

– W delegacji – odpowiedziała Małgorzata.

– Jasne. Ktoś musi pracować.

– Nie cenisz mojej pracy, wiem – powiedziała Małgorzata lodowato. Pod względem stosunku do pracy moje córki nigdy się nie dogadały. Jak zresztą i pod wieloma innymi.

– Nie unoś się, to miał być żart – łagodziła młodsza.

– Coś macie dzisiaj kiepskie żarty.

– Że niby co? – Katarzyna się zdziwiła. – Aaaa... odbyłyście ważną rozmowę.

– Powiedziałam mamie o zmianie kierunku – wtrąciła szybko Joanna.

Żeby tylko Kaśka nie wyrwała się z Grażyną – pomyślała. Jeszcze nie.

– Ty oczywiście wiedziałaś wcześniej. – Małgorzata nie zmieniła tonu.

– Mamó, ciotce mogę powiedzieć bez stresu. A tobie... Czasami się boję.

– Boisz się własnej matki?

– Mamó... bardzo wszystko przeżywasz. Ma być po twojemu.

Sprawy poukładane i zorganizowane. A ja czasem chcę czegoś innego niż ty.

Małgorzata kiwnęła głową, wstała i odniosła pusty półmisek do kuchni.

– Rozumiem – powiedziała, stając w drzwiach. – Czas już na deser czy jeszcze będziecie jadły?

– Herbaty miętowej poproszę. Ledwo żyję z przeżarcia – powiedziała moja wnuczka.

– A ja nalewki, jakiegokolwiek. Nie ruszę się bez wspomnienia trawienia – dodała Katarzyna.

– Nie pijamy alkoholu na co dzień – odparła jej starsza siostra. Wyszła znów do kuchni i stanęła przed oknem. Wieczór rozjaśnił ulice latarniami. Oświetlone okna mieszkań prowokowały do podglądania. *Czy ja chcę cokolwiek podglądać? Moja córka boi się ze mną rozmawiać. Pewnie ma rację. Chciałabym dobrze, najlepiej, ale ona ma inne najlepiej.* Westchnęła. Sięgnęła do lodówki po puchary z lodowym deserem, ustawiła na tacy i wróciła do jadalni.

Na widok deseru ciotka i siostrzenica jęknęły.

– Przestańcie – skwitowała Małgorzata. – Lody robiłam sama. Bezowe.

– Jakie? – Katarzyna się zdziwiła.

– Z kawałkami bezy. I jest jeszcze ciasto drożdżowe od mamy. Zostawmy na razie Joannę. – Zerknęła bez uśmiechu w stronę córki. – Co ty planujesz? – zwróciła się do siostry.

– Wyjazd – powiedziała Katarzyna ostrożnie.

Małgorzata zacisnęła wargi z dezaprobatą.

– Masz tam jakieś rezerwacje? Wynajęte mieszkanie? Plan podróży? Na kiedy masz bilet powrotny?

– Stop, stop! – Kasia jej przerwała. Nigdy nie była dobra w planowaniu, pod tym względem różniła się zasadniczo ode mnie i od swojej starszej siostry. – Nie mam biletu powrotnego

i nie zamierzam go teraz mieć. Wrócę, kiedy uznam za stosowne. Zarezerwowałam tylko pierwsze lokum i nie wiem, co dalej. Po prostu – lecę i zamierzam się dobrze bawić.

– Jesteś beztroska, jak zawsze. Co z twoją firmą?

– Te moje szmatki? Tak o nich mówisz, prawda?

Małgorzata odwróciła głowę w stronę okna.

– Joanna mi dzisiaj uświadomiła, co to za szmatki. Wybacz, nie wiedziałam.

– Skąd miałaś wiedzieć. Nigdy cię nie interesowało, co robię. Pewnie Karol więcej wie o moich sprawach. Kilka razy radziłam się go w jakichś księgowych kwestiach. Mniejsza z tym. Wszystko oczywiście zostawiam Joannie. Gdybym nie wróciła – jest jej.

– Dlaczego miałabyś nie wrócić? – Małgorzata się uniosła.

– Bo na przykład zginę w katastrofie lotniczej. Czy w innym wypadku. Albo postanowię zostać buddystką i wyrzeknę się dóbr ziemskich. Osiądę w którymś z klasztorów, będę nosiła szafranową szatę i mantrami porozumiewała się z otoczeniem.

Joanna parsknęła. Moja wnuczka bez zbędnego wysiłku potrafiła czasami rozładować napiętą sytuację. Robiła to odruchowo, nie zawsze taktownie, za to skutecznie.

– To nie jest śmieszne – ofuknęła ją Małgorzata.

– Jest! – Joasia śmiała się już głośno. – Pierwszy raz słyszę o kobiecie mnichu buddyjskim.

– Dobra, trochę mnie poniosło – przyznała też rozbawiona Kasia. – Ale i tak wszystko będzie twoje. Nie mam dzieci, wy też macie tylko Joasię. Więc dbaj o ten mój szmaciany biznesik. – Mrugnęła do Joanny.

– Jak się z wami dogadać?

– Po prostu, siostra. Po prostu. Polej – powiedziała Katarzyna, wyciągając z torebki butelkę. – My tu o poważnych sprawach, potrzeba oprawy. Nie jest to, niestety, domowa nalewka, ale

trawienie poprawi.

– No wiesz? – zachnęła się starsza z sióstr.

– Wiem – odpowiedziała Katarzyna, nalewając płyn do trzech podstawionych przez Joannę kieliszków.

– Dziecko mi rozpijasz!

– Wypij. – Kaśka podsunęła starszej siostrze kieliszek. Z oporami, ale wypiła. Drugi wypiła już bez oporów.

– Tak więc... – znienacka powiedziała Katarzyna, kontynuując wcześniej przerwana myśl – nie wiem, kiedy wrócę. Dlatego wszystko notarialnie załatwiłam. I nie zostawiam twojej córki samej – ma do pomocy moją pracownicę i przyjaciółkę, która zna się na tej robocie. Razem rozkręcałyśmy firmę, chociaż za moje pieniądze. Iwona pomoże.

– Obcej osobie powierzasz sprawy firmy?

– Przyjaciółce, mówiłam już.

– Ale ona nie jest z rodziny. – Małgorzata sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała wytrzeźwieć. Chociaż właściwie nie była pijana, bardziej taką udawała.

– A tam, siostra, napij się jeszcze – odpowiedziało moje młodsze dziecko, które pomimo całkowitej dorosłości nigdy nie dorosło.

Nic więcj sobie nie wyjaśniły.

Upiły się lekko, na dość smutno, chociaż po czwartym kieliszku zrobiło się przyjemniej. Małgorzata przestała mieć pretensje o wszystko. Rozmawiały o nowym filmie Almodóvara i o tym, że Katarzynie będzie brakowało Teatru Polonia, do którego zwykła chodzić najrzadziej co dwa miesiące.

– Ciotka, ale przyślesz od czasu do czasu jakąś szmatkę? – Joasia się podśmiewała.

– No przecież. O towar to ja tam na miejscu zadbam, że hej. Będziesz miała co sprzedawać.

– Ja nie o tym. Dla mnie jakąś szmatkę? Specjalnie dla mnie?

– Pewnie. Co tylko zechcesz. Tobie też coś znaleźć? – Zwróciła się do siostry.

Małgorzata pokręciła głową.

– Jestem wstawiona – powiedziała, rozciągając sylaby – ale nie aż tak, żeby deklarować noszenie tęczowych powłóczyстых szatek.

– Spoko, siostra, może kiedyś zmądrzejesz. – Kasia naląła po kolejnym kieliszku. – Chyba czas zamówić taksówkę. Chociaż właściwie mam blisko.

– Nie puszczę cię samej – odpowiedziała Małgorzata powoli.

– Pojadę z taksówkarzem. Z nikim obcym się nie będę szlajać, co ty, siostra. Zresztą, kto by taką starą babę jeszcze chciał?

– No to rzeczywiście się upiłaś.

– Na trzy fronty – odpowiedziała Katarzyna.

– Że co? – Małgorzata trzymała fason.

– Nie wiem. – Katarzyna wzruszyła ramionami. – Idę do domu.

– A taksówka? – zapytała Małgorzata, gdy ucichły już kroki Katarzyny.

– Daj spokój, mama, spacer ciotce dobrze zrobi. Niech się przewietrzy.

– Przewietrzy? A jak jej się stanie krzywda?

– Mamo, wyluzuj. To tylko kawałek.

– Kawałek, kawałek. Tak się tylko mówi.

– Mamo – powiedziała Joasia, wstając z krzesła. Przytuliła matkę, która zbierała naczynia ze stołu. Małgorzata zastygła. Po chwili odstawiła z powrotem talerze i objęła córkę. Trwały tak chwilę, nie mówiąc ani słowa. Po czym odsunęły głowy i spojrzały sobie w oczy. Nic nie dopowiedziały, Joanna po prostu pomogła matce sprzątać.

Kilka godzin później matka i córka leżały, wpatrując się w sufit, każda w swoim pokoju. Obu się zdawało, że pod warstwą farby i tynku są dobre odpowiedzi; że na gołej cegle

jakiś nieodkryty Michał Anioł napisał niezmywalną farbą prawdę, która wszystko ułatwia. *Nie powiedziałam matce o Grażynie. Jestem tchórzem* – myślała młodsza. *Nie zapytałam Joanny o tego chłopaka. Co ze mnie za matka? Na co jutro idą do teatru? I gdzie się podziewa Karol? Wraca coraz później, może dziś rzeczywiście ma jakąś delegację?* – myślała starsza. Z tą myślą Małgorzata zasnęła. Joanna czekała na ojca, podrzemując, do późna w nocy. Wydawało jej się, że tego dnia nie miał zaplanowanej podróży. Dzwonił do niej wieczorem, nie nocował chyba w biurze? A może nie dzwonił z biura? *Takich numerów mi nie rób, tato! Mogę się z matką kłócić, ale to moja matka! I twoja żona. Czy możesz się zachowywać? Chociażby, tatusiu, byle jak. Czy naprawdę tak myślała?*

Rozdział 5

JO

Jak niemal codziennie, Joanna spała, gdy matka wychodziła z domu. Tak nauczyła ją moja córka i sporo w tym mojej winy. Ja chciałam być perfekcyjna, mieć zawsze wysprzątnany dom i szyby bez zacieków. Mnie już przeszło – gdy zostałam sama w domu, a potem po prostu zabrakło sił. Małgosia ciągle utrzymywała ten dziwny standard, chociaż bywało jej ciężko. Szykowała śniadanie, pastowała buty, odprasowane ubranie odwieszała Joasi na drzwi szafy. Zawsze tak było. Pani domu witała rodzinę umalowana i uśmiechnięta. Czasami w sobotę, w dniu generalnego sprzątnania, mniej starannie nakładała korektor pod oczy. Wtedy Joanna mogłaby dostrzec szare cienie pod oczami Małgosi. Niczym ćmy osiadały na twarzy nieszukającej słońca. Ale moja wnuczka wcale nie chciała tego dostrzec. Życie rodzinne musi być jak dawne obuwie – szyte na miarę każdego domownika. A że nie każdemu da się dogodzić?

Joasia chciała poczuć się lepiej. Była więc wegetarianką, nie nosiła futer i dwa razy w miesiącu pracowała jako wolontariuszka w schronisku dla psów. Lub jak jej wypadło, raczej rzadziej niż częściej. Psy ją nawet lubiły, ale nie była w stanie spamiętać ich imion. Zmieniały się tak szybko.

Wciąż nie powiedziała matce o Grażynie, chociaż od kolacji z Katarzyną minął już ponad tydzień. *Nie obarczyłam jej świadomością istnienia kochanki. Oszczędziłam jej kolejnej zmarszczki. O studiach musiałam kiedyś powiedzieć, zresztą i Grażyna w końcu przestanie być tajemnicą, ale nie wszystko naraz!* – usprawiedliwiała się przed sobą.

Joasia weszła do kuchni, popatrzyła na talerz w drobne różyczki. Małgosia uwielbiała ten serwis. W okresie pustek w sklepach taki ślubny prezent był jakby spoza czasu. I w dodatku był to podarunek od ukochanego wuja – księdza, mojego brata, który bardziej wspierał ją niż niegdyś mnie. Przez wiele lat, aż do swojej śmierci, był Małgosi powiernikiem i przyjacielem.

Na talerzu leżała misternie przystrojona kanapka z serem, wędliną, rzodkiewką, sałata i ogórkiem. Kromkę przykrywał ozdobny zawijas majonezu, z boku leżała kulka twarogu ze szczypiorem i sałatka z ananasem. Wszystko świeżo zrobione, zabezpieczone przezroczystą pokrywą. Do tego haftowana serwetka i platerowane sztućce. Rodzinny standard. Moja wnuczka patrzyła na dzieło sztuki codziennej i wreszcie poczuła się podle. *Nigdy nie doceniałam matki. Dostaję śmietankę, a domagam się ptasiego mleka – pomyślała z niesmakiem. Ciekawe, jak ciotka poukłada swoje sprawy – rozmyślała dalej. Wróci po ślubie czy po rozwodzie? Może jako panna? Stara panna, a co. Chociaż ona nie pasuje do tego określenia. W każdym razie najmniej ze wszystkich znanych mi pań. Bardziej mama mogłaby za taką uchodzić. Jest mentalnie stara. A ciotka? Singielka, tak. Ciotka jest singielką. Sprytnie to wymyśliła, swoją drogą. Bez ckliwych pożegnań, akurat. Zwyczajnie nie chciała, żeby mama się dowiedziała, z kim leci. Przy temperamencie ciotki Kaśki nie oznacza to wcale, że z tym samym wróci. Może i dobrze, że oszczędziła matce tej wiedzy.*

Dwa dni wcześniej Joasia z ojcem odwiozła ciotkę na lotnisko. Adorator czekał już ze schludną skórzaną walizką. Katarzyna miała wielką torbę we wszystkich odcieniach żółci. Gruby splot tkaniny układał się w abstrakcyjny wzór.

– Jak gobelin – skomentował Karol.

– W końcu lecę do Indii – odparła niezrażona.

– Tam będziemy wszystko kupować tylko w kolorach tęczy – dodał Miłosz, obejmując Kasię i całując ją w ucho. Uśmiechnęła się wtedy nieznacznie.

Joasia przypomniała sobie nagle. *Co z ojcem?* Wykręciła numer jego komórki. Odebrał po pięciu sygnałach.

– Nie mogę rozmawiać, mam spotkanie.

– Kiedy będziesz? Znowu wróciłeś późno, w ogóle cię nie widuję. Mama się...

– Rozmawiałem z Małgorzatą rano, teraz nie mogę dłużej mówić – wyszeptał ojciec i się rozłączył.

Co to, do licha, jest! Zwyczajny bajzel, nie dom! Nie założę ubrania, które mamusia przygotowała. Od dzieciństwa mi to robi. Pierze, ceruje, prasuje. Wybiera w sklepie, wybiera dzień do założenia. Wieczorem szykuje, rozwiesza, rano prasuje. Ja tylko zakładam i już jestem śliczna. Wyprostowała się. Nie. Już nie. Czas ucieka, a tempus fugit, jak dowcipnie mawiał Stachura. Co ma się zdarzyć, zdarzyć się musi. Klucze od mieszkania ciotki mam, walizka jest w pawlaczu. Zbieram się, bo inaczej nigdy się nie uwolnię od mamusi.

Pakując swoje rzeczy, Joasia rozmyślała o tym, jak będzie się jej mieszkac u ciotki. Wolność! Wyobrażała sobie dorosłe, odpowiedzialne życie. Jej życie. *W sumie nie powinnam narzekać. Matka jest trochę nadopiekuńcza, lubi sprawować kontrolę, ale nie miałam najgorzej, inni trafiają słabiej. Ale mam dość. Chcę samostanowić. Jakie ładne słowo – pomyślała, wybierając ciuchy z wielkiej szafy. Tak, wyrwę się spod kurateli.*

Spod... Zatrzymała się z naręczem ubrań na rękach. Już wiem. Mama jest patronem. Wyrwę się spod jej patronatu.

Nie mogła poradzić sobie z pakowaniem. Zawsze pakowała ją Małgosia, na każdy wyjazd, kolonie, obóz. W kieszonce plecaka Joanna znajdowała spis rzeczy. Wraciała z zawartością splątaną w wielki brudny węzeł, niekompletnymi skarpetkami, czasem cudzymi majtkami zawieruszonymi w wilgotnym ręczniku.

To nic. Będę przyjeżdżać przez kolejne dni i zabierać szpargały. Dzisiaj tylko kilka ciuchów i książki. No i buty. Kostium kąpielowy, przecież pójdę na basen, dziś albo jutro. I zdjęcia. Tych ciuchów będzie za mało... Muszę wziąć jeszcze jedną walizkę. Rany, zapomniałam o kosmetykach!

W południe spojrzała na swoje dzieło. *Nie mam szans na taksówkę. Nie dam rady sama znieść tego majdanu.* Zrezygnowana znów wykręciła numer ojca. Tym razem odebrał po pierwszym sygnale. Był rozbawiony.

– Joasiu, co się dzieje?

– Potrzebuję twojej pomocy. Muszę milion rzeczy znieść do taksówki, nie ma mi kto pomóc.

– Do jakiej taksówki? Dlaczego milion?

– Na kilka dni przeprowadzam się do ciotki. Będę jej podlewać kwiatki.

– Ona ma tylko suszki.

– No właśnie, muszę je odkurzać.

– Co ty kombinujesz? Jak kłamać, to z talentem. Chcesz się wyprowadzić z domu?

– Wczoraj rozmawiałam znów z mamą o studiach i...

– I cię wyrzuciła? Już ja z nią po...

Końcówki zdania Joasia nie dosłyszała. Nie mogła się ponownie dodzwonić do ojca. Zrezygnowana usiadła na kanapie w salonie i czekała na zgrzyt klucza. Późnym popołudniem, gdy piła piątą zieloną herbatę, do mieszkania wparowała

Małgorzata. Kwadrans później Karol.

Moja córka była zła, nie zaczynała więc rozmowy, czekała na męża.

– Joasiu, o co chodzi? – każde z nich zadało takie samo pytanie, kiedy stanęli wreszcie ramię w ramię w salonie, Małgosia bliżej fotela, na którym przysiadła Joasia. Młoda miała wrażenie, jakby matka nad nią zawisała.

Jakie to banalne. Śmiały plan, samodzielność pełna wyzwania, odwaga w codzienności. A wystarczy jedno pytanie i znów jestem dziewczynką.

– Chcę się usamodzielnić.

– Usamodzielnić? – syknęła moja córka. – Może jednak poczekaj, aż skończysz studia?

– Nie, mam teraz szansę. Ciotka wyjechała, zostawiła mi mieszkanie.

– I kazała ci się tam wprowadzić? – Małgosia pękała już ze złości.

– Sama tego chcę.

– A z czego będziesz żyła? – Ojciec podłączył się dynamicznie do rozmowy.

– Chciałabym... Chciałabym prosić was o finansowe wsparcie. Sama oczywiście nie dam rady, musiałabym iść do pracy, a to pewnie uniemożliwiłoby mi dokończenie studiów.

To był świadomy szantaż, obmyślona wcześniej kwestia. Joasia doskonale wiedziała, że nieskończenie studiów byłoby dla jej rodziców katastrofą. Ojciec wprawdzie poparł zmianę uczelni, był praktykiem. Uważał, że biznes zawsze się obroni, a angielski Joanna znała tak dobrze, że nie potrzebowała studiów. I bez tego zda egzamin państwowy czy jaki tam będzie jej potrzebny. Za to w interesach... cóż, oczekiwał błyskotliwej kariery córki. Nie skończyć studiów? Nie wchodziło w grę.

Rozmowa trwała krótko. Matka trzasnęła drzwiami. Ojciec –

zanim wyszedł za nią – chwilę jeszcze rozmawiał z córką. Przytulił ją, szepcząc obietnicę sutego wsparcia. Oto, jak rozwiązuje się problemy. Rozwiązuje?

Rozdział 6

TUTAJ

We śnie można czytać w dowolnych ilościach. Lubię i mogę. Tutaj wszystko mogę.

Dzisiaj przeczytałam:

Był taki czas, gdy ciągle się spieszyłam. Na przykład jechałam tramwajem i chciałam, żeby on jechał jeszcze szybciej. Miałam ten pośpiech w sobie. I nagle pomyślałam: „Zaraz, dokąd ja się tak spieszę? Przecież na końcu czeka na mnie trumna” (śmiech). Pozbądź się tego wewnętrznego biegu. Oglądaj świat, obserwuj, co się dookoła ciebie dzieje, bo życie mamy jedno, a przecież we wszystkim można znaleźć tyle piękna. Właściwie samo to, że się żyje, jest już czymś cudownym.

Danuta Szaflarska to powiedziała.

Trudno się nie zgodzić.

Mądrość... To nic takiego. Stan wiedzy, który nie uszczęśliwia.

Wydaje mi się, że wiem wszystko. Mogę się w każdej chwili przenieść w dowolny czas i wybrane miejsce. Słyszę i wiem. I co z tego?

Rozdział 7

MA

Małgorzata nie czekała na męża. Wyszła nie tylko z pokoju Joanny i nie tylko z mieszkania. Wyszła z siebie i rozpoczęła wędrówkę po bezdrożach. Bardzo chciała powiedzieć, że są to bezdroża jej duszy, ale nawet to nie było prawdą.

Bezdroża? – prychnęła w myślach. Jedynie kawałek asfaltu, który codziennie przemierzam. Nie mam pobocza zarośniętego zielskiem, horyzontu kojącego wzrok i nie mam bezdroży! U córki to mogą być nawet i wertepy. Może chciałabym być teraz w jej duszy i tam sobie beztrąsko błądzić.

Małgosia krążyła po dzielnicy pierwszy raz od dwudziestu lat. Zapomniała, jak to jest iść w deszczu pachnącą wiosną ulicą. Jakie to uczucie mieć na stopach przemoczone buty i w ogóle się tym nie przejmować. Zrobiło się późno, ludzi było coraz mniej, a ona cały czas chodziła. Bała się. Jakby zza najbliższego rogu miał wyskoczyć wyrostek i błyszczącym ostrzem zadać ból, zawiedziony, że nie ma co ukraść. Obawiała się przeziębienia, nie założyła ciepłej bielizny. I obawiała się życia bez Joanny.

Przystanąła w cichym podwórzu między kamienicami. Niektóre balkony zapewne już za kilka tygodni będą ukwiecone,

skrzynki czekały na świeżą ziemię i sadzonki. Inne były zawalone gratami. Dwa krzesła z odłóżką okleiną, ustawione jedno na drugim, straszyły sterczącymi na sztorc nogami, jakby wskazywały kierunek. W niebo. Do nieba. Kiedyś wszyscy pójdziemy do nieba.

Małgorzata usiadła na mokrej ławce, nie troszcząc się nawet o wytarcie jej chusteczką. Sukienka natychmiast przemokła, aż do majtek. Kobieta ułożyła ręce na złączonych kolanach i czuła, że serce za chwilę uda się na samodzielny spacer. Po prostu wyskoczy jej z piersi. Ręce miała mokre, nie od wieczornej wilgoci – od potu. Oddychała płytko, bardzo szybko. Rozglądała się z przestraczeniem. Moja córka wielu rzeczy się bała. Pleśni na okiennych ramach, oskarżenia o stronniczość w ocenie prac studentów, fioletowych słoni, które czasem śniły jej się po ciężkim dniu. Teraz jednak bała się inaczej, bardziej, ponad wszystko. *Co ja robię? Dlaczego tu siedzę? Przecież to jest niebezpieczne. Nie mogę. Muszę wracać. Nie mogę wracać.* – Panikowała.

Raptem Małgosia spojrzała na swoją prawą rękę. Na tę rękę, której paluszki tyle razy przytulałam do policzka, gdy jeszcze miała rozmiar kurzego jaja. Teraz była pod dziwnym kątem wykrzywiona, jakby chwycił ją nagły paraliż. Małgosia nie mogła poruszyć ręką, chociaż ta nie bolała. Po chwili zdała sobie sprawę, że nie może ruszyć także lewą ręką. Właściwie w ogóle nie mogła się poruszyć.

Siedziała na skraju ławki, rzadko rozstawione listwy wbijały jej się w tyłek. *Sparaliżowało mnie* – myślała, nie poruszając się. *Niech to się już skończy. Jak to serce szybko bije. To zawał. Na pewno. Niech już się skończy.* Wyobraziła sobie siebie, swoje ciało, osuwające się bezwładnie, najpierw na ławkę, potem coraz niżej, kolana dotykają ziemi, biodra, plecy. Tylko ręka zostanie na ławce. Bardzo chciałam ją pocieszyć. Powiedzieć

coś, może zrozumiałaby pocieszenie, może uznała ostrzeżenie. Mogłam jednak tylko obserwować, jak zewnętrzny narrator. Wszystkowiedzący, nic niemogący.

Małgosia nie osunęła się na ziemię. Siedziała ciągle bez ruchu na podwórzu pomiędzy kilkoma mokotowskimi kamienicami i chociaż niezrozumiały paraliż minął, nie wstała.

O czwartej nad ranem Karol znalazł Małgorzatę siedzącą na ławce niemal przed ich blokiem. On też krążył po dzielnicy, przeszukiwał miejsca, kiedyś bliskie obojgu, a dawno już przez nich nieodwiedzane, niewspominane, zapomniane. I nie potrafiłby odnaleźć żony, gdyby nie zbieżny punkt, wspólne dążenie – córka. Dlatego spotkali się niemal pod własnym blokiem, na ławce ukrytej w głębokim cieniu. W tym czasie moja wnuczka, zmęczona siedzeniem przy spakowanych walizkach, po prostu poszła spać.

Małgorzata i Karol nie rozmawiali o tym. Mąż po prostu objął żonę i poprowadził w stronę domu. Była przemarznięta, ale nic poza tym jej nie dolegało.

Następnego dnia mój zięć wyszedł z pracy wcześniej. Bagażnik samochodu miał wypełniony złożonymi na płasko kartonami. Małgosia zabawiła na uczelni dłużej niż zwykle. Po powrocie do domu umyła wszystkie okienne szyby.

Potrzebuję powietrza – myślała. Otworzyła gwałtownym ruchem okno i oddychała płytko, szybko, łapczywie. *Oddychać to mało. Potrzebuję dotlenienia.*

Wieczorem Karol przytulał żonę i tłumaczył jej, że mogą w weekend pojechać do lasu, tam się przewietrzą, odpoczną i spędzą czas tylko ze sobą.

– Dawno nie byliśmy sami. Potrzebujemy czasu dla siebie. Wiesz, porozmawiać, pobyć ze sobą.

– Codziennie rozmawiamy – odpowiedziała odruchowo, a potem uniosła głowę szybkim ruchem. W oczach Karola

zobaczyła gasnący entuzjizm.

– Ale chętnie pojedę – dodała szybko. – Żebyśmy mogli pobyć ze sobą. Szkoda, że nie pojechaliśmy jesienią. Pozbieralibyśmy grzyby.

Wiedziała, że Karol nie lubił grzybów. Ani jeść, ani – tym bardziej – zbierać. Nawet mój popisowy kurczak w śmietanowo-grzybowym sosie nie cieszył się jego względami. Nawet jajecznica z kurkami.

– Weźmiemy wiklinowy koszyk – powiedział zgodnie. – Na wszelki wypadek. Może się jakiś wiosenny grzyb trafi. – Rozbawił ją.

– Świetnie – odpowiedziała. – Będziemy mieli czas tylko dla siebie.

Małgosia kiwała głową, uśmiechając się. Nic nie rozumiała. *Jesteśmy ze sobą od prawie ćwierć wieku. Czy weekend w lesie cokolwiek zmieni?*

Rozdział 8

JO

Joasia znużona rozpakowywała pudła w mieszkaniu Katarzyny. Wcześniej ojciec pomógł jej zapakować większość potrzebnych rzeczy. Osobistych i nie tylko. Jej samodzielne pakowanie było bałaganem, Karol układał wszystko metodycznie.

– Nawyk częstego pakowania walizki – tłumaczył córce.

Zawartość kartonów wydawała się uspokajająco znajoma i – mimo wszystko – niepokojąco skotłowana.

Mieszkanie Katarzyny – zdaniem Katarzyny – było w pełni urządzone. Nigdy nie dała mi powiedzieć słowa na ten temat. To była jej przestrzeń i nie pozwalała się w nią wtrącać, ani mnie, ani nikomu innemu. Jak zresztą w całe swoje życie. Zamiast szafy wnęka z metalowym prętem, w miejsce szuflad rattanowe koszyki. W kuchni nie było wyciągu, mikrofalówki ani zmywarki, a szafki zamykało się na kolorowe gałganki. Funkcję blatu spełniała nieoheblowana sosnowa decha, wygładzona przez lata używania.

Joasia nie mogła zdecydować, czy jej się tu podoba. Nie uzgodniła jednak z ciotką żadnych zmian. *Najwyżej się wścieknie, a potem znowu wybaczy, jak zawsze* – pomyślała.

Otworzyła lodówkę – pusta. Przez chwilę nawet pomyślała coś

niepochlebnego o mojej młodszej córce, ale uświadomiła sobie, że ciotki nie ma w Polsce od półtora tygodnia. *Nic to, zamówię pizzę, rozpakuję ze dwa kartony i pójdę spać. Jutro pomyślę, co dalej.*

Leżąc już w łóżku, przewijała w myślach sceny z ostatnich dni. Błada matka, zdenerwowany ojciec, ukradkiem podany zwitek banknotów. Rozmowy, dyskusje, emocje.

– Jak ty sobie poradzisz? – pytała Małgosia łamiącym się głosem.

– Muszę sobie kiedyś poradzić – odpowiadała hardo Joasia.

I ojciec, który sam nie wiedział, jakiego jest zdania.

– Musi sobie poradzić. – Kiwał głową. – Ale musisz już teraz, córeczko? – pytał za chwilę.

Przed pójściem spać przypaliła czajnik. Ciotka nie uznawała elektrycznego. Wykipiała woda, na szczęście płomień kuchenki nie zgasł. *Dobrze, że kamienicy nie wysadziłam* – myślała Joasia. *Wydawało mi się, że umiem gotować. A właściwie to nawet dobrej herbaty nie potrafię zaparzyć. Zawsze robiła to matka.*

Małgosia zostawiała czasami przygotowane produkty i karteczki z opisem. „Odgrzej, osiem minut na średnim ogniu. Na rozpuszczonym wcześniej maśle. Polej śmietaną”. Instrukcje nie były skomplikowane, moja wnuczka nie miała potrzeby zastanawiania się nad zaklęciem do samonakrywającego się stoliczka. Po prostu był nakryty.

Nic to, z rana pójdę do sklepu. Zrobię jajecznicę, zjem z bułką. Dopchnę twarożkiem. Kupię też czarną herbatę – rozmyślała, stojąc przed szafką, w której Katarzyna trzymała herbaty. Zielone i owocowe.

Rano zapomniała o maśle, sucha buła stawała jej w gardle. Nie kupiła też boczku, a jajecznicę smażyła bez tłuszczu. Nie miała śmietany ani szczypioru do twarogu. *Jak matka to robi?* –

zastanawiała się, wciąż głodna.

Wczesnym popołudniem pojechała do studenckiej kantyny na obiad, a wieczorem, po basenie, do instancji wiecznej kulinarnej pomocy. Do mnie. Poprosiła o książkę kucharską, którą dostała bez słowa komentarza, za to z długą litanią spisaną drżącym pismem na papierze w trzy linie, wyrwanym ze starego zeszytu.

Usiadłam do pisania od razu, jak tylko dowiedziałam się o wyprawdzie wnuczki. Zajęło mi to kilka godzin. Sporządziłam szczegółową instrukcję, co i jak przyrządzić w pierwszym tygodniu na obiad, jakie zrobić zakupy, w jakiej kolejności dodawać składniki. Ile czego, z dokładnym opisem jakości.

Kochałam moją wnuczkę bezkrytycznie. Zawsze miałam dla niej czas i uwagę, może nawet bardziej niż dla własnych córek. Widziałam i wiedziałam więcej niż Małgorzata i Karol, którzy o jedynaczkę dbali. Ja ją wychowywałam. I chyba tylko ja zdawałam sobie sprawę ze stopnia, w jakim Joasia była nieporadna. Bardziej niż królewna Śnieżka i mniej więcej jak księżniczka na ziarnku grochu.

– Babciu, pierogi. – Moja wnuczka westchnęła. – Cudo.

– Zjadaj, zjadaj. – Uśmiechałam się, bo któż nie lubi takich bezwarunkowych komplementów?

– A na wynos będą?

Otworzyłam lodówkę i wskazałam pękatą torbę na środkowej półce. – Tylko musisz podzielić na porcje i schować do zamrażarki – poinstruowałam. – Masz torebki do mrożenia?

Młoda zamarła z widelcem w powietrzu. Pół pieroga zsunęło się do talerza, ochlapując jej bluzkę śmietaną.

– A to jakieś specjalne?

Westchnęłam.

– Nie o to chodzi. Musisz jedzenie poporcjować, żeby wyjąć

z zamrażalnika tylko tyle, ile zjesz na raz. Nie podzielisz jedzenia zamrożonego, musiałybyś je całe rozmrozić. A niedobrze jest mrozić ponownie. I torebki dobrze jest opisać.

– Nie wiedziałam – odparła Joasia z pełnymi ustami.

– Skąd miałaś wiedzieć – mruknęłam do siebie. – I mam dla ciebie jeszcze trzy słoiki dżemu. Ratuje życie, gdy lodówka pusta. Wiesz, kromka chleba, nie za gruba, masło i dżem. Smarujesz w tej kolejności, bo masła na dżem się nie da...

– Babciu!

Uśmiechnęłam się. Pod nosem, prawie niezauważalnie. – A tu masz jajka. Od kury.

– Wszystkie są do kury.

– Nie łap za słówka. Od wiejskiej kury.

– Skąd takie wzięłaś? – Dziewczyna się zdziwiła.

– Dla mojej wnuczki to nawet i spod ziemi wytrzasnę. – Uśmiechnęłam się znów.

– Najadłam się po uszy.

– Wpadaj częściej, wnusiu.

– Pewnie. – Joasia cmoknęła mnie w policzek.

– Oczywiście – szepnęłam do siebie już po wyjściu Joanny. – Jak tylko skończy ci się jedzenie.

Westchnęłam i podeszłam do lustra. Ciepło patrzyłam na odbicie – w lustrze stała dystyngowana, starsza pani, od wielu lat wdowa. Wbrew sobie i sąsiadkom, a także córkom, siostrom, kuzynom i wszystkim innym nie zapadłam w niebyt, odżyłam nawet. Chyba. Na swój sposób na pewno kochałam Stanisława, a jednak dopiero po jego śmierci złapałam oddech.

Żyłam na swoich warunkach, nawet gdy było coraz ciężiej. Dom wymagał remontu, ogród zarastał – nie byłam w stanie sama o wszystko zadbać. A jednak czułam się szczęśliwa, chociaż czasami samotna. Lubiłam, kiedy przyjeżdżała do mnie Joasia. Szykowałam wtedy ruskie pierogi, w całym domu

rozstawiałam miski z lawendowym olejkiem i marzyłam, żeby wnuczka została na noc. Czysta, własnoręcznie wykrochmalona pościel czekała zamknięta w przeźroczystym pokrowcu.

Coraz trudniej było mi wszystkiemu podołać. Dom na Mokotowie niegdyś należał do wujostwa mojego męża. Ocalał z wojennej zawieruchy, w przeciwieństwie do rodziny. Zapewne nikt nie przeżył, bo nikt się w cudowny sposób nie odnalazł. Ani zaraz po wojnie, ani nigdy. Willa była okazała, reprezentacyjna. Kłuła w oczy.

Stanisław mieszkał w niej najpierw sam, gospodarując na małym kawałku podłogi. Z biegiem czasu zaanektował cały parter, dbał o niego, sprzątał, odmalował nawet, chociaż farby to nie był artykuł pierwszej potrzeby w tamtych czasach. Kilka lat po wojnie poznał mnie, albo ja jego. Byłam od niego blisko dziesięć lat młodsza. Czas wojny, dla niego tak istotny we wspomnieniach, dla mnie był czasem dzieciństwa, lekko zamazanym w pamięci. Pewnie dlatego, że to nie były echa dobrych zdarzeń.

Tylko niektóre fakty i sprawy zostały mi w pamięci, niestety. Nie pamiętałam matki, w czasie powstania poszła szukać jedzenia i już nie wróciła. Ojciec wychowywał nas, jak umiał. Henryk, mój starszy o osiem lat brat, spełnił oczekiwania matki i wbrew ojcu, w niewygodnych komunistycznych czasach, poszedł do seminarium. Ojciec musiał się wyrzec syna, ja utrzymywałam kontakt z bratem. Sporadyczny, rzeczywistość nam nie sprzyjała, ale jednak.

I na całe szczęście. Na rok przed poznaniem przeze mnie Stanisława – ojciec zmarł. Byłam z nim w szpitalu, lekarze nie traktowali mnie poważnie.

– Co ona tam może wiedzieć, osiemnastolatka? – usłyszałam kiedyś.

Nikt ze mną nie rozmawiał. O stanie ojca, o tym, co dalej...

Mieszkanie było służbówką ojca, który pracował jako kierowca, musiałam się wyprowadzić zaraz po jego śmierci. Przygarnęli mnie sąsiedzi. Brat ukradkiem wspomagał finansowo, każdemu wtedy brakowało na wszystko. Odpracowywałam, sprząając w kościele i pomagając w obejściu przy plebanii w mojej parafii, gdzie brat czasami gościł i miał dobre relacje z proboszczem. Ale wiadomo – gość w dom, Bóg w dom, tak do trzech dni. Potem goście zaczynają śmierdzieć i dokładnie tak się czułam u sąsiadów. Stanisław więc, ze swoją dużą, chociaż zaniedbaną willą, był dla mnie objawieniem. Był rok 1955, miałam dziewiętnaście lat. Zakochałam się, rok później byliśmy po ślubie.

Pięć lat czekaliśmy na dziecko, i przez te pięć lat byliśmy bardzo szczęśliwi. Zastanawiam się czasami, czy naprawdę zakochałam się w Stanisławie, gdy go poznałam, czy też bardziej potrzebowałam zakochania, a zamiast Stanisława mógł być ktokolwiek? Może tylko potrzebowałam poczuć się ważną, być u siebie. We własnym domu. Nie miałam jednak wątpliwości, że po ślubie pokochałam go naprawdę. Tak jak należy.

Stanisław i ja, wtedy jeszcze bezdzietni, zmuszeni zostaliśmy do podzielenia odziedziczonej willi. Sprzedaliśmy za przysłowiowy psi grosz jej połowę, z eleganckiego budynku czyniąc bliźniaka. Kupcem był partyjny dygnitarz, który łaskawie zgodził się, abyśmy dalej mieszkali we własnym domu. W połowie domu. Ciągle, pomimo upływu lat, nie mogę zrozumieć, jak to możliwe, że ktoś musiał się zgadzać na to, abyśmy mieszkali u siebie. To był nasz dom, nasza kamienica, własność rodziny. A jednak mogła w każdej chwili, pod byle jakim pretekstem, przestać należeć do nas. Wystarczyłoby fikcyjne oskarżenie o cokolwiek. Więzienie, konfiskata mienia. Nawet procesu wtedy nie trzeba było. Myślałam o tych czasach

z niegasnącym zdziwieniem.

Potem nastąpiły czasy jeszcze trudniejsze. Podzieliliśmy naszą połowę na piętro i parter, wejście i klatka schodowa pozostały wspólne. Mieszkaliśmy na parterze, do którego przynależał ogród, dzisiaj cudownie zadrzewiony. Kiedyś uprawiałam w nim pomidory i sałatę, żółciły się aksamitki i pachniała maciejka. Dzisiaj trawnik bywał nieskoszony, a na obrzeżach rosły rosochate krzewy. Teoretycznie wymagały trzykrotnego cięcia w roku. Robił to czasem Karol, czasem wynajęty ogrodnik. Dla mnie schyłanie się nad grządkami było już wykluczone. Drzewa nie wymagały pielęgnacji, po prostu były piękne. Szczególnie srebrny świerk w rogu ogrodu. Stanisław zasadził go w 1961 roku, zaraz po narodzinach Małgorzaty.

Zawsze kochałam zieleni i pracę w ogrodzie. Lubiłam też po prostu siedzieć na tarasie i przyglądać się, jak gałęzie falują na wietrze. Czasem siedziałam z robótką, zazwyczaj haftowałam. Bywało, że tylko opierałam ręce na podołku i wpatrywałam się w zieleni – aż do wystygnięcia herbaty. Wtedy niezadowolona zbierałam naczynia i po chwili wracałam ze świeżym naparem. Chwytałam delikatną filiżankę w dłonie i popijałam małymi łykami, wciąż patrząc na ogród.

Na piętrze mieszkali ludzie, którzy zmieniali się co kilka lat. Pierwsi lokatorzy byli zaangażowanymi komunistami. Organizowali w domu zebrania, klatka schodowa zawsze była brudna i zabłocona. Nigdy jej nie sprząтали. Kobieta, której imienia nie zapamiętałam, odsprzedała piętro po śmierci męża. Postrzelili go na którejś z demonstracji.

Potem mieszkało tam profesorostwo. On ważny, dystyngowany, ona zarozumiała. Klatkę schodową sprzątała gospoia. Zawsze było czysto. Odwiedzali ich raz w tygodniu inni profesorowie, podobno na partyjkę brydża, chociaż ja twierdziłam, że to zebrania polityczne. Stanisław się

denerwował, gdy to mówiłam. Nigdy jednak nie wnikałam, co tam naprawdę się działo. Zresztą, zachowywali się tak cicho, że czasami nie wiedziałam nawet, czy goście już przyszli, czy wyszli, czy wciąż rozmawiają.

Po kilku latach zamieszkali tam młodzi ludzie z trójką dzieci. Było głośno, ale przyjacielsko. Pozwalałam dzieciom bawić się na trawniku, chociaż musiały uważać na grządki. Dzieci urosły, wyprowadziły się z Warszawy. Rodzice wyjechali razem z najmłodszą córką.

Teraz mieszkała tam para bezdzietnych ludzi w średnim wieku. Nie było ich całymi dniami. Gdy wracali wieczorami, czasem słyhać było muzykę, czasem telewizor. Kłaniali się, ale nigdy nie mieli ochoty na rozmowę.

A ja potrzebowałam czasem zaparzyć dwie filiżanki herbaty. Dwie miałam – zabytkowe, ocalałe z pożogi wojny. Obchodziłam się z nimi delikatnie, z atencją. Czasem przychodziła jakaś koleżanka z dawnych lat, ale wszystkie poruszały się z coraz większym trudem i coś, co do niedawna było miłym spacerem na sąsiednią ulicę, w którymś momencie, niepostrzeżenie, stało się wymagającą zaplanowania wyprawą.

Dlatego zamknęłam dwa pokoje. Nie wchodziłam tam, żeby nie sprzątać. Raz na dwa tygodnie odkurzałam. Używałam dwóch talerzy i dwóch garnuszków. Pranie oddawałam do magła, chociaż pakunek z pościelą był ciężki.

A jednak dla Joasi zawsze była czysta i wykrochmalona pościel, jakbym ze wszystkim dawała sobie radę. Jak dawniej. Moja wnuczka nigdy nawet nie pomyślała, żeby mi pomóc, a ja o taką pomoc nie prosiłam. Naprawdę, Joanna nigdy o tym nie pomyślała?

Rozdział 9

JO

Joanna pod pewnymi względami upodabniała się do matki. Małgorzata uważała, że nie może nadażyć ze wszystkim. Joanna naprawdę nie nadażała. Kartony z każdym dniem grubszą warstwą kurzu wołały: Rozpakuj mnie! Brudne naczynia zajmowały przestrzeń potrzebną do krojenia chleba, ubrania zaś nie chciały same wskoczyć do umywalki, a potem rozwiesić się na balkonowych sznurkach.

Joanna starała się pogodzić studia, kiełkującą miłość i dogłądanie butiku ciotki. Odwiedzała sklep co dwa – trzy dni, przyglądając się pracy Iwony i z przyjemnością tonąc w kolorowych materiałach. Na mieszkanie i inne sprawy przyziemne nie wystarczało jej nawet nie tyle czasu, co myśli. A i z organizacją nie było najlepiej. *Przestrzeń na dysku mi się wypełniła* – myślała czasami.

Po dwóch tygodniach walki ze sobą, brakiem pralki, miksera (do czego się go używa? mama mówiła, że „jest potrzebny”) i – przede wszystkim – z brakiem matki, Joasia zadzwoniła do Małgorzaty. Takie pogaduchy. Obie udawały, że sobie świetnie radzą. Rozmowa nie wniosła jednak niczego nowego.

Moja wizyta była bardziej obiecująca. Postanowiłam odwiedzić

wnuczkę i, już na miejscu, pomogłam jej ciut oswoić przestrzeń mieszkania. Tłumaczyłam, pokazywałam, część rzeczy zrobiłam sama. Znalazłam Joannie klucz do komórki, w której stała pralka, na niej suszarka i bateria proszków do prania.

– Twoja ciotka uwielbia ubrania! Naprawdę wyobrażałaś sobie, że wszystkie swoje fatałaszki pierze ręcznie?

– Skoro nie ma zmywarki... Jakoś mi pasowało.

– Nie myślisz, moja kochana, nie myślisz. – Pokręciłam głową. Oszczędziłam sobie westchnienie. – A podobno młodzież dzisiaj taka sprytna.

Joanna odkryła, że samodzielność jest niejednoznaczna.

Wolność okupiona jest pracą – do tego filozoficznego wniosku doszła wieczorem, już w łóżku. Dobrze, że nie słyszała tego Małgosia. Ani ja, przynajmniej w tamtym momencie. Pomimo swojej bezgranicznej miłości do wnuczki, zwyczajnie bym ją wyśmiała. Matka zapewne rozpoczęłaby dydaktyczny wykład. A Joasia – cóż, potrzebowała się uzalić nad sobą. *Nawet nie mam kiedy pójść na basen! Kiedy wreszcie będę miała trochę wolnego?*

Rozdział 10

TUTAJ

Bardzo jest wygodnie, kiedy nie trzeba nic udawać. Po prostu być.

Ja czytam książki. Trudne. Tutaj takie nie są. Wszystko rozumiem. Każde obce słowo. Wszystko może być łatwe, wedle uważania. Co kto chce.

Czasem wolę nie rozumieć, wtedy sięgam po słownik.

Nie każdy może mieć słownik, trzeba mieć taką wolę. A wiadomo, z chceniem trzeba uważać. Może się spełnić.

Ciągle jestem na „a”. Augurowie. Jak Małgorzata. Ludzie uważani albo uważający się za arbitrow, autorytet, wyrocznie w jakiejś dziedzinie.

Atrapa. Aureola. Autokracja.

Wszystko o Małgorzacie.

A nie! Jest coś o Joannie. Autonomia.

Lub jej brak.

Rozdział 11

MA

– Tu naprawdę inaczej pachnie – powiedział Karol.

Małgorzata się uśmiechnęła.

– Zimą w ogóle prawie nic nie pachnie.

– Już prawie wiosna, to śnieg nie ma zapachu. Teraz – odetchnął głęboko przez nos – pachnie jak odświeżacz powietrza.

Parsknęła.

– Powiedz jeszcze, że cytrynowy.

– Bardziej cytrynowy niż sosnowy, chociaż... tak, zdecydowanie. W nucie serca da się wyczuć odrobinę magii. Tak, to jest to. – Pokiwał głową z powagą.

Milczeli, rozbawieni. Wreszcie wybrali się na wspólną wycieczkę, planowaną od tak dawna. Wiele razy tłumaczyłam Małgosi, że małżeństwo jest jak ogród, trzeba je podlewać i pielnić. Moja córka zbywała jednak te uwagi milczeniem. Niemal słyszałam, co myśli – i nie było to nic pochlebnego, raczej coś w rodzaju: „Moja matka myli małżeństwo z romantycznym uniesieniem”. A tymczasem to ona była w błędzie. Ja wiedziałam, że małżeństwo jest jak inwestycja. Nie będziesz sprawdzać kursów – możesz przegapić moment,

w którym trzeba zbilansować portfel akcji. Czy jakoś tak. Wyczytałam to w jakiejś ulotce.

Teraz Małgosia i Karol szli szeroką ścieżką, warstwa śniegu wśród drzew była nienaruszona, gładka.

– Jak tu inaczej – powiedziała moja córka. – W mieście nawet smętnego spłachetka śniegu już nie ma. Nawet szarego poletka. A tutaj chociaż resztki, to białe. I ciągle niezdeptane. Ten sam czas, rzeczywistość inna.

– Moja marzycielko. – Karol się uśmiechnął. – To po prostu wiosna. Trochę śniegu, trochę zielonego.

– Przyjedźmy tu jesienią.

– O, Jezu! – jęknął Karol. – Grzyby!

– Nie będziesz musiał zbierać. Wiesz, jak las pachnie jesienią?

– Grzybnią. – Przekomarzał się.

– Chciałabym przyjeżdżać tu częściej. Niekoniecznie dokładnie tu – poprawiła się – ale do lasu. Na powietrze. Chciałabym wyjeżdżać z miasta co weekend.

– Widzisz, jak to ze mną jest. Mieliśmy przyjechać prawie miesiąc temu... Zawsze coś. A to szkolenie, a to konferencja. Ciągle tak.

– Czasem się martwię.

– Martwisz się? – Staął.

– Tak. Bo... No wiesz, tyle się mówi. Że te integracje i inne... Łatwo tam jest... – Małgorzata zamilkła.

– Naprawdę mnie o to podejrzewasz?

Wzruszyła ramionami.

– Czasem strasznie mnie wkurzasz. Jesteś poważna, zasadnicza i poprawna. Zawsze nosisz ciepłą bieliznę. Rzadko się uśmiechasz. Ale cię kocham. Wiesz o tym?

– Wiem. – Zaczerwieniła się jak nastolatka.

Ciągle jest piękna – pomyślał. Są piękniejsze, ale ta jest moja. Tę znam i rozumiem. Tak mi się przynajmniej wydaje. I kocham.

Po cóż byłyby mi kłopoty?

Słońce przenikało przez jeszcze prawie łyse gałęzie. Dopiero zaczynały się zielenić. Światło padało z boku, ciepło rozmywało profil Małgorzaty, gdy spojrzał z boku na żonę.

– Jeśli tylko chcesz – spojrzał żonie prosto w oczy – postaramy się przyjeżdżać tu często, jak najczęściej.

– Chciałabym. Nawet zimą.

– Wtedy nie pachnie.

– Ale można zostawiać ślady na śniegu.

– A potem się po nich tropić.

Roześmiała się. *Jak kiedyś* – pomyślał Karol. Kiedyś przyjeżdżali do lasu. Joasia była malutka. Pierwszy raz przyjechali latem, zostawili małą na kocu, sami biegali wokół. Karol łapał Małgosię, ona uciekała niezbyt szybko. Karą – albo nagrodą – za złapanie był pocałunek. Tylko raz przyjechali zimą. Joasia była już większa, samodzielnie chodziła. Zażyczyła sobie zabawy w chowanego. Na polanie rodzice przytulili się do drzewa, liczyli do dwudziestu. Ona poszła, oni znów całowali się pod drzewem, tym razem opatuleni w ciepłe kurtki. Małą znaleźli po śladach, przykucniętą pod sąsiednim krzakiem. Lepiła ze śniegu coś.

– Czy to bałwan? – zapytała Małgorzata.

Mała rozpromieniła się.

– Piękny. Bawimy się dalej?

Ponowne kiwnięcie główką. Ponowne przytulenie, liczenie, całowanie. Ponowne szukanie po śladach.

– Jak tyś się domyśliła, że to bałwan? – zapytał wtedy Karol, patrząc na bezkształtne śniegowe coś.

– A cóż by mogło być innego?

– Nigdy więcej nie pojechaliśmy na tamtą polanę, dlaczego? – zapytała teraz Małgorzata.

– Nie wiem.

Szli w milczeniu. Pośród rzadkich drzew z poszycia wyłaniała się nieznaczna jeszcze, ale intensywna zieleń.

– Martwię się. – Małgorzata znów zaczęła.

– Mówiłem ci, nie ma...

– Nie o to chodzi. – Przerwała mu. – Martwię się o Joasię.

– Daje sobie radę – powiedział Karol ostrożnie.

– Jesteś pewien? Byłeś u niej?

– Nie, ale przecież dałaby znać...

– Powtórzę, jesteś pewien? Ja myślę, że wcale nie dałaby znać.

– Mam do niej pojechać?

– Rozmawialiśmy ostatnio przez telefon. Brzmiała dobrze, ale... Sama nie wiem. – Moja córka wzruszyła ramionami. Rzadko wykonywała taki gest, świadczył o bezradności, a ona nie lubiła być bezradna.

– Obiecałem jej wsparcie.

– Nie mówię o pieniądzach.

– Tyle mogę zrobić. Wpadnę do niej któregoś dnia, może się czegoś dowiem. A ty nie chciałabyś jej odwiedzić?

– Nie zaprosiła mnie.

Zatrzymał się, chwycił żonę za obydwie ręce i popatrzył jej w oczy.

– Małgośka! Czyś ty oszalała? To twoja córka! Naprawdę jest ci potrzebne zaproszenie?

Westchnęła.

– Tęsknię za nią – powiedziała.

– Ja też. – Puścił jej jedną rękę.

Jak nastolatki – pomyślała, idąc z mężem przez las. *Trzymamy się za ręce jak nastolatki. I bardzo mi z tym dobrze* – dodała w myślach po chwili. *Kto wie, może jedno popołudnie w lesie jednak coś zmieni?*

Rozdział 12

JO

Dni Joanny były wypełnione. Wszystko wymagało uwagi – studia, mieszkanie, ubrania, jedzenie. Ojcowska zapomoga nie wystarczała na restauracje.

Szczęście, że sklepy i hurtownię ciotka zostawiła w doświadczonych rękach Iwony. Joanna zaplanowała wizyty tak, by wpadać tam w drodze na basen. Wchodziła na pół godziny i ciągle była na etapie podziwiania barw i faktur materiałów. Jeszcze wstydziła się zadawania pytań. Bała się zarządzania.

Ciążyła jej też samotność. Najbardziej chciała pogadać z matką. *Może i ma przestarzałe poglądy i jest trochę sztywna, lecz...* Joanna teoretycznie marzyła o zerwaniu więzów z domem, praktycznie albo nie potrafiła, albo bała się spróbować. Raczej to drugie. Może sobie tego po prostu nie wyobrażała?

Moja wnuczka obawiała się także utraty tego, co uważała za najważniejsze. *Cóż może być cenniejszego niż miłość, uczucie na całe życie?* – myślała. A to dlatego, że Grażyna, starsza od Joanny o ponad dziesięć lat, zaczynała być niespokojna.

– Jak niby wyobrażasz sobie wspólne życie? Spotykamy się

dwa razy na tydzień! – Denerwowała się do słuchawki trzy razy dziennie.

A Joanna kochała Grażynę i chciała z nią żyć. Jak dorosła.

Zadzwoiła więc do matki.

– Córuś, smutno ci pewno, na obiad przyjdź. – Małgosia wyraziła tęsknotę w dostępny sobie sposób.

– Mamo, nie mam czasu na smutki. – Śmiech ociekał fałszem.

– Pewnie głodujesz, dziecko, jak ty sobie radzisz?

– Nie głoduję, radzę sobie świetnie, naprawdę. – Tymczasem w myślach zastanawiała się: *Kogo chcę przekonać bardziej?*

– Joasiu, a jak twoje zakochanie? – Pytanie wyskoczyło ze słuchawki i zaczęło wirować w głowie dziewczyny. Matka z niezwykłą dla siebie intuicją nawiązała do tematu, który był powodem telefonu Joanny.

– Mamo, wszystko dobrze, tylko... co ci będę opowiadać, skoro sama nie wiem, czy to coś ważnego. – Mówiąc to, Joanna czuła się podle. *Coś ważnego? Przecież to jest coś superważnego! Na zawsze!* Tylko nie potrafiła się do tego przyznać. Przed własną matką.

– Joasiu... Uważaj na siebie. Pamiętaj, trudno ocenić, czy coś jest istotne. Czy to miłość, czy złudzenie. Czasem tak bardzo chcemy, żeby coś było prawdziwe, ważne, że tworzymy wygodną dla nas rzeczywistość. Wirtualną. Istnieje wtedy tylko w nas i dla nas. Budujemy siebie na interpretacjach, nie na faktach...

– Przerwała na moment. – Uważaj na siebie.

Joanna słuchała zafascynowana. Nigdy nie rozmawiały w ten sposób. *Może to fizyczna obecność nam przeszkadza?* – zastanawiała się.

Małgorzata, patrząc córce w oczy, nie była w stanie wypowiedzieć słowa „miłość”. Widząc matkę, Joanna nie potrafiła sobie wyobrazić, że obie mogą tak samo przeżywać namiętność i rozpacz.

- Mamo, może powinnyśmy rozmawiać mailem? Ponoć jest łatwiej...

Małgorzata milczała. Joanna słyszała tylko nierówny oddech i szelest papieru.

- Zapisz sobie: małgorzata, podkreślenie...

- Mamo?

- A nie chciałaś mailem?

Rozdział 13

JO

– Babciu, o co w tym chodzi?

– Matka się o ciebie troszczy, ot co.

Po raz kolejny przyjechałam do Joasi z torbą pełną jedzenia. *Domowa garmażeria* – tak myślałam o sobie w ostatnich dniach.

– Teraz zaczęła? – Joanna łapczywie pochłaniała pierogi. Gdyby nie moje dostawy, żywiłaby się niemal wyłącznie pizzą z mikrofali.

– Nie mów z pełnymi ustami. – Nie chciałam rozumieć nowych czasów. Mogłam stać w kuchni w przybrudzonym mąką fartuchu i mieć przyklapniętą fryzurę, mogłam znosić odpryski na polakierowanych paznokciach, mogłam wrócić do czasów, gdy dziewczynki były małe, a ja zanedbana. Mogłam zupełnie bez klasy łamać dane sobie przyrzeczenia, że już nigdy nie będę przypominała zanedbanej kuchary i lekceważyć wieloletnie starania, aby uchodzić za elegancką. Czyli mogłam postępować wbrew zasadom. Jednak niektórych atrybutów nowoczesności znieść nie potrafiłam. Dobre wychowanie, oczywiście dla mnie – kiedy sama byłam młodzieżą – miało pozostawać niezmiennie. Mówienie w trakcie jedzenia po prostu nie wchodziło w grę.

– Sądziś, że moja córka nie zna słowa „miłość”? –
powiedziałam zaczepnie do wnuczki, zanim ponownie podniosła
widelec do ust.

– Znać to pewnie zna... gdzieś przeczytała.

Łypnęłam wzrokiem Bazyliszka.

– Twoja matka przeżyła smutną miłość.

– Do Miłosza?

Nie kryłam dezaprobaty.

– Lekceważąco do tego podchodzisz, a niesłusznie. I skąd
o tym wiesz? – Joasia zajęła się przeżuwaniami kolejnego
pieroga. – Cóż, pewnie od Katarzyny. Nigdy nie umiała
zachować dyskrecji. – Dopiero po chwili milczenia
potwierdziłam: – Tak, do Miłosza.

– Miłość do Miłosza, ładnie brzmi. – Moja wnuczka się
roześmiała.

– Ale nie jest śmiesznie. Miłosz sprawił twojej mamie ogromny
zawód. Być może nawet zniszczył jej życie, sam o tym nie
wiedząc. Zachowaj się godnie i nie wspominaj o tym przy swojej
matce.

– Nie będę, babciu, nie będę. Nie chcę też słuchać jej wykładu
o miłości. Mama wszystko potrafi sprowadzić do prozy.
A miłość to motyle w brzuchu, wspólne parzenie herbaty,
pływanie w codzienności i wszystko inne. Wspólne.

– Jeśli uważasz, moja droga, że wszystko inne wspólne to jest
to, co dzieje się w łóżku, że właśnie to jest tak bezcenne
i wyjątkowe i nikt inny nie ma o tym pojęcia, to niezupełnie
masz rację. Wszystkie motyle są owadami z tego samego rzędu.
Niektóre ćmy latają także w dzień. Rzeczy wyjątkowe zdarzają
się tak rzadko i wydają się tak niepozorne, że na ogół umykają
naszej uwadze.

Trzymałam już w rękach torebkę.

– Babciu, muszę ci coś powiedzieć.

Odwrociłam się. Lustrzane odbicie mojej wyprostowanej postaci w karakułowym futrze znieruchomiało. Było na nie już za ciepło, ale lubiłam je bardziej, niż chciałam się do tego przyznać. To był pierwszy prezent od Stanisława. Dostałam je wkrótce po ślubie, jeszcze przed urodzeniem Małgorzaty. Było już stare i powycierane, jednak karakuły mają to do siebie, że łatwo można je sztukować. Płaszcz był więc połatany, wielokrotnie naprawiany, ale wciąż udawało mi się sprawiać, że wyglądał szykownie. Dlatego nosiłam go tak często, jak tylko było to możliwe, a nawet znacznie częściej.

– W przyszłym tygodniu nie będę mieszkała już sama. – Joasia przerwała mi rozmyślenia.

– Powiedziałaś o tym matce?

– Jeszcze nie. Jesteś pierwsza.

– To może powiedz. Dla niej taka informacja ma ogromne znaczenie.

– A dla ciebie nie?

Nie dałam się sprowokować.

– Porozmawiaj z matką. – Chwyciłam za klamkę.

– Babciu, nie potrafię. Wprowadza się do mnie... Babciu, będę mieszkała z dziewczyną.

Nie wiem, skąd u mnie taka przenikliwość, ale od razu zrozumiałam, że to nie koleżanka z roku, do przewaletowania przez jakiś czas czy jak to teraz młodzi mówią. *Jeszcze i to!* – pomyślałam. *Jak to znieś Małgorzata?* Westchnęłam.

– Cóż, Joasiu. Każde pokolenie ma coś, czym stara się szokować starszych. Tak naprawdę zmienia się tylko opakowanie. Porozmawiaj z matką.

Wyszłam na ulicę. Wyprostowana, odruchowo omijałam kałuże. Chociaż wiosna była wciąż chłodna, było mi za ciepło w niegdyś eleganckim futrze. Dokładnie zresztą widziałam, że na skraju rękawów połyskiwała goła skóra, a wokół guzików

i przy kołnierzu włos był wyraźnie rzadszy. Dopiero teraz dostrzegłam, że futro już wcale nie było szykowne. Było zaledwie moim wspomnieniem elegancji, pachnącą naftaliną skamieliną, i tylko taka naiwniaczka jak ja mogła przypuszczać, że ktoś jeszcze dojrzy jego byłą urodę.

Na ogół oszczędna, dzisiaj stanęłam na postoju taksówek. Joasia obserwowała mnie przez okno, widziałam jej cień przesuwany się w szybie przesłoniętej zasłoną z koralików. Wyjęłam z czarnej torebki, pamiętającej lata sześćdziesiąte, komórkę. *To także relikw. Spoglądałam na torebkę, wybierając numer. Jej zapięcie, z którego regularnie wychodziła skóra, naprawiane było już wielokrotnie przez kaletnika – staruszką, który spędzał czas w swoim zakładzie już głównie po to, żeby nie patrzeć całymi dniami samotnie przez coraz brudniejszą szybę niewielkiego mieszkania nad malutkim zakładem. Dlaczego myślałam o tym rzemieślniku – staruszek? Był w tym samym wieku co ja. Mosiądz w wykończeniu torebki był spatynowany, wielokrotnie przeze mnie czyszczony, pastowany specjalnym roztworem. Skóra trzymała się nieźle, tylko na kantach trochę popękała, jednak podszewkę wymieniałam już dwa razy. *Ta torebka jest jak moje futro i ja sama. Udajemy, że świat nie zwariował. Pokazujemy, jak bardzo nadążamy za zmianami, a w rzeczywistości nawet nie jesteśmy w stanie ich dostrzec.**

Zamówiona taksówka podjechała w trzy minuty, wzbudzając irytację dwóch pań, które na postoju stały od dłuższej chwili. Joasia nie mogła słyszeć, jak poprosiłam taksówkarza, aby przez wewnętrzne radio zamówił szybki przyjazd taksówki dla dwóch rozdrażnionych pań. Gdyby usłyszała, wymruczałaby:

– Cała babcia. Gdzie można jeszcze znaleźć taką babcię?

Rozdział 14

TUTAJ

Postanowiłam być mądra. Rychło w czas. Co to komu przeszkadza?

Czytam: Baal.

To o tym wszystkim, o czym nie śnię. Bóg fałszywy, idol, bożyszcze.

Porządek dla Małgorzaty. Praca dla Karola. Wolność dla Katarzyny. Dla Joanny inność.

Chociaż Małgorzata nazwałaby ją bachanaliami.

Bachantka, bachiczny, podoba mi się.

– Stanisław, urządzimy bachanalie? – pytam od niechcienia.

Jego mina – bezcenna.

Siada obok mnie na krześle. Śmieję się. Tak można śmiać się wyłącznie we śnie.

Przygląda mi się z atencją i mówi:

– Bajroniczny masz dzisiaj nastrój.

Zostawia paczkę na stoliku i wychodzi.

Przecież nie miał tej paczki w ręku, gdy tu wchodził. Zaprosiłam go do mojego świata, przychodzi kiedy chce. On i Romek. Ale nie chciałam żadnej paczki!

Delikatnie rozpakowuję. Mam wrażenie, że kolejne warstwy

papiery pojawiają się zaraz po tym, jak rozerwę wierzchnią.

To nie w porządku. To mój świat! A on tu wprowadza swoje zasady.

Można wiedzieć wszystko i znać wszystkich, więc niech sobie zna słowa „bakfisz” i „bakałarz”. Ale żeby mi tu mnożyć ozdobne papiery?

Papiery znikają po zetknięciu z podłogą. Z moją wymarzoną, jasną, zawsze czystą podłogą z sosnowych dech, bejcowanych na biało.

Słyszę śmiech Stanisława. Złoszczę się i śmieję jednocześnie. Gdy już odkładam pudełko, zniechęcona bólem abdomena, od śmiechu, papiery przestają się mnożyć.

Znudziło ci się, kawalarzu – myślę, ale to nie ma znaczenia. Pomyślane, powiedziane, tutaj i tak jest wiedziane.

Pod ostatnią warstwą kolorowe pudełko.

Herbata! Skąd herbata? Tutaj się nie je i nie pije.

Chyba, że się tego chce.

Widocznie Stanisław chce. Jak ja.

Filizanki materializują się na stole, jakby na zamówienie dostałam od Romana ostatnio ich zestaw. Cyzelował je przed wypaleniem wiele tygodni.

To wielki atut tego miejsca. Każdy robi, co lubi. Ja czytam, Roman produkuje nikomu niepotrzebne naczynia, a Stanisław mnie adoruje.

Rozdział 15

KA

Katarzyna była pięćdziesięcioletnią nastolatką. Różniła się ode mnie i od swojej siostry całkowicie. Dziewczynki od najmłodszych lat były do siebie bardzo podobne z wyglądu, za to całkowicie różniły się temperamentem. Nic się pod tym względem nie zmieniło.

– Nie wiedziałam, że Indie były marzeniem mojego życia – opowiadała Kasia Miłoszowi, popijając z nim toddy. – Kto by pomyślał, że kwiaty palmy kokosowej mogą dawać taki napój!

Miłosz lubił słuchać Katarzyny.

Pierwsze dni przemieszkali w hotelu, w którym Katarzyna wcale nie zarezerwowała pokoju. Przyjechali i już. Po kilku dniach znaleźli mieszkanie w jednej z dzielnic Delhi, Purana Qila. Codziennie chodzili na Chandni Chowk, wyszukując na straganach owoce i warzywa najdziwniejszych kształtów. Często nie wiedzieli, co kupują, ale rzadko jadali w restauracjach. Nie brakowało im pieniędzy, szukali wrażeń. Targ, oprócz jedzenia, dostarczał emocji: obserwowali kupujących, rozmawiali ze sprzedawcami, często na migi. Kupowali produkty prosto z pieca, z wody, z żaru. Zafascynował ich człowiek wymieniający zamki błyskawiczne. Raz, dwa – spruty. Trzy –

wybrany nowy. Cztery, pięć – nowy zamek wszyty. Katarzyna spędzała długie godziny na stoiskach i w sklepach z odzieżą. Miłosz jej nie poganiał. Czerpał przyjemność z czekania. W wędrówkach po bazarze i jego obrzeżach zachodzili także do sklepów z elektroniką, gdzie sprzedawcy z powagą zachwalali tandetne wyroby.

Najczęściej i najchętniej – wachali. Wszystko było intensywne: kolory, smaki, dźwięki, ale najbardziej zachwycały ich zapachy. Pachniały sklepy, jedzenie, a od nich ulice – silnie, choć nie zawsze przyjemnie. Robili zdjęcia. Katarzyna kupowała bele materiałów haftowanych w zwierzęta lub ptaki i wysyłała do Polski. Wprowadzili też w życie zasadę braku planu. Bez celu krążyli po ulicach, rozmawiając z ludźmi dla przyjemności. Mało kto z miejscowych mówił po angielsku, radzili sobie rękami, przy okazji ucząc się słówek. Pewnego dnia Mangal, księgarz, u którego pozostawili sporo rupii, zaprosił ich do własnego domu. Jego żona, Anmol, w ciemnej i ciasnej kuchni przyrządziła pachnącą curry zupę; podała ją ze świeżo upieczonym chapati. Kolejnym dodatkiem do posiłku była opowieść gospodarza o ich życiu, codziennym trudzie i zapachu miłości. – Jestem piętnaście lat starszy od żony. Piękna jest, czyż nie?

„Anmol” znaczy „bezcenna”. Cały wieczór był bezcenny.

Katarzyna i Miłosz uczyli się, dlaczego w indyjskich świątyniach są wykute w kamieniu sceny z Kamasutry i dlaczego ważny jest kształt trójkąta. Już po kilku tygodniach zorientowali się, że nie rozumieją Indii. Dostrzegli, że nie wystarczy otworzyć zmysły i uwierzyć w kolistość czasu. Katarzyna doszła do wniosku, że Delhi to miasto, które nie powie im prawdy o Indiach. Moja córka zapragnęła dotrzeć do innych części tego wielkiego kraju. Chciała posmakować więcej i bardziej, niepohamowana w swojej ciekawości.

W przeciwieństwie do mnie i do Małgorzaty – zawsze była ciekawa.

– Delhi jest rozbite, rozczłonkowane, o historii obarczonej fatum. Pojedźmy w głąb Indii – mówiła Katarzyna, a Miłosz zgadzał się milcząco. On już wiedział, że nie ma sensu szukać dalej. Czasami – chociaż to zdumiewające – mężczyźni widzą więcej niż kobiety.

– Powiedz coś – mruzczała Katarzyna wieczorami, kiedy wpatrywali się w zachodzące słońce. Delhi było zakurzone, utopione w spalinach, ale takich zachodów Katarzyna nie widziała w Warszawie.

– To lepsze niż telewizor – odpowiadał Miłosz i Katarzyna zgadzała się na dalsze milczenie.

Wśród wielu zapachów poznawali i swoje. Miłosz wiedział, że znalazł, Katarzyna jeszcze nie śmiała uwierzyć. A podobno nastolatki są takie łatwowierne?

Rozdział 16

JO

To właśnie ten dzień! Wielki dzień! Joanna podskakiwała w drodze z kuchni do pokoju, z pokoju do kuchni, przeglądała się w zakurzonej lustrze przy drzwiach i co chwilę wyglądała przez okno. Moja wnuczka czekała na Grażynę. Ostatnie dni były dla niej trudne. Grażyna nie chciała już spotykać się w uczelnianym barku.

– Chciałabym zainwestować w nasz związek całą swoją energię i czas – deklarowała. Tego samego oczekiwała od Joanny. – Nie można żyć razem na odległość – perorowała. – Pary heteroseksualne też decydują się na mieszkanie razem, kiedy już do tego dojrzeją. – Grażyna powtarzała te zdania przy sałatce z pomidorów i przy latte z panna cotta.

– Tak, oczywiście – odpowiadała Joasia, podkreślając „oczywiście”.

Teraz zatrzymała się przed lustrem. Długie kasztanowe włosy, intrygujące cętki na zielonych tęczęwkach. Lubiła siebie. Lubiła Grażynę. *Grażyna pomogła mi odnaleźć własną tożsamość – rozmyślała, przyglądając się nowej sukience. To dzięki niej zdecydowałam się odciąć pępowinę. Zadarła dumnie nos moja wnuczka. Pasował jej ten zadziór, jak zresztą wszystko przy jej*

urodzie. Od urodzenia była dla mnie najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widziałam. Piękniejszą nawet niż moje córki.

Spóźniona trzy godziny Grażyna wysiadła w końcu z taksówki pod samym blokiem. Ciągnęła wypchaną szarą torbę. Joanna słyszała telepanie windy, stojąc na korytarzu, na posadzce z lastrico, przed uchylonymi drzwiami do ich mieszkania, pierwszego wspólnego. Bose stopy wsunęła w klapki z koralami. Było jej zimno. Czekwała na ciepło Grażyny.

– Co jemy? – zapytała Grażyna, oglądając z powagą wewnątrz pustawej lodówki.

– Musimy zrobić jakieś zakupy! – Joasia przekrzykiwała szum wody w umywalce.

Grażyna miała minę spaniela.

– Chyba na mnie nie czekałaś.

– No coś ty, czekałam całe popołudnie... – Joanna nie wiedziała, jak się zachować. Dla niej jedzenie było dodatkiem do życia, Grażyna musiała czuć się syta. Joasi nigdy niczego nie brakowało, nie znała głodu i poczucia beznadziei.

Moja wnuczka sięgnęła po telefon.

– Dwie pizze, wegetariańską i Margheritę, poproszę.

– Z dodatkowym serem – rzuciła Grażyna.

– Z dodatkowym serem i podwójnym sosem pomidorowym. I litrową colę. Nie, dwulitrową.

Grażyna pokiwała z uznaniem głową.

Kiedy Joasia płaciła, Grażyna ustawiła na szafce niewielki telewizor, właściwie turystyczny. Nie wymagał żadnych specjalnych zabiegów, wystarczyło podłączyć do prądu. Od odbiorników popularnych w siermiężnych latach osiemdziesiątych różnił się tylko pilotem i kolorową obudową. Od razu rozpoczęła ucztę przed telewizorem, nie czekając na partnerkę.

– Jutro nie idę na zajęcia. Nawet na basen nie pójdę. – To było

spore wyrzeczenie dla Joasi, ofiara na rzecz nowego życia.

– Super! Co będziemy robić?

– Będziemy się cieszyć swoją obecnością!

– To będzie piękny dzień. – Grażyna z westchnieniem odstawiła talerz i oddała pocałunek Joasi. Przygarnęła ją do siebie zdecydowanie, mocno, jak nikt wcześniej mojej wnuczki nie przygarniał.

Wszyscy faceci to mięczaki. Szkoda na nich czasu i energii – uznała w tej chwili dziewczyna.

Grażyna sama brała to, na co miała ochotę. Życie ją nauczyło, by chwycić nagrody, nim skończą je rozdawać, rzadko więc pozwalała się wyprzedzić.

Dziewczyny skupiły uwagę wyłącznie na sobie. Dotyk kochanki wydawał się Joannie najczystszy, najświętszy. Prawdziwie miłosny. Cóż, pierwszy. Pierwszy orgazm przeżyła z Grażyną. Był dla niej odkryciem – wcześniejsze doświadczenia wydawały się niezupełne i niepełne, jakby nieśmiałe. Radość z tego odkrycia była wielka i wypełniona poczuciem wyjątkowości. Nie miałam możliwości wytłumaczyć Joasi, jak wielkiego przeżycia doświadczyła. W moim pokoleniu nie tylko słowo „orgazm” było nieprzyzwoite. W ogóle nie wypadało go przeżywać, myśleć o nim, rozmawiać. Niektóre z nas, dzisiejszych babć, nawet nie wiedziały, o co się starać, mężczyźni zresztą też nie wiedzieli. I w sumie nie miałyby znaczenia, z mężczyzną czy z kobietą, ważne, żeby przeżywać. Ale przecież nie mogłam o takich rzeczach rozmawiać z własną wnuczką!

Małgorzata i Karol nie rozmawiali z córką o seksie. Słowa „orgazm”, „stosunek” i „współżycie” załatwiła podsunięta książka; Karol uważał, że Joasia dowie się czego trzeba od matki, zaś moja starsza córka uważała, że Joanna dowie się, kiedy przyjdzie na to czas. Słowo „homoseksualny” obydwójce

uznawali za nieeleganckie. Do dwunastego roku życia Joasia musiała wychodzić z pokoju, gdy para na telewizyjnym ekranie zaczynała się przytulać. Pocałunek – to już scena zbereźna, przy której zaczynały się pokasływania, nieodmiennie kończone krótkim:

- Napiłabym się herbaty.
- Joasiu, zrobisz mamie filiżankę herbaty?

Dlatego też Joanna czuła się teraz jak archeolog. Różnica polegała na tym, że naukowiec wie, iż odkopuje świat niegdyś istniejący, Joannie zaś owo odkrywanie zdawało się być aktem tworzenia nowego ładu. Dreszcze. Armia mrówek w miękkich bamboszach biegnąca po ciele Joasi od barków, przez krzyż aż po łydki, dowodzona przez dłonie Grażyny. W chwili ich ataku skóra na przemian kurczyła się i rozprężała.

Grażyna była generałem, chwilę potem profesorem i przewodnikiem. Znała już wszystkie kotliny i wzniesienia ciała Joanny, odruchy i odgłosy. Rejestrowała amplitudę zmagania i bez trudu odczytywała stan umysłu młodej kochanki. Krok po kroku, jęk po jęku, uczyła Joannę jej samej. I siebie. Bo Grażyna nie była zadowolona z tego seksu. Joanna miała mizerne doświadczenia – kilka ukradkowych pocałunków, trochę dyskotekowego ocieractwa; dziewictwo straciła po balu maturalnym, z kolegą szkolnym, przestraszonym tym aktem tak samo jak Joanna. Tylko ja się tego domyśliłam. Joasia przez kilka dni była milcząca, patrzyła zamglonym wzrokiem w daleką przestrzeń. Odpowiadała na pytania inne, niż jej zadawano. Przez chwilę myślałam, że się zakochała, ale zaczęła się inaczej poruszać, miękko zaokrąglać ruch bioder przy każdym kroku, unosić rękę płynnym gestem do twarzy, gdy poprawiała włosy. Po dwóch tygodniach sama mi powiedziała, z pewnym żalem, bo już po kilku dniach kolega ją irytował. Małgorzata nigdy o tym nie usłyszała.

Grażyna uczyła więc Joannę od nowa: jak dotykać na wiele sposobów, jak wykorzystać piórko, lód, bitą śmietanę, co można zrobić z jedwabiem i do czego może się przydać frotowy ręcznik. Mokre – suche. Zimne – ciepłe. Proste kontrasty i skomplikowane brzmienia. Grażyna wiedziała, że musi poczekać. Joanna poddawała się jej i nieudolnie próbowała oddawać to, co otrzymywała, trudno było jednak liczyć na jej inwencję. Choć bystra i na co dzień kreatywna, w seksie Joanna zdawała się pozbawiona fantazji niezbędnej do ekscytującej gry.

Dla mnie nawet to, co dla Grażyny było ograniczeniem, wychodziło poza wszelkie normy dozwolonego. W tym aspekcie także byłam staruszką, nienadążającą za zmianami, i zupełnie mi to nie przeszkadzało.

Może kiedyś się nauczy – rozmyślała Grażyna po kolejnym akcie.

– Jesteś moją boginią – szeptała Joasia do poduszki, wciskając pośladki w ciepły brzuch Grażyny.

Obydwie mruzczały. Jedna z rozkoszy, druga, żeby nie mówić.

Tego wieczoru Grażyna, stojąc w kuchni za plecami Joanny, zaczęła od obnażenia jej ramion i piersi. Atłasowy, zawiązany w talii szlafrok spłynął ku biodrom i zatrzymał się na przedramionach wspartych o kuchenny blat w prozaicznej czynności mieszania herbaty. Paznokcie Grażyny zaczęły swoją subtelnie zaczepną wędrówkę od uszu i karku po nagi dekolt, znacząc zdobyty teren wąskimi ciemnoróżowymi pręgami. Łyżeczka znieruchomiała. Herbata przegrywała z namiętnością. Jeden ruch i piersi Joanny zniknęły pod ciepłym przykryciem. Dłonie zaciskały się miarowo i precyzyjnie, jakby chciały ulepić nowy kształt. Na krótką chwilę prawa ręka zsunęła się do supła i sprawnie uruchomiła mechanizm opadania zasłony. Od teraz naga Joanna czuła na plecach półtwarde guziki stożków, a na

płatkę ucha wargi Grażyny. Sięgnęła w tył, do bioder. Ledwie musnęła skórę, już została skarcona klapssem, po którym ledwie stłumiła krzyk.

– Ja prowadzę.

Szept Grażyny zniewalał nie mniej niż klaps.

– Ty się ucz. Potem cię przepytam.

Zdecydowanym gestem złapała Joannę za nadgarstki i oparła jej ręce o front wiszącej kuchennej szafki. Następnie bezceremonialnie, stopą wymusiła na Joannie niewielki rozkrok. Podeszła z boku, wzięła udo Joanny między swoje nogi i przycisnęła podbrzusze do jej biodra. Dłonie rozcierały pot na łonie i pośladkach dziewczyny. Zanurzenie było niespieszne i właśnie ten brak pospiechu doprowadził po chwili Joannę na skraj szaleństwa. Zapobiegliwie, w rytmie zagłębiania, Grażyna zadbała i o swoją rozkosz, ocierając się o wciąż wilgotniejące udo partnerki. W spazmie Joanna wykazała się niesubordynacją, zdejmując z szafki lewą rękę, odwracając mocno głowę i przyciągając do siebie usta Grażyny. To dało im obu niemal jednoczesne spełnienie.

– Co dalej? – Joasia odzyskała oddech dopiero na kuchennym dywaniku.

– Dalej to ja idę siku. A ty, kochanie, wstań z podłogi, bo złapiesz wilka.

– Ty też leżysz na podłodze – zaskakująco przytomnie zauważyła Joanna.

– I już są tego efekty!

Zataczając się ze śmiechu, obie pobiegły do łazienki. Wspólnota ciał wyrażona wspólnotą pęcherzy?

Rozdział 17

MA

Moja starsza córka wierzyła, że lubi gotować – tak bardzo, że polubiła to zajęcie. Dzięki temu gotowała znakomicie. Nie potrafiła zrozumieć swojej córki, ale umiała ją nakarmić. Dlatego cztery razy wjeżdżała windą, coraz dotkliwiej odczuwając prawo ciężenia. Zakupy na królewską ucztę. Świąteczną. Tak ciężkie, aż winda trzeszczała. Małgorzata myślała o możliwym zerwaniu lin bez lęku, wstrętem napawała ją tylko wizja ewentualnych żółtek rozlanych na wełnie płaszcza. *Albo, nie daj Boże, na bluzce. Przeciekłoby na bieliznę* – myślała. *Na pewno by się jaja rozbiły.* Skrzywiła się, gdy winda zachręściła kolejny raz. Wydawało jej się, że skupienie na detalach pozwala żyć lepiej. Realniej.

Rozpakowanie zakupów zajęło trzy godziny. Małgorzacie został ledwie okruch siły – wystarczył na zaparzenie herbaty. Usiadła na kanapie, filiżankę odstawiła na stolik. *Może i wygodnie byłoby podkurczyć nogi.* Przypomniała sobie, jak zawsze zwijała się przed telewizorem Joasia. *Wygniotłabym jednak spódnice.* Westchnęła, przerzucając kanały. *Nic w tej telewizji nie ma. Strata czasu.* Wzruszyła ramionami, ale nie wyłączyła odbiornika. *A jak się nie uda? Co właściwie miałoby*

się nie udać? Na przykład przystawka. Zważy się coś albo przypalę, albo coś jeszcze innego. Nie wiem. Cokolwiek. Zacisnęła dłoń w pięść. Przypalę, zrobię niesmaczne – zadręczała się zgodnie ze swoim zwyczajem. Jak to moja córka.

Poczuła przyspieszone bicie serca. *No nie. Nie będę tu umierać na zawal w oczekiwaniu na wizytę córki!* Zaśmiała się głośno. Śmiech zabrzmiał przerażająco głucho. *Znowu to? Muszę chyba pójść do lekarza. To na pewno zawal. Albo stan przedzawałowy. Umrę tu i co? Jezu! Co się dzieje z moją ręką?* Spojrzała na oparcie, na którym prawa ręka wyginała się jak w surrealistycznej wizji. *Jeszcze mi tu Dalego potrzeba. O której będzie Karol? Niech on mi pomoże!*

Chciała sięgnąć po telefon, ale ręka odmówiła posłuszeństwa. Siedziała przerażona, oddychając płytko i szybko. *Muszę się uspokoić, muszę się uspokoić* – powtarzała w myślach. Nie widziała swojej twarzy. Może to i dobrze. Była wykrzywiona, prawy kącik ust opadał nisko, lewy zastygł w upiornym półuśmiechu. Brwi, wysoko uniesione, niemal dotykały linii włosów, na policzkach wykwitły okrągłe, mocno czerwone rumieńce. Jak dwa zachodzące słońca.

Zamknęła oczy. Wydawało jej się, że błądzi w jakiejś malignie, że przez długie godziny chodzi po lesie, ciemnym borze, tak długo, aż dzień przeszedł w noc. W rzeczywistości siedziała na kanapie bez ruchu jakieś dziesięć minut. Gdy otworzyła oczy, ciągle był dzień, leciał ten sam program. *Zadzwońię po Karola* – pomyślała. Wyciągnęła rękę po telefon. Trzymała go przez chwilę w dłoni, obracając. *Histryzuję. Wszystko już w porządku.* Odłożyła aparat.

Gdy Karol wrócił do domu, nie wspomniała o tym słowem. *Zjesz kolację? Co w pracy? O której jutro?* – to były pytania, które uznała za ważne.

Gotowanie rozpoczęła następnego dnia. Zgodnie z wcześniej

przygotowaną listą: czwartek – ugotować mięso, zmielić i upiec. Przełożyć ciasto kremem kawowym – tylko taki lubiła moja wnuczka. Upiec mazurki. W piątek ugotować zupę, przyrządzić pieczeń w cieście na niedzielę, wieczorem naszykować śledziową sałatkę. W sobotę przystawka, gotowanie i malowanie jaj, święconka. W niedzielę tylko rozłożyć, udekorować, jeść. Wszystko wyszło znakomite.

Od czasu wyprowadzki Joasia rzadko bywała w domu. Za to często z matką rozmawiały przez telefon, trochę mailowały. Małgorzacie trudno było przyznać, jak bardzo tęskni za córką. Próbowwała rozmawiać o tym z Karolem, ale po obiecującym spacerze w lesie nie mieli okazji do dłuższej rozmowy. Karol w domu bywał. Spinając włosy przed gotowaniem, Małgorzata pomyślała, że więcej dyskutuje z lustrem niż z mężem. Lustro zawsze jest. I zawsze ktoś w nim odpowie. Coś.

Joanna zapowiedziała się na sobotę. Za dwie godziny.

Joanna, Karol, Wanda i ja. Małgorzata ciągle podliczała w myślach zaproszonych. *Cztery osoby. Parzyście. Kogoś brakuje?*

Wanda, czyli ja. Nie przepuściłabym takiej okazji, rodzinny obiad, uczta przygotowana przez starszą córkę, która rzadko ukazywała swój kulinarny talent. Nie miewała na to czasu, na ogół albo była na uczelni, albo przygotowywała jakąś publikację, albo sprawdzała kolokwia. Ode mnie nie chciała się uczyć, podeszła do sprawy ambicjonalnie. Gdy urodziła Joasię, ledwo umiała zrobić jajecznicę, mnie jednak nie poprosiła o pomoc. Obłoczyła się książkami kucharskimi, trenowała w samotności, jakby szykowała się do zawodów. Dlatego gotowałyśmy zupełnie inaczej i chociaż nie mogłabym gotowaniu Małgosi niczego zarzucić, to jednak nie wszystko umiała przyrządzić tak jak ja. A ja tak jak ona.

Moja córka rzadko potrafiła zrozumieć swoją córkę, to już

mówiłam, za to chłonęła jej emocje. Ucieszyła się i wcale nie zdziwiła, gdy na niedzielny świąteczny obiad Joanna przyszła z Arturem i przedstawiła go jako swojego chłopaka.

Artur jakby dostał skrzydeł. *Joanna się określiła! Joanna, Joanna, moja Joanna!* – emocjonował się bezgłośnie. Zaproszenie do domu rodziców mojej wnuczki było dla niego jak pasowanie na rycerza. Bywał wcześniej u Małgorzaty i Karola, ale wyłącznie jako kumpel. Ochroniarz. Wiedział, że Joasia przeprowadziła się do mieszkania ciotki, i liczył na to, że zostanie tam szybko zadomowiony. Chciał wkręcać żarówki i wynosić śmieci. W praktyce nigdy wcześniej nic takiego nie robił, w domu we wszystkim wyręczali go rodzice.

Od dawna jednak panowała w tym temacie cisza. Dopiero dwa dni temu Joanna mimochodem zaprosiła go na obiad. Wracali z teatru, zataczając się ze śmiechu. Przedstawienie było żenujące. Joasia jak zawsze pożegnała Artura przed wejściem do klatki schodowej, na koniec jednak rzuciła:

– Może miałbyś ochotę wpaść do moich rodziców na obiad? W niedzielę? Ucieszą się.

– W Wielkanoc? – zająknął się chłopak. – Moi rodzice...

– Masz inne plany? – rzuciła obojętnie.

– Z przyjemnością – odpowiedział szybko.

Artur długo przygotowywał się do wyjścia. Kupił wielki, chociaż niski bukiet herbacianych róż. Małgorzata przyjęła je z zadowoleniem. Gdy zdjęła koszyczek z włochatymi kurczakami i misę z drewnianymi jajkami, kwiaty idealnie nadały się do dekoracji stołu. Ascetyczne trzy długie czerwone róże miały być dla Joanny – wylądowały jednak w moich zachwyconych rękach. Chłopak nie był przygotowany na moją obecność i zabrakło mu kwiatów dla Joasi. Tego popołudnia nie obdarował jej niczym. Za to moja wnuczka sprezentowała wszystkim jedno zdanie:

– Mam nadzieję, że więcej nie będziecie dopytywać się o mojego chłopaka. Już go znacie.

Było po obiedzie. Na stole parował dzbanek z kawą, mlecznik wypełniała śmietanka. Tort zdążył stracić efektowne kremowe dekoracje, rozkrojony ukazywał czterowarstwowe wnętrza, pokruszone brzegi mazurków szpeciły patery.

Zatrzymałam w powietrzu dłoń ze srebrnym widelczykiem – kawałek kawowego biszkoptu z morelowym dżemem własnej roboty Małgorzaty spadł na oparcie zabytkowego fotela. Małgorzata parsknęła kawą, a Karol, który zamierzał zmienić płytę w odtwarzaczu, po prostu odwrócił się i uśmiechnął.

– Nareszcie – powiedział w kierunku Artura. – Dawno już cię tak traktowaliśmy, dobrze było to usłyszeć. – I wrócił do przeglądania stojaka z płytami.

– Joasiu, Arturze, gratulacje. – Małgorzata odzyskała równowagę. – Czy planujecie coś dalej?

– Co mamy planować, mamó. – Joanna nawet nie uniosła wzroku, ograniczyła się do niechętnego grymasu.

– Wszystko, córeczko, wszystko. – Małgorzata miała przed oczami wizję sukni, becika i szczęśliwej nowej komórki społecznej.

– Na razie jeszcze nie mamy konkretnych zamiarów. – Artur próbował się odnaleźć.

Popołudnie przeszło w wieczór.

Niektórzy nawet liczyli na poranek. Brak wyobraźni czy naiwność?

Rozdział 18

TUTAJ

Certyfikat. Certować się. Cezar.

Te słowa znam.

Z innymi ciut słabiej.

Wchodzącego dziś do mnie Stanisława witam pytaniem:

– Czy myślisz, że skoro Sumerowie wymyślili koło, to ich autorstwa jest również cylinder?

– Jeszcze jestem na „b” – odpowiada mi z powagą.

Wyrabia się.

– Małgorzata skazała się na banicję – mówię po jakimś czasie.

– Chyba wszystkie one. Joasia też – powiedział, rozsiadając się jak baron. – Gra rolę beau sabreur.

– Joanna ma ochotę być bardem – zauważam. Chyba kąśliwie.

– Tylko Katarzyna jest tam, gdzie powinna.

– Chociaż to ona wyjechała – mówi Stanisław. – I będzie malować batik. I podróżować jak Beduin.

– Bohomazy, jeśli już – wtrącam z zastanowieniem. – Beduini to nie ten rejon świata.

– Nieważne. Azja, Afryka czy Ameryka. Podróż taka sama – odparowuje.

– Strasznie mi tu basujesz – odpowiadam. Irytuje mnie, bo ma

rację.

– Wiesz, dla mnie to wszystko bamboszada – dodaje Stanisław po zastanowieniu.

– Co w tym dla ciebie groteskowego? – Dziwię się. Tutaj nawet nie trzeba unosić głosu na końcu zdania. Intencja pytającego i tak jest znana.

– Przejmujemy się, a możemy tylko się przyglądać. Banalny balet, byle nie być balastem.

– Bzdurzysz – mówię z lekkim zawahaniem.

– Podaj tej benedyktyнки – odpowiada z uśmiechem.

– Przecież nie pijesz?

– Faktycznie. Zapomniałem.

Bo cóż, taka to i prawda. We śnie wszystko wiem, ale nic nie mogę.

Rozdział 19

JO

Młodzi wyszli, Artur próbował objąć Joannę. Odsunęła się.

– Co ty?

– Marzyłem o tym od dawna. Trzeba było wcześniej powiedzieć, pierścionek miałbym przygotowany, Joasiu...

Joanna się zatrzymała.

– Żarty sobie robisz? Żaden pierścionek, nie jestem twoją dziewczyną! Powiedziałabym ci o tym.

Moja wnuczka nie była mistrzynią komunikacji. Wyrzucałam sobie, że jej tego nie nauczyłam, przecież wiedziałam, że od Małgorzaty się nie nauczy.

– Ależ przed chwilą powiedziałaś. – Artur przystanął zdezorientowany.

– Nie miej miny zbitego psa. Sądziłam, że jesteś inteligentny. Chciałam tylko, żeby rodzina miała czym zająć myśli, między nami nic się nie zmieniło.

– Ależ zmieniło! Teraz chcę odprowadzać cię do samego mieszkania!

– Proszę bardzo – odpowiedziała obojętnie Joanna.

Szli w milczeniu szybkim krokiem. Droga zajęła im niecałe dwadzieścia minut, Joasia szła ze wzrokiem wbitym w ziemię,

Artur co kilka kroków lekko podskakiwał.

Zerknęła w stronę uliczki prowadzącej na basen. W oddali ujadał rozsierdzony pies.

– Zobacz, jak ten włóczęga go drażni – powiedziała do Artura.

– Nic mu chyba nie robi. – Chłopak się zawahał.

Joanna machnęła ręką. Wstukała kod domofonu i nie protestowała, gdy Artur otworzył przed nią drzwi, przytrzymał, a potem wszedł. Po schodach też wchodzili w milczeniu. A kiedy dotarli już na piętro, dziewczyna podała mu rękę i zamknęła drzwi mieszkania przed nosem.

Dotychczas Artur robił, co mu kazała moja wnuczka. Nie tym razem.

– Wpuść mnie! Proszę! – wołał pod drzwiami.

Sąsiadka Joanny otworzyła drzwi. Przyglądała się Arturowi z ciekawością.

– Pan do której?

– Słucham?

– Do której dziewczyny? Młodszej czy starszej?

– To są dwie?

Wścibska się zaśmiała.

– To pan nie wiesz? – Zamknęła drzwi. Jej śmiech słyhać było zza cienkiej dykty.

Szyderczy ton rozsierdził Artura. Walił pięściami w drzwi. W końcu Joasia otworzyła gwałtownie. Chłopak zachwiał się i ramieniem oparł na niej. Odsunęła go zdecydowanym ruchem.

– Właż.

Po raz pierwszy znalazł się wewnątrz, dokładnie tak sobie wyobrażał mieszkanie należące do Katarzyny. Znał swoją młodszą córkę, chociaż pobieżnie. W hallu wisząca centralnie lampa z ciemną żarówką i kloszem z kolorowych paciorków. W wejściu do salonu zasłona z pasków – wzór układał się w siedzącego buddę. Salon jasny, bez firan, zasłony

z koralików, chociaż Joanna chciała je wymienić na płócienne, proste. Mało mebli, na jasnej podłodze kilka plecionych dywaników, ręcznik porzucony na łóżku.

– Czego chcesz? – Joanna była znudzona.

– Jestem twoim chłopakiem. I chcę nim być! – Artur to wykrzyczał.

– Nie jesteś. Przedstawiłam cię tak rodzicom, ale nie jesteś. Wybacz, nie chciałam być źle zrozumiana. – Joanna jednak miała gdzieś to, jak czuł się chłopak. – Nie mieszkam sama.

Z łazienki wyszła Grażyna. W samym ręczniku.

– Ach... – zająknął się Artur. – Rozumiem. Muszę już iść.

Nic nie pojmował. Zrozumienie nie leżało jeszcze w zasięgu jego możliwości. Wykraczało też poza granice jego wyobraźni.

Czasem piękniej jest nie wiedzieć. To po co chcemy wiedzieć?

Rozdział 20

MA

Małgorzata dotarła na uczelnię jak zwykle przed czasem. Moja córka w swoim dorosłym życiu spóźniła się może ze dwa razy, nawet na przyjęcia zdarzało jej się przyjść przed czasem, gdy gospodarze w pośpiechu dopinali garderobę. Teraz miała czterdzieści minut na przygotowanie się do wykładu.

Weszła do dużej auli. Lubiła jej zapach. Kurz, niemożliwy do wysprzątania, zalegający przez dziesiątki lat w kątach i szczelinach parkietu. W domu od tego zapachu zaczęłaby kichać, tutaj wdychała go z przyjemnością.

Było chłodno. Zimą ogrzewanie było niewystarczające, teraz wyłączono je już całkowicie. *Dobrze, że założyłam ciepłą bieliznę* – pomyślała jak zawsze w tym miejscu. Rozłożyła notatki na katedrze. Włączyła komputer i projektor. Otworzyła z pen drive'a niezbędne pliki. Powtórzyła w myślach najważniejsze tezy prezentacji – wszystko to, zanim weszli pierwsi studenci.

Wykład przebiegał bez zakłóceń. Na koniec zwyczajowo pozwoliła studentom zadawać pytania. Podczas przedostatniego pytania poczuła kołatanie, spojrzała odruchowo na swoją rękę. Wykrzywiła się nienaturalnie. *Tylko nie to. Tylko nie to* –

pomyślała, oddychając płytko. Przerwała odpowiedź udzielaną na pytanie studenta. Nigdy wcześniej tego nie zrobiła.

– Musimy już kończyć – powiedziała niezbyt wyraźnie.

Studenci chwilę zwlekali. Małgorzata zawsze solidnie odpowiadała na wszystkie pytania, czasem nawet zbyt dokładnie. Tym razem usiadła za katedrą i opuściła głowę. *Niech już wyjdą. Niech wyjdą.*

Jedna ze studentek podeszła:

– Czy coś się stało? Pomóc pani?

Małgorzata podniosła głowę, znów prawy kącik ust opadł nisko, lewy zastygł w drwiącym uśmiechu. Groteskowa maska zamiast twarzy odstraszyła dziewczynę. Małgorzata nie musiała nic mówić, wystarczyło, że lekko pokręciła głową. Po chwili zdała sobie sprawę, że z jej ust niekontrolowanie cieknie ślina.

Została sama. W sali o zapachu zjełczałego kurzu, przy katedrze z porzrzuconymi notatkami. Zanim weszła następna grupa, oddech jej się uspokoił, grymas zniknął, a ślinę z kącików ust otarła rękawem. *Fuj* – pomyślała bezradnie.

Uświadomiła sobie, że podczas ataku prawa ręka musiała drżeć. *To eufemizm. Latała po całej katedrze, kartki pofrunęły aż między krzesła. Niezły taniec świętego Wita.*

Spakowała notatki, równo poukładała kartki przed włożeniem ich do skórzanej brązowej teczki. *Właściwie mogłabym już ją wymienić – pomyślała. Ma ze dwadzieścia lat. Ale właściwie dlaczego? Jest cała i ciągle dobrze służy. Kiedyś po prostu robiono dobre, trwałe rzeczy.*

W tym też Małgosia była do mnie podobna. Obydwie uważałyśmy, że jeśli coś jest użyteczne, nie należy tego wymienić. Dlatego ona nosiła jedną sukienkę ósmy sezon, a ja miałam pięćdziesięcioletnie futro, wciąż używane.

Małgosia wyszła z sali wyprostowana, zaciskając silnie dłoń na ręczce teczki. Skierowała się do gabinetu przełożonego.

– Mogę? – zapytała, uchylając drzwi po standardowym puknięciu. Nie miało ono żadnego znaczenia, nigdy nie czekała na „proszę”, ani też Wiktor nie zamierzał go wykrzykiwać. Po prostu, odruch. Dobrze wychowani ludzie pukają przed wejściem – twierdziła. Sama jednak zastanawiała się czasami nad tym gestem. Do innych drzwi nie pukała. *Przykrywam swoje skrępowanie?* – myślała.

A przecież to ja nauczyłam ją pukać. Bo tak było grzecznie, tak uważałam. Uczyłam obydwie dziewczynki tak samo, ale w dorosłym życiu tylko Małgosia pukała, Kasia wchodziła tam, gdzie chciała.

Wiktor wskazał jej krzesło naprzeciw swojego niewielkiego biurka. Sprawdzał studenckie prace, miał na nim bałagan.

– Słabo się ostatnio czuję – powiedziała Małgorzata cicho.

– Słucham? – Był tak zdziwiony, że aż ściągnął okulary.

– Muszę wziąć kilka dni wolnego. Nie mamy teraz sesji, cały materiał przerobię ze studentami. Zdażę. Muszę trochę odpocząć. Popracuję nad materiałami do publikacji, nadgonię papierologię, zgódź się, proszę, żebym przez tydzień, może dwa, nie przychodziła na uczelnię. Muszę odpocząć.

Zamrugął.

– Taaak – odpowiedział z namysłem. – Cóż mogę powiedzieć. Tak.

– Dziękuję. – Rozpromieniła się. – Bardzo mi to teraz potrzebne.

– Idź i zadbaj o siebie, dziecko.

Dziecko? – pomyślała, ale nie skomentowała.

– To chyba najlepszy termin, środek semestru. Nie dzieje się nic kluczowego. – Uśmiechnęła się.

– Tak – odpowiedział, odwzajemniając uśmiech.

Małgorzata była w błędzie. To nie był najlepszy moment nawet na kilka dni wolnego. Ale Wiktor nie zamierzał jej tego

mówić. *Niech idzie – pomyślał. Sama sobie będzie winna. Co mogę poradzić na jej niedomaganie?*

Rozdział 21

MA

– Mamo, co się dzieje? Dzwoniłaś dziewiętnaście razy! Nie odebrałam bo miałam kolokwium. – Joasia była zdenerwowana. Sprawdzian nie poszedł dobrze, a matka nigdy nie wydzwaniała raz za razem.

– Joasiu, fszyyyystko w porządku. – Małgorzata przeciągnęła nienaturalnie „y”.

– Ty coś piłaś, mamo?!

– E, nic, cscóreczko – zabełkotała lekko Małgorzata. – Przepłukałam tylko usta. Dla świeżego oddechu.

– Jadę do ciebie. – Moja wnuczka natychmiast przerwała połączenie. Małgosia jeszcze przez trzy minuty perorowała do głuchego telefonu, że „wssssystko jest u niej ołkej”.

Zdażyła wypić jeszcze trochę przed przyjazdem córki. Witaa ją nazbyt uradowana.

– Nie wierzę. Własnym oczom nie wierzę. Moja matka pijana! – Joasia oglądała matkę, jakby wyrosła jej trzecia noga. – Nawet z ciotką na kolacji trzymałaś fason, jednego słowa niepoprawnie nie użyłaś, a tutaj co? W samotności? Do lustra?

– Nic się, córuuuuś, nie przejmuj. Jesssst dopsze. Każdy to pszechodzi.

– Ja nie.

– Ty? Jesteeees za młoda. – Potakującym ukłonem Małgorzata podkreśliła słuszność swoich słów.

– Powiesz mi wreszcie, co się stało?

– Co tu opowiadać. – Małgorzata machnęła ręką. Miało być lekceważąco, ale ruch dłoni przeważył ciało i moja starsza córka zawisła na poręczy fotela. Podniosła się z pijackim wdziękiem, kontynuując już z mniejszym rozmachem. – To taki banał. Zuuupełny. Tatuś ma inną, a ja jestem niepotrzebna. – Małgosia zaśmiała się pijacko.

– Ojciec? – Joanna nie była zdziwiona. Może tylko trochę. Na gwałt szukała w myślach najbardziej obraźliwych słów, by wyrazić solidarność z matką.

– Joasiu, nic się nie pszejmuj. Dla ciebie zafffsze będziemy mamusią i tatusiem. – Na „...siem” Małgorzata zwymiotowała na dywan. Joanna w pośpiechu zaciągnęła ją do łazienki.

Kwadrans później wsłuchiwała się w chrapliwe posapywanie matki, zanurzonej w sosnowej pianie i w niezebranych z powierzchni wody resztkach kolacji. Przypomniała sobie spotkanie w jacuzzi. Pomyślała, że matka, nawet pijana, tutaj jest bardziej na swoim miejscu.

Kiedy ją rozbierała, patrzyła na ciało poznaczone rozstępami, zmaltretowane rajstopami. Po raz pierwszy od dawna przyjrzała się twarzy matki. Teraz dopiero zauważyła, jak wiele zmarszczek ukrywała pod starannym makijażem.

Nic na razie nie będę mówić. Obłaskawię jakoś Artura – pomyślała. Niepotrzebne jej dodatkowe przykrości.

Rozpłakała się. Ruszyła w stronę telefonu, chciała porozmawiać z ojcem. Nakrzyczeć na niego. Wyładować złość. Zatrzymało ją pijackie westchnienie. Małgorzata zasnęła w ciepłej wodzie.

Nie mogę jej tu zostawić. Jeszcze się utopi.

Wybudziła i wyciągnęła matkę z wanny, wytarła, otuliła szlafrokiem i zaprowadziła do sypialni. Małgosia, niepodpierzana przez córkę, upadła na łóżko i spała dalej. Nogi zwisały jej poza krawędź, ręka obejmowała poduszkę. Moja wnuczka, w poczuciu kompletnej bezradności, nakryła ją kołdrą i położyła się obok. Zasnęła razem z matką. Na miejscu, na którym do niedawna spał ojciec. Co jej się śniło?

Rozdział 22

TUTAJ

– Postanowiliśmy zrobić ci siurpryzę – mówi Stanisław.

My? – Dziwię się w duchu, a Stanisław i tak przecież wie wszystko, powiem głośno czy tylko pomyślę. Trochę to jednak nie jest idealne.

– Przeskoczyłeś już na koniec alfabetu? – mówię głośno.

– Roman i ja – odpowiada na niezadane pytanie.

Siadam przy stole, rozbawiona.

W życiu się nie dogadacie! – myślę.

Już się dogadaliśmy. Obydwaj chcemy się do ciebie wprowadzić.

Nie mówi, i tak słyszę.

Trącam filiżankę, wylewam niechcący herbatę na blat. Natychmiast wysycha, bez żadnej plamy, nic. Magia tego miejsca jest dla mnie wciąż zachwycająca.

Nic nie szkodzi, że jesteś zdziwiona. Mamy czas – dodaje Stanisław.

Fakt, tego nam tu nie brak – myślę, a Stanisław kiwa głową.

Muszą być jakieś bariery, żeby nie każdy mógł słyszeć, co sobie imaginuję – myślę poruszona.

– Może i muszą – mówi głośno Stanisław. – Ale nie działają.

Nie na tych, co się tak kochają.

Tak kochają? – unoszę się bezgłośnie.

Może się nie kochamy? – podnosi zaczepnie brodę.

Siedzimy wpatrzeni w siebie, wypuszczając co rusz błyskawice z oczu i oddychając jak dwa napalone byki walczące o dominację.

– Podaj tego camemberta – mówi Stanisław, opuszczając brodę. I tak wiem, że wcale nie chce się kłócić.

– Daj to cargo. – Odbieram od niego ser zapakowany w impregnowany papier. – Może jednak ze mną coś byście uzgodnili? – Wciąż jestem zirytowana.

– To twój świat. My możemy tylko proponować.

– To cedujcie swoje pomysły na mnie. Przynajmniej w moim świecie.

– Celebrujecie już herbatkę? – pyta Roman. Wszedł bez pukania, tak po prostu, jak do siebie.

– Jestem tu zaproszony, czyż nie? – odpowiada na moją myśl.

– Casus pascudeus – odpowiadam.

– Ależ skąd! – protestują.

– A ja jeszcze przyniosłem cassatę – dodaje Roman.

– Chyba postawię cerbera w wejściu – mówię.

– Nie potrzeba. – Stanisław wzrusza ramionami. – Wystarczy, że zabronisz nam tu przychodzić.

– Ale tego nie zrobisz – dopowiada Romek.

– Skąd niby wiecie?

– A z kim będziesz dokonywać konsumpcji? – pyta Stanisław.

– I kto cię będzie wyciągał z chandry? – dodaje Romek.

Oszaleć z nimi można.

– Tak – odpowiadają zgodnie. – Jesteśmy idealnymi kompanami do szaleństwa.

– Posadzę sobie chamefity. Będę je pielęgnować i do nich mówić.

- Dyskusja przyjemniejsza, gdy dyskutant odpowiada - komentuje Romek.

Całe szczęście, że mam taki cud charakter - myślę. - Inaczej już bym was...

- No, co byś?

- Nie wiem.

- Bo to chimera tylko jakaś. Zatańczymy charlestona? - mówi Romek.

Nie wiadomo skąd rozlega się muzyka. Ja studiuje słowniki, Stanisław gotuje, Romek lepi naczynia i tańczy. Zwariować można.

- Wolałabym kuranty - mówię głośno.

Amerykańskie podskoki zmieniają się w dostojne bicie zegara.

- Takie polifoniczne - mówię ze złością.

W tle słychać dzwonek telefonu.

- Przy was pokryję się chityną - dopowiadam. - Ze złości. Żeby ochronić się przed wami. Ten wasz collage myśli i pomysłów mnie zabije.

- O, jeszcze cheddara przyniosłem - odpowiada Stanisław z uśmiechem.

Rozdział 23

MA

Ranek należał do trudnych. Bardzo się starały zachowywać naturalnie, aż do zemdlenia. Wspomnienie paliło Małgorzatę wstydem. *Przy dziecku? Tak się zachować?* Nawet ją rozumiałam. Moje dorosłe córki też były dla mnie dziećmi. Ciągłe zdarzało mi się myśleć o nich „dziewczynki”, nie mogłam mieć pretensji do Małgosi, że tak myślała o mojej wnuczce. Zresztą dla mnie także Joasia wciąż była bezradnym dzieckiem. Bo – po głębszym zastanowieniu – trudno zaprzeczyć, że faktycznie nim była.

Potem, po kilku tygodniach, Małgorzata wyrzuciła dywan. Za bardzo przypominał jej chwilę słabości, a problemem nie był wypity alkohol, tylko obserwująca matkę Joanna. Poza tym dywan śmierdział, czego nie omieszkałam jej wypominać za każdą wizytą.

Chwilowo omijały wzrokiem i słowem ślad wczorajszej słabości Małgorzaty. Poruszały tematy aktualne, czyli bezpieczne: świeże bułki i piękna pogoda. Dopiero podczas parzenia kolejnego czajnika herbaty spojrzały sobie w oczy.

- Joasiu, nie musisz iść na uczelnię?
- Dzisiaj dopiero na trzecią.

– Przepraszam cię. Ja... – Małgorzata patrzyła bezradnie.

– To chyba nie twoja wina... Nie chcę wnikać w wasze sprawy, ale porozmawiam z ojcem. Jesteście moimi rodzicami, mnie to dotyczy.

– Tak... dotyczy. – Małgorzata podniosła głowę wysoko. – Jednak musimy sami znaleźć rozwiązanie.

– Nie chcę żadnych rozwiązań! – Nieoczekiwanie dla siebie, moja wnuczka zaczęła krzyczeć. – Nie chcę! Żadnych! Rozwiązań! Nic nie ma być rozwiązane! Ma być tak samo jak zawsze. Jak dawniej. Chcę moją tatę i moją mamę, razem.

Przerwała i znów zaczęły ćwiczyć sztukę wspólnego milczenia.

– Kiedy poszłam rano po bułki, zadzwoniłam do babci Wandy – powiedziała Joasia.

Małgorzata szarpnęła głową.

– Nie powiedziałaś jej chyba?

– Oczywiście, że powiedziałam. Nie możesz teraz być sama. Ja mam dziś po południu ćwiczenia, muszę na nich być. – Nie chciała tłumaczyć matce, że wyczerpała limit nieobecności. Każda kolejna groziła niezaliczeniem semestru. – Babcia będzie tu niedługo. Może za godzinę.

– O, nie! Nie. Nie zniosę tego. – Małgorzata nerwowo pokręciła głową.

– Zniesiesz. Dzisiaj nie zostaniesz ani na chwilę sama.

– Niby dlaczego? Samobójstwa nie popełnię!

– Nie pomyślałam o tym. – Joasia popatrzyła zaniepokojona na matkę. – Samobójstwa może i nie, ale możesz potrzebować kogoś, kto się z tobą napije. Babcia przyniesie koniaczek i ciasto, i jakieś zakupy na kolację zrobi. Nie będziesz tu sama siedzieć i pić do lustra.

Nie bardzo mi to pasowało, mówiąc szczerze. Miałam w planie posiedzieć na tarasie i popatrzeć na busz, który kiedyś był ogrodem. Zaplanowałam też, że skończę cweatr, który zaczęłam

robić jeszcze zimą. Za każdym razem robiłam cweatr, nigdy sweter. I zawsze tak mówiłam. Tak nauczyłam się w czasie wojny, nie wiem skąd. Pamiętam głos, który mówił: „pani załóż jej ten cweatr”, a potem dotyk gryzącej wełny, zrobiło mi się ciepło i usnęłam na kolanach matki. Chyba matki. Sweter był na mnie za duży, brzydki, zielonoszary, bez żadnego wzoru. Nosiłam go jeszcze po wojnie, aż przetaił się zupełnie. Potem dorzuciłam go do wielkiego wora, z którego zgręplowałam kołdrę. Była ciężka i wyglądała brzydsko, ale była bardzo ciepła, jak tamten cweatr.

Myślę, że ten głos należał do mieszkającej niedaleko Niemki. Wspomnienia uleciały, cweatr pozostał.

Może dlatego lubiłam kolorowe i wzorzyste dzianiny, sama dużo robiłam. Dla siebie, dla dziewczynek – w czasach, gdy w sklepach nie dało się kupić nic, to było prawdziwe dobrodziejstwo. Chodziły ubrane kolorowo, elegancko nawet, wszystko potrafiłam wydziergać. A potem, gdy już wyrosły, pruć i robiłam coś zupełnie nowego. Stanisław okropnie tego nie lubił, służył mi za wieszak na rozwijaną włóczkę, kazałam mu trzymać wyciągnięte przed siebie ręce i owijałam na nich prutą nitkę, robiłam z niego żywy motek. Drętwiały mu ręce, narzekał, ale ulegał. A gdy zabrakło jego rąk, używałam do tego celu oparcia krzesła, sama nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłam.

Chciałam więc skończyć jak najszybciej cweatr i telefon wnuczki pokrzyżował mi plany. I zdenerwował, oczywiście.

Joasia zajęła się sprzątniem po śniadaniu, Małgorzata poszła do sypialni. Po kilkunastu minutach córka zastała ją siedzącą przed lustrem, w samej bieliźnie, bez ruchu wpatrzoną w swoje przygnębione odbicie.

– Chciałam się przebrać – powiedziała moja córka.

– To to zrób. I nie udawaj, mamó, znaku zapytania –

powiedziała wnuczka ciepło.

Małgosia wykrzywiła usta.

– Joasiu, jestem tylko znakiem przestankowym.

Dwie kobiety patrzyły na siebie z czułością.

Dlaczego dopiero drugi raz w życiu? Pierwszy raz był właściwie jednostronny. Matka patrzyła na noworodka. Czy zatem można to nazwać pierwszym razem?

Rozdział 24

JO

Gdy dostojnie wpłynęłam do przedpokoju, Joanna skupiła się na moim nakryciu głowy. Zrozumiałam to dopiero wtedy, gdy zerknęłam w lustro. Kapelusz ozdabiała konstrukcja z grubego sznura i dwóch pastelowych kwiatów. Uchodziłam, podobno, za wzór elegancji, z reguły hołdowałam zasadzie im mniej, tym lepiej. Ten kapelusz nadawał się na popołudniowy raut w letni dzień, do futra pasował dokładnie tak, jak kwiatek może pasować do kozucha. Nic mnie to chwilowo nie obchodziło.

– Gdzie matka? – Byłam dla Joasi wzorem dobrych manier. Do dziś.

Gdy moja wnuczka pokazała gestem sypialnię, wzruszyłam ramionami. – Nie będę jej w takim razie budzić.

W kuchni najpierw przygotowałam wielki dzban herbaty. Nie wiem dlaczego. Po prostu. Sprząatanie zaczęłam od zmywania, tak zajadłego, że skacowana Małgosia już po chwili stała oparta o framugę. Gdy przestałam wyżywać się na naczyniach, dostrzegłam córkę i wnuczkę.

– Herbata – rzekłam mało zachęcająco.

– Chętnie – wyszeptała Małgorzata.

Usiadły przy wypucowanym kuchennym stoliku, smutek

mieszał się z rezygnacją, wściekłość z niedowierzaniem, ja stanęłam, trzymając rękę na oparciu krzesła.

– Jak mogłaś? Jak mogłaś do tego dopuścić! – Mój okrzyk miał siłę i porywistość sztormu. Nie chciałam krzyczeć aż tak. Małgorzata i Joanna patrzyły oszołomione.

– Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś? Jak mogłaś mu pozwolić!
– kontynuowałam.

Dwie młodsze kobiety zaniemówiły.

– Miał ochotę na skok w bok, trudno – ciągnęłam. – Niech sobie poużywa, byle pod kontrolą. Ale żeby mu pozwolić to oznajmiać?! Jeszcze może chce odejść do tamtej, co? – Wzięłam się pod boki, musiałam wyglądać jak dozorczyńni z ich bloku. Kamienicy, jak poprawiała mnie zawsze moja córka. Stałam na środku niewielkiej kuchni i wypełniałam całą przestrzeń.

– Mężowie od wieków potrzebowali odmiany. – Zawiesiłam głos. – Jednak w odpowiednim momencie żony interweniowały i nie dochodziło do przekroczenia granic przyzwoitości. A ty co? Powiedz, tak uczciwie, czy ty kiedykolwiek nosiłaś pończochy?

– Co??? – Małgorzata parsknęła gorącą herbatą wprost na moją koronkową bluzkę.

– Pończochy, znasz takie słowo? – Z niesmakiem usuwałam wilgotną ścierką beżowy ślad. – Dwa kawałki lycry, cienkie i przeźrocyste. Najlepiej z szeroką koronką na górze, dobrze się wtedy trzymają.

Joasia czuła się jak widz na korcie tenisowym, zapewniłam wnuczce życiową lekcję w pigułce. Emocje fruwały jak piłka po mocnym serwie.

– Może pokroję ciasto. – Wkroczyła moja wnuczka, która nie wiedziała, jak zareagować. Zresztą, wszystkie trzy raptem okazałyśmy się nadaktywne. W ciasnej kuchni objąłyśmy się o siebie, kaleczyłyśmy dotknięciami, raniłyśmy niepatrzeniem w oczy. W końcu siedziałyśmy razem za stołem, skubiąc

z niesmakiem tłuste ciastka.

– Mamo, nie rozumiem. Próbujesz mnie obwiniać o to, że Karol ma romans? – Moja córka chyba naprawdę nie rozumiała. Albo ja byłam kiepską tłumaczką ludzkich zachowań, albo ona nie uważała. Pewnie to drugie, wolała uczyć się fizyki, niż słuchać matki.

– Romans to drobiazg – rzuciłam pragmatycznie, wprawiając tym w osłupienie i córkę, i wnuczkę. – Romanse ma każdy. Musi nawet mieć, wtedy chłop jest lepszy dla żony. Denerwuję się, że dopuściłaś do tego, że chciał z domu odejść.

– On już odszedł, mamo! Nie ma go od dwóch dni. Jak mogłam temu zapobiec? O niczym nie wiedziałam!

– No właśnie. I to dokładnie jest ta twoja wina. Żona nie może nie wiedzieć o romansach męża. Przecież to od razu widać. Facet wraca o dziwnych porach, pachnie inaczej, przebiera się częściej... Co tu tłumaczyć?

– Mamo, a co ci przyszło do głowy z tymi pończochami? – Małgorzata nie miała siły na kłótnie. Samo słuchanie moich wywodów było dla niej nieznośnym wysiłkiem.

– Ależ pytania zadajesz. Kiedy widzisz, że mąż z domu ucieka, trzeba go zatrzymać. Przytulić, koronką uwieść... Od tego właśnie są pończochy. A ty? Zawsze tylko rajstopy i rajstopy. I nawet podkolanówki kiedyś u ciebie widziałam! Pod-ko-lan-ów-ki! Tego się nie nosi. Męża na smyczy chcesz mieć – koronki muszą być. Co to za kolej rzeczy, żeby takie sprawy dorosłej kobiecie objaśniać?

– Może za późno mi to mówisz? – W głowie Małgorzaty zaczęło pulsować. Z tyłu czaszki narastał ból; pomyślała, że to nie będzie banalna migrena.

Ja też wiedziałam, że jej migrena nie będzie zwyczajna. Ani jednodniowa.

– Skąd mogłam wiedzieć, że takiej pogadanki potrzebujesz?

– Może trzeba było to powiedzieć trzydzieści trzy lata temu? – Małgorzata wstała, potrącając krzesło. Stuknęło o framugę, odłupując lakier.

– Co by to zmieniło? – Patrzyłam w ciemniejące oczy córki; sama traciłam już impet. Joasia, przez chwilę zajęta zniszczeniami dokonanymi przez krzesło, raptem włączyła się do rozmowy.

– Co było trzydzieści trzy lata temu? O czym mówicie?

Milczenie zawisło nad stołem.

– Nic, to stara sprawa. Nieważne – odpowiedziałyśmy niemal równocześnie. Obydwie równocześnie odsunęłyśmy krzesła. Zgarnęłam talerzyki i filiżanki, Małgosia stanęła przy zlewie. Pstryknęłam czajnikiem. Zrobiłyśmy świeżą herbatę. Przeniosłyśmy czyste naczynia. Małgosia usiadła, ja jeszcze krzątałam się chwilę.

– Co było nie tak z tamtymi talerzykami? Co was tak na sprzątanie? – zainteresowała się Joanna.

– Atmosfera brudna, to i sprzątać się chce. Nie pachnie tu ładnie. – Obrzuciłam wzrokiem ślady na dywanie. – Miałaś trudny wieczór, prawda? – Podeszłam wreszcie do córki. Przygarnęłam jej głowę; trwałyśmy tak, przytulone, nic nie mówiąc. Może nie wiedząc, co powiedzieć.

Joanna poczuła się intruzem. Nasza intymność, babki i matki, zawstydziała ją. Nigdy wcześniej nie widziała nas w takiej pozie.

– To opowiedz w końcu, co ten twój mąż nawywijał.

– Po prostu go nie ma.

– Co powiedział? – Cmoknęłam z dezaprobatą.

– Nic. Po prostu wyjechał – tłumaczyła Małgorzata, wpatrzona w szydełkową serwetkę.

– Jak to, nie rozmawialiście?

– O czym? Znika z domu, wyjeżdża. Często się przebiera, nie

ma dla mnie czasu. Wszystko, o czym mówiłaś, w komplecie. O czym tu rozmawiać.

– Uznałaś, że zostawił cię dla innej, chociaż ci tego nie powiedział?

– Ależ oczywiście, że zostawił. Skoro nie chciał się przyznać, nie będę się poniżać i zebrać o tłumaczenie. – Małgorzata uniosła się dumą.

– Czy ty...? – Zamilkłam, żeby nie powiedzieć za wiele.

– I jeszcze znalazłam kilka takich... – Małgorzata wstała i sięgnęła do szuflady komody. Wyciągnęła kilka żółtych samoprzylepnych karteczek: „Lunch?” – pytanie z uśmiechniętą buźką, skreślone ręką Karola. „Z Tobą zawsze” – odpowiedź ozdobiona kwiatkiem, zapisana innym kolorem tuszu.

Przeglądałam karteczki.

– I na tej podstawie twierdzisz, że twój mąż cię zdradza? – Pokręciłam głową.

– Mamo, poczytaj uważnie.

– Poczytałam. Najlepiej by było, jakbyś z nim porozmawiała.

– Jak się objawi – odpowiedziała Małgorzata z sarkazmem.

– Tak, dokładnie wtedy.

– I widziałam esemesy.

– Przeglądasz jego komórkę? – wtrąciła moja wnuczka.

– Pierwszy raz niechcący, a potem... – Małgorzata wzruszyła ramionami.

– I co tam było? – Zainteresowałam się.

– Umawianie się na godzinę wyjazdu na przykład. I Karol rzeczywiście wtedy wyjeżdżał, często na dwa dni. Z noclegiem w każdym razie. I inne takie.

Znów pokiwałam głową.

– Powinniście porozmawiać.

– Jak wróci – odpowiedziała Małgorzata.

– Kiedy wróci – poprawiłam ją.

Moja wnuczka miała dość, założyła płaszcz i wyszła. Już na ulicy postanowiła, że wieczorem zadzwoni do ciotki. Nie rozmawiała z Katarzyną prawie trzy tygodnie, tematów do rozmowy było aż nadto.

Przed zajęciami zdążyła jeszcze zahaczyć o basen. Był prawie pusty. Pływała z zapamiętaniem, zastanawiając się, co matce odbiło. Dokładnie takiego zwrotu użyła, chociaż zastanawiała się, czy wypada tak myśleć o rodzicielce.

Wyszła z basenu zmęczona, ale zadowolona. Jak zawsze, kiedy mogła porządnie popływać, nie zwracając uwagi na innych, którym zdarzało się wypłynąć na jej tor. Kiedyś boleśnie zderzyła się z jakimś chłopakiem, tylko dlatego, że po prostu przechodził w poprzek, zupełnie na nic nie zwracając uwagi. Siniaka miała przez półtora tygodnia.

Na uczelnię Joasia przyjechała przed czasem. Rozłożyła na korytarzu książki, po raz pierwszy weszła na ćwiczenia porządnie, bardzo rzetelnie przygotowana.

Gdy wróciła do domu, Grażyny jeszcze nie było. Zadzwoniła do Katarzyny. Połączenie miało fatalną jakość, a jednak słyhać było w głosie ciotki spokój zadowolonego człowieka. Wysłuchiwała Joanny w skupieniu.

– Niewiele mogę pomóc na odległość... – zaszeleściła. – Chciałabym z nią być teraz, rozmawiać, wspierać. Może przeprowadź się do niej na chwilę, chociaż na kilka dni. Niech nie będzie sama.

– Skoro w ogóle nie wiadomo, jak to jest.

– A dzwoniłaś do ojca?

– Pewnie. Nie odebrał. Odpisał mi, że nie może rozmawiać. Że zadzwoni wieczorem.

– Nie zaszkodzi, jeśli posiedzisz z matką.

– Musiałabym zostawić Grażynę samą w twoim mieszkaniu...

– Nie ufasz jej? – wtrąciła ciotka obcesowo.

– To nie to, tylko... Głupio tak jakoś...

– To poproś, żeby na kilka dni wróciła do siebie. Jeśli naprawdę się kochacie, zrobi to bez słowa.

I wtedy moja wnuczka zapytała o rzecz, która nie dawała jej spokoju.

– Ciociu, co wydarzyło się trzydzieści trzy lata temu?

– Nie rozumiem.

– Mama dzisiaj powiedziała coś takiego do babki. Że trzeba było ją pouczać trzydzieści trzy lata temu. A babka prawie nie zareagowała, chociaż zwykle strasznie się denerwuje, gdy na nią ktoś krzyczy.

– Naprawdę to powiedziała? – Ciotka nie była już wcieleniem bogini spokoju. Zatrzeszczała wraz z telefoniczną linią. – Joasiu, nie wiem, o co im chodziło, ale powinnam chyba wrócić do kraju. Co one wyprawiają? Głupoty w głowie i jednej, i drugiej. I ten twój tatuś. Też sobie znalazł czas.

– Żaden czas nie jest na to dobry – rezolutnie wtrąciła Joasia.

– Ach. – Joanna niemal widziała, jak ciotka macha ręką. – Pewnie masz rację. W każdym razie wracam.

– Ale, ciociu, po co? Przecież to nic nie zmieni. Nie pomoże. Nie...

– Joanno, musisz przeprosić Grażynę, będę potrzebowała mieszkania na co najmniej kilka dni. Może na dłużej. Na razie potraktuję wylot do Polski jako przerwę w nowym życiu. Muszę załatwić kilka spraw w firmie, jednak nie wszystko da się wcześniej przewidzieć, brakuje kilku moich podpisów na dokumentach. Nie wiem, kiedy dokładnie będę, sprawdzę loty. I zobaczymy, co dalej.

Katarzyna się rozłączyła, nie dbając o samopoczucie rozmówcy, chociaż przez tyle lat uczyła swoją młodszą córkę kindersztuby. Chyba nadaremno.

Joasia obejrzała w lustrze zmęczoną twarz. Chciała poczekać

na Grażynę, która miała tego dnia być w domu późno, ale zasnęła przed jej powrotem. Sen mnożył pytania. Dlaczego wszystkie były bez odpowiedzi?

Rozdział 25

KA

Katarzyna wzięła ze sobą tylko bagaż podręczny. Zamierzała szybko wrócić do Miłosza.

– Nie zapomnij. Nie chcę być już więcej zapomniany. Ani musieć zapominać – szeptał do niej, siedząc na krawędzi łóżka, i zatracił się w kręconych włosach. Były kasztanowe, bliskie w odcieniu włosom Joanny, z tym, że Katarzyna kolorem zakrywała siwiznę.

To akurat był spadek po mnie – wczesna siwizna, Małgosia pod tym względem wdała się w ojca. Ja osiwiałam, gdy miałam lat dwadzieścia osiem, Kasia była niewiele starsza. Z tym że za moich czasów włosy farbowało się henną lub wodą utlenioną, a moja młodsza córka korzystała z dobrodziejstw drogeryjnych półek wypełnionych dziesiątkami odcieni farb.

Dbała o to także w Indiach. Na targu Chandni Chowk do tego stopnia zaprzyjaźniła się z jednym ze sprzedawców, że zdradził jej kilka sekretów. Odtąd mieszając hennę i indygo, dodając soku z cytryny lub octu jabłkowego i regulując temperaturę, potrafiła uzyskać fascynujące efekty. Włosy miała błyszczące jak nigdy wcześniej. Przywiozła z Europy jakąś farbę, wyrzuciła ją.

– Miłku, wróć – odpowiadała, wachając jego skórę. – Tylko nie strać głowy dla żadnej Hinduski!

Odwzajemniał uśmiech, oddawał pocałunek i wszelki inny dotyk. Niewiele musieli z siebie zdjąć.

Walizkę miała lekką, zamierzała skorzystać z pozostawionej w Warszawie szafy. Wprawdzie zawartość została spakowana do wielkich kartonów, ale istniała. Indyjskie powiewne szyfony nie nadawały się do noszenia wiosną, nawet późną, w Polsce. *Wszystko jest pewnie zakurzone i zleżałe* – myślała w samolocie, kiwając smutno głową. Wzięła ze sobą tylko kosmetyki, bieliznę i dwie bluzki. Przez ramię przewiesiła płaszcz, który na lotnisku w Delhi wyglądał egzotycznie.

W samolocie Katarzyna miała dużo czasu. Nie mogła się skupić na książce. Wzięła od stewardesy gazetę. – Nic nowego. Teletubisie wciąż są gejami – podsumowała półgłosem newsy z Polski. Bała się zacząć myśleć. Po kilku godzinach popatrzyła na swoje odbicie w oknie samolotu. *Trzeba było tak nie milczeć. Zawsze zastępowałyśmy nic nieznaczącym słowem to, czego nie chcieliśmy tłumaczyć. My, kobiety. Kiedy to się zaczęło? Kiedy umarł ojciec?*

Katarzyna próbowała dowiedzieć się czegoś więcej o przodkach. Bez powodzenia. Miała do mnie żal, czasami głośno wyrażany, że w tym temacie uparcie milczałam. *Kim byli, co robili?* Na chorobie ojca, z którym Katarzyna miała słabe relacje, kończyła się jej wiedza o historii. Zawsze była matka. Ja. Sama. Katarzyna przez jakiś czas szukała wiedzy, jako zbuntowana nastolatka zadawała mi mnóstwo pytań. Przez kilka miesięcy nosiła się na czarno i miała wiecznie skrzywioną minę. Martwiłam się, że wychowam Ksantypę. Kasia była chyba pod wpływem jakiegoś chłopaka, nigdy się nie przyznała, skąd ten dziwny strój, być może jakaś krótkotrwała moda, niemniej zadawane przez nią pytania były raczej pretensją niż

prawdziwą potrzebą wiedzy. Nie czekała na odpowiedzi, właściwie tylko krzyczała, że ich nie zna.

W późniejszych latach egzaltowała się rodzinną tajemnicą. Wzruszałam tylko ramionami, gdy zaczynała, szczególnie w towarzystwie koleżanek, opowiadać niestworzone historie. Wyprowadziła się z domu w atmosferze niezgody. Nie pamiętam już, o co nam poszło, pewnie o nic. Jednak jak się wyprowadziła, tak już zostało, chociaż losy Kasi nie zawsze układały się, hm... wzorcowo. Mieszkała w jakimś dziwnym czymś, dla mnie to było jak komuna, wszyscy razem, z jedną łazienką, ale nie akademik, nie studiowała przecież. Potem założyła tę swoją firemkę, która, jak słyszałam od mojej wnuczki, nie jest wcale taka mała, jak mi się zdawało. Wiele razy Małgosia wyrzucała mi moje stanowisko wobec młodszej córki. Bardzo się starałam traktować je tak samo, a jednak młodsza potrafiła wymóc na mnie to, czego absolutnie nie udawało się starszej. Dodatkowy pieniążek na lody, potem ukradkowe wsparcie po wyprowadzce. Nawet odżywki miała bezczelniejsze. Małgorzata nie zadawała trudnych pytań, i całe szczęście. Ona oczekiwałaby odpowiedzi. Kasia zadawała ich mnóstwo, doszukując się jakichś sekretów, tajemniczych przełomów, egzaltowanych „momentów zmiany”.

Gdy podrosła, zaczęły ją bawić opowieści o duchowych przełomach. Całe szczęście, że nigdy o czymś takim jej nie opowiedziałam, dopiero miałyby używanie!

Takie rzeczy to w Harlequinach – ironizowała czasem Kasia w myślach. Chociaż... teraz właśnie przydarzył jej się taki romans. Miłosz, dzięki któremu i przez którego zamierzała porozmawiać z matką, siostrą i siostrzenicą. Z nami wszystkimi. *Kim dla niego jestem? Miłością życia* – przekonywała siebie, patrząc w lustro. *Przygodą na lato!* – podpowiadał zły duch, który miał zwyczaj nie opuszczać

Katarzyny nawet w stanach euforii. Nie słuchała go. Dzięki temu założyła pierwszy butik, spłaciła mieszkanie, rozwinęła firmę. Teraz zostawiła biznes pod opieką zaufanej przyjaciółki. Niby miała się nim zajmować Joanna, ale moja córka nie miała złudzeń. *To takie zabezpieczenie na przyszłość – usprawiedliwiała się. – Iwona dopilnuje, a potem, cóż. Pewnie odziedziczy Joanna. Kiedyś.*

W samolotowej mikroskopijnej ubikacji, w niewielkim lustrze, na jej ramieniu znów pojawił się kruk. Dziobał ją w ucho.

Obudziła się przestraszona, podskakując z cichym okrzykiem. Sąsiad na fotelu obok spojrzał zdziwiony. Znała znaczenie tego symbolu. *Kruk zwiastuje nieszczęście, śmierć.* Potem się zastanowiła. *Nie, kruk oznacza zmianę. To ptak duszy. Moja dusza się zmieni?*

Na Okęciu było pochmurno. *Trochę za szczypty – pomyślała, dopinając płaszcz. Indyjskie curry. Rozgrzewa już samo jego wspomnienie.* Nabrała odrobinę ciała i podobała się sobie. *Przywiozłam im ciepło, trochę pikantnych przypraw i prawdę. Płaszcz, prezenty i klucze od mieszkania mogę zabrać – prawdę tu zostawię.*

Jeszcze tego nie wiedziała, ale od tego momentu większość czasu miała spędzać w szpitalu. Rozglądała się po hali przylotów, coraz bardziej zirytowana brakiem kogokolwiek z rodziny. *Dlaczego nikt na mnie nie czeka?*

Rozdział 26

TUTAJ

- *Trochę to niefajne – mruczy Stanisław.*
- *Denne, do bani, do kitu – odpowiadam odruchowo.*
- *Przeszłaś już do „d”? – Dziwi się uprzejmie.*
- *Tak, studiuję już deontologię stosowaną. Wynika z niej, że niemoralne jest podsłuchiwać cudze myśli.*
- *Przyjdź do mnie, będziesz podsłuchiwać moje.*
- *I tak je słyszę.*
- *Fakt. Ale poza twoim światem nikt nie będzie słyszał twoich.*
- *Dobrze mi w moim śnie i nie będę się z niego ruszać.*
- Stanisław wzrusza ramionami.*
- *Demokratycznie zdecydowałaś zatem.*
- *Nie demoluj mi dobrego samopoczucia.*
- *Tak jak Joanna rujnuje sobie?*
- Zamilkłam. W mowie i w myślach. Bo to faktycznie denna sprawa.*
- *Tylko nie używaj słowa „dewiacja” – wtrąca Stanisław.*
- Zachnęłam się.*
- *Deranżujesz mnie. Joanna ma w sobie determinację, desperacko poszukuje szczęścia, chociaż wszystko już było. Da capo al fine. Co gorsza, prowadzi do depresji.*

– Depresję to ma chyba raczej Małgorzata – włącza się Roman.
Nie wiem, kiedy się pojawił.

– Jak was widzę tu razem, to mam ochotę uciec. Na jakąś podmiejską daczę – mówię.

– A masz taką w swoim świecie? – zainteresował się nowo przybyły.

– Jesteście jak Damon i Fintiasz.

– I wisimy nad tobą jak miecz Damoklesa?

– Nie, prowokujecie mnie do uszycia wam szat Dejaniry.

– A może tak czas na degustację? Przyniosłem daktyle – wtrąca Stanisław.

– To jednak wiedziałeś, że czas już na „d”?

– Nie bądź demagogiem, moja droga.

– Zaraz zaczniesz używać deminutywów – odparowuję zdenerwowana.

– Przestańcie. Gadacie jak dadaistyczni malarze. A tu się trzeba skupić na żywych. – To Roman. Próbuje za nami nadążyć.

– I mi się to udaje – odpowiada na moją myśl. Też mnie słyszy, niestety. – Ale co my z nimi możemy? Z tymi żywymi? Niech dewastują sobie życie na własną rękę.

Roman wygaduje głupoty, a jednak ma rację. To możliwe tylko w tym dziwnym świecie, w którym sami sobie ustalamy granice – oprócz tych, które są ustalone, oczywiście. A nie wiemy, jakie są.

– Defloracja to nie jest najgorszy moment w życiu kobiety – kontynuuje Roman.

Patrzę na niego zniesmaczona. Co to ma do rzeczy? Istotna jest dewastacja, jaka się właśnie dokonuje w Joannie.

– Nic nie poradzisz. Dezabil to jej stan upragniony w tej chwili.

– Seks tylko ci w głowie. – Wzruszam ramionami, bo Roman po prostu nic nie rozumie.

– Nic podobnego. Emocjonalny dezabil. Musi dojrzeć

dziewczyna.

– Katarzyna też? I Małgorzata?

– Katarzyna chyba wie najwięcej. A Małgorzata niekoniecznie.

Pójdziemy na dancing?

– Wyglądasz jak dandys, sam idź.

– Przestańcie – mówi w końcu Stanisław. Zjadł już pół deseru, który sam przygotował na dziś. Deser bez obiadu. To możliwe tylko tutaj.

– Jedno i drugie wygłasza płomienne diatryby, a tu trzeba tylko doglądać delikatnie, wtrącać się nie można. Wszystko wiesz, wszystko widzisz, wszystko słyszysz. Wszystko to niebezpieczne słowo.

– Lepiej urządzić Dionizje – przerywam mu wściekła.

– Lepiej po prostu wysyłać dobre myśli – odpowiada Stanisław ze stoickim spokojem.

– Wszystkie one potrzebują dotacji rozumu. Małgorzata, Katarzyna, Joanna. – Odwracam się. – Wychodzę na dwór. Odpocznę sobie od was.

Już prawie w drzwiach odwracam się do nich. Denerwują mnie coraz bardziej – uśmiechnięci machają do siebie, jakby samolot z ziemi pozdrawiali.

– Co wy, daktylografię tu uprawiacie.

– Nic, kochana, nic. Tak tylko sobie. – Szczerzą się obydwaj.

A niech z nimi. Dlaczego ich jeszcze nie wyrzuciłam? Bo sama bym się nudziła – odpowiadam sobie. Czas się położyć. Właściwie to wstać. Obudzić się. Czas byłoby trochę pożyć, nie tylko śnić.

Tutaj to nie jest takie proste.

Rozdział 27

MA

– Co się u was dzieje? – Głos Karola był nieprzyjemny. Jakby zgrzytał.

– Co się dzieje? Rzucasz mamę i jeszcze takie pytanie zadajesz? I znikasz bez śladu, tato! – Joasia skandowała w telefon.

– Co robię? Jeszcze raz powiedz. Nie rozumiem.

– Nie rozumiem, też mi coś. Gdzie jesteś?

– Na szkoleniu. W Wiśle.

– Tato, co ty opowiadasz? Mama mówi, że masz kochankę i ją porzuciłeś.

– Że co?

Moja wnuczka ostentacyjnie westchnęła.

– Co ty mówisz? – dopytywał się Karol. – Jaką kochankę?

– To ja mam wiedzieć, jaką ty masz kochankę? – Zaśmiała się.

– Też sobie żarty skuteczniezasz. – Karol się wkurzył. – Nie mogę się do matki dodzwonić, nie wiesz co u niej?

– Wiem. Uchlała się jak świnia.

– Licz się ze słowami – odpowiedział odruchowo ojciec. – Co zrobiła? – dodał po chwili.

– Upiła się. Jest przekonana, że wyprowadziłeś się z domu. Że

porzuciłeś ją dla kochanki, bez wątpienia młodszej i ładniejszej.

– Ty znowu te dowcipasy. Pytam poważnie.

– Uroczyście i z pełną powagą. Jak to zrobiłeś, że mama nie wie, gdzie jesteś?

– Aśka, ty tak... – Karol znowu zamilkł. – O szkoleniu mówiłem mamie już pół roku temu. Przyjechałem tu na cały tydzień. Ostatnio Małgosi o tym przypominałem, tak mnie słucha. – Westchnął.

– Czyli... nie masz żadnej kochanki?

– Nie wkurzaj mnie!

– To może powiedziałbyś to mamie?

– Gdyby tylko zechciała odbierać telefony. Będę musiał kończyć, zaczynają się zajęcia. Strasznie namieszałyście.

Ale jaja – pomyślała Joanna. *Jak można tak ze sobą nie rozmawiać?*

– Mamo? – powiedziała wchodząc do mieszkania rodziców. Usłyszała szelest z sypialni.

– Leżysz jeszcze? – dodała, widząc bladą Małgorzatę szczelnie przykrytą kołdrą.

– I nie mam ochoty wychodzić.

– Gdzie masz telefon?

Małgorzata wskazała ręką w okolice parapetu.

– Powinien być na ładowarce.

– Ale go nie ma. Leży na podłodze. W sumie niedaleko ładowarki... prawie wyładowany.

– Intencje miałam dobre – mruknęła leżąca.

– Jasne. Masz nieodebranych szesnaście połączeń od taty.

– Wyciszyłam telefon.

– Taaak. – Joanna westchnęła. – Może jednak dobrze byłoby porozmawiać?

– O czym niby? Szczegóły zdążymy ustalić przed rozprawą.

– Mamo, przed żadną rozprawą! Czemu nikogo nie słuchasz?

Ojciec jest na tym długim szkoleniu w Wiśle, o którym wiesz od pół roku. Nawet ja o tym słyszałam!

– To teraz? Przecież miał jechać na wiosnę? – Małgorzata się zdziwiła.

– A co teraz mamy?

Zamilkły.

– Niemniej jednak, córeczko, te esemesy... i jeszcze ten mail... one wyczerpują wszystko.

– To sobie to wyjaśnijcie. – Joanna przerwała matce. – Chwilę, jaki mail?

– Dostałam wiadomość, anonimową. Od kochanki twojego ojca. Nie ma o czym mówić.

– Chyba właśnie jest o czym mówić. Nawet bardzo dużo jest o czym mówić.

– Nie wiem, czy chcę rozmawiać z twoim ojcem.

– Oczywiście, że chcesz. I będziesz. Będziesz z nim rozmawiać, bo tak należy.

– No wiesz...

– Wiem. – Moja wnuczka znowu przerwała matce. Tyle razy jej powtarzaliśmy, że nie wypada przerywać rozmówcy. Tak często ją strofowałam. Jak widać, jednak nie zawsze starsi mają rację.

– Właśnie wiem. Normalnie ty zawsze wiesz najlepiej, co należy, dzisiaj ja. Teraz idę zrobić herbaty. Wyplącz się, mamo, z tego barłogu. Wracasz do ludzi.

Co ja wyprawiam? – zadała sobie w myślach pytanie moja starsza córka. *Chyba potrzebuję dłuższego odpoczynku.* Wstała. Zmarszczyła się. Narzuciła szlafrok. Zerknęła w lustro i się skrzywiła. *No bez przesady* – pomyślała i zawróciła. Wyjęła z szafy świeżą bluzkę i spodnie.

Poczuła skurcz w prawej ręce. *Nie. Tylko nie to. Nie przy córce. Nie mogę tak wyglądać przy córce!* Ręka jednak wykrzywiła się dalej, serce przyspieszyło. Osunęła się na tapczan, oddychała

nierówno, spazmatycznie. Z ust ciekła ślina, lewa ręka zagniała kołdrę, prawa unosiła się i opadała szybko, panicznie, bez kontroli. *Który to już raz?* – zadała sobie pytanie Małgorzata, gdy atak ustąpił. – *Nie mogę wyjść do ludzi. Następnym razem ktoś zauważy. Może studenci. Będą mnie wytykać. Będę pośmiewiskiem. Muszę to jakoś ukrócić. To niedopuszczalne. Pójdę do lekarza. Tak, pójdę do lekarza i to wyleczę. Coś z sercem. Na pewno. Inaczej nie kołatałoby tak bardzo. Pójdę do kardiologa* – myślała panicznie.

– Śniadanie gotowe. – Joanna przerwała rozmyślenia matki. – Chociaż właściwie to już lunch. Chyba ciężki dzień będzie – dodała po chwili, patrząc na matkę.

Małgosia usiadła tyłem do okna, mrużąc oczy.

– Tata twierdzi, że cię nie porzucił, nie ma kochanki i w ogóle nie wie, o co chodzi.

– Że zwariowałam? – zapytała niewinnie matka.

– Mamo, nie rozgrywaj mną. Jesteście moimi rodzicami i tak ma zostać. A teraz zjedz coś. Szybciej dojdiesz do siebie, jak w żołądku będzie coś więcej niż wczorajszy alkohol.

Małgorzata posłusznie sięgnęła po kanapkę i dziabnęła widelcem twarożek.

– Sama zrobiłaś? – zapytała córkę.

Dziewczyna kiwnęła głową, po czym zaczęła się śmiać.

– Mamo, naprawdę myślisz, że aż tak się zmieniłam? Kupiłam, idąc do ciebie. Już przyprawiony.

– Źle się czuję ostatnio – odpowiedziała Małgorzata.

Jeśli tak słuchała ojca, to niczemu się nie dziwię – pomyślała Joanna.

– Chyba muszę trochę zwolnić. Odpocząć. Może nie ze wszystkim nadążam. Staram się, nie zawsze wychodzi. – Matka spuściła głowę.

Joasia podeszła do niej, objęła ją. Pocieszać moja wnuczka

potrafiła koncertowo.

– Nie musisz być idealna.

– Nigdy nie byłam.

– Zawsze chciałaś. Już mnie wychowałaś, wyprowadziłaś na ludzi i ja też wyprowadziłam się już z domu. Możesz odpuścić.

– Nie wiem, czy potrafię.

– Zostać z tobą? – zapytała młoda kobieta.

Małgorzata pokiwała głową.

– Chociaż przez kilka dni.

– Wprowadzam się jutro – powiedziała dziewczyna. – Strzeż się! Bałaganu, brudnych szklanek w zlewie i rozrzuconych ubrań.

Małgorzata uśmiechnęła się. *Czy to naprawdę jest to, czego się boję?*

Rozdział 28

JO

Z mieszkania rodziców Joanna pobiegła na wykłady. Spieszyła się, na szczęście miała blisko. Jeden wykład, jedne ćwiczenia, basen. *Pojechałabym do schroniska, dawno nie byłam* – pomyślała, ale wróciła do domu.

Moja wnuczka kochała być dobra. Uwielbiała to uczucie zadowolenia z siebie, gdy robiła coś dla kogoś potrzebującego. Rozmawiałam z nią o tym kilka razy, z entuzjazmem opowiadała o psach, czasem starych, czasem szczeniakach, porzuconych, wdzięcznych za najmniejszy okrucieństwo – lub przeciwnie, tak skrzywdzonych, że każdą wyciągniętą rękę traktowały jak potencjalną krzywdę i atakowały. Joasia pięknie o tym opowiadała, ale nie zamierzała rezygnować ani z kina, ani z basenu, ani z niczego innego. Czynić dobro? Oczywiście. Poświęcać się? W żadnym wypadku.

Mam wrażenie, że tylko ja to w niej widziałam. Ani moja córka, ani zięć, zajęci swoimi sprawami, nie potrafili dostrzec wygodnictwa Joasi. Właściwie egoizmu. Jeśli coś robiła – czyniła to wyłącznie dla siebie, dla własnego poczucia satysfakcji, właściwie nigdy kosztem swojej wygody. Straszne to, jako babcia powinnam wnuczkę kochać bezgranicznie

i uwielbiać bezkrytycznie, tak też ją kochałam, tylko czasem wypominałam wady, być może dlatego, że nie było nikogo innego, kto mógłby to zrobić.

Zanim wróciła do domu, zapomniała o porzuconych w schronisku psach. Grażyna siedziała przed telewizorem, trzymając na kolanach tacę. Słuchając opowieści Joanny, spokojnie maczała bagietkę w oliwie, nie angażując się w rodzinne kłopoty mojej wnuczki, aż do wiadomości o wyprowadzce.

– Gdzie się przeprowadzimy? – zapytała.

– Ja na chwilę do mamy, ty do siebie...

– Do jakiego siebie? – Grażyna obcesowo przerwała Joannie. – Ja nie mam żadnego „do siebie”. Nie jestem panienką z dobrego domu, która przebiera w lokalach.

– Grażyna, tylko na chwilę, nie słuchałaś? Moja mama ma problemy. Nie unoś się.

– Nie unoś? Problemy? Zaangażowałam się, a ty mnie wyrzucasz!

– Zrozum, to przejściowe. Rodzina przysparza mi kłopotów. – Dopiero teraz moja wnuczka usiadła. Wcześniej stała nad kanapą, tak zdziwiona reakcją kochanki, że zapomniała usiąść.

– Ojciec wyjechał, matka twierdzi, że ją zostawił. Ten zaprzecza, ale go nie ma. Matka jest w rozsypce, babka głosi dziwne teorie, a ciotka wraca na kilka tygodni i potrzebuje mieszkania.

Joasia dostrzegła, że Grażyna próbuje ukryć wściekłość. Oddychała głęboko, powoli odzyskiwała nad sobą panowanie.

– Wybacz, nie chciałam – rzekła po chwili, przytulając Joasię.

– Ja... nie mogę, ot tak, wrócić do domu. Nikt tam na mnie nie czeka i nikt mnie nie chce. Ale rozumiem sytuację. Mogę zostawić kilka rzeczy?

Joanna nie odpowiedziała na uścisk, stała wyprostowana i pracowała nad uśmiechem.

– Oczywiście. Wszystko, co będziesz chciała, ciotka na pewno nie będzie protestować. Tylko spakujmy je jakoś zgrabnie.

Zadzwoił telefon. Joanna zachłysnęła się, przecież nie podawała nikomu stacjonarnego numeru. Odebrała przekonana, że to albo jakiś nieistotny znajomy ciotki (istotny by wiedział, że wyjechała), albo pomyłka. W słuchawce ledwo rozpoznała mój głos, sama go właściwie nie poznawałam.

– Joanna? Jo-an-na? – powtarzałam jej imię, jakbym nie była w stanie wymówić go poprawnie za pierwszym razem.

– Babciu, to ja. Babciu! Babciu!!!

– Jo-an-na, przyjeźdź tu. Najszybciej. Do mamy.

Przerwałam połączenie. I tak nie mogłam się wysłowić. Joasia została ze słuchawką w rękę, drugą przyłożyła do ust, nie wiadomo, w geście milczenia, czy też raczej zdziwienia. Może niedowierzania? Nigdy wcześniej nie przerwałam rozmowy telefonicznej.

Grażyna siedziała nieruchomo przed telewizorem, jednym z niewielu należących do niej przedmiotów. Zwyczajowo spełniała terapeutyczną rolę. Obserwowała Joannę z boku, w milczeniu.

Moja wnuczka wybiegła, niczego nie tłumacząc. Wybuch kochanki otworzył w niej jakiś tunel i bała się w niego wejść. Uciekła, jak robiła to zazwyczaj, gdy przestawało jej być wygodnie.

Było pochmurno, siąpił deszcz. Joanna w zdenerwowaniu biegła, bo wieczorami autobusy jeździły rzadko. To było jak bieg z przeszkodami. W ich roli – kałuże.

Otworzyłam jej drzwi i od razu palcem zamknęłam usta.

– Małgorzata śpi – wyszeptałam.

Było cicho, mrok rozpraszała tylko mała boczna lampa. Rozmawialiśmy w kuchni.

– Twoja matka widziała się dzisiaj z sąsiadką Katarzyny.

– Balang nie urządzam, nie przeszkadzam jej chyba?

– Nie, kochanie, to nie to... Po prostu pani Alina poinformowała moją córkę, że nie tylko nie mieszkasz sama, ale też nie mieszkasz z Arturem.

Patrzyłam, jak cętki wokół źrenic Joasi robiły się wyraźniejsze.

– Nie pozostawiła także matce złudzeń co do twojej relacji z... tą osobą. – Wbrew sobie nie było mi prosto o tym mówić. – Śmiała się z tego aż do wyjścia pani Aliny, a potem tak podskoczyło jej ciśnienie, że wezwałam pogotowie. Nie zabrali jej do szpitala, ale zalecili spokój i odpoczynek. Ostatnio stresów ma w nadmiarze.

Zrobiłam przerwę, jakbym potrzebowała oddechu po dłuższym biegu. A przecież tylko rozmawiałam ze swoją wnuczką. Jedyłą, ukochaną wnuczką.

– Dodatkowo dzisiaj niepokoił ją Wiktor – kontynuowałam. – To stypendium, na którym tak jej zależało, zostanie przyznane komuś innemu. Podobno ze względu na nieobecność Małgorzaty na uczelni. Wzięła kilka dni wolnego, żeby się pozbierać, właściwie nie wiem po czym. Dziekan nie uprzedził jej, że to był kluczowy moment. Miała wielką szansę na to stypendium, była faworytką. Mam wrażenie, że tam wydarzyło się coś jeszcze. Nie wiem co.

Moja wnuczka wyjęła telefon. Nie patrzyła na mnie, rozmawiając.

– Zostaję z mamą w domu, jest ciężko chora. Ciotka przyjeżdża pojutrze, mam nadzieję, że zdołasz znaleźć jakiś lokal. Rzeczy zostaw w garderobie po prawej stronie, w rogu pod oknem. Nikt ich nie będzie ruszał. Mogłabym dostać od ciebie jutro klucze? Na czas pobytu ciotki mogą być potrzebne. Tak. Dobrze. Do zobaczenia.

– Nie brzmiało jak świergot zakochanych – mruknęłam, niby do siebie, ale tak, żeby Joanna usłyszała.

– Los jest przewrotny, babciu. Właśnie dzisiaj powstała między nami dziura. I właśnie dziś Alinka musiała przyleźć do mamy.

Pokręciłam głową.

– Nie obwiniaj innych. Gdybyś powiedziała matce wcześniej, może dzisiaj by tak tego nie przeżyła. A może wyrzuciłaby cię z domu. Może zrobiłaś dobrze, bo dzięki temu miała kilka tygodni nieświadomości. Nie wiń ani siebie, ani nikogo innego. Lepiej pomyśl, jak porozmawiać z matką. Wytłumacz jej to, tak jak mnie.

Joasia dotknęła mojej ręki i nagle stała się małą dziewczynką. Miałam wrażenie, że przez skórę czuję jej bezbronność, że oczy pieką mnie tak samo jak ją, jakby kto wsypał tam piasku. Moja wnuczka. Już dorosła, nie mogę za nią załatwiać jej spraw.

Przecież ja babci niczego nie tłumaczyłam – pomyślała Joanna.

– A ona i tak wszystko zrozumiała – dodała po chwili.

Spojrzałyśmy na siebie. Babka i wnuczka. Każda inaczej. Co zobaczyłyśmy?

Rozdział 29

JO

Na głowę Joasi wjeżdżał Rudy 102. Janek głośno wołał Marusię. Joanna próbowała usadowić się koło Gustlika, ale przeszkadzał jej Szarik. Warkot gąsienic narastał, aż przeszedł w dziwne charczenie, które wypełniało pokój i ją samą.

Mama! Moja wnuczka zerwała się instynktownie. Sporo później przyszło jej do głowy, że Małgorzata próbowała ją zawołać. Teraz jednak leżała bezwładnie w korytarzu, na progu małżeńskiej sypialni. Ręką pchnęła drzwi do sypialni córki, na szczęście nie były zamknięte. Oddychała z trudem.

– Mamo, mamo. – Joanna mówiła do niej bezwiednie, jednocześnie wybierając numer pogotowia. – Mamo...

Dopiero teraz wyszłam ze swojej sypialni, nic wcześniej nie słyszałam. W jedwabnym, zapiętym krzywo na jeden guzik szlafroku pochyliłam się nad córką, nie odzywała się, nie otwierała oczu. Karetka dotarła w ciągu kilku minut. Sanitariusze zabrali Małgorzatę, nie tracąc czasu na wyjaśnienia. Joasia i ja ubierałyśmy się w pośpiechu, jednak nie zdążyłyśmy na odjazd ambulansu. Jeden z sanitariuszy przed wyjściem rzucił nazwę szpitala.

Kiedy dojechałyśmy na izbę przyjęć, pielęgniarka skierowała

nas w głąb korytarza. Tam lekarz kazał czekać. Za uchylnymi drzwiami coś się działo, nikt nie wychodził. Czas biegł.

– Pani Kościelecka? – padło pytanie, kiedy już brzęczenie jarzeniówek niemal uśpiło nas na twardych krzesłach.

– Jestem matką. Jestem córką – powiedziałyśmy równocześnie.

– Macie szczęście. A właściwie pacjentka ma szczęście. To wprawdzie wylew, udar krwotoczny, ale niezbyt rozległy i szybko udzielono pomocy, więc wstępne rokowania są dobre. Pewnie będzie chodzić, normalnie się poruszać, mówić, ale potrzeba czasu. Zresztą, z wylewem nigdy nic nie wiadomo, musimy czekać. Teraz niech panie wracają do domu. Może jutro uda się wejść do chorej, chociaż trudno to obiecać. Proszę przyjść jutro – powtórzył, patrząc na Joannę.

Lekarz odszedł.

Gdzie jesteś, mamo? – pomyślała Joasia i się rozplakała.

Przytuliłam wnuczkę.

– Będzie dobrze, zobaczysz, będzie dobrze – szeptałam jej do ucha. Nic więcej nie potrafiłam wymyślić.

– Wiem, babciu. Będzie dobrze – odpowiedziała dziewczyna, patrząc mi w oczy. – Wiem.

– To nie płacz. – Cały czas głaskałam ją po głowie, jak małą dziewczynkę.

– Płaczę, bo zdałam sobie sprawę, jak strasznie z nami krucho. Kłócę się z mamą, robię jej na złość. Denerwuję się i wyśmiewam jej poprawność. I w ogóle. – Westchnęła bezradnie.

– Bo życie takie jest. Takie w ogóle – spuentowałam.

– I dotarło do mnie, że ta mamina poprawność jest mi niezbędna. Potrzebuję mamy nie tylko do kłócenia się. Jest dla mnie – zastanowiła się – punktem odniesienia. Jak latarnia na morzu.

Zapadło milczenie przerywane burczeniem światełek. Jedna z nich właśnie zaczęła mrugać.

– Wkurzające to – powiedziała Joasia.

Kiwnęłam głową.

– Moja mama, chociaż bardzo słabo ją pamiętam, mówiła mi, że rodzic nie powinien być kapitanem statku swojego dziecka. Powinien umieć zmienić się w latarnię, żeby oświetlać swojemu dziecku drogę.

Czy to naprawdę mówiła mama? – zastanowiłam się. Raczej pewnie gdzieś to usłyszałam. Przecież nie pamiętam prawie mamy.

– Ładne. – Moja wnuczka się uśmiechnęła.

– Bezużyteczne w czasach okupacji. Ale mogę być dumna z mojej córki. Udała jej się ta trudna sztuka.

– Potrzeba było wylewu i szpitala, żeby dotarło. Za mądra chyba nie jestem – odpowiedziała Joasia.

– Bo rzeczy oczywiste najtrudniej dostrzec. Może do ojca zadzwonisz?

Sięgnęła do torby po telefon. Odblokowała ekran i spoglądała trochę bezradnie to na mnie, to na telefon.

– Nie teraz. Niech skończy spokojnie szkolenie. Jak się dowie, przyjedzie natychmiast, nie skończy tego kursu, a jakieś papiery ma na nim zrobić. Wraca za dwa dni. Też mu nie mów, proszę.

– Nie będzie miał pretensji?

– Będzie. Ale co on pomoże?

Pokiwałam głową.

– Jedźmy – powiedziałam.

Joasia wstała i podała mi rękę. Wsparłam się na niej, czułam mój wiek w każdym kroku, nawet zmarszczki mi ciążyły. Szliśmy wolno korytarzem, wnuczka, moje zmarszczki i ja.

– Jutro pójdę na basen. Na długo – powiedziała Joanna. –

Pływanie oczyszcza.

W połowie korytarza dziewczyna zatrzymała się i odwróciła. Doskonale ją rozumiałam. Joanna nic nie powiedziała, powtórzyła tylko w myślach kilkakrotnie: *Gdzie jesteś, mamo?*

Rozdział 30

TUTAJ

Nie mogę usnąć wcale. Myślę, obmyślam, jakbym edykt miała ogłosić. W efekcie mam bałagan w głowie, zupełnie jak w życiu, u Joasi i Małgosi.

Egzemplifikuję i tłumaczę, ale jak im to przekazać? Co mi po śnie, z którego nie mogę przekazać nauki? Cała ta erudycja to tylko sztuczka, gdy nie można jej wykorzystać. Egzorty mogę sobie wygłaszać do lustra.

Ego mi cierpi, jak pingwin w starożytnym Egipcie. Niby ptak, a nie ptak. Gorąco, i pewnie by czcili, gdyby tylko znali i wcześniej nie zabili.

Ech, endogeniczne egzorcyzmy.

Rozdział 31

JO

Następny dzień minął Joannie na bieganiu pomiędzy szpitalem i uczelnią. Siedziała koło matki, trzymała za rękę, zwilżała usta i opowiadała. Szeptwała o wszystkich sprawach, o których wcześniej nie miała odwagi opowiedzieć.

– Myślę, mamó, że nieprędko powiem to samo, patrząc ci w oczy. Odwaga, przynajmniej moja, jest ulotna jak mgła. Ale chociaż poćwiczę. Może mnie słyszysz.

Moja wnuczka była tak zajęta, że zapomniała o Grażynie.

„O której przyjdiesz po klucze?” – Przeczytała esemesa, którego kochanka wysłała dwie godziny wcześniej. Oddzwoniła.

– Masz refleks – przywitała ją Grażyna.

– Mam mamę w szpitalu.

– Jasne, sorry. Chciałam oddać klucze.

– Grażyna... ja... Nie rozumiesz. Ja cię nie wyrzucam. To na chwilę. Muszę teraz...

– Wiem, rozumiem. Nie przejmuj się. – Głos starszej dziewczyny zabrzmiał serdeczniej. – Myślę...

Zapadła cisza, w czasie której Joasia szybko mrugała.

– Myślę – kontynuowała starsza – że jesteśmy na trochę innym etapie. Czego innego potrzebujemy. Muszę na ciebie

poczekać.

Moja wnuczka odetchnęła.

– Tak... Daj mi się trochę wyplątać, bo wszystko się pomieszało.

– Nie wszystko, nie wszystko – odpowiedziała Grażyna. – Ale poukładaj. Czekam na ciebie. To o której będziesz po klucze?

– Za pół godziny do szpitala przyjedzie babka. Za godzinę będę w mieszkaniu.

Nie wszystko... może i nie wszystko – rozmyślała Joanna, czekając na moje przyjście.

– Wiesz, mamó – mówiła do postaci pod szpitalnym kocem – bardzo ją kocham. Nigdy nikogo jeszcze tak nie kochałam. Żaden chłopak nie robił na mnie takiego wrażenia. No wiesz, całowali, głaskali, pieścili... właściwie to miętolili. Kilka stęknąć, może udało mi się od czasu do czasu westchnąć, nic więcej. Artur kręci się koło mnie jakby ślepy był. Nic nie rozumie. Fajnie, że jest, lubię go. Ale nie ma tego czegoś... Na pewno to wiesz, mamó. Wiesz, o czym mówię. Może trochę zapomniałaś, ale wiesz. Byłaś przecież młoda, chociaż czasem trudno w to uwierzyć. – Dziewczyna zaśmiała się cicho. – Zdrowiej, mamó, bo chciałabym się z tobą pokłócić. Nudno tak gadać właściwie do siebie.

Gdy weszłam do szpitalnej sali, Joanna stała przy oknie, plecami do światła. Patrzyła na matkę. Uśmiechała się.

– Coś taka radosna? – Wesołość przy łóżku ciężko chorego uznałam za niestosowną.

– Pogadałyśmy sobie z mamą.

– Słucham? – Odstawiłam siatkę z sokiem malinowym i spojrzałam pytająco na wnuczkę.

– Pogadałyśmy. Wszystko mamie opowiedziałam, a ona mnie wysłuchiwała. W ogóle się nie spierałyśmy. Muszę teraz wyjść, babciu. – Zmieniła temat i spojrzała na zegarek. – Ale wrócę.

Pewnie za jakieś półtorej godziny.

– Na basen idziesz? – domyślałam się.

Wnuczka machnęła ręką.

– Zapomniałam o basenie. Rozmowa z mamą była bardziej oczyszczająca.

Po wyjściu ze szpitala Joasia przystanęła na ulicy. Zaczynało się robić ciepło. Bardziej odważne dziewczyny zakładały już krótkie spódniczki, niektóre nosiły je z getrami.

Podobno to bardzo seksowne. Joannie przypomniała się opinia jednego z kolegów. *Takie niby nic, a jednak zakryte.* Ruszyła ulicą w stronę mieszkania ciotki.

Grażyna czekała na nią przed włączonym telewizorem. Malowała paznokcie.

– Ty, paznokcie? – Joanna przywitała się z lekko krzywym uśmiechem.

– Dokobiecami się – odparła Grażyna.

– Zrobię herbaty. W szpitalu można się napić tylko słodkiej lury z automatu. Chcesz też?

Starsza dziewczyna kiwnęła głową.

Gdy Joanna wróciła z tacą i dwoma kubkami, Grażyna nie wyłączyła telewizora. To Joanna chwyciła pilota.

– Co ty oglądasz?

– Cokolwiek, żeby nie myśleć.

Joasia popatrzyła pytająco.

– Dzisiaj jadę do koleżanki. Nie zostanę długo, jej mąż mnie nie lubi. Uważa, że jego żona przy mnie przejawia skłonności lesbijskie, zboczony, jak to nazwał. I ma rację, bo Aneta jest lesbijką, tylko ukrytą. Wygodniej jej o tym nie myśleć. No dobra, może jest po prostu bardzo bi. – Grażyna wzruszyła ramionami. – W każdym razie jej mąż to zadufany palant.

– Trudno się dziwić, że cię nie lubi – odpowiedziała Joanna. – Nie trzeba rozumieć słów, sam ton głosu sugeruje, jak bardzo

go nie znosisz.

– Taaa... w każdym razie Aneta dzisiaj mnie przenocuje. Ale nie dłużej. Nie wiem, gdzie będę jutro.

– Grażyna, ale przecież... mieszkałaś gdzieś, zanim się do mnie sprowadziłaś.

– Ale ty jesteś dziecinna.

Joanna skuliła się, nic nie odpowiedziała.

– Moja rodzina to margines.

Straszne tak mówić o swojej rodzinie. Joasia po raz pierwszy nie chciała zrozumieć kochanki.

– Matka i ojciec piją. Ojciec więcej, matka jeszcze próbuje się ratować. Mam dwie siostry. Jedna wyprowadziła się do Krakowa, nawet nie mam jej adresu. Druga mieszka na Woli, ale jest do niej dalej niż do Nowego Jorku. Lalunia pracuje w jakiejś wielkiej firmie, zarabia górę grosza i nawet się nim dzieli. Matce przesyła co tydzień stówkę czy tam ile, ale nie żeby odwiedziła czy coś. Syn sąsiada matce przynosi. Co tydzień kopertka, wyobrażasz sobie? Kiedyś dawała co miesiąc, ale zawsze w drugim tygodniu był telefon z błaganiem: Córuś, coś jeszcze, matki nie poratujesz, no, kochana moja córeczko jedyna... – Grażyna mówiła teraz piskliwym głosem, lekko sepleniąc na c.

Joasia patrzyła bez ruchu.

– I wiesz, co moja siostrunia zrobiła? Podzieliła kwotę pięciuset złotych na cztery razy po sto dwadzieścia pięć i zmieniła numer telefonu. Nazwisko ma po mężu, udaje wielką panią, co to już z Pragą nie ma nic wspólnego.

– Ale ciągle pomaga, prawda? – odezwała się w końcu Joanna. Grażyna spojrzała ze złością.

– Ale jak coś, mnie się zawsze matka czepiała. O ojcu to nie wspomnę. Od dwóch lat jest w cugu. A matka ciągle mówi, że leczenie, że tatuś wyzdrowieje i będzie w naszym domku

wszystko jak dawniej. Tylko sama opróżnia butelkę za butelką. Jak się tam tylko pojawię, zawsze dostaję jakiś łomot. Kiedyś wybiegła na ulicę w samym biustonoszu, goniła mnie i krzyczała, że do domu rodzinnego przyszedłam ją okraść. Chciałam zabrać kilka swoich rzeczy. Tak leciała, że prawie pod samochód wpadła. Dopiero jak kierowca zahamował tuż przed nią i wyskoczył na jezdnię, to oprzytomniała trochę. I zaczęła na niego wrzeszczeć. Niezły był cyrk, swoją drogą.

– A nie trzeba im pomóc?

Wiele razy tłumaczyłam wnuczce, że nie ma sytuacji bez wyjścia. Że trzeba walczyć, nie poddawać się, że zawsze coś da się wymyślić. Skoro dawało się w czasie okupacji i potem, i w komunie, to już zawsze się da. Być może byłam w błędzie.

– Jak? Kaski dosypiesz? Żeby więcej na picie było?

– Nie, jakoś... inaczej. Pieniądze nie są rozwiązaniem. Chyba... – Joanna się zawiesiła. – Pomoc społeczna? Odwyk? Leczenie? Twoja mama pracuje gdzieś?

– Ty z księżycą jesteś. Pomoc społeczna to jest u nich regularnie. Straż miejska też. Z każdej pracy matkę wyrzucili. Najdłużej pracowała trzy miesiące, w szwalni. Lubi szyć, to się pilnowała. Ale nie upilnowała.

– Grażyna, ale ja...

– Wiem, nic nie możesz. Nie jesteś u siebie. – Westchnęła. – Spakowałam wszystkie rzeczy, stoją tutaj. – Ruszyła do garderoby. Wskazała dwa plastikowe worki. – Nie ma tego za dużo – powiedziała z sarkazmem. – Pójdę już, bo mąż Anety twierdzi, że wcześniej chodzi spać, chociaż światło to u niego się świeci jeszcze i o północy.

– Grażyna...

– Daj spokój, pójdę już. Odezwij się.

Kurwa mać! – zaklęła w duchu, gdy wyszła na ulicę. – *Taki dobry był ten układ, a teraz masz babo placek. Co ja zrobię*

jutro? W sumie nawet fajna ta mała. Nie tam, żeby jakaś super, ale obiecująca. Trochę za bardzo się rozkleja, że to miłość i inne takie. Nie ma innych takich. Kochanie w bajkach jest. W życiu są układy. Ona mi mieszkanie, ja jej trochę przyjemności. Uczę ją, uczyłam. Zimna ta laska okropnie była, a teraz trochę już wie. Nogi sama w końcu rozłoży, nie będzie leżeć jak jaka kłoda. Tylko co ja dzisiaj zrobię?

W rzeczywistości Grażyna nie miała nic złego na myśli. To był jej sposób okazywania uczuć, takich, jakie miała. Ani nie mogłam, ani nie chciałam tego tłumaczyć wnuczce. Miałam dobre usprawiedliwienie – byłam stara. Jej rodzice, moja córka i zięć, tego usprawiedliwienia nie mieli, a też nic nie tłumaczyli. Joasia zaś zaczęła rozumieć, sama z siebie, że czasami wielka namiętność nie musi być uczuciem, a i zdarza się jednostronne zaangażowanie.

Potrzebna mi kąpiel. Moja wnuczka próbowała ogarnąć myśli po wyjściu kochanki. Odkręciła wodę i sięgnęła po malinową sól kąpielową. Zawahała się, zanim przechyliła odkręcony słój. *Przecież muszę wracać do babci i mamy. I jednak zadzwonić do ojca.* Odstawiła opakowanie, wzięła szybki prysznic i ubrała świeże ciuchy. W pośpiechu ruszyła do szpitala.

Stanęła przed bramą główną. *Jak nie teraz, to kiedy* – pomyślała i wybrała numer do Karola.

– Tato? – powiedziała, gdy usłyszała jakiś trzask. Ale to nie był ojciec. Jakieś zakłócenie tylko. Za chwilę znów odezwał się sygnał dzwonienia.

No nie, niech się nie włącza skrzynka, nie teraz!

– Halo? – Karol odebrał lekko zdyszany.

– Tato, możesz teraz rozmawiać? Powiedz, że możesz!

– Mówię, że mogę – odpowiedział zdziwiony.

– Bo brzmisz, jakbyś nie mógł.

– Wchodziłem właśnie pod prysznic, ledwo usłyszałem telefon

z pokoju. Co tam, córuś?

– Tato, mama jest w szpitalu.

– Co się stało? Mogę dziś wrócić, ale byłbym w nocy...

– Nie trzeba. – Przerwała mu. – Jest stabilnie. Mama miała wylew, ale jest już dobrze. Jutro kończysz, prawda?

– Jutro – odpowiedział nieuważnie. – Najwyżej nie skończę.

– Skończ, bo będziesz miał żal, a mamie nie pomożesz.

– Jutro jest zakończenie circa w południe. Potem biba wieczorem, ale z tego to się urwę. Tylko muszę... – Zastanawiał się głośno.

– Dasz radę być jutro wieczorem?

– Muszę koleżance zorganizować transport. Przyjechała ze mną, pewnie będzie chciała zostać... Załatwię to. Będę jutro wieczorem. Pewnie skończymy koło trzynastej, czternastej, mogę nie zjeść obiadu, będę koło piątej.

– Zjedz obiad, tato, tutaj nikt ci go nie poda. Zjedz i przyjedź.

– Tak zrobię. Powiedz o mamie.

– Leży. Wszystko wokół niej pika, ale jest dobrze. Lekarz mówi, że powinno być zupełnie dobrze. Za jakiś czas. Na szczęście szybko przyjechała karetka.

– Córuś, a co u ciebie? Jak się masz?

– Dużo by mówić. Wiesz, tato, że nie mieszkam z Arturem, prawda?

– Wiem.

Joasia pomyślała, że dobrze byłoby uporządkować swoje sprawy. Kilkakrotnie jej to mówiłam, ale dopiero monolog przy szpitalnym łóżku matki, strach przed chorobą, potem twarda postawa Grażyny spowodowały, że chciała o tym rozmawiać. Teraz.

– Mieszkam z dziewczyną.

– Z koleżanką?

– Tato, z koleżanką? – Przerwała. – Z partnerką.

Mój zięć tylko kilka sekund przetrwał informację.

– Taa... I co z tego?

– To, że sąsiadka przyszła nakablować mamie. Tego samego dnia Wiktor powiedział jej, że nie dostanie stypendium. I jeszcze mama myślała, że ty ją zostawiłeś... Ale ta sąsiadka to był gwóźdź. Czuję się winna.

Karol zastanawiał się tym razem dłużej.

– I tą winą pomożesz mamie?

– Wiesz, tato, zawsze mogłam na ciebie liczyć – powiedziała moja wnuczka po chwili.

– Nic się nie zmieniło, kochanie. Będę jutro. Piąta – szósta.

– Pa, tato.

Odwróciła się w stronę wejścia do szpitala.

Siedziałam przy córce całe popołudnie. Głowa mi w końcu opadła, cicho chrapnęłam, gdy Joanna wchodziła do sali.

– Babciu, jestem.

– To dobrze. – Westchnęłam obudzona. – Trochę jestem już zmęczona. Nie te lata już. Przydałby się wygodny fotel i papucie.

– Idź, babciu, do siebie, pobędę z mamą.

Podnosiłam się, łapiąc za krzyż.

– Okropność, takie niewygodne krzesła.

– Może po to, żeby nie przesiadywać w szpitalu. Odwiedzić i do domu, nie przeszkadzać.

– Żarty się ciebie trzymają – powiedziałam z dezaprobatą. Ale może ona miała rację? Przynajmniej trochę racji.

– Babciu, trzeba jakoś odreagować.

Machnęłam ręką.

– Nie obudziła się na razie.

– Niech mama śpi. Obudzi się i znów będzie komenderować. A tak wypocznie, obudzi się zdrowa, albo prawie zdrowa, i łatwiej jej będzie znieść to, że łóżko stoi nie w tę stronę i żaluzje są przekrzywione.

Spojrzałam w stronę okna.

– Popatrz, kochana, ja na to nie zwróciłam uwagi.

– Tresura mamy. Widzę takie nieistotne rzeczy, na szczęście nie mam potrzeby ich poprawiania. Niech sobie wiszą te żaluzje. – Joanna przyjrzała się oknu, po czym weszła za łóżko i wyprostowała metalowe listewki. – I już po kłopotcie – powiedziała wesoło.

Przekrzywiłam głowę.

– Miałaś potrzebę poprawienia.

Joasia rozłożyła ręce, po czym podeszła i cmoknęła mnie w policzek. To było miłe.

– A teraz, babciu, idź już. Odpocznij.

Byłam zmęczona. Powoli ruszyłam w stronę przeszklonych drzwi, bacznie obserwowana przez wnuczkę. Wyprostowałam swoje osiem krzyżyków, dopiero poza zasięgiem wzroku Joanny pozwoliłam sobie na wolniejszy krok i ciut przygarbione plecy. Tylko ciut. W końcu nie byłam jeszcze taka stara.

Joasia została sama. W tym dziwnym, mrocznym świecie metalicznego pikania, trzeszczących łóżek i bezsennych westchnień.

Tak było przez kilka następnych dni i nocy. W dzień Joanna chodziła na uczelnię, usiłowała nie przegapić ważnych zajęć. W nocy kładła stopy na przysuniętym krześle i pilnowała oddechu matki. Karol codziennie przed pracą odwiedzał bazar, nauczył się wybierać najświeższą marchewkę i najładniejsze brokuły. Przynosił mi siatkę albo dwie, pełną zapiaszczonych warzyw i zamówionego przeze mnie mięsa. Gotowałam papki ze świeżych jarzyn i lekkie mięsne buliony. Lekarz powiedział, że przez kilka dni chora może być tylko na kroplówce, ale byłoby lepiej, gdyby cokolwiek przetykała, „żeby odruchy nie zanikły”. Karmiłyśmy ją na zmianę, Joasia, Katarzyna i ja.

Moja wnuczka żyła jak robot. Wykłady, szpital, wykłady,

szpital. Kości bolały ją od niewygodnych krzeseł. Wiem to, przyniosłam sobie poduszkę i ciepły koc. Tylko do siedzenia, a Joanna uparła się spać koło matki. Na krzesłach! Całe noce. Dni spędzałyśmy przy szpitalnym łóżku naprzemiennie, Katarzyna i ja, czasem Kasia wyręczała Joannę w nocy. Często przychodził Karol, czasem kilka razy dziennie. Nie zostawał długo, raczej wpadał na moment. Robił zamieszanie i wracał do pracy.

Małgosia obudziła się bezgłośnie pewnej nocy. Patrzyła na śpiącą córkę, poskładaną na zestawionych krzesłach, przykrytą moim kraciastym kocem, pamiętającym pikniki na trawie przed blokiem, jeszcze przed epoką ogradzania wszystkiego – osiedli, bloków, trawników, przydomowych ogródków, do których sąsiedzi z parteru wychodzili po kilku wąskich schodkach dorobionych krzywo przez zaprzyjaźnioną ekipę murarzy za flaszkę przed robotą i dwie po. Te schodki funkcjonowały prawie trzydzieści lat. Zapach trawy z tych pikników, wspomnienie smaku oranżady dopadło Małgorzatę, gdy spoglądała na opadające strąkami kasztanowe włosy córki. Obecność Joasi była – Małgorzata szukała słowa w myślach – kojąca.

Dobrze, że tu jest – pomyślała chora. Ale jeszcze się nie przywitam. Zamknęła oczy i trwała w półmroku, pomiędzy świtem a mrugającymi jarzeniówkami, aż do mojego przybycia.

– Idź już – powiedziałam do wnuczki, wyjmując słoik z zupą.

– Zaczynam dzisiaj dopiero o czternastej. – Dziewczyna ziewnęła.

– Tym bardziej, idź, prześpij się w normalnych warunkach. Weź tylko coś do jedzenia. – Podetknęłam jej siatkę z obiadem.

Joanna ziewnęła ponownie i trąc oczy, wyszła z sali. Spoglądałam za nią przez okno. W ruchach dziewczyny widać było znużenie. Nie miałam jednak wątpliwości, że kilka godzin

snu i wizyta na basenie przywróca jej witalność.

– Ot, młodość. – Westchnęłam półgłosem.

– Pić – wyszeptała wtedy Małgorzata. Głos nie był jej posłuszny. Chrypiał, zgrzytał, charczał, jęczał i mnie uszczęśliwiał.

– Małgosiu, jesteś nareszcie. – Przyskoczyłam do łóżka córki. Chciałam unieść jej spoconą głowę, wycalować, chwycić za ramiona, uścisnąć. Przewody kroplówki powstrzymały mnie. Pogłaskałam tylko jej rękę. Były chłodne, chociaż w szpitalnej sali było bardzo ciepło.

– Daj mi pić – powtórzyła moja córka trochę wyraźniej.

– Panie doktorze! – Wybiegłam na korytarz zaraz po tym, jak Małgorzata upiła z bidonu dwa łyki, zalewając przy tym poduszkę i skraj kołdry. – Obudziła się! – Dyszałam.

– Już idę. – Lekarz po raz pierwszy, wprawdzie mizernie, ale się uśmiechnął. Potem pytałam go o ten uśmiech, odpowiedział smutno: – Widzi pani, mamy tu mało dobrych wiadomości. Może dlatego trudno nam się przyznać, jak bardzo je lubimy.

Po kilku godzinach pojawiła się Joanna. Małgorzata tuż przed jej przyjściem oznajmiła z powagą:

– Nie chcę jej znać.

Po chwili, być może pod wpływem mojego spojrzenia, poprawiła się:

– Nie jestem jeszcze gotowa.

Próbowałam wytłumaczyć to wnuczce. Z obowiązku, bo jak wytłumaczyć... takie coś.

Musiato się coś mojej córce poprzestawiać w głowie – myślałam.

Joanna nie rozumiała, a ja ją rozumiałam. Chciała się widzieć z matką. Musiała jednak zadowolić się kradzionym zza matowej tafli widokiem opatulonej postaci i wątlym głosem, który czasem dochodził przez niedomknięte drzwi.

– To twoja córka, nie odpychaj jej. Każdy popełnia błędy. Ty o swoich też nie zapominaj.

Małgosia czasami podnosiła wzrok – wtedy byłam skłonna wierzyć lekarzowi, że jej stan jest dobry. Jak to określał doktor: „medycznie lepszy, niż można to dostrzec gołym okiem”. Dlatego, być może tylko dlatego, nie zwątpiłam, że któregoś dnia przekonam córkę. Że wróci do normalności.

Pewnego dnia lekarz pogodnie powiedział:

– Chora jest już w stabilnym stanie. Zostanie przeniesiona na oddział, tam nie możecie przebywać z nią całą dobę. Czas się wyspać, miłe panie!

Tego samego wieczora spytałam wnuczkę:

– Wiem, że twoja mama była powściągliwa w słowach, ale nie uważasz, że powinna spotkać się z mężem? Był w szpitalu wiele razy, ale ani razu nie rozmawiali.

Joasia się zastanowiła.

– Chciałabym, ale obawiam się, żeby mamie się nie pogorszyło. – Zastrzegła. – Mama żywi tyle uraz... Szkoda jej zdrowia na takie złości.

Pokiwałam głową.

– Tylko skąd mamy wiedzieć, czy jej takie spotkanie zaszkodzi, czy pomoże?

– No właśnie, babciu, skąd miałybyśmy to wiedzieć?

Rozdział 32

JO

Joanna chciała poukładać swój świat. Gorliwie odwiedzała uczelnię – nie miała złudzeń, choroba matki nie mogła być usprawiedliwieniem podczas sesji. A nastawienie Małgorzaty do zmiany uczelni wbiło moją wnuczkę w ambicję.

Nie mogę dać matce satysfakcji, muszę pokazać, że jestem coś warta. Przypominała sobie wyraz dezaprobaty w oczach rodzicielki za każdym razem, gdy nachodził ją leń. Nie pomagała jej w pilnym studiowaniu bliskość Grażyny. Choć chwilowo dziewczyny nie mieszkały razem, ich relacja wydawała się wciąż pełna ciepła. Grażyna przychodziła po Joannę na uczelnię, czasami szły razem na basen. Potem zwyczajowo wspólna kolacja, którą szykowałam dla nich w mieszkaniu Karola i Małgorzaty. Karolowi też szykowałam, ale wracał do domu tak późno, że czasem już spałyśmy. Któregoś razu Joasia próbowała mi zasugerować, że Grażyna zostanie na noc, ale co za dużo, to niezdrowo, jak wiadomo. Obojętnym głosem, przynajmniej starałam się, żeby taki był, przeprosiłam gościa zaraz po kolacji.

– Wybacz, Grażyno, mamy dzisiaj kilka rodzinnych spraw do omówienia, nie chciałabym cię zatrzymywać.

O żadnych rodzinnych sprawach nie było mowy, oczywiście. Joanna po prostu uzyskała wyjaśnienie, że nie możemy przyjąć nikogo na noc. Przecież ja zajmowałam pokój gościnny! Miałabym go odstąpić Grażynie?

Joanna nawet się nie zająknęła na temat wspólnego spania. Grzeczna wnusia. Przed ślubem? Przecież ona doskonale wie, że przed ślubem się razem nie śpi. Co innego, jak dziecko w drodze... Jestem stara, i wszystko mi wolno.

Na szczęście Grażyna się nie buntowała. Wyszła i już. A co one tam robiły poza tym? Grażyna nie opowiadała się Joannie. Nie mówiła, gdzie mieszka, ale codziennie po pracy przyjeżdżała pod uczelnię lub do domu Joasi. Ja wieczory spędzałam z książką lub przed telewizorem, a Joanna z Grażyną kochały się jak najciszej w pokoju obok. W półmroku ściennej lampy dotykały się łakomie, ze złodziejskim poczuciem niestosowności. Ta bliskość dawała im orgazm, wznosiła do gwiazd, wysyłała w podróż donikąd. Soki płynęły po udach, paznokcie rysowały arabeski na skórze, wargi łapczywie chwytały powietrze. Ten seks był przygodą, podszytą niebezpieczeństwem.

Lękiem? Czy ja coś mogłabym o tym wiedzieć?

Rozdział 33

MA

Małgorzata bardzo szybko dochodziła do zdrowia. Wyglądało na to, że zostanie jej tylko niewielki tik w prawym oku. Mówiła już sprawnie i nawet stawiała pierwsze kroki. Spędzałam u córki całe dni, opowiadałam potem Joannie dokładnie tyle, ile uznawałam za stosowne.

Małgorzata, kiedy mogła już utrzymać w dłoni długopis, położyła na sztywnej kołdrze kartkę i zapisała ją znakami zapytania. Biały papier odcinał się od szarawej pościeli. Pokazała mi kartkę i powiedziała: – To ja.

Pokiwałam głową, bo i cóż mogłabym zrobić innego. – Całe mnóstwo ciebie. Dużo musisz poszukać.

– Pomóż mi, mamo.

No i tu mnie zaskoczyła. Od tylu lat nie używała słowa „mamo”, że stało się magiczne. Mówiła do mnie „Wanda”. Teraz, nagle, moja córka stała się dziewczynką, a ja, mama, miałam opowiedzieć jej bajkę. Zupełnie dorosłą bajkę.

– Co chciałabyś wiedzieć?

– Wszystko. – Małgorzata się uśmiechnęła. – Powiedz mi o tacie. Tak mało o nim wiem.

Zamyśliłam się. Westchnęłam. Co miałam jej mówić?

– Odziedziczył dom...

– Tyle wiem. Musieliście go podzielić. Ale kim był tata? Jaki był? Wiem tylko, że zmarł wkrótce po narodzinach Kasi.

– Trzy lata po urodzeniu Katarzyny. – Panicznie zbierałam myśli. – Tata był... Ale cię na wspominki wzięło. Napij się. – Przerwałam.

– Mamo!

– Innym razem, zmęczona jestem. – Wykręcałam się. – Jestem starszą panią...

– Mamo!

– Stanisław nie umarł. Został zamordowany.

Małgorzata głośno wciągnęła powietrze.

– Mamo?

– On... Kochaliśmy się, bardzo. Kiedy go poznałam, był dla mnie prawdziwą opoką. Uwielbiał mnie, kochał dom, w którym mieszkaliśmy. Trudno było mu pogodzić się z tym, że musieliśmy część budynku odsprzedać, niemal oddać, za bezcen. Strasznie wtedy wyrzekał, bardzo to przeżył. To były dziwne czasy. Stanisław uznał, że zostanie komunistą. Skoro czerwoni mogli mu zabrać dom, w świetle prawa pozbawić czegoś, co długo należało do rodziny, co jemu się należało, to chciał być po tej stronie, która miała takie dziwne prawo za sobą. I zapisał się do partii.

– Wielu ludzi tak robiło. To nic takiego – powiedziała moja córka łagodnie.

– Ale Stach się zaciętrzewił. Został prawdziwym komunistą, takim do szpiku kości. Miało się coś w kraju zmienić, naprawdę uznał, że to prawda, przynajmniej na początku. To był czas, gdy UB przekształciło się w SB, wierzył w awans społeczny, w świetlaną przyszłość.

Zamilkłam. Ciężko było o tym mówić. Tyle lat. Zakopałam te myśli głęboko, odwiedzałam cmentarz tylko od czasu do czasu.

W listopadzie, zaraz po Wszystkich Świętych, i w czerwcu, w rocznicę ślubu. Czasami w urodziny Stanisława, ale to był styczeń, bywało, że leżał śnieg, lód, ciężko mi było wychodzić z domu.

Najpierw, przez lata, nosiłam w sobie złość. Odwiedzałam inny grób, nikomu o tym nie mówiąc. Nigdy nie zabrałam tam dziewczynek. Potem, gdy już były pannami, równolegle chodziłam w dwa różne krańce cmentarza. Kupowałam dwa zestawy zniczy, dwa wieńce. Gdy dziewczynki chciały ze mną pojechać na cmentarz, jeździłyśmy na grób mojego ojca, pod Kielce. Tam życzył sobie być pochowany. Grobu matki nie było.

Gdy minęły kolejne lata, częściej bywałam u Stanisława. Rozmawiałam z nim. Wybaczałam powoli. A teraz... Rzadko wychodziłam, nawet po zakupy, cóż dopiero na cmentarz. Rozmawiałam ze Stanisławem we własnym ogrodzie. On już był wszędzie.

Córka pogłaskała mnie po rękę, potem po prostu zostawiła dłoń na dłoni. Oddałam uścisk. Na szpitalnej, szarawej koszuli jej skóra wyglądała tak młodo i świeżo. Moja była szczupła, z wystającymi stawami palców i grubymi, odznaczającymi się żyłami. Tylko paznokcie miałam eleganckie. Długie i twarde. I prawie zawsze pomalowane na koralowy, łagodny odcień czerwieni. Stach lubił ten kolor. Stach... Ręka mojej córki też była szczupła, ale z gładką skórą, w którą Joasia przez ostatnie dni wsmarowywała krem do rąk kilka razy dziennie. Moja karnacja była ciemna, spracowana, Małgosi prawie biała.

- To bolesne. To nie są dobre wspomnienia – powiedziałam.
- Ale warto, żebyśmy wiedziały? Katarzyna i ja.
- Tobie powiem, ale pod warunkiem, że nie powiesz Kasi.
- To moja siostra!
- A moja córka. Jeśli uznam to za właściwe, sama jej powiem.
- Dobrze, dobrze! – Małgosia uniosła rękę w żartobliwym

geście obrony. – Tylko nie bij.

– Obiecuj – powiedziałam poważnie.

– Obiecuję – odpowiedziała wciąż uśmiechnięta Małgorzata.

– Stanisław stał się zagorzałym komunistą, nie dopuszczał do siebie żadnych wątpliwości. Gardził jednostką i ludzkim życiem, oczywiście cudzym. Często kłóciliśmy się o to... Z czasem coraz mniej rozmawialiśmy, więcej krzyczyliśmy. Kiedy ty się urodziłaś, sytuacja polepszyła się na kilka tygodni. Czekaliśmy na ciebie długo, pięć lat, byłaś wymarzona i upragniona. Nie ma większej radości dla matki niż...

– Mamo, nie zmieniaj tematu.

Nie do wytrzymania ta moja córka. Westchnęłam głośno.

– Po kilku tygodniach było jasne, że niemowlę w domu to nie tylko radość. Miałaś kolki, szczególnie ciężkie w nocy, nie chciałaś spać, dużo płakałaś. Nie tego oczekiwał Stanisław.

Przerwałam. Małgosia patrzyła z wyczekiwaniem.

– Wtedy o depresji poporodowej nikt nie słyszał. Humory młodej matki zwyczajowo mąż leczył pasem. Nie wiem na pewno, czy to była depresja, czy po prostu zmęczenie. Ale nie chciałam tak żyć, miałam dość Stanisława i czerwonej demagogii. – Zamilkłam. W myślach znów trafiłam do mokotowskiej willi, niegdyś eleganckiej. Jakbym otwierała kolejne drzwi, a za każdymi – następne lustro. W każdym byłam coraz smutniejsza. Czasami ze śladami sprzączki na plecach. Zawsze z podkrążonymi oczami. Najpierw z dzieckiem na rękę, z czasem trzymałam dziewczynkę za rękę.

Pokrzywione wizerunki mojego życia – pomyślałam.

– Cóż, twój ojciec był prostytutką – dokończyłam wreszcie. Zazgrzytało mi to słowo w ustach. Nie pasowało do Wandy takiej, jaką chciałam być.

– Mamo, nie mów tak. W takim razie my też, wszystkie, powinnyśmy być prostytutkami.

– Małgosiu, ja byłam. Nie ma się czego wstydzić. Wychowałam się na podkieleckiej wsi, gdzie wstawalo się z kurami, niedziela była dniem prawdziwie świętym, a ścisły post zachowywaliśmy w każdy piątek. Bawiłam się kołem od wozu drabiniastego. Nie wiem, dlaczego rodzice podjęli decyzję o przeprowadzce do Warszawy. To już było w czasie wojny. Mama zaginęła w czasie powstania, tata umarł niedługo po wojnie. Podobno cała wieś spłonęła, w tym i ich gospodarstwo, ale nie wiem, czy dlatego wyjechali, czy to już było po wyjeździe. Nie zdążyłam o to zapytać. Stanisław zadbał o mnie. Dał mi dach nad głową, ubranie i ciepłą strawę. To były wtedy wartości nadzwyczaj cenne. O korzeniach mojej rodziny niewiele wiem, właściwie nic. Nie miałam kogo zapytać, a też i nie byłam ciekawa.

– Nigdy o tym nie mówiłaś. – Małgorzata przerwała w końcu ciszę, w której kroplówka wydawała głośny dźwięk, jak tykanie zegara.

– Niewiele wiem, o czym miałam opowiadać. W każdym razie Stanisław... Strasznie nie chcę o tym mówić – powiedziałam, w końcu spoglądając na córkę.

Ona jednak milczała, wciąż patrząc wyczekująco.

– Był urzędnikiem, oficerem SB – kontynuowałam, zmuszona spojrzeniem córki. – To dzisiaj wstyd, prawda? Mieliśmy w domu wszystko, nawet czarno-biały telewizor. Czasami Stanisław zapraszał sąsiadów na wspólne oglądanie, łaskawca. Przychodzili do nas ludzie i z naszego domu, i z całej prawie ulicy. Zdarzyło się raz, że zwyzywał i wygonił sąsiadów, za jakiś komentarz, za cokolwiek. Więcej nie przyszli. Potem spluwali za nim, mnie jeszcze wtedy współczuli. Wychodziłam z tobą na spacer, nawet dzień dobry mi mówili. Wiesz, jakie to było dla mnie istotne? Byłam sama. Stanisław nie pozwalał mi na koleżanki. Stał się chodzącą propagandą, nawet nie wiem kiedy. Tłumaczył, że reakcyoniści tylko czekają, żeby ze mnie

wyssać tajne informacje o jego pracy. Taki czuł się ważny.

Przerwałam. Ciężko było mówić. Spojrzałam w okno, jakbym patrzyła w słońce. Joasia rano podniosła żaluzje, nic nie przeszkadzało światłu rozweselać smutnego pomieszczenia. Tylko ta rozmowa...

– Był podłym i bezlitosnym szczurem – ciągnęłam. – A może obrażam szczury. Byłam tak samotna, że zaczęłam chodzić na kursy, były wtedy bardzo popularne. Wybrałam krawiecki i makramy. Ty byłaś zawsze ze mną, nie miałam cię z kim zostawić. Gaworzyłaś tak słodko... To wszystko trwało kilka miesięcy, prędko się działo. Stanisław zmieniał się tak szybko... Strasznie szybko.

Spojrzałam na Małgorzatę. W jej oczach widziałam, że mnie nie poznaje. Że jest ciekawa i boi się usłyszeć dalszy ciąg. Wydawałam się sobie gadatliwa, ona słuchała mojej historii, wiedząc, że jest jej własna. *Z tych słów ułożę później odpowiedzi. W nich jestem ja, będę musiała się tylko odnaleźć* – myślała moja córka. Mówiłam dalej.

– Stanisław z trudem godził się na moje kursy. Po prawdzie to ich nie akceptował. Oczekiwał błyszczącego mieszkania, obiadu na stole i posłuszeństwa. Czasami zapraszał znajomych, wtedy musiałam przygotować wystawny stół i zawsze było dużo alkoholu. Już wtedy pił codziennie. Wracał do domu, sprawdzał palcem kurz pod szafami, obiad, wódka, spać. Taki rytuał. Kiedy zasypiał w fotelu, podgłasniałam telewizor i zaczynałam żyć. Zabierałam cię do drugiego pokoju, bawiłyśmy się na dywanie. Kiedy minęły kolki, stałaś się pogodnym dzieckiem. Ze wszystkiego chichotałaś. Uwielbiałaś się bawić w wodzie. Ja śmiałam się razem z tobą. Kapałam cię, zasypiałaś szybko i spałaś do rana bez przebudzeń. Zaraz po twoim zaśnięciu wychodziłam z domu. Po sąsiedzku. Instruktorka makramy miała brata.

Co ja opowiadam własnej córce! Małgorzata zrobiła wielkie oczy.

– Mamo, żartujesz!

– Ani trochę. – Wrócił mi nawyk z młodości, przygryzłam górną wargę, wbrew sugestii Małgorzaty nie byłam rozbawiona.

– Ani odrobinę, kochanie. To było bardzo gorące, niedozwolone uczucie. Kryliśmy się ze spotkaniami w krzakach w parku naprzeciwko, trochę u niego w domu. Nie byłam tam akceptowana. To była katolicka rodzina, słuchali Wolnej Europy i marzyli o innym świecie. A ja byłam żoną, i to komunisty.

Sięgnęłam po butelkę z wodą.

– Muszę wyjść do toalety.

Małgorzata została w szpitalnej sali sama. Chwilowo szpital miał wolne łóżka, a ona miała szczęście i salę tylko dla siebie.

Ciekawe, co się stało. Ojciec się dowiedział? Dostał zawału? Nie, to oficjalna, stara wersja. Przecież mama powiedziała dzisiaj, że został zamordowany. Bo przecież zmarł zaraz po narodzinach Kaśki. Nie, nie, zaraz, trzy lata po nich... no tak, to by się zgadzało. Zaraz... po narodzinach... czy to o tym mama mówiła? Kaśka?

Rozdział 34

TUTAJ

– Zmieniasz się w fakira? – Postanawiam jednak wyjść ze swojego świata i odwiedzić Stanisława. Zastaję go siedzącego na gumowej macie z miękkimi wypustkami.

– Facecje się ciebie trzymają – odpowiada. – Po prostu lepiej się czuję, gdy tak sobie trochę posiedzę.

– Nie wyglądasz na zmęczonego. Wyginasz się jak połączenie felsumy i sznura do bielizny.

– Myślę, że słowo „wąż” byłoby znacznie trafniejsze – odparowuje. – Felsuma to duża jaszczurka, gekon właściwie...

– Ale wąż nie jest na „f” – odpowiadam falsetem, bo jestem już nieźle wkurzona.

– Co się fkurzasz? – mówi spokojnie, czym jeszcze bardziej mnie denerwuje. Szczególnie tym f.

– Przyszłam do ciebie, ponieważ chciałam przedsięwziąć jakieś kroki. Fascynacja Joasi jest głupia. Ona sobie buduje jakąś fasadę, za którą nie potrafi siebie odnaleźć – mówię, siadając w fotelu.

– Farmazony pleciesz – odpowiada Stanisław.

Odkąd on taki mądry?

– Odkąd ty zaczęłaś czytać słownik. Razem z tobą się tego

uczę, nie pamiętasz?

No faktycznie, pamiętam.

– A nie mógłbyś się ze mną nie uczyć?

– A będziesz wtedy chciała ze mną rozmawiać?

Chciałabym powiedzieć, że zawsze, ale to przecież fałsz i fikcja.

– Fajnie tu u ciebie – mówię zamiast tego.

Stanisławowi fizjonomia kraśniej.

– Gdybyś jeszcze tylko był zwyczajnie miłszy.

– Jak felsema? – pyta zaczepnie, odwracając głowę w bok, zabawnie, jak jaszczurka.

– Nie, wystarczyłoby jak faż – odpowiadam. – Nie popadaj we frustrację – dodaję pocieszycielsko, widząc jego minę. – Fystarczy, że przestaniesz tak frymarczyć dobrym fumorem i zaraz fędzie lepiej.

– Chyba przesadzasz ciut – mówi Stanisław ostrożnie.

– Fyba może i fak. Fto fo fie?

Rozdział 35

WA

Gdy wróciłam do córki, odmówiłam dalszej opowieści. Wspomnienia miały wagę czterdziestu lat i ciężar całego mojego życia. Nie zastanawiałam się nad tym od dawna. Wychowałam dziewczynki najlepiej, jak umiałam. Czasem nie umiałam, ale nie zamierzam tego przyznawać. Rozważania o winie nikomu i w niczym nie pomogą. Po co w ogóle do tego wracam? Po co opowiadam? Może po to, żeby ta wiedza nie zginęła razem ze mną. Mam już tyle lat... Odchodzenie jest częścią życia. Żeby ta historia nie zniknęła tak, jak wiedza o mojej mamie i ojcu właściwie też. Ciekawe, dałoby się jakoś odkryć ich losy? Nazwisko panięskie matki? Miejsce po spalonym gospodarstwie? Jak nazywała się ta wieś? Nic nie pamiętam.

– Innym razem, córeczko. Może jutro – powiedziałam teraz.

W pierwszej chwili nie zwróciłyśmy uwagi na nowe słowo, nowe stare. „Córeczko”, tak jak „mamo”. Nie wypowiedziałyśmy ich przez lata, nie myślałyśmy nimi. A tymczasem te niewielkie, niemal zapomniane w naszej rodzinie słowa, niezauważone zagnieżdżały się znów i z czasem miały się przerodzić w budującą siłę. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałyśmy.

– Mamo, czy Kasia... Czy ona jest moją przyrodnią siostrą?

Zatrzymałam się w drzwiach. Zwlekałam z odpowiedzią. Co nam prawda przyniesie? Warto ją wywlekać?

– Skąd...? Ale... – Wahałam się. Taki trudny wybór. Nie, tak, kiedy indziej. Nie chciałam powiedzieć nieprawdy. Wróciłam do łóżka córki.

– Tak. – Spuściłam głowę, takie krótkie słowo, a tyle kosztuje. Małgorzata wzięła głęboki oddech. – Tak, córeczko, tak. I tego, bardzo cię proszę, nie mów Katarzynie. To powinnam ja.

Usiadłam, a Małgosia przytuliła mnie, chociaż ciężko jej było unosić ręce. Łzy ciekły mi bezgłośnie z oczu okolonych siatką zmarszczek, o których starałam się myśleć, że mają w sobie urok mądrości. Że są wynikiem uśmiechu, z jakim patrzyłam na dorastanie moich córek. Ale tak nie było. Moje zmarszczki to poczucie winy, zakłete w grymas wokół oczu. Pomyślałam, że potrzebuję rozgrzeszenia za wieloletnie milczenie, ale Małgorzata nie jest tą, która może mi go udzielić.

– Gosiu, proszę, Kasia nie wie. Nie mów jej.

– Jeśli nie chcesz.

– Ja jej to powiem, ale muszę zebrać siły.

– Kto jest jej ojcem?

– Brat instruktorki makramy. Miał na imię Roman.

– Co z nim, gdzie teraz jest? Może go poszukać? Dzisiaj łatwo znaleźć człowieka, internet to potęga, mamó, i możemy...

– Roman nie żyje. – Przerwałam Małgosi. – Nie będziemy szukać ani jego, ani jego rodziny. – Nie płakałam już, ale wciąż drżały mi wargi. Wróciły do mnie krzyki i oplute drzwi, a także gówna, które sprzątałam z wycieraczki. – Stanisław dowiedział się o moim romansie, zanim zorientowałam się, że jestem w ciąży. Pewnego wieczoru przyjechał po Romana samochód, wiem, że Stanisław szepnął słówko komu trzeba. Sam pozornie nie interesował się Romanem. Nigdy nie zobaczyłam już ojca Kasi. Był młodym chłopakiem, ale okazało się, że miał słabe

serce. Nikt o tym wcześniej nie wiedział, może to było słabe serce, może nie. Nabawił się w więzieniu zapalenia płuc, nie leczono go, potem jakieś komplikacje i podobno zmarł na serce. Nie miałam jak się tego dowiedzieć. Chciałam wyć, musiałam się uśmiechać.

Podparłam głowę i mówiłam dalej, wszystko. Wbrew temu, co uważałam przez tyle lat. Że dzieci nie powinny dźwigać win rodziców.

– Sąsiedzi odkręcali kółka od dziecięcego wózka. Już chodziłaś, ale lubiłaś spacerówkę. Mogłyśmy wtedy chodzić na długie wycieczki, siadałaś do wózka, gdy się zmęczyłaś. Kiedyś wywrócił się razem z tobą, płakałam i ja, i ty. Byłaś taka malutka. Wtedy usłyszałam spod krzaków, zza ogrodzenia, szept: „Roman krzyczał głośniej, ty głupia suko”. Rozeszła się wieść, że Romka pobili na śmierć. To chyba nie była prawda... Nie wiem. Nie wierzę, że Stanisław mógł mieć w tym udział. Błądził, trochę zgłupiał, ale nie był złym człowiekiem. Nikomu o tym nie powiedziałam. Zresztą, niby komu? Stachowi? Bałam się wejść do sklepu, tam sprzedawczyni podawała mi kawałek zepsutego mięsa, nie wydawała reszty. Kiedyś zaprotestowałam, usłyszałam wtedy: „A co, doniesiesz na mnie? Mnie też zakatują?”. Regularnie musiałam wzywać ślusarza – zatykano nam zamek w drzwiach. A kiedy ciąża stała się widoczna, sączyło się za mną wszędzie: dziwka, kurwa, ladacznica... Stanisław pił coraz więcej, nigdy nie zapytał, czyje to dziecko. Potem przestało to mieć znaczenie. Brat Romana, młodszy od niego, w końcu dorósł. Wziął sprawiedliwość w swoje ręce i któregoś świtu znaleziono Stanisława wiszącego na drzewie przy bocznej drodze. Kasia miała dwa i pół roku, prawie trzy. To nie był koniec, SB znalazło winnych. Zabrali całą rodzinę Romana. W końcu to było morderstwo na oficerze. Raz byłam u matki Romana w więzieniu. Nie chciała rozmawiać. Milczała,

kiedy mówiłam. A ja... ja się spowiadałam. Tylko na koniec powiedziała: „Gdybym miała taką moc, tobie dałabym rozgrzeszenie, a moim synom przywróciła życie. Wychowaj dobrze moją wnuczkę”. Więcej nie pozwolono mi jej zobaczyć. Trzy miesiące później cała rodzina wyjechała. Zmienili nazwisko, obywatelstwo. Albo tak mi powiedziano. Mogę mieć tylko nadzieję, że ułożyli sobie życie gdzieś na wolności.

Późno w nocy Małgorzata rozmyślała. *Opowieść mamy miała mi wiele wyjaśnić i uporządkować. Tymczasem mam coraz więcej pytań. Rysowała pytajniki na kolejnych kartkach, do końca notatnika. Pytania mam. Gdzie są odpowiedzi?*

Rozdział 36

JO

Tego wieczora nie przygotowałam kolacji dla Joasi i Grażyny. Dziewczyny siedziały w salonie, przytulone oglądały popularny program.

– Aśka? – Grażyna próbowała odwrócić uwagę Joanny od telewizora.

– Yhmm? – Wnuczka gryzła marchewkę. Pochłonięta ekologiczną audycją, nawet nie spojrzała na Grażynę.

– Aśka! – powtórzyła Grażyna natarczywie.

– Jestem, jestem – zamamrotała moja wnuczka. Siedziałam w swoim pokoju, nie miałam ochoty nikogo widzieć. Przed chwilą przyniosłam sobie z kuchni herbaty, nie domknęłam drzwi. Wszystko słyszałam, chociaż wydawało mi się, że nie będzie czego słuchać.

– Musimy porozmawiać.

– Rozmawiamy. – Joanna ziewnęła i znów skupiła się na telewizorze.

– Nie. – Grażyna pstryknęła pilotem, zapadła cisza. – Musimy poważnie porozmawiać.

Brwi Joanny uniosły się; czekała.

– Ja... chcę z tobą być tak oficjalnie, naprawdę.

– Co to znaczy? Nie jesteśmy naprawdę?

– Chcę cię trzymać za rękę na ulicy i wszystkim dookoła oznajmiać – to jest moja dziewczyna, z nią żyję. Ją kocham. Ciebie kocham.

Joanna odłożyła marchewkę na niewielki talerzyk stojący na oparciu kanapy.

– Grażyna, moja rodzina wie. Matka nie chce mnie widzieć. Ojciec przyjął do wiadomości, chociaż zachowuje dystans, sama zresztą widzisz. Ciotka mało się angażuje, ma swoje sprawy, chce wracać do Indii. Babka wie, niby akceptuje, ale nie potrafi przełamać uprzedzeń. Co jeszcze mamy zrobić? Ślubów lesbijskich w naszym kraju nie ma.

– Wynajmijmy razem mieszkanie.

– A za co? Kiedy ciotka wyjedzie, będziemy mogły u niej mieszkać. To tylko kilka tygodni. My mamy mieszkanie.

– Ale nie możemy w nim mieszkać.

– Chwilowo.

– A twoja uczelnia? Ten, jak mu tam, Artur?

– Czego od niego chcesz? Co zawinił?

– Kręci się wokół ciebie. Wychodzicie razem. Spędzacie razem czas na uczelni. Nikt na uczelni nie wie, że jesteś zajęta. Z dziewczyną.

– Grażyna, jak ktoś jest hetero, nie nosi nad sobą transparentu. Dlaczego homo mają to robić? To ksenofobia i szowinizm. Dlaczego miałabym temu ulegać? Nie chcę określać żadnej orientacji. Tak samo jak nie jestem skłonna przyznawać, że uprawiam seks trzy razy w tygodniu albo że najbardziej lubię od tyłu. To intymne sprawy. Nie zamierzam głośno o nich mówić.

– Ty się mnie po prostu wstydzisz, co? – Grażyna zmrużyła oczy, aż zostały tylko ciemne szparki. Twarz zastygła w maskę.

Jak średniowieczna maskara – pomyślała Joasia.

– Po prostu się wstydzisz! – kontynuowała Grażyna. – Chodzi o to, że nie mam wykształcenia, tak? Że nie mam ustawionych na złotodajnych posadkach starych?

– Grażyna! – Joasia bez skutku próbowała coś wtrącić.

– Otóż nie, moja droga! Tak to nie będzie! Albo jesteś ze mną, oficjalnie, albo poszukaj sobie innego termofora! – Grażyna wykrzykiwała coraz więcej słów na minutę. W końcu wyszłam ze swojego pokoju, w szlafroku, czego robić nie lubiłam, i wycedziłam:

– Dziewczynki, nie zachowujecie się zbyt głośno? Jest dosyć późno, może czas już na odpoczynek?

– Właśnie – dokończyła Grażyna już w przedpokoju. Od trzaśnięcia drzwiami zadrżała szybka w łazienkowych drzwiach. Bez słowa wróciłam do swojego pokoju.

Co tu miałam mówić? Dość miałam własnych rozmyślań. Potrzebna mi jeszcze kłótnia dwóch dziewczyn, z których jedna chce, a druga jeszcze nie wie, czego chce.

Śmieszyła mnie czasami moja wnuczka. Zadeklarowana lesbijka, też mi coś. Ona nigdy nie przechodziła prawdziwego, porządnego buntu. Zawsze układna i grzeczna, prawie jak Małgorzata. W końcu wyrwała się na wolność i szuka. Krzywdy, póki co, nikomu nie robi, niech przepatrzy swoje życie, niech znajduje. Chociaż właściwie... ten Artur to chyba w niej rzeczywiście zakochany. Sama musi zdecydować. To jednak nie jest powód, żeby mnie wyrwać w szlafroku z pokoju.

Joanna siedziała w ciemnym salonie. Z kuchni dochodził irytujący odgłos kapiącego kranu. Tak samo jak Małgosia w szpitalu i jak ja w pokoju obok – rozmyślała. Każda z nas zadawała sobie pytania, trochę tylko różne. Co najmniej jedna kwestia pozostawała wspólna: *Dlaczego, do cholery, życie jest takie skomplikowane?*

Rozdział 37

KA

Katarzyna nie denerwowała się na lotnisku. Nie podała dokładnej godziny przylotu, jak to moja młodsza, zawsze beztroska córka. Po cichu liczyła jednak na to, że Joanna to sprawdzi, bezpośrednich przylotów z Delhi nie było wiele. Westchnęła, wychodząc z terminala. Kolejka taksówek, korciło ją, żeby wsiąść do pierwszej lepszej. Kilku naganiaczy oferowało swoje usługi. Kręcąc głową, sięgnęła po telefon. *Niech to* – pomyślała. W Delhi zmieniła operatora, jej polski telefon nie działał. Stała w kolejce. *Beznadzieja*. Zrezygnowana, patrzyła na sznur zmęczonych pasażerów. Ze zdumieniem obserwowała faceta, który z telefonem w ręku zarządzał ruchem. Równocześnie podjechało osiem taksówek, zrobił się mały korek, dźwiganie bagaży, otwieranie bagażników, trzaskanie drzwiami. Przed nią został tylko jeden facet z niewielką walizką. Po kolejnych dwóch minutach siedziała już w samochodzie. Czysto, miła muzyka.

– Jedziemy po liczniku? – Upewniła się.

– Pani! – Facet z sumiastym wąsem roześmiał się jowialnie. – Mafia się skończyła. Kiedyś to się dawało zarobić. – Westchnął z rozrzewnieniem. – Nie na takich jak pani, rozumie się.

Przyjeżdżali tacy, co to walutą z daleka śmierdzieli, słowa w ludzkim języku nie potrafili, to się ich cesało. To se ne wrati.
– Westchnął.

Samochód czysty, w ślicznym kremowym kolorze, tapicerka pachnąca, a kierowca porośnięty mchem – pomyślała Katarzyna.

– Wie pan, dawno nie jechałam taksówką – odpowiedziała – to i nie znam się na tych sprawach.

Taksówkarz zagadywał ją jeszcze opowieściami, których nie słuchała, potakując tylko od czasu do czasu.

Dobrze, że wzięłam klucze – pomyślała, wysiadając pod swoim blokiem. Wjechała rozklekotaną windą. *Jak tu brudno.* Rozglądnęła się po korytarzu.

Alina wyjrzała zza drzwi.

– Pani? – Sąsiadka się zdziwiła. – Dawno pani nie było.

– A dawno, dawno – odpowiedziała Katarzyna, ledwo kryjąc niechęć.

Jeszcze dobrze do domu nie weszłam, już mnie ta plotkara wita – pomyślała.

– Bo te dziewczyniska, co tu mieszkały, to straszna sodoma. Pani wie, że one tu razem mieszkały? I co to tu odchodziło!

– Co odchodziło? – Katarzyna się zainteresowała.

– No... śmiechy takie, wie pani. Po nocach.

– Towarzystwo sprowadzały? – Nowo przybyła drażyła, śmiejąc się w duchu.

– A skąd, pani. Gorzej! One razem... No, wie pani... – Alina się zaczerwieniła.

– E, wie pani, młode to, to i powygłupiać się musi. – Katarzyna machnęła ręką, przestępując próg mieszkania. – Do zobaczenia później – powiedziała na wszelki wypadek, żeby pani Alina nie wpadła na sąsiedzka pogawędkę.

Właściwie nigdy nie wpadała – pomyślała Katarzyna.

Dlaczego teraz by miała? Bo widać, że Alinka ma ochotę pogadać – odpowiedziała sama sobie.

Przywykłam już chyba do tego, że ludzie ze sobą rozmawiają. O wszystkim. O dobrym i jeszcze lepszym. Mówią o bolączkach i marzeniach. Może tak jest w ciepłym klimacie, łatwiej się otworzyć. Drobną różnicą w zestawieniu z naszym zawistnym plotkarstwem – pomyślała. Rozejrzała się po mieszkaniu. Czysto. Może gdzieś trochę kurzu. Zmian wielkich nie widać... Firanka tylko wisi zamiast koralii. Pościeli dziewczyny nowej nie dały, dobrze, że starą zdjęły. – Uchyliła okno. – Zaduch paskudny. I zimno. Okropność. Jak można żyć w takim klimacie?

Rozpakowała torbę, właściwie kosmetyki, dwie paczki herbaty i trochę przypraw. Spódnica dla Joanny, bluzka dla Małgorzaty, szal dla mamy – wyliczała w myślach. Niewielki flakon z wodą kolońską, wyrobem rzemieślnika z Delhi, dla Karola. Usiadła w fotelu. Wstała, wstawiła czajnik, poczekała chwilę. Zalała wrzątkiem przywiezione liście.

Spoglądała za okno. Wiosna. Taka piękna pora roku. Piękna dla każdego, kto musi znosić miesiące szarego, brudnego śniegu, blokującego przejazd w bramach. Kto musi nosić wielkie czapy i ciężkie płaszcze. Dla każdego, kto albo ślizga się w kozaczkach na obcasie, albo cierpi katusze na płaskim. Dla kogoś, kto widzi słońce, czuje cały czas zapach świeżej ziemi, piasku, kurzu. Powietrza wibrującego słońcem, przypraw, czosnku, curry i wszystkiego intensywnego. Zima w Polsce jest tak nudna, że niepotrzebna. I wiosna nie robi wrażenia. Co z tego, że pąki. Co z tego, że zielono. Tam jest cały czas zielono, a kwiaty mają kielichy wielkości dwóch dłoni. I tam jest Miłosz. Po co mi polska wiosna?

Zeszła do pobliskiego kiosku.

– Dawno pani nie było – powiedział chłopak, podnosząc wzrok

znad książki.

– Wyjeżdżałam – odpowiedziała z uśmiechem.

Może jednak jestem u siebie? – zastanowiła się. *Pamiętaję mnie. Witają. Tak jest w domu.*

– Chciałabym telefon. Taki na kartę.

Kiwnął głową.

– Ale będzie pani musiała zarejestrować.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Przepisy takie.

– Na tydzień wystarczy?

– Na tydzień spoko.

– Pomoże mi pan włożyć do telefonu? Jakoś nie bardzo...

Chłopak chwycił komórkę, kartę i sprawnie uruchomił urządzenie. Uśmiechnął się znów, oddając je Katarzynie.

– Ładna ta wiosna – powiedziała do niego.

Znów wzruszył ramionami.

– Co tam wiosna. Na wakacje czekam.

No i masz. Ja tu próbuję patriotycznie, a ten mi o lecie – pomyślała. Indie to jednak dobry pomysł. Odrzuciła myśl o spacerze. Może jutro. Jak ciut odpocznę – pomyślała.

Próbowała się dodzwonić do Małgorzaty i do mnie. I znów – do Małgorzaty i do mnie. I jeszcze raz. Zrezygnowała po kilku próbach. *Jutro. Pomyślę o tym jutro, jak najstynniejsza literacka bohaterka.*

Następnego ranka znów próbowała dzwonić. Zostawiłam swoją komórkę gdzieś w płaszczu, zupełnie o niej zapomniałam. Małgosia zaś leżała na szpitalnym łóżku i chwilowo o niczym nie pamiętała. Moja młodsza córka jednak o tym nie wiedziała. *Co one sobie myślą!* – wyrzekała. W końcu, zdenerwowana, wybrała numer Karola. *Pogadam z niewiernym mężusiem – pomyślała wbrew siostrzanej lojalności.*

Odezwał się poważnym głosem, w którym nie słyhać było Karola. Wiecznie uśmiechniętego faceta, który kiedyś cieszył się z narodzin dziecka, bo mógł się z nim bawić klockami. Teraz zabrzmiał pan w średnim wieku, który już przedstawiając się, mówił rozmówcy: nudzisz mnie.

Katarzyna lubiła Karola za to, jaki był, a nie za to, że ożenił się z jej siostrą. Obawiała się jednak furii Małgorzaty. Powiedziała ostrożnie:

– Witaj, Karolu. To ja. – Szybko uzupełniła: – Katarzyna.

– Kaśka, cześć! – Karol znów był sobą. – To nie wiesz, że ze mną teraz nie można gadać? Gośka twierdzi, że ją zostawiłem. A że w szpitalu nie ma jak z nią pogadać, to na razie zachowuję status wiarołomnego – powiedział niby to rozbawiony.

– Wiem, wiem, dlatego wróciłam z Indii.

– Dla mnie? No no. – Karol cmoknął. – Jestem dla szwagierki wart większych poświęceń niż dla własnej żony!

– O jakim szpitalu mówisz? – Do Katarzyny dopiero dotarła mimochodem rzucona informacja. – Nie mogę skontaktować się z Małgošką. Nie odbiera telefonów ani ona, ani Wanda, a Joasi nie chcę w to mieszać. Co się dzieje?

Karol spowaźniał.

– Może nie przez telefon. Przyjdiesz za pół godziny na kawę? Do tego baru w pobliżu mojego biura?

– Czterdzieści minut – odrzekła.

Rozłączyli się, zniecierpliwieni. Na Karola czekała sterta firmowych dokumentów, Katarzyna zaś, ciekawa nowin, nie chciała się spóźnić.

Usiedli w kącie, zasłonięci filarem, tuż przy wejściu do WC. Karol opowiedział o mailu, który wpłynął do skrzynki Małgorzaty z anonimowego konta i zatrzęsł ich światem.

– To prawda, nie jestem święty – mówił. – Różne rzeczy mi się zdarzały. Ale nigdy nie... no wiesz. A może to ironia losu.

Tydzień wcześniej musiałem przeprowadzić rozmowę z koleżanką.

– Tfu. Jesteś obrzydliwy, sugerujesz nieeleganckie zachowanie.

Karol uśmiechnął się. Lubił szwagierkę i jej poczucie humoru.

– Ależ w życiu. Żadnych takich. Po prostu strasznie była namolna. Wiesz, to miłe, gdy kobieta...

– Nie wiem – powiedziała ostrożnie Katarzyna.

– Daj spokój. Nigdy i nic. Bywało blisko, ale nic z tych rzeczy. No i owa koleżanka wyobrażała sobie, że jednak coś.

– A ty nic?

– A ja nic. Jak skała. Twardy jak Roman Bratny. Albo jak Tommy Lee Jones w *Ściganym*.

– Może to ona? Chciała się zemścić? A może myślała, że jeśli żona wyrzuci cię z domu, to do niej wrócisz?

– Nie miałem do kogo wracać. Robię czasami głupoty, żonaty nie znaczy ślepy, ale nigdzie się nie zapędziłem. Reakcję Małgośki znasz?

– Nie bardzo jestem w temacie.

– Wyjechałem na szkolenie. Całotygodniowe. Taki długi kurs, potrzebne mi dodatkowe uprawnienia. Nieważne. – Machnął ręką. – O szkoleniu mówiłem Małgorzacie pół roku temu, było zaplanowane z dużym wyprzedzeniem. Płaci za nie firma, tylko musiałem wziąć urlop. Małgosia była ostatnio tak zakręcona, że zapomniała. Wyobrażasz sobie? Zapomniała, że wyjeżdżam! To niewiarygodne, ale świadczy o jej kondycji w ostatnich tygodniach. Ten mail – Karol się zastanowił – myślę, że zrobił to ktoś, kto wiedział, że wyjeżdżam na cały tydzień.

– Kochanka? – Katarzyna była fajna, ale rzeczowa.

– Nie miałem kochanki – powtórzył mój zięć z naciskiem. – Tylko kandydatkę. I wyraźnie ostatnio wyjaśniłem jej sytuację. Może to ona. Może poczuła się urażona? Dotknięta? Nie wiem.

I jeszcze do tego Wiktor. Poinformował Małgosię, że nie dostanie stypendium. Tego, o które tak długo zabiegała. Delikatnie rzecz ujmując, nie była w szczytowej formie. A to ciągle jeszcze nie wszystko.

– Kim jest ta kobieta? – Katarzyna się upierała.

– Co to ma za znaczenie? Jest irrelevantna.

– Słucham?

– Właśnie. Taka jest. Uaktywniła się, co wskazuje na jej autorstwo, ale tylko pokazała pazurki. Chyba nie chciała żadnego wielkiego come back, nie wiadomo do czego, tylko zwyczajnej wendetty. Nie wiem. A może komuś innemu załazłem za skórę?

Przez chwilę obserwowali kłócące się na zapleczu kelnerki.

– Ale ty chyba nie wiesz, co dalej. – Karol przerwał podsłuchiwanie.

– Coś jeszcze? – Katarzyna odwróciła wzrok od spektaklu.

– Wiele, wiele więcej. Wiedziałaś, że Joanna mieszka u ciebie?

– Oczywiście! Sama jej to zaproponowałam.

– A wiedziałaś z kim?

Katarzyna odwróciła wzrok.

– Niezupełnie... – zająknęła się – właściwie to... nie.

– Czyli wiedziałaś – stwierdził Karol. – Ja też wiedziałem. No, mniej więcej. Nie znałem jej, ale wiedziałem. Kojarzysz panią Alinę?

Katarzyna spojrzała na Karola.

– Moją sąsiadkę?

Kiwnął głową.

– Przyszła do Małgosi, opowiedziała wszystko ze szczegółami. To było dzień po tym, jak Małgorzata narobiła rabanu, że ją opuściłem. Spakowała mi dwie torby i napisała rzeczowy list ze szczegółami podziału majątku. Wiele do dzielenia nie ma – uśmiechnął się smutno – ale i tak przecież nie zamierzam jej

zostawić. Nieznośnej czasami, ale ukochanej. Co za popieprzona sytuacja. W każdym razie pani Alina przysłała rozjaśnić w głowie Małgosi. W odruchu dobrego, katolickiego miłosierdzia poradziła mojej żonie, żeby sprowadziła córkę na dobrą drogę, póki jeszcze czas. I w nocy twoja siostra dostała wylewu.

Katarzynie, mimo jarzeniowego światła, powiększyły się źrenice.

– Lekkiego szczęśliwie – kontynuował Karol, zanim moja córka zdążyła zareagować. – Znalazła się oczywiście w szpitalu. Joasia i Wanda były z nią na zmianę przez cały czas, ja byłem w delegacji. Gdy wróciłem, przychodziłem do niej po pracy. Czasami wpadałem rano. Potem obudziła się i nie chciała widzieć ani mnie, ani Joanny. Akceptowała wyłącznie Wandę. Przychodziłem do niej nocami, wiesz jakie to uczucie, ukrywać swoje odwiedziny u żony i to przed nią samą? Czysty suspens. Tak jest do dziś. To było zaledwie kilka dni temu, a mam wrażenie, jakbym ci opowiadał zdarzenia z ostatniego pół roku.

Katarzyna odchrząknęła.

– Trudno mi to pozbierać. Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, że przyjechałam. W Indiach jest ciepło, mam faceta i nie mam trosk.

Karol uśmiechnął się.

– Rodzina jest twoją troską.

– Wracając do twojego pytania, dzwoń wieczorem do domu, wtedy powinnaś zastać Wandę i Joasię.

Tego wieczora Katarzyna nas odwiedziła. Nie dzwoniła, po prostu przyjechała. I dobrze, co tam, przez telefon się witać. Karol przyjechał późno, jak codziennie. Pracował teraz strasznie długo, uciekał może?

Katarzyna była bardzo zmęczona – zmianą strefy czasowej, przedwczorajszym lotem, lawiną informacji. Pierwsze uściski

były serdeczne, potem trudno było nam rozmawiać. Moja młodsza córka właściwie zasypiała.

– Nie wyspałam się. – Ziewnęła.

– Przecież spałaś u siebie? – Zdziwiłam się.

– A gdzie jest u mnie? – Uniosła brwi. – Nie spałam w tym łóżku od kilku miesięcy, chwilowo nie jest moje.

– To może tu się prześpisz? – zaproponowałam odruchowo.

– A tu jest moje łóżko? Daj spokój, mam. Dzisiaj pewnie będę spała lepiej, chociaż mam za dużo myśli. Martwię się o Małgoškę.

– Kto się nie martwi! – wtrąciła moja wnuczka.

– Martwieniem się zdrowia jej nie przywrócimy – powiedziałam. – Co tu narzekać, trzeba działać. Albo czekać, bo nic na razie u Małgosi nie działyśmy.

– Ale jak ona? – Katarzyna już czwarty raz zadawała to pytanie.

– Jesteś naprawdę niewyspana. Powtórzę. Obudziła się. Jest coraz lepiej. Rokowania są dobre, tylko musi dużo odpoczywać.

– To niemożliwe w jej wykonaniu – wtrąciła moja młodsza córka. Jaka się mądra zrobiła.

– Nie ma na razie wyjścia. Może po prostu pójdźmy do niej.

Umówiłyśmy się na wizytę w szpitalu następnego dnia. Katarzyna pożegnała się najszybciej jak mogła i uciekła pod swoją indyjską narzutę. Czy miała nadzieję, że rozwiązania kryją się pomiędzy jej kolorami? Jak w tęczy? Może gdzieś wysoko, gdzie fruwały ptaki? Może kruki?

Rozdział 38

TUTAJ

– Same gafy – mówię do Stanisława. Znowu jestem u niego, taszczyć ze sobą kolejny słownik. Antonimów.

– A po cóż ten gabaryt ciagniesz?

– Żebyśmy nie tylko się ze sobą zgadzali. Przyda się też znaleźć jakieś słowo przeciwne – odpowiadam z grymasem.

– A my się ciągle zgadzamy? – Stanisław się dziwi, stawiając przede mną wielki talerz.

– A ta garmażerka to co? – mówię trochę tylko kąśliwie, bo talerz jest gargantuiczny, porcja również.

– Galantyna z indyka. A talerz zrobił Roman. Ciesz się, że nie wyprodukował korytka.

– Ale też mogę – odpowiada wchodzący właśnie Roman. Taszczy przed sobą w objęciach coś wielkiego, niby najczulszą kochankę.

– Delikatnie! – krzyczy, gdy Stanisław wyciąga ręce po cargo. Roman ostrożnie stawia wór, po czym odstawia gliniane coś.

– Gdybać, co to jest, czy sam powiesz?

– To jest mebel.

W milczeniu spoglądam na... coś.

– To jest etażerka – oznajmia Roman z dumą. – Na

przechowywanie moich naczyń.

Stanisław mruga, czerwieni się, jakby go ktoś zgalwanizował czerwoną farbą.

– A dlaczego u mnie? – cedzi, usiłując zachować spokój.

– Bo u mnie się już nie mieszczą – odpowiada spokojnie Roman. – Co masz? – Wskazuje palcem na półmisek. Ładnie zgarniowane.

– Esteta – mruczy Stanisław.

Odruchowo pomaga Romanowi przesunąć mebelek pod ścianę. Wygląda lekko, ale to lita glina, więc...

– A niech to gencjana ze zlewu wybije! – krzyczy zezłoszczony, chwytając się za plecy. Po chwili fioletowy gejzer pojawia się w zlewie.

– Geniuszu ty. Jesteś w swoim świecie. Tutaj co powiesz, to się dzieje – komentuję nie bez uciechy.

– To niech się ten glamot sam ustawi pod ścianą. O tu! – krzyczy, a mebel posłusznie materializuje się we wskazanym miejscu.

– Mogę ci zrobić cały garnitur takich mebelków – mówi Roman. Stanisław taktycznie milczy.

Roman podnosi z podłogi wielką przybrudzoną płachtę, otrzepuje i nakłada na siebie.

– A ta galabija... to? – pytam ostrożnie. Płaszcz jest tak wielki, że moglibyśmy się nim okryć we trójkę.

– Galabija właśnie – odpowiada ze spokojem Roman.

– Słuchajcie, gambit czas zacząć. Nie wytrzymam z wami dłużej. Jest za śmiesznie, problemy gastryczne zaczną mi dokuczać. Przyszłam tu nie po to, żeby obserwować zmiany geologiczne w twoim świecie, tylko żeby powiedzieć wam...

– Chyba geograficzne – wtrąca Stanisław, spoglądając z konsternacją na, hm, etażerkę.

Nie daję sobie przerwać.

- Chciałam wam powiedzieć, że przestaję się przejmować.
- Bomba! To znaczy genialnie – mówi Roman.
- A teraz jak gazela uciekam z tej zatłoczonej gawry.
- Uśmiecham się i wychodzę, zawadzając po drodze o gerydon.
- Nie było go tu wcześniej! – Złoszczę się.
- Uważaj, bo sobie gipiurę pobrudzisz – odpowiada Stanisław.
- Gencjana ci na rękę chlapnęła.
- Nie mogę się powstrzymać. Wychodzę przed jego dom, domek, zrywam kilka kwiatów, splatam i krokiem girlsy wracam do panów. Obserwują mnie cały czas przez okno.
- Girlanda dla zwycięzcy! – oznajmiam.
- Ale to ty jesteś zwycięzcą. My to tylko niegodni ciebie giermkowie – mówi Stanisław ze spokojem.
- Tak – potwierdza krótko Roman.
- I nie powiedziałaś nam, po co przyszłaś.
- Mówiłam. Przyszłam powiedzieć, że przestaję się przejmować.
- Założmy gildię nieprzejmujących się – wtrąca Roman. Obżera się galantyną i wyjada granata z talerza. – Mogłeś jeszcze dodać odrobinę gruszki – mówi do Stanisława z lekką pretensją.
- To ja wracam – mówię, odwracając się.
- Stanisław wychodzi za mną.
- Czasem myślę, że to Golgota. Czasem, że Golkonda. Czasem, że granulowane śmieci.
- Nikt nam nie daje na nic gwarancji.
- Uśmiecham się do niego.
- Wracaj już. Bo ci Romek ulepi z gliny gryfa.
- Wystarczą mi gargulce przy etażerce.

Rozdział 39

SIOSTRY

– Za kilka dni zostanie pani wypisana – oznajmił lekarz Małgorzacie. Miał świetne wyczucie czasu. Akurat uchyliliśmy z Kasią drzwi do szpitalnej sali.

To wyjątkowy dzień – pomyślała Małgosia. Dobra wiadomość i obecność Katarzyny. Dobry dzień.

Niemal na przywitanie zapytała:

– Dla mnie przyleciałaś? Kasiu! Dla mnie?

A potem powtarzała to pytanie jeszcze wiele razy.

Katarzyna była zaniepokojona. Małgorzata nie zwykła się roztkliwiać, nie ona! Kiedyś, w przyływie szczerości, Małgorzata opowiedziała o swojej szafie.

– Majtki układam najpierw według kolorów, a potem wzorów. Zupełnie gładkie na wierzchu, im niżej, tym wzory większe. Bluzki tak samo.

Katarzyna nie próbowała zgłębić kwestii wyższości wzoru nad kolorem. Rzeczy w jej szafie same wybierały sobie miejsca, tworząc bajkowy melanz. Zresztą, nawet gdyby garderoba starszej siostry była zabałaganiona, i tak panowałyby kolorystyczny ład. Brązy, szarości i czernie nigdy nie będą wielobarwne. Katarzyna spodziewała się, że teraz Małgorzata

fuknie na nią i wytknie zbędny wydatek na lotniczy bilet, tymczasem starsza siostra nie kryła wzruszenia.

W burej zieloności szpitalnej piżamy Małgorzata wydawała się bardzo drobna. Jeszcze drobniejsza niż zwykle. *Niech będzie opryskliwa jak zawsze, tylko niech będzie zdrowa. Niech będzie zdrowa.* – Katarzyna powtarzała w myślach jak mantrę. Od przylotu do Warszawy czuła się źle, brakowało jej słońca. Chciała być ptakiem – latać wysoko, potem lądować na ludzkich ramionach. Znosić na nich jajka ze zdrowiem i szczęściem. A tu – warszawska wiosna, zielone pąki, ale zimno i mało słońca.

Małgorzacie wraz z powracającym zdrowiem zwiększała się życzliwość wobec otoczenia. Jedynie o spotkaniu z Karolem nie chciała słyszeć.

– Kto to jest? – pytała, otwierając szeroko oczy niczym niewinne dziecię. Czasami Kasia miała wrażenie, że jej siostra próbuje zaprzeczać istnieniu męża.

Próbowałam kilkakrotnie wspomnieć o Karolu, przemycać jego obecność chociaż w mowie. Nic z tego. Obydwie moje córki bywały uparte, każda na swój sposób, Małgosia teraz biła rekord. Na stare lata, moje i swoje, zafundowała nam wszystkim upór godny najgłupszego osła.

Mam nadzieję, że to tylko chwilowa gra. Gierka – myślała Katarzyna. Ja właściwie myślałam podobnie.

Wypartego Karola trudno byłoby wprowadzić ponownie do życia rodziny. Karolowi wiarołomnemu wystarczyło wybaczyć. Nawet jeśli owa niewierność istniała tylko w głowie zazdrosnej małżonki.

Katarzyna postanowiła najpierw pomówić z siostrą o Joannie.

– Wiesz, że zapisałam twojej córce mieszkanie? – zapytała Małgorzatę.

– Czy to znaczy, że nie zamierzasz wrócić do Polski? Gdzie

w takim razie teraz mieszkasz? – Małgorzacie wrócił praktycyzm.

– Właściwie to nie wiem. Chyba nie zamierzam. Nie jestem jeszcze gotowa, żeby określić się z uczuciami do... – Katarzyna zakaszła. W ostatniej chwili uświadomiła sobie, że Małgosia nie wie o Miłoszu i uznała, że nie jest to odpowiedni moment do rozmowy o tym. – Sama nie wiem, jak to będzie, zamierzam tam zostać najdłużej, jak się da. Teraz w Warszawie mieszkam u siebie, Joasia wróciła do was. Notarialnie zapisałam, że mogę korzystać z mieszkania, póki żyję.

– Bardzo słusznie – zauważyła starsza siostra.

– Rzecz w tym, że Joasia jest już dorosła... – zaczęła mówić młodsza.

– Nie jest dorosła, a w każdym razie nie jest dojrzała. Szczeniackie pomysły ma w głowie. – Małgorzata bezpardonowo przerwała siostrze. Katarzyna nigdy nie słyszała, żeby siostra, mówiąc o córce, używała takich określeń.

– Całkiem nieźle sobie radzi. Ostatnie dni spędzała u ciebie, więc nie było jej w firmie, ale Iwona mówiła, że zanim ty wylądowałaś w szpitalu, Joasia spędzała tam długie godziny. Niby nic, ale ciągle o coś pytała, oglądała towar, najpierw tylko z babskim zainteresowaniem, a potem zaczęła sprawdzać, co się sprzedaje. Wyobrażasz sobie? Zaczęła od tego, czy dobrze się sprzedaje to, co jej się podoba, czy też wręcz przeciwnie. Rozumiesz? Poznawała gusty klientek. Fajnie, że w ogóle na coś takiego wpadła. Potem podobno zainteresowała się stanami magazynowymi, zaczęła grzebać w komputerze... Iwona ocenia, że jak tylko Joasia trochę okrzepnie, to znaczy wiesz, rodzinie, to spokojnie będzie można przyuczyć ją do prowadzenia firmy. Szczególnie, że wykształcenie będzie miała kierunkowe.

Małgorzata prychnęła. *Kierunkowe! Też coś!* – pomyślała, ale nie przerywała Katarzynie.

– Ja nie mam komu tego zostawić. Nawet, jak teraz mi wyjdzie z... no wiesz, z tym facetem, to i tak dzieci już pewnie mieć nie będą. Za stara jestem na pieluchy, a i biologia nie wspiera. A Joasia się nadaje, przynajmniej wszystko na to wskazuje. Interes zostanie w rodzinie. Mogłabym go sprzedać na stare lata, ale co mi z tych pieniędzy. Dla mnie wystarczy to, co mam.

– Pięknie mówisz. – Małgorzata się uśmiechnęła. – Pięknie. Tylko ja bym chciała wnuki mieć, wiesz, żeby rodzina była... normalna taka. – W oczach starszej siostry pojawiły się łzy.

Nie widziałam mojej starszej córki płaczącej, odkąd rozbiła kolano na wrotkach, miała wtedy z osiem lat. Przewracając się, porwała podkolanówki, zupełnie nowe, ażurowe, wiązane pod kolanem. Marzyła o takich długo, nigdzie nie mogłam ich kupić. W końcu znalazłam na jakimś bazarze, kosztowały majątek, jak to na czarnym rynku. Małgosia założyła je drugi raz, bardzo była dumna. Nawet, pamiętam, po raz pierwszy wtedy sama stanęła nad balią i je prała. Próbowałam zacerować, ale nie chciała ich już nosić. I nigdy później nie widziałam, żeby płakała. Jak coś poszło nie tak – zaciskała usta w cienką linię i wychodziła do innego pokoju. Nawet jak ją rzucił chłopak, w którym strasznie była zakochana. Tak mi się zdawało, bo nigdy o tym nie mówiła. To dlatego, że powiedziałam jej wtedy, po tych wrotkach, żeby nie ryczała? Że duże dziewczyny nie płaczą?

– Gośka, myślę, że powinnyśmy mówić wprost. Joanna odkryła, że kocha kobiety. Ani to złe, ani dobre. Chociaż odbiega od... wzorców, przynajmniej naszych. Nie będziesz mi chyba mówić, ty, wykształcona kobieta, że to się da wyleczyć. – Katarzyna wiele razy w myślach rozmawiała na ten temat siostrą. Teraz miała całe długie zdania do wypowiedzenia, ale Małgorzata jej przerwała.

– Nic mnie nie obchodzą żadne nowomody – powiedziała, oddzielając każde wypowiedziane słowo. – Ani choroby, ani predyspozycje, ani orientacje. Chcę mieć wnuki.

– Ale córka cię obchodzi?

Siostry nie patrzyły sobie w oczy. Stałam z boku, pod oknem, i za nic nie chciałam się wtrącać.

– Dlaczego. Kaśka, powiedz mi, dlaczego. – Małgorzata nie pytała. Błagała o odpowiedź. Tęskniła za bogobojną normalnością, nawet dla mnie było to odrobinę... staromodne.

– Tego nie wiemy. – Kasia zastanawiała się nad każdym słowem. – Tak po prostu jest. A ty wiesz, dlaczego pokochałaś Karola?

Cholera, chyba nie najlepszy przykład wybrałam. Zawsze coś chlapnę, zanim pomyślę – dodała w myślach moja młodsza córka.

– Mama mówiła – kontynuowała Katarzyna, zanim Małgorzata zdążyła zareagować na wzmiankę o małżonku – że niedawno dziewczyny miały sprzeczkę. Joasia przez pewien czas mieszkała sama, teraz Grażyna bywa u niej codziennie.

Musiałam wyjść. Nie chciałam się wtrącać, niech pogadają sobie siostry. Nie zwróciły na mnie szczególnej uwagi.

– Ale chyba nie mieszkają u nas? – Małgorzata oparła się na łakociu.

– Ułóż się grzecznie na podusi, bo cię nie wypiszą. – Kasia tonowała siostrę. – Nie, spędzają razem czas, ale mama – wystawiła palec w moją stronę, ile razy jej mówiłam, że nie pokazuje się placem? – nie dała Grażynie zanocować. I znów się obraziła, właśnie o to. Chciała się sprowadzić do Joasi, czyli do waszego mieszkania, odmowa jej się nie spodobała. Jak widać, ich relacja iskrzy, niczego bym nie przesądzała.

– Grażyna? – Małgosia zamrugowała. Obca młoda kobieta, która próbowała zabrać jej córkę, zaczęła przyoblekać się w ciało.

Stawała się osobą, z imieniem i całym wadliwym człowieczeństwem.

– Nie wiedziałaś, jak ma na imię?

Małgorzata pokręciła głową.

– Głupia byłam. Mogłabyś przyprowadzić Joannę?

Siostra przytuliła ją, dotyk wstrząsnął Małgorzatą. Od tak dawna nawet nie rozmawiały, a tu – przytulenie?

Katarzyna się uśmiechnęła. *Przynajmniej jeden sukces. Sukcesik. Może coś jeszcze będzie z tej rodziny – pomyślała.*

Wróciłam z toalety, to było smutne doświadczenie w szpitalu, niestety czasem konieczność jest ważniejsza od wrażeń estetycznych. Powinno to być miejsce przynajmniej czyste, a było śmierdzące i umiarkowanie domyte.

– Kupiłam ci coś do poczytania – powiedziałam do Małgosi, kładąc na stoliku książkę.

Spojrzała ze zdumieniem.

– Dla mnie? Romans?

– A to romans? – Teraz ja udałam zdziwienie. – Przyda ci się trochę rozluźnienia. Pójdziemy już, odpocznij. Nie potrzebujesz nas całymi dniami, poczytaj, kompotu się napij. – Wskazałam brodą na stojący na parapecie słoik.

Zabrałam Katarzynę, dość już Małgosi naopowiadała. Powinna w tym szpitalu odpoczywać, a my ciągle przychodziłyśmy z jakimiś mądrościami. Niech pośpi wreszcie.

Grażyna. Małgorzata rozpamiętywała po naszym wyjściu. Grażyna. Obracała słowo na języku. Imię jak imię. Twarde trochę w brzmieniu. Dziewczyzna pewnie jak inne. Westchnęła. Nie, nie może być taka jak inne. Wybrała ją moja córka, więc musi być wyjątkowa. Tego będę się trzymać. Poza tym... dziwne, nie dostrzegłam tego wcześniej. Ten śmieszny butik Kaśki to naprawdę spory interes. Kto by pomyślał? Może moja siostrunia wcale nie jest taka zwariowana, jak mi się zdawało,

choć trudno za nią nadążyć. Wyjechała z jakimś facetem, co to właściwie nie wiadomo, kto on jest. I co? I już uważa, że jej miejsce jest gdzieś tam, na końcu świata. Wszystko zostawiła. Dla faceta. W życiu bym się tego nie spodziewała po mojej siostrze. Że dla jakiegoś mężczyzny zostawi całe swoje życie. I nawet firmę, której tyle lat poświęciła. Tak, chyba będę musiała się przestawić. To już nie będzie śmieszny butik. Tylko firma. Firma. Dziwnie brzmi. Firma zajmująca się kolorowymi szmatkami. Może jednak potrzebuję więcej czasu, żeby do tego przywyknąć.

Dwa dni później Małgorzata przekraczała próg mieszkania. Byłyśmy wszystkie razem. Matka, córki i wnuczka. Tak łatwo o szczęście?

Rozdział 40

JO

Małgosia wspierała się o ramię mojej wnuczki. Poprzedniego dnia przyjęła córkę, leżąc na szpitalnym łóżku. Zachowywała się jak królowa udzielająca audiencji, co w pachnącym lizolem szpitalu śmieszyło Joasię.

– Cześć, mamó – powiedziała cicho.

– Dzień dobry, córeczko. – Małgosia się uśmiechnęła, chociaż trochę oficjalnie. Jednak był to uśmiech.

– Przyniosłam ci kompot od babci.

– Postaw tutaj, dziękuję.

– Należę od razu, tylko szklankę umyję.

Zmieniam się w matkę. Myję brudne szklanki, niewiarygodne – pomyślała Joanna, stając nad umywalką.

– Wanda jak zawsze za bardzo posłodziła – powiedziała Małgorzata, przełykając pierwszy łyk.

Nic nie może być wystarczająco dobre – pomyślała Joasia.

– Jest pyszny – powiedziała na głos. – Piłam w domu.

– Nic podobnego – odparła Małgorzata. – Jest przepyszny, właśnie dlatego, że jest za słodki.

– Zawsze musisz mieć rację. – Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Pewnie. Też tak będziesz miała, jak będziesz mamą.

Co ja wygaduję – pomyślała Małgosia. *Oho, zaczyna się* – pomyślała Joanna.

– Nie o to mi chodziło. – Moja córka się zmieszała. – A właściwie o to. Nie wiem, co mam zrobić z nowo nabytą wiedzą.

Joasia się nie odzywała.

– Wczoraj była u mnie twoja ciotka. Bardzo cię chwaliła, z tymi studiami, jej firmą i w ogóle... trudno mi pewne rzeczy zaakceptować.

Moja wnuczka siedziała bez słowa, wpatrzona w matkę.

– Chciałabym, żeby było tak, jak sobie wymarzyłam. Tak... – szukała słowa – idealnie. Ale nie jest. Jest jak w życiu.

– Nieidealnie – wtrąciła Joasia.

– Właśnie.

– I może tak jest dobrze, mamó?

– Nie wiem. Nie wiem, jak jest dobrze. Wiem, że cię kocham, bardzo. Chciałabym dla ciebie samego szczęścia. Jakoś je sobie wyobrażam i może to właśnie nie najlepiej... W sumie... cokolwiek się stanie, dalej będziesz moją córeczką, pamiętaj o tym. Ja też się postaram.

– Wiem, mamó. Pozwól mi po prostu być sobą.

– Spróbuję. Nie będzie łatwo.

– Nie liczę na to. Za dobrze cię znam.

Obyło się bez przytulania.

Jestem znowu członkiem rodziny – pomyślała zadowolona Joasia. *W przeciwieństwie do ojca* – dodała ciągle w myślach.

Potem wyszły razem ze szpitala, matka wsparta na ramieniu córki. Kasia czekała na nie w samochodzie, ja zostałam w mieszkaniu Małgosi i kończyłam polerowanie domu na przyjęcie rekonwalescentki.

Sprawy się prostują, na szczęście, brakuje jeszcze Karola. Co

tej mojej siostrze odbiło? Coś widocznie – myślała Katarzyna, spoglądając na idące w jej kierunku kobiety.

Czy kiedyś wybaczy mężowi? Właściwie co miałyby wybaczać? Czy kiedyś spróbuje go zrozumieć? – zastanawiałam się, oczekując na ich przyjazd. Kasia zdała mi relację z rozmowy z Karolem. Byłam wtajemniczona w dziwną niewierność małżeńską, która oparta była na monogamicznej wierności.

– Nie nadażam za starszą córką. – Westchnęłam do wypolerowanego lustra.

To była wigilia wiosną. Jak w święta – dom pachnący czystością i woskiem do podłóg. Nie mogłam osobiście nie wypastować podłóg! Chociaż próbowały mnie wyręczać na zmianę Katarzyna i Joanna. Co one wiedzą o tej ginącej sztuce! Podłoga powinna być umyta wodą z octem, a potem przetarta mocnym naparem z herbaty i wypolerowana. Na kolanach, miękką ścierką. W jedną stronę. Wtedy będzie błyszczeć. Joanna chciała ją myć mopem.

Rozejrzałam się. Stół zastawiony po brzegi. Świece. Radość. Kolejne dni także były świąteczne. Nie rozmawiałyśmy na żadne istotne tematy. Joanna pomagała matce w codziennych czynnościach, w kąpieli i przemieszczaniu się.

Potrzebujemy czasu – myślały obydwie. Tak samo myślałyśmy my, Katarzyna i ja. Małgosia była w domu, nie było nic istotniejszego.

Moja wnuczka widywała się z ojcem, odbierał ją z basenu, a dwa dni po powrocie Małgorzaty do domu zawiózł córkę do schroniska.

– Mama ma teraz dobrą opiekę, babcia i ciotka są na każde jej skinienie – powiedziała ojcu.

To ja powinienem się nią opiekować – pomyślał. Głośno nic nie powiedział, uśmiechnął się tylko do córki.

Jak bardzo brak mi Karola – uzalała się nad sobą Małgorzata

po zgaszeniu światła w sypialni.

Podobna kwestia zaprzętała głowę Joasi: *Kiedy znów będziemy w komplecie?*

Rozdział 41

JO

Trzy dni po powrocie matki ze szpitala Joanna wpadła do domu. Wzburzona, jakby ktoś wrzucił musującą kostkę do kąpieli.

– Mam dodatkowy egzamin! Jestem pewna, nie było go wcześniej! Nic o tym nie mówili. Nie było go na tablicy – krzyczała. – Mam go za dwa dni! Cholera! Z basenu muszę zrezygnować. Nie zdążę się przygotować! Co za kretynizm!

– Przystań się wyrażać. – Wykrzykniki poruszyły Małgorzatę.

– Przecież nie używam żadnych słów. Tak tylko, muszę się wykrzyknąć. – Młoda wzruszyła ramionami.

– To przestań, żadna ze spraw tego nie wymaga.

– Żadna? To dlaczego... – Joanna ugryzła się w język.

– Joasiu, każdy czasem popełnia błędy.

Joanna zacisnęła dłonie.

– Chcesz powiedzieć, że moje uczucia są błędem?

Matka spojrzała na nią zdziwiona.

– Nie... chciałam powiedzieć, że mnie też zdarzyło się ostatnio krzyczeć.

Moja wnuczka się rozluźniła, usiadła na fotelu obok matki.

– I żałujesz?

– Chyba nie. Widocznie tego potrzebowałam. – Uśmiechnęła się. – Nie to chciałam... Chciałam tylko potwierdzić, że kogokolwiek przyprowadzisz do domu, będzie dobrze. Chciałabym poznać Grażynę, najbliższą ci osobę. – Tylko moja córka Małgorzata wiedziała, jaki ciężar miały dla niej te słowa. – Wolałabym jakiegoś miłego chłopaka. Ślub, wnuki... Ale będzie, jak zrobisz.

Cisza płynęła.

– Mamo, zerwałyśmy z Grażyną.

Małgosia wciągnęła głośno powietrze.

– I co teraz? Dlaczego? Kiedy?

– Tuż przed twoim wyjściem ze szpitala.

– Babka mówiła, że się posprzeczałyście...

– Niezupełnie, mamo. Już od jakiegoś czasu nie wszystko się układało. Grażyna chciała więcej, niż mogłam jej dać. Przede wszystkim chciała twardej rzeczywistości. Mieszkania, opłaconych rachunków.

– Materialistka? Chciała cię wykorzystać?

– To nie tak. Nie umiem tego wytłumaczyć.

– Ale tak po prostu? Rozstałyście się?

– Nie wiem, czy po prostu. A może po prostu. Nie wiem.

– I co teraz? – W głosie mojej starszej córki pobrzmiwała ostrożna nadzieja.

– Będę spotykać się z kimś innym.

– Nie rozpaczasz – stwierdziła ciepło Małgorzata. *Bogu dzięki* – pomyślała.

– Rozpaczałam. Mamo, kochałam ją. Właściwie wciąż kocham. Taką pierwszą, naiwną miłością, ale myślę, że Grażyna mnie nie. Potrzebowała ciepłego kąta i pełnej lodówki. Nigdy nie powiedziała, gdzie pracuje, nie przynosiła żadnych pieniędzy. Teraz myślę, że chciała latać jak ptak, taki niebieski, a ja miałam być farbką do skrzydeł... – Joannie ciekły łzy.

Małgorzata była oszołomiona. Łzy były wstydlive, należało je ukrywać. Nie były oczyszczające, dla Małgosi były jednowymiarowe – żenujące. A teraz jej córka, lesbijka, płakała jej w rękaw. Trzy tygodnie po wylewie i po tym, jak dowiedziała się, że mąż ją zdradza. Ile może znieść człowiek?

Rozdział 42

TUTAJ

Siedzę na ganku i spoglądam na horyzont. Na zachodzące słońce.

Stanisław pojawia się bez zapowiedzi, ciągle na to pozwalam. Niczym halucynacja materializuje się przede mną halibut z hurmą.

– To się da jeść na ciepło? – Z powątpiewaniem patrzę na pomarańczowy owoc.

Tylko kiwa głową.

– Harmonijne zestawienie – chwałę.

– Nie skorzystaliśmy z twojej książki – mówi. Trzyma w ręku słownik antonimów.

Wzruszam ramionami.

– Nie ma potrzeby szukać różnic.

Stanisław przysuwa się. Dawno mu na to nie pozwoliłam.

– Wiesz, że tutaj hymen nie jest potrzebny do tego, żeby się kochać?

– Wiem – odpowiadam. Chociaż tak naprawdę, czy ja wiem?

– Wszyscy jesteśmy homofoniczni. Ale wolno kochać.

– A jeśli kochasz tych, którzy są niedostępni?

– Wszyscy takich kochamy.

Rozdział 43

JO

– Nie, tato, daj spokój.

– Jak niby mam dać spokój.? To mój dom i moja żona. I moje życie, z którego bez powodu zostałem wykluczony. W ogóle co to jest, żebym tłumaczył się przed własnym dzieckiem? I to z tego, czego nie zrobiłem?

Wnuczka i zięć rozmawiali w kawiarni niedaleko uczelni. Joasia miała przerwę, Karol był po pracy.

– Nie tłumaczysz się. Po prostu... widziałeś mamę w szpitalu.

– I żałuję, że dałem się zapędzić w jakieś dziwne „nie ma mnie tutaj”. Co to jest, do licha? Przecież dalej będzie tylko gorzej.

– Mama naprawdę jest w kiepskiej formie. Ledwo chodzi, mówi trochę niewyraźnie. W ogóle jest... jakaś inna. Jakby – dziewczyna bezwiednie wzruszyła ramionami – sama nie wiem. Delikatniejsza chyba. Wyobraź sobie, mnie powiedziała, że chce poznać moją kochankę!

– To wyczyn. Ale nie robi na mnie wrażenia, dopóki ja nie spotkam się z własną żoną. Dlaczego mi bronisz?

– Ja ci czegokolwiek bronię? Tato!

– No dobrze. Prosisz, żebym nie przyjeżdżał.

– Mam wrażenie, że mama po prostu nie da rady. Coś się jej

musiało przepalić w głowie. – Zamilkła. – A może w uczuciach. Nie wiem. Ale spadło na nią za dużo i dlatego pewnie ten wylew. Teraz zaakceptowała, że się tak wyrażę, moją sprawę. O twojej nie chciała jeszcze rozmawiać.

– Ale próbowałaś?

– Tak. To znaczy... Kilka dni temu.

– Czyli nie próbowałaś.

Moja wnuczka wywróciła oczami.

– Obiecuję, że porozmawiam z mamą. Dzisiaj wieczorem albo jutro. Porozmawiam i zadzwonię do ciebie.

– To jest jakieś wariactwo. – Mężczyzna westchnął. – Żebyś mieszkał w hotelu, dwa kilometry od własnego domu.

– Do pracy masz bliżej – stwierdziła Joanna.

Karol zacisnął wargi.

– Nic nie mówiłam, nic nie mówiłam! – wykrzyknęła Joanna. – Nie wkurzaj się. Nie chcę mamy denerwować. – Spoważniała. – Boję się o nią. Jest... naprawdę delikatna.

– Asiu, ja naprawdę nic nie zrobiłem.

– Ale twoja żona, a moja mama, miała wylew. I chociaż mocno się zmieniła, to upór pozostał. Jak nie chce rozmawiać, to nie.

– Jasne. – Karol dopił kawę. – To ty porozmawiaj dziś albo jutro z twoją mamą, a ja z nią porozmawiam pojutrze. Dość tego. Nie będę się kulił ze strachu z nieistniejących powodów. I najlepiej, gdybyśmy mogli wtedy zostać sami. Bez ciebie, Wandy, ciotki ani kogokolwiek innego. Radziliśmy sobie przez wiele lat sami, poradzimy i teraz.

– Dobra, tato. – Dziewczyna ponownie wzruszyła ramionami.

Nareszcie – pomyślała. *Jakieś męskie działanie.*

– Lecę na zajęcia. Strasznie dużo mam teraz nauki.

– Mam ostatnio wrażenie, że więcej czasu spędzasz na warszawiance niż na uczelni.

– Tak ci się tylko wydaje, tato. Więcej się uczę, niż pływam,

choć wolałabym proporcje odwrotne. – Cmoknęła ojca w policzek i skierowała się do wyjścia.

Czy gdybym kiedyś nie rzuciła pływania, dzisiaj przywoziłabym do domu medale? – zastanawiała się czasami Joanna. A może wcale nie? Stanowiłabym żywy ogon, ogonek reprezentacji? Nigdy się tego nie dowiem. Żałuję?

Rozdział 44

JO

– Małgosiu! – Trzymałam półmisek z parującym jedzeniem i nie kryłam urazy, patrząc na stół zasypany papierami. – Małgosiu, obiad!

– Co? – ocknęła się Małgorzata. – Przepraszam, mamó, już sprzątam.

– Nie mówi się „co”, tylko „proszę” – mruknęłam. Wylew wylewem, to nie powód, by rezygnować z dobrego wychowania. Całe życie to powtarzałam córkom i wydawało mi się, jak widać błędnie, że to akurat wpoіłam im trwale.

Sama nie wiem, dlaczego formy zachowania stały się dla mnie takie ważne, nikt mnie tego nie uczył. Mama nie miała kiedy, ojciec też nie. Henryk próbował mnie trochę wychowywać, ale bałam się, że po jego naukach wejdę do kawiarni jak do kościoła i zamiast zamówienia na wuzetkę zacznę głosić kazanie. Nie słuchałam go więc uważnie. Stanisław eleganckiego zachowania nie znał, w towarzystwie obracaliśmy się lichym, stopniowo coraz wyższych rangą oficerów i partyjnych urzędasów. Na przyjęciach, tych wydawanych przez znajomych i tych odbywających się u nas w domu, szczytem elegancji było uniesienie piątego palca przy

podnoszeniu filiżanki.

Może ratowało mnie czytanie. W pobliskich bibliotekach przeczytałam wszystkie nowości, ideowo słuszne pozycje, które bibliotekarki musiały polecać wszystkim czytelnikom. Z desperacji chyba wyciągnęły stare kartony, mocno zakurzone, których z litości albo z bałaganiarstwa jeszcze nie wyrzucono. Ocalały z wojennej zawieruchy pozycje o szlachcie, mieszczaństwie, trafiłam nawet na poradnik savoir-vivre'u.

– Cześć, babciu. – Joanna wpadła do pokoju i cmoknęła mnie w policzek; naczynie się zakołysało. – Co na obiad? Gołąbki, cudownie, uwielbiam! – Wnuczka, mówiąc to, ucałowała matkę, zdjęła płaszcz i rzuciła torbę na środku przedpokoju. Wysunął się z niej mokry basenowy ręcznik.

– Mam dla was dobre wiadomości. – Okręciła się na jednej stopie, jakby tańczyła walca. Mokre włosy skręcały się w loki. – Zakochałam się!

Obie z Małgorzatą chciałyśmy cieszyć się szczęściem Joasi, ale odczuwałyśmy niepokój. Może nawet niesmak. Czekałyśmy przecież na wnuka.

– Doszłam do wniosku, że jestem zakochana w Arturze! – oznajmiła moja wnuczka i zniknęła w łazience.

Małgosia bezwiednie podniosła rękę do ust, ja stałam z opuszczonymi ramionami. Tak piękne, że aż nieprawdziwe. Gołąbki stygły. Spojrzałyśmy na siebie z ulgą, której nie udało nam się ukryć. Ja miałam szczerzy zamiar być bardziej tolerancyjną od mojej starszej córki, nie bardzo mi się udawało. Może tylko o tyle, że nie wyrażałam żadnej dezaprobaty, nie próbowałam niczego wybijać wnuczce z głowy. I tak by mnie nie posłuchała.

Musiałyśmy się prędko pozbierać. Joanna szybko wyszła z łazienki.

– Jesteście zadowolone? Chyba dobrze, nie?

Joanna zmieniła dietę na wysokobiałkową i teraz nakładała sobie kolejnego gołąbka. Wyszło na to, że kochanka namawiała ją do wege, a przecież dużo wcześniej unikała mięsa. Nieraz specjalnie dla niej szykowałam oddzielne dania, żeby tylko było bez białka zwierzęcego. Kto to nadaży za tą młodzieżą.

– Tak, bardzo – odparła Małgorzata, a ja pokiwałam głową. Co innego mogłam zrobić.

Strasznie szybko. Zakochiwanie i odkochiwanie się to u mojej córki raptowny proces – pomyślała Małgosia. Głośno natomiast powiedziała:

– Cieszę się, bardzo się cieszę, to dobry chłopak.

Obym tylko nadażała za kolejnymi zmianami – dodała jeszcze w myślach.

– Pycha, babciu. Tacie też by smakował – powiedziała Joanna. Małgorzata odłożyła sztucce.

– Chcesz nam powiedzieć coś jeszcze – bardziej stwierdziła niż zapytała.

– Mamo, to jest chore. Nie chcesz rozmawiać o tacie, a nawet nie wiesz, o co chodzi.

– Zostawił mnie. Porzucił – odparła moja córka, oddychając płycej.

– Nie denerwuj matki! – wtrąciłam się. Jeszcze trzeba, żeby Małgorzata znowu trafiła do szpitala.

– Nikogo nie zamierzam denerwować, niemniej to jest także mój dom. I ja chcę mieć mamę i tatę, nawet jako duża dziewczynka. A ty, mamo, nawet nie porozmawiałaś z ojcem, nie pozwoliłaś mu nic wytłumaczyć.

– Co tu tłumaczyć – odparła Małgosia. – Dostałam mail.

– Od taty?

Małgorzata nie odpowiedziała. Ja też wolałam nic nie mówić.

– Mamo, to jest nienormalne. Jutro po południu zabieram babcię do kina, wchodzi nowy Almodóvar, a do ciebie przyjdzie

tata. Osobiście go tu zaproszę. Nie musisz czekać z obiadem, nie musisz mieć nowej fryzury, ani dom nie musi być wysprzątny. Musisz być tylko ty i musisz po prostu go wysłuchać.

I Joasia nałożyła sobie kolejnego gołąbka.

– Przytyjesz – mruknęła Małgorzata.

– Wróciłam do mięska zaledwie dwa dni temu – odpowiedziała dziewczyna, wzruszając ramionami. – Najem się, a potem znów będzie normalnie.

Leżąc już wieczorem w łóżku, pomyślałam, że chciałabym spokojnie pożyć. *Jeśli chcesz rozśmieszyć Pana Boga, powiedz mu, jakie są Twoje plany* – przypomniałam sobie zasłyszane gdzieś zdanie. Nie wiem, kto je wypowiedział. Wciąż jednak o nim pamiętam.

Małgorzata myślała o tym samym. *Tylko dlaczego nie chcę nikogo rozśmieszać?*

Rozdział 45

MA

Wspólne życie z córką, wnuczką, nieobecny zięciem i ich problemami było dla mnie męczące. W ciągu ostatnich dni Joasia wpadała tylko po to, żeby coś zjeść. Małgorzata wprawdzie nie wychodziła, trochę pracowała w domu, ale także w niczym mi nie pomagała. Dużo odpoczywała, ewentualnie siedziała przy komputerze, wybijając na klawiaturze nerwowy rytm. Nie poganiałam jej, chcąc, żeby wróciła do formy. Tyle że sama nie bardzo dawałam radę. Moja kondycja, cóż, też nie była najlepsza. Nie skarżyłam się, a może nawet to i owo ukrywałam, po co martwić rodzinę. Na wszystko i na każdego przyjdzie pora. Póki co, utrzymaniem domu w stanie względnego ładu, gotowaniem, sprzątaniami, prasowaniem, podlewaniem kwiatków – wszystkim zajmowałam się ja. I bardzo chciałam już wrócić do swojego domu.

I dobrze. Niech Karol tu wróci i zrobi porządek – pomyślałam z samego rana. Wczorajsza rozmowa, a właściwie odwaga wnuczki, pozytywnie mnie zaskoczyła. Postawiła się matce, brawo. Właściwie co ja wygaduję. Nie pozwoliłabym się tak postawić mojemu dziecku. Tylko że czasy się zmieniły. Dzisiaj dzieci, młodzież szybciej dorastają. Mają swoje młode plany,

rozumne albo i nie, na ogół głupie. Co mądrego może wymyślić dwudziestoletnia podfruwajka? Ale niech jej będzie, niech będzie dorosła. Trzeba zresztą przyznać, wydoroślała trochę. A może to jest tak, że ja przestałam nadążać?

Rozmyślałam tak, sprząając po śniadaniu. Zdjęłam z ciepłej jeszcze blachy dwa kawałki świeżej drożdżówki. *I może powinnam dokończyć to, co zaczęłam* – pomyślałam, wycierając ręce i zdejmując fartuch.

Weszłam do dużego pokoju z tacą w rękach. Małgosia siedziała przy stole, wpatrując się w ekran komputera. Postawiłam tacę na środku, ustawiłam na stole filiżanki, dzbanek i mlecznik, wróciłam po talerzyki z ciastem. Małgorzata wciąż siedziała bez ruchu, ustawiłam wszystko idealnie symetrycznie i usiadłam z drugiej strony stołu.

– Wiosna już w pełni – powiedziałam.

Córka podniosła zdziwiony wzrok.

– Wiosna? Już właściwie lato – odpowiedziała.

– Małgosiu, trudno było o tym wszystkim rozmawiać.

Tak jakby teraz było łatwo. Pachniało świeżym drożdżowym ciastem, Małgorzata pochyliła głowę nad filiżanką kawy.

– Możesz mi wierzyć, mnie też nielekkko było słuchać. Mamo, może napiszesz wspomnienia?

– Dziecko, ja? – Roześmiałam się. W duchu jednak pomyślałam: *A dlaczego właściwie uważam to za ekstrawagancję?*

Małgorzata domyśliła się, o czym myślałam.

– Mamo, takie wspomnienia dla nas, dla rodziny. Nie muszą być dla wszystkich, dla całego świata, jeśli nie chcesz. Po prostu nie będziesz musiała tego już więcej opowiadać. A i Joanna powinna wiedzieć, i Katarzyna... To nasza historia, nasz los.

Nic nie odpowiedziałam, o czym innym chciałam pomówić.

– Małgosiu, nie uważasz, że czas porozmawiać?

Małgorzata doskonale rozumiała, o czym mówię.

– Każdy popełnia błędy – kontynuowałam.

– Nie musi jednak od razu zdradzać!

– Ty też kiedyś popełniłaś błąd, prawda?

– Zdarzyło się, ale wszystko naprawiłam. – Naburmuszyła się jak dziewczynka.

– Wszystko, na pewno? Tak do końca? A co z Joasią?

– Nie będę teraz o tym myśleć. W ogóle nie będę o tym myśleć.

– Możesz nie myśleć. Niech będzie, ty naprawiłaś swój błąd.

A jaką szansę na naprawę dajesz Karolowi?

– Jestem na niego zła.

Wzruszyłam ramionami.

– Ciągle jestem zła.

– I będziesz tę złość hołubić, podlewać i pielęgnować.

– Nie jestem gotowa...

– A kiedy będziesz? – Przerwałam córce. Zirytowała mnie.

Małgosia westchnęła, przyglądając się filizance. Wstałam, kręcąc głową. Poszłam do kuchni.

Małgorzata została sama. Zmywałam, sprzątałam, obydwu nam pozostał niesmak. Moja starsza córka przysunęła ponownie komputer i pochyliła głowę nad ekranem. Nie mogła jednak skupić się na pracy, myślała o mężu. W końcu zdobyła się na refleksję: *Za dużo o nim myślę. Wpatrywała się tępo w ekran. A na ogół jak się o czymś dużo myśli... Czy ja za nim tęsknię?*

Z dużym wahaniem wybrała numer komórki męża. Odebrał niepewny, widząc domowy numer, nie wiedział, czego się spodziewać. Sądził, że dzwoni do niego córka, i zdziwił się, nie słysząc jej głosu. W słuchawce panowała cisza, bo Małgosia gorączkowo zastanawiała się, co powiedzieć. *Tysiące myśli, a ja nie potrafię wydusić słowa* – karciała się w myślach.

Po chwili zaczęli mówić równocześnie, łapiąc łapczywie słowa, jakby były podsłuchane. „Małgorzata? To na pewno ty?”, „Karol, chciałam porozmawiać. Dobrze byłoby się spotkać”, „Chciałbym cię zobaczyć. Jak się czujesz?”, „Możesz przyjechać?”. Zarzucili się beładnymi zdaniami, pytaniami, wykrzyknikami. Na koniec Karol wyszeptał: – Jadę do ciebie. Teraz.

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

Słyszałam rozmowę z kuchni. Wstyd to przyznać, ale zakręciłam wodę, żeby słyszeć lepiej.

Miał przyjechać po południu – pomyślała Małgorzata po chwili. Rozejrzała się po pokoju. Wydał jej się brzydki. *Odmalować by trzeba* – pomyślała. – *Jaki tu bałagan.* Framuga pomiędzy kuchnią a salonem, dawno temu pomalowana na biało, teraz wydała jej się żółta. Małgorzata stała przy wielkiej dębowej komodzie, oparta o nią biodrem, i spoglądała na szarą, wytartą lekko kanapę z rozrzuconymi poduszkami. Wysłuzony mebel wyglądał smutno. Stał tuż przy wejściu do kuchni, czasem wyciągnięte nogi Karola przeszkadzały w przejściu. *Mogłyby być kolorowe. Te poduszki* – pomyślała.

Odwróciła głowę w stronę stołu, który czasem musiał służyć sześciu osobom, chociaż przeznaczony był dla czterech. Gdy przychodzili goście, Karol wystawiał stół na środek pokoju, niemal zastawiając przejście do kuchni, i przynosił krzesła – jedno z pokoju Joasi, drugie z tak zwanej pracowni. Małgorzata próbowała nazywać ją kiedyś pokojem gościnnym, ale Joanna po prostu wyśmiała matkę. „Dworskie maniery” – powiedziała, a Karol ją skarcił. Też byłam zdania, że tak nie można mówić do matki.

Co ja wyprawiam? – myślała moja córka. *Przecież Karol mieszkał tu tyle lat. Doskonale wie, że na komodzie stoją kurzące się figurki, a w rogu pokoju odłazi farba. Dawno miał tam położyć szpachlówkę. Dlaczego się tym zajmuję?*

Zwariowałam?

– Idę już – powiedziałam, wychodząc z kuchni. Odwiązałam w talii przybrudzony fartuch, niosłam go do łazienki.

– Co? – odezwała się Małgorzata.

Zmarszczyłam brwi.

– Cóż to za język?

– Przepraszam, mam, zamyśliłam się.

– Rozumiem. Idę do siebie. Przebiorę się, pomieszkam trochę. Pamiętasz, że dziś idziemy z Joanną do kina?

– Do kina? – Małgorzata się zdziwiła. – A tak, do kina – potwierdziła energicznym kiwnięciem.

– Źle się czujesz? Może odwołamy? – W duchu uśmiechałam się odrobinę złośliwie.

– Nie, wszystko w porządku.

– Połóż się. Coś dziwnie wyglądasz. Masz na blacie czajnik ze świeżą herbatą. Nie przecpracowuj się. – Odruchowo wydawałam polecenia.

– Tak, mam, nie będę – tak samo odruchowo odparła Małgorzata.

Patrzyłam na nią podejrzliwie.

– Na pewno?

– Na pewno, wszystko w porządku.

Wyszłam, cicho zamykając za sobą drzwi. Niewysokie obcasy trochę stukały, przez chwilę echo odbijało moje kroki na kamiennej posadzce klatki schodowej.

Tekturowe te nasze drzwi – pomyślała Małgosia. A potem spojrzała na siebie i rzuciła się do szafy. Ostatnie dni, szpital i domowe zamknięcie oduczyły ją staranności w ubiorze. Makijażu nie stosowała wcale. Teraz przerzucała kolejne ubrania, bała się przesady i śmieszności. W międzyczasie wróciłam na chwilę.

– Nie słyszałam, jak weszłaś – powiedziała Małgorzata,

odwracając głowę w stronę uchylonych drzwi. Stała właśnie na jednej nodze, zakładając spódnicę.

– Tak pomyślałam... – Otworzyłam drzwi szerzej, trzymając w ręku niewielką reklamówkę.

– Mamo, ty w butach? – Małgorzata zdziwiła się machinalnie.

– I w płaszczu. Już wychodzę, na chwilę tylko wróciłam.

Podaliśmy córce cienki pakunek i nie czekając na reakcję, skierowałam się w stronę drzwi. „Pończochy samonośne” – przeczytała Małgorzata. Nie zastanawiała się. Trochę uciskały uda, to było nowe odczucie. Kiedy Karol zadzwonił do drzwi, przymierzała piątą parę butów. *Do pończoch nie mogę nosić kapci* – pomyślała.

– Mogłeś otworzyć kluczem. Nie wyrzuciłeś go chyba? – powiedziała.

Że też ja zawsze muszę z jakimiś pretensjami wyskoczyć – zmitygowała się.

Karol otworzył dłoń.

– Nie miałem odwagi – odpowiedział, pokazując klucz.

Stali tak, bez ruchu.

Nie wiem, co powiedzieć – pomyśleli równocześnie.

– Herbata – wydukała Małgorzata. – Mama zrobiła herbatę.

– Pomogę ci – powiedział Karol. Zderzyli się ramionami.

Karol zatrzymał się, Małgorzata, już w kuchni, sięgnęła po czajnik. Stał w przejściu, nie pozwalając jej wyjść.

– Ty wiesz, że to nieprawda? Nie zdradziłem cię, nigdy cię nie zdradziłem.

Mrugała.

– Ale będziemy rozmawiać tak... na stojąco? – powiedziała po chwili.

Przesunął się, pozwalając jej wynieść gorące naczynie. Wszedł do kuchni, wyjął z szafki filiżanki i przyniósł na stół.

– Skąd mam wiedzieć? Wyjechałeś.

– Zostawiłem ci list.

– List?

– No... – zająknął się – kartkę. Że wracam w piątek i że do zobaczenia.

– Nie znalazłam żadnej kartki. Poza tym te esemesy...

– Esesesy?

– Nie powinnam, ale... niechący, naprawdę.

– Małgosia, po prostu powiedz, jakie.

– No... umawiałeś się na wyjazd...

– Pewnie, że się umawiałem, koleżankę zabierałem. Przecież to był służbowy wyjazd.

– No bo...

– Myślałaś, że ja umawiam się na... Na co właściwie?

– Skoro nie wróciłeś na noc...

– To bez sensu, wiesz o tym.

Spuściła głowę.

– Brakowało mi cię – powiedziała cicho.

Westchnął głośno.

– Jak dobrze to słyszeć. Spędzałem przy twoim łóżku w szpitalu całe godziny, modląc się, żeby to usłyszeć.

– Modląc się? Ty?

– Nie bądź czepialska – mruknął Karol, chwytając żonę za rękę. Wstała, a on przytulił ją z całych sił.

– Zgnieciesz mnie – powiedziała ciepło.

Wypuścił ją.

– Jesteś za cenna.

– Przyniosę ciasto – zakomunikowała i przeszła do kuchni.

Karol wszedł za nią, objął ją od tyłu, całował po szyi, podciągnął sukienkę. Wyczuł skraj bielizny.

– Małgośka! Ty masz pończochy! – Roześmiał się.

– Ja... tylko tak, chciałam spróbować – tłumaczyła się, a Karol podniósł ją wysoko i wyszeptał: cudownie, wspaniale,

uwielbiam to, wiesz?

I wtedy wróciła Joanna.

– Eeee... – Zaczęła inteligentnie. – Nie miałeś być – spojrzała na zegarek – później?

– Miałem. Ale jestem wcześniej.

– Aha. Dacie ciasta? – spytała, kierując się do łazienki.

Ale czad! Czy mi się wydaje, czy oni się całowali? Nie jest źle – myślała, myjąc ręce.

– Nareszcie razem – powiedziała, wchodząc do salonu. Rodzice siedzieli przy stole, obydwójce obejmowali filiżanki. Herbata już wystygła, ale wyglądali, jakby grzali nią ręce.

– Będzie jakiś obiad?

– Będzie, będzie – odpowiedziała Małgorzata, po czym podniosła na córkę wzrok i zerwała się na równe nogi. – Obiad! No przecież!

Joanna stanęła nad ojcem, strojąc niewinne miny.

– Nie naśmiewaj się ze staruszków. – Pogroził jej palcem.

– Dość się wami naprzejmowałam, mogę sobie wreszcie odbić.

– Brakowało mi twojej mamy okropnie. I ciebie też. To jakiś bezsens.

– Od razu to mówiłam.

– To idź teraz pomóc mamie.

Dziewczyna posłusznie skierowała się w stronę kuchni.

Ale nie bardzo było w czym pomagać. Zostawiłam obiad przygotowany, już w garnkach. Odgrzewanie nie było pracochłonne.

Coś łatwo nam poszło – pomyślał Karol. Może za łatwo. Tęsknota, no tak. Pożądanie... tak, zdecydowanie. Pożądanie Małgości i już. Ale nic nie dzieje się bez przyczyny. Jak to się mogło stać?

Joanna wniosła talerze.

Moja praktyczna żona – pomyślał Karol. Jedzenie na

talerzach, nie na półmiskach. Wprawdzie na talerzach z porcelany, ale zawsze zmywania mniej.

– Jak na uczelni? – zagadnął córkę.

– Tato, co ty mi tu z uczelnią. Wszystko w porządku. Lepiej się zajmij sprawami z mamą, ja sobie na uczelni poradzę.

Jeśli sobie poradzę – dodała w myślach, bo wcale nie była tego taka pewna.

Małgosia bardziej skubała niż jadła, chociaż zrobiłam jej ulubione zrazy. Karol zagadywał Joannę, która jadła z takim zapamiętaniem, że nie miała czasu odpowiadać ojcu.

– Głodna jesteś? – zagadnęła Małgorzata.

Młoda tylko kiwnęła głową.

Jakbym nie widziała, że jest. Pożera wszystko jak leci – pomyślała. *Czuję się chyba skrępowana. Przy własnym mężu!*

– Dobrze – powiedziała Joanna, odkładając sztucce. – Babcia to umie gotować. – Ziewnęła.

– Joasiu! – zmitygowała ją matka.

– Spać mi się chce, ale i tak muszę lecieć. Z babcią się przecież umówiłam, a coś jeszcze mam do załatwienia.

Przede wszystkim danie wam wolnej chaty – dodała w myślach.

Ucałowała rodziców, przebrała się w ciemną sukienkę z kopertowym dekoltem i wybiegła.

To musi być miłość – rozmyślała już po wyjściu. *Kochać, może i zdradzać, ale tak kochać, że wracać. Sądziłam, że miało być jakoś inaczej. Coś mówili, że na zawsze i tak dalej, ale pewnie coś pomyliłam. Ciekawe, jak mnie się sprawy poukładają.*

– Pomogę ci – powiedział Karol, ruszając do kuchni za żoną, zaraz po wyjściu Joanny.

– A co tam takiego, trzy tale... – próbowała powiedzieć Małgorzata, Karol przerwał jej pocałunkiem.

– Nic mnie nie obchodzą te talerze, wiesz?

– Wiem – odpowiedziała.

– Powinniśmy porozmawiać – powiedział Karol czterdzieści minut później.

Kiwnęła głową.

– Pomyślałem, że... coś się stało – kontynuował.

Parsknęła.

– Serio?

– No wiesz, nic się nie stało...

– To się stało czy nie?

– Oj. – Chwycił jej twarz obiema dłońmi i długo całował. – Czy teraz dasz mi powiedzieć?

– Ja chyba wiem, co chcesz powiedzieć.

– No właśnie.

– Może odpuśćmy długie rozmowy – powiedziała ku zdziwieniu Karola. – Może po prostu spędzajmy razem więcej czasu. Wiem, wiem – od razu dodała, widząc minę Karola – wiem. W tygodniu nie da rady. Ale może jednak w niedzielę? W sobotę? Może ten las to jest jednak dobry pomysł? Spacer, nicnierobienie. I wtedy porozmawiamy. Nie bardzo chyba wiemy, kim jesteśmy, kim się staliśmy, ty i ja. Ja nie wiem o tobie, ty o mnie. Mijamy się.

Milczeli.

– Mijamy – powiedział cicho Karol. – To nie jest dobry sposób na życie. – A po dłuższej chwili dodał: – Pójdę już. Było cudownie.

Uśmiechnęła się i pocałowała.

– Wracaj szybko – powiedziała szeptem.

Gdy Karol w końcu wyszedł, oparła się plecami o drzwi. *Bywam głupia* – pomyślała. *Tylko dlaczego aż tak bardzo?* Zamierzała wrócić do pracy, ale już przy stole, gdy rozkładała laptopa, uświadomiła sobie: *I ciągle jestem głupia! Nie umówiliśmy się!* Chwyciła telefon. Napisała do Karola: „Kiedy

wrócisz?”.

„A kiedy mam?” – odpisał bezzwłocznie. *Skoro potrafiłem ranić znacznie bardziej niż chciałem, a cierpieć z tego powodu jeszcze bardziej, ponad własne wyobrażenie, to chyba nie mogę bez ciebie żyć, moja żono – pomyślał.*

„Jutro. Teraz. Zaraz” – napisała Małgorzata. Popatrzyła za okno. Podeszła, odsunęła firankę. Pąki już popękały na drzewach, liście kłuły w oczy zielenią, było pięknie, choć nastał już wieczór i niebo poszarzało. *A ja się tym w ogóle nie przejmuję. Zmierzch nie zmierzch, dla mnie i tak jest słonecznie – pomyślała.*

Następnego ranka Karol obudził domowników skwierczeniem boczku i zapachem jajecznicy. *Tym razem skorzystał z kluczy – pomyślała Małgorzata. Dlaczego tak długo zwlekał?*

Rozdział 46

TUTAJ

- Impreza! – wpadam z hałasem do świata Romana. Patrzy zdziwiony, odrywa ręce od gliny.*
- Jesteś moją idolką – mówi ostrożnie. – Ale wolałbym znać ideę, która ci przyświeca.*
- Nie istnieje – odpowiadam swobodnie. – Jest teraz po prostu idealny czas na imprezę.*
- Aha.*
- Chcieliście podobno się do mnie obydwaj wprowadzić?*
- I jeszcze nie raz będziemy chcieli. Ale przecież mamy czas. Tak, mamy czas. W tym świecie mamy czas.*

Rozdział 47

KA

Kolację wydali Małgorzata i Karol, ale przygotowałam ją ja. Jakżeby inaczej. Przyćmiłam ciut bohaterów wieczoru, oświadczając kategorycznie, że w końcu definitywnie wracam do siebie.

– Nie wyobrażam sobie prowadzenia domu dla trzech dorosłych osób, ze mną czterech. I to jeszcze domu wariatów. Nie mam tyle siły.

Rozbawiłam pensjonariuszy rzeczzonego domu. Przynajmniej takie sprawiali wrażenie.

– Wy tu sobie kolacyjki, wszystkim jest dobrze, a ja jestem stara i zmęczona.

– Babciu. – Joanna przytuliła się do mnie. Zawsze wiedziała, jak mnie rozczulić. Stuprocentowa wnuczka.

– Dobrze, dobrze, bez takich tu. Pomóż lepiej z kuchni nosić – sarkałam, jednocześnie mocno ją obejmując. *Nie wiadomo, kiedy ją znowu weźmie na karesy, trzeba korzystać* – myślałam.

Bez babci będzie niedomowo – pomyślała Joanna. *Jak ja sobie poradzę sama?* – przemknęło Małgosi przez głowę. *Czy dam radę pomóc Małgorzacie?* – rozważał Karol. Jedynie Katarzyna wyraziła uznanie dla mojej decyzji.

– To dobrze, mamó, potrzebujesz odpoczynku. Wszyscy się tu mamą wysługujecie – powiedziała z drobną pretensją.

Małgorzata zacisnęła szczękę.

– Ty się nie wysługujesz. Ty po prostu nam wszystkim oszczędzasz swojego towarzystwa, wyjechałaś i już – powiedziała, unosząc głowę.

– Nie kłóćcie się, dziewczynki – powiedziałam odruchowo, jak trzydzieści lat temu.

Uwolniłam się z objęć wnuczki i komenderowałam Joasią. Czymś trzeba było zająć, siebie i towarzystwo. Tu postaw, tam zanieś – dyrygowałam. Małgosia dała sobie wolne, właściwie to ja jej dałam wolne. Pozwoliłam jej czuć się jak narzeczona, może panna młoda. Ignorowała kuchnię, wodząc wzrokiem za mężem.

Zaszkodziło mi – myślała moja córka. To na pewno ten wylew. Zamiast dbać o symetrycznie rozstawione talerze, ja tylko siedzę. O, i te kwiatki krzywo w wazonie... A jednak nie do końca mi przeszło – myślała, cały czas się uśmiechając.

– No wiecie. – Karol zaczął, unosząc kieliszek, a Joanna parsknęła śmiechem.

– Tato, wiemy, daj spokój.

– Córkuś, daj tacie powiedziec – wtrąciła Małgorzata.

Joanna uniosła rękę.

– Skoro tak, to powiem wam tylko, że mam najlepszą żonę na świecie. – Karol skrócił toast.

– Nieprawda – powiedziała Joanna. – Masz najlepszą rodzinę na świecie.

– No fakt. I po co mi było przerywać?

– To może zaczniemy jeść? – wtrąciłam, patrząc na półmiski. – Stygnie.

– Stygnie – spuentował Karol, siadając. – Muszę szybko zjeść, żeby mi żona nie wystygła.

– Tato!

– Karol!

– No co? – Uśmiechnął się. – Nie mogłem się wygadać, to chociaż coś tam chlapnę.

Małgośka podjęła dobrą decyzję. Są szczęśliwi, czasem z przerwami, ale są. Ciekawe, czy moja siostra miałaby równie udane życie z Miłoszem? To ona jest ta dobra, czy Karol wszystko skleja? Kto to wie – myślała Katarzyna. Nie wtrącała się do rozmowy.

– Mamo! To jest pyszne – egzaltowanie wykrzyknęła Małgorzata.

– A od kiedy ty się, córuś, taka wylewna zrobiłaś – odpowiedziałam. Nie byłam przyzwyczajona do głośnych pochwał, deklarowałam nawet, że ich nie lubię. To nie była prawda, ale dobrze brzmiała. Utrzymywałam w ten sposób wizerunek statecznej starszej pani, która nie lubi egzaltacji, bo właściwie nie lubię. Jednak komplement w ustach Małgosi sprawił mi wyjątkową przyjemność. Moja córka rzadko cokolwiek chwaliła, a jeśli już, to raczej po cichu.

– Mamo, ale to jest naprawdę pyszne! – Karol wsparł żonę.

– No i nie mam nic do powiedzenia. – Rozłożyłam ręce. Udawałam, że to nic, ale to było wiele, takie bycie razem. Marzyłam o tym, kiedy byłam w wieku moich córek, nie tak poukładało się życie. Chociaż na stare lata mogłam tak побыć, z rodziną.

– I dobrze – wtrąciła się Joanna. – Co tu mówić, trzeba jeść.

Nowe otwarcie. Modne słowo. Jakby coś dopiero otwieranego mogło być starym. A może i mogłoby. Zepsuta wędlina w opakowaniu. Nowo otwarta, a stara. Małgośka i Karol znowu razem. Joanna chyba z Arturem, na to przynajmniej wygląda. Samo szczęście – myślała Katarzyna. *Tylko ja nie wiadomo co. Właściwie dlaczego nie wiadomo? Ja mam kruka za uchem.*

Mam szczęście tuż, tylko muszę odwrócić głowę, żeby je złapać. Oby nie uciekło...

– Coś taka milcząca? – zagadnęłam wreszcie młodszą córkę. – Przez cały wieczór ledwie kilka zdań powiedziałaś.

– Słucham i się cieszę. Jest, jak powinno być – odpowiedziała Katarzyna.

– Jeszcze żeby nam Joasia jakiegoś wnuka fundnęła – wtrąciła Małgorzata.

Joanna fuknęła.

– Mamo, ty znowu?

– Opowiadam o marzeniach, nie mogę?

Dziewczyna wywróciła oczami.

– Jest tak przyjemnie, daj spokój, Małgośka. – Katarzyna przerwała siostrze.

Zaczęłam podnosić się z krzesła.

– Mamo, pomogę ci – powiedziała, zanim Małgorzata ją ofuknęła.

– Ciociu, cudna ta bluzka – powiedziała Joasia, chwytając za następny półmisek.

– Prawda? Zachwyciłam się nią tak bardzo, że aż nie chciałam wstawiać do sklepu. Co tam inne baby będą takie piękne nosić.

– Katarzyna się uśmiechnęła. – Ale oczywiście przyjadą w najbliższej dostawie. Pięćdziesiąt sztuk.

– Całe szczęście. Powinny się dobrze sprzedać. Ostatnio hitem były te gniecione spódnice w pionowe pasy. Sprzedały się w tydzień. Może jeszcze byś takie znalazła?

– Nic mi Iwona nie mówiła.

– Ale ja spojrzałam w raporty. Iwona pewnie ci powie, jak się spotkacie.

– Wczoraj się widziałyśmy.

– To pewnie mnóstwo miałyście do omówienia.

– Prawda. I co, te pasy, naprawdę? Pamiętam, gdzie je

zamawiałam, wezmę jeszcze... Chociaż to była ręczna robota. Szyli je, wyobraź sobie, w jednej budzie na bazarze. Nie wiem, czy będą jeszcze mieli... Zamówię najwyżej.

– Te bluzki też powinny dobrze iść – powiedziała dziewczyna, wciąż przyglądając się ciotce.

– Kochane, co wy, zmywanie czeka. – Przerwałam im, chociaż zastanowiła mnie ich rozmowa. Małgosia z taką nieufnością podchodziła do Joasi. Że młoda, niedoświadczona, nie umie. Katarzyna zaś chwaliła ją, że zainteresowana biznesem. I słuchała, co ta miała do powiedzenia. Może jednak młodzi swoje wiedzą? Mają swoje metody, inne ścieżki, ale prowadzące właśnie tam, gdzie należy iść? To nam, starym, się wydaje, że mamy monopol na wiedzę. Tylko czy ja jestem tak samo stara jak moje córki? A może tylko Małgorzata jest stara, a Katarzyna dostrzega młodość?

Trzy pokolenia w pełnej zgodzie sprzątały ze stołu. Joasia, Kasia i ja. Zmywanie, wycieranie, kawa, deser. Małgorzata i Karol w tym czasie siedzieli przytuleni na kanapie.

– Dawno tak nie spędzaliśmy czasu – powiedziała Małgorzata.

– Dawno – odparł Karol.

– Chciałabym częściej

– Chciałbym częściej.

– To tak zrobimy – powiedziała.

– Lody z bezą – zapowiedziała moja wnuczka, wnosząc deser.

– Rewelacja – jęknął Karol. – Są dokładki?

– Jeszcze jednego nie zacząłeś. – Zdziwiłam się odruchowo.

– Ale zjem minimum dwie porcje i będę chory z przejedzenia.

– To twój plan na dziś? – Nie powstrzymałam się od złośliwości.

– Będę ci masować brzuch – szepnęła Małgorzata.

Joasia spiorunowała matkę wzrokiem, nic jednak nie powiedziała.

– Mój plan na dziś jest zupełnie inny, ale nie będę gorszyć dziecka.

Joanna wywróciła oczami.

Katarzyna cieszyła się razem z siostrą. Miała jednak pewną sprawę, którą chciała – uregulować, załatwić? – podczas pobytu w Polsce. Dotyczyła Miłosa. Małgorzata ciągle nie wiedziała, że miał zostać jej szwagrem, a Kasia nie miała pomysłu, jak porozmawiać z siostrą. Zamierzała to scedować na mnie, jak zawsze trudne sprawy. Już wspomniała, że chce się ze mną naradzić, i między innymi dlatego cieszyła się z mojego powrotu do połówki willi. „Tam będziemy mogli porozmawiać spokojnie” – powiedziała dwa dni wcześniej, a ja domyśliłam się, że potrzebowała rady jak nigdy dotąd. Moja młodsza córka nigdy nie pytała mnie o zdanie. I całe szczęście, gdyby zapytała, na pewno nie założyłaby firmy. Byłaby mężatką, bo nie pozwoliłabym jej na odrzucenie zalotów najatrakcyjniejszego kawalera w okolicy. Nie rozmawialiśmy o tym, ale i ona, i ja wiedziałyśmy, że ów kawaler odsiadywał właśnie wyrok za pobicie swojej żony i dziecka. Gdyby Kasia słuchała moich rad, miałaby skończone studia, może doktorat w drodze, może habilitację. Jak Małgorzata.

Nie miałam wrażenia, że do czegokolwiek zmuszałam Małgosię. Robiła, co chciała, czy po prostu odgadywała moje pragnienia? Wolałam myśleć, że to pierwsze. Z tym że decyzje Małgosi uważałam za słuszne, a Kasi za błędne. I wolałam nie zastanawiać się, która z moich córek jest bardziej szczęśliwa.

Szykowałam się więc na rozmowę z Katarzyną. W starej mokotowskiej willi, pamiętajacej przedwojenne czasy i niepamiętajacej remontu. Przeszkadzać nam mogły wyłącznie kuchenne mrówki, które zaległy się tam trzy lata temu i z których obecnością nie mogłam sobie poradzić. Nie było się jednak czym przejmować. Insekty nie są gadatliwe, prawda?

Rozdział 48

JO

Wiosna leniwie przechodziła w lato, za to od razu upalne. Artur był zakochany, moja wnuczka chwilowo nie opędzała się od niego. Chłopakowi nie przeszkadzała mieszana orientacja dziewczyny. Jego zdaniem to była chwilowa słabość; on kochał ją, a ona jego, wszystko inne było przejściowym nieporozumieniem.

Znów chodzili na wieczorne seanse, *Viva España!* i kino iberoamerykańskie towarzyszyło im niemal codziennie. Czekali, aż Katarzyna wróci do Indii i udostępni im mieszkanie. Spędzali razem tak dużo czasu, jak tylko było to możliwe – ucząc się, całując nad stronami podręczników, chodząc na basen. Joanna była szczęśliwa. O Grażynie myślała czasami – „wyrachowana”.

Moja wnuczka zaklinała rzeczywistość. Zamknęła kilka swoich miesięcy do pudełka. Miało królować lato i miłość. *Niech żyje Artur!* – myślała czasami. To samo myśleli jej rodzice, ciotka i ja. Wszyscy lubiliśmy Artura. Małgosia i Karol nie mieli nic przeciwko wieczornym wyjściom, weekendowym wyjazdom ani nieśmiałym macankom. Joanna i Artur tymczasem niepostrzeżenie weszli w świat dorosłych uczuć i odpowiedzialności za drugiego człowieka. Było im z tym

dobrze. To przecież dobrze, prawda?

Rozdział 49

KA

Katarzyna wciąż szukała sposobności do rozmowy z siostrą, ciągle miała nowe pomysły na spotkanie, byłam już tym zmęczona. Wyciągnęła ją do SPA, ale Małgorzata z trudem to zniosła. Z rozmowy nic nie wyszło, Małgosia, zirytowana, szybko wyszła. Zupełnie mnie to nie zdziwiło. Potem poszły razem na zakupy, Katarzyna cieszyła oko, głaskała materiały, przymierzyła kilka ciuchów.

– Muszę sprawdzić, jak leży takie cięcie – powiedziała, a Małgosia spojrzała na nią z niezrozumieniem. Moja młodsza córka opowiadała mi o tym ze zmarszczonymi brwiami, a ja z trudem powstrzymałam się od śmiechu. Nie chciałam jej wyśmiać. Kiedyś już nie powstrzymałam się od takiego śmiechu przy Małgosi. Nie pamiętam, o co wtedy chodziło, o jakiś drobiazg zapewne, i oczywiście nie mam nawet pewności, że to dlatego Małgosia nigdy więcej mi się nie zwierzała. Obserwując Kasię, miałam teraz wrażenie, że znów patrzę na nastolatkę.

Moje córki, z inicjatywy Kasi, spotkały się także dwa razy na kawie. Dyskutowały o wszystkim – tylko nie o Miłoszu. *To okrutne, co chcę zrobić* – tłumaczyła sobie Katarzyna. *Przecież nie chcę ranić własnej siostry! Ani się przed nią ukrywać. To*

powinnam powiedzieć czy nie? I co? I jak – rozmyślała. Z ponurą miną mi się zwierzała. Opowiedziała, że nie pomogły znaleźć odpowiedzi wróżby z płatków, chociaż Kasia specjalnie pojechała za miasto w poszukiwaniu chabrów. Bo chabry są najlepsze, to wiedziała od dziecka. Już kiedy miała osiem lat, chabry zdradziły jej, że nie będzie miała szczęścia w miłości, dopiero na starość, a i to nie na pewno. *A kiedy to jest starość?* – myślała. *Starość to teraz, przynajmniej w oczach ośmioletniej dziewczynki.* Śmiałam się z niej. Starość. Co ona o tym mogła wiedzieć?

Dla Kasi oczywiste było także, że chabry wpływają pozytywnie na relacje międzyludzkie i sprzyjają zgodzie. Tego też dowiedziała się jako mała dziewczynka, a potwierdziła jako dorosła, studiując liczne publikacje na ten temat. Fakt, że odruchowo nigdy nie podzieliła się tą wiedzą ze starszą siostrą, nigdy nie dał jej do myślenia. Niemniej, teraz właśnie potrzebowała chabrów. Najbardziej chciała zgody. *No i żeby być już z powrotem w ramionach Miłosa* – myślała.

Katarzyna przyjeżdżała do mnie kilkakrotnie. Dobrze być matką, do której dzieci przyjeżdżają po radę. Słuchałam w milczeniu, dobra rozmowa to przede wszystkim umiejętność słuchania. Zaparzyłam rumianek, który Kasia piła, chociaż za nim nie przepadała. Nie zwracała uwagi na zawartość filiżanki. A wiadomo przecież, rumianek dobry na prawie wszystko, na cerę, ból brzucha i zapalenie spojówek. Kiedyś skóra Katarzyny, potraktowana naparem z owego zieleń, zakwitła własnym kwiatem. Czerwonym, spuchniętym i swędzącym wykwitem, który zszedł dopiero po pięciu dniach. I chociaż napój już jej nie uczulał, niechęć pozostała.

Teraz jednak piła i czekała, aż zechcę się wypowiedzieć. Nie bardzo chciałam, nie mogłam jednak od tego uciec.

– Kłamstwo nie popłaca – powiedziałam ostrożnie, choć

miałam wielką ochotę powiedzieć coś innego.

– Tylko ja nie mam pojęcia, jak powiedzieć! Zapisywałam to już na kartce, ćwiczyłam przed lustrem, ciągle nie umiem. Sama zresztą wiesz, pewne rzeczy niełatwo się mówi.

– Wiem, kochana, wiem. I wiem też, jaki ciężar niosą niewypowiedziane słowa. Dlatego po prostu powiedz.

– Ale kiedy? Próbowałam już. Zaprosiłam Małgośkę do knajpy. Wzięłam na zakupy. Do jacuzzi. Nie umiem.

– Dziecko, tobie nie brakuje słów. Tobie brakuje odwagi!

Katarzyna chciała sięgnąć po papierosa, chociaż od dawna nie paliła. Nadmiernie się rozczułała nad sobą ta moja córka.

– Masz rację, jestem tchórzem. Umiałabyś przegonić ze mnie tego asekuranta? Lata nade mną jak czarny ptak, gubi pióra i kracze. Naprawdę próbowałam. Pół Warszawy zjeździłyśmy, szukałam dobrego miejsca, żadne nie miało właściwej energii. I czas nie był widocznie właściwy.

– Bzdura – odrzekłam kategorycznie. – W takim razie zaproszę do siebie Małgosię, ty wpadniesz mimochodem. Wyjdę do kuchni, a ty powiesz. Po prostu. Kiedy wrócę, będziecie pić zgodnie herbatę.

– A jeśli nie?

– To będę was godzić. Jesteście siostrami, nie możecie się oszukiwać, czyż nie?

Rozdział 50

TUTAJ

– A cóż to za jeremiada? – Dziwię się, wchodząc do Stanisława.

– Jakby kto trąby jerychońskie ustawił, i to razem z wiatrem.

– Za dużo ostatnio pozwalam Romanowi.

– Dlatego tak jójczyłeś? – Milknę, wchodząc do jego domu. – To nawet ładne – mówię, wskazując na jadeitową figurkę ustawioną na środku jednego z kilkunastu mebelków zagrających wcześniej przestrzenie wnętrza.

– To akurat nie od Romana. To dla ciebie – mówi, podnosząc figurkę.

Przyjmuję prezent, bo wiem, że chociaż jest bardzo cenna, Stanisław nie musiał za nią płacić.

– Może stąd jednak wyjdźmy... – mówię nieśmiało. – Wiesz, przyszedłam zaprosić cię na imprezę. Romana już zaprosiłam. W nagrodę za tak intensywną pracę dodam mu do deseru jalapy.

– Podła. – Stanisław się uśmiecha. – A deser zrób z jagód.

– I zaparzę herbatkę z jarzębiny.

– Muszę to wyrzucić. Tylko nie chcę robić mu przykrości. – Rozgląda się bezradnie po zagraconym wnętrzu.

Patrzę ironicznie. Stanisław opuszcza ramiona, po czym

wypowiada szeptem jakieś zdanie.

Pomieszczenie opróżnia się. Bez hałasu, wizgu i innych czarodziejskich świstów.

– I znowu jest miło – mówię.

– A ty znów masz jad na języku – odpowiada.

– W sumie... każdy z nas jest tylko jadermanem, prawda?

Rozdział 51

MA

Uważnie obserwowaliśmy wysiłki Małgosi, która bardzo chciała wrócić do normalności. Poruszała się z dawnym wdziękiem, co cieszyło bardzo Karola, była jednak znacznie wolniejsza w ruchach. Myśli miewała rozproszone, co było sporą zmianą. Moja córka zawsze myślała konkretnie, z żelazną logiką godną naukowca. Teraz zdarzało jej się zapomnieć, o czym chwilę wcześniej rozmawialiśmy. Zadawała czasami powtórnie to samo pytanie. Niekiedy trudno było zrozumieć jej tok myślenia, czasem znów zaskakiwała błyskotliwością. Do tego jeszcze łatwo się męczyła.

Muszę się nią opiekować – myślał Karol ciepło. Roztkliwił się nad żoną w każdych okolicznościach, w domu i jadąc samochodem do pracy.

Karol jechał na spotkanie z Wiktorem, z którym umówił się trochę przez przypadek. Komórka Małgosi często bywała teraz wyłączona. Wiktor skorzystał któregoś dnia z telefonu domowego, numer dostał od Małgorzaty w czasach, gdy komórki były jeszcze ekstrawagancją. Moja córka i zięć kilkakrotnie zastanawiali się już, czy nie zlikwidować stacjonarnego telefonu, nawet rozmawialiśmy o tym,

dotychczas jednak tego nie zrobili. *I widocznie po coś go trzymaliśmy* – pomyślał Karol, jadąc na spotkanie z profesorem.

Wiktor zadzwonił, gdy Małgosia była na wizycie kontrolnej u lekarza. Karol wpadł do domu pomiędzy spotkaniami, właściwie przez przypadek ktokolwiek był w domu. Panowie poznali się na dorocznych przyjęciach organizowanych przez uczelnię. Prowadzili wtedy uprzejme rozmowy o niczym, chociaż profesor był zdziwiony obyciem Karola w naukowej specjalizacji żony. Skąd mógł wiedzieć, że Karol zwyczajnie się tym interesował i miał przez chwilę taki młodzieńczy plan, by studiować fizykę. Zaczął, poznał Małgorzatę, skończył studiowanie. Zmienił kierunek, być może dlatego nie miał tego za złe Joannie. Podczas dorocznych spotkań Karol uznał naukowca za stetryczalego starca i nawet przez chwilę nie pomyślał, jak może postrzegać tego mężczyznę jego własna żona.

W czasie tej przypadkowej rozmowy telefonicznej Wiktor dopytywał się o zdrowie Małgorzaty i niedwuznacznie sugerował, że powinna teraz dłużej odpocząć. Zdenerwowało to Karola.

– Może powinniśmy się spotkać, profesorze? – zapytał najuprzejmiej, jak umiał.

– Och... rzeczywiście – odparł zaskoczony naukowiec. Z jego punktu widzenia nie było o czym rozmawiać, jednak ten elegancki biznesmen... Profesor sięgnął do kalendarza. – Może jutro? O czternastej?

Nawet nie przeszło mu przez myśl, że miałby się ruszać ze swojego gabinetu. Wiadomo, że jeśli ktoś chce się spotkać, przychodzi do niego.

– Oczywiście profesorze – odpowiedział grzecznie Karol. Mój zięć w biznesie nauczył się, że nie zawsze trzeba mieć rację. Można i należy się czasem podporządkować, byle nie tracić

z oczu podstawowego celu w negocjacjach. Opowiadał o tym, bywało, że denerwował się przy kolacji, niekiedy słuchałam, jak moja córka go strofuje. Mam wrażenie, że wtedy właśnie Joasia zorientowała się, że praca ojca bywa ciekawa, że to coś więcej niż tylko biurko, komputer i wieczne podróże.

Najwyżej nie zjem lunchu – pomyślał Karol, umawiając się z profesorem.

Gdy jechał na spotkanie, czuł wyrzuty: *Znowu tajemnice. Powinienem powiedzieć Małgosi, będzie miała pretensje. Chciałbym ją chronić, ale czy ona to zrozumie?*

Pod drzwiami gabinetu Karol poczuł pokusę, żeby zawrócić. Był wcześniej, za wcześniej. Wybrał numer do żony.

– Wiesz, wczoraj zadzwonił Wiktor... i... – Zaczął się tłumaczyć. – Zadzwonił, umówiłem się na rozmowę. Właściwie nie wiem, dlaczego bez ciebie. Stoję teraz przed drzwiami jego gabinetu i nie wiem, czy wejść. Mam jeszcze ponad pół godziny do spotkania... Zdażę, ubieraj się. Będę po ciebie za dziesięć minut.

Do pokoju Wiktora weszli razem. Profesor przyjął ze zdziwieniem obecność Małgorzaty.

Usiedli na twardych krzesłach w gabinecie, w którym tak wiele razy Małgorzata spędzała całe godziny na merytorycznych dyskusjach. W profesorskim pokoiku wielkości sporej łazienki ściany podpierały regały zakurzonych książek, krzesła trzeszczały, a biurko było meblem ze stalowych rurek, pamiętającym lepsze czasy. Pokój był zavalony książkami i brulionowymi publikacjami z okresu, w którym nic nie wydawano pięknie ani starannie. Z konieczności liczyła się tylko treść, do sztuki edytorskiej nikt nie miał głowy. Część czarno-białych grzbietów stała równo na półkach, część leżała w nieskładnych stertach na podłodze. To te, z których profesor niedawno korzystał, przy czym „niedawno” było dla niego

pojęciem mocno względnym. Mogło zdarzyć się zarówno przedwczoraj, jak i siedem lat temu. Tylko biurko było czyste. Na nim stał monitor i przybornik ze srebrnym piórem, z oprawką z granatowej laki. Profesor rzadko używał tego pióra, było raczej wspomnieniem czasów, gdy był młody i obiecujący. Wtedy to docenił go tym eleganckim przedmiotem jego profesor, a był to wówczas, w czasach, gdy długopis BIC był luksusem pachnącym zachodnią zgnilizną, przedmiot bezcenny, wyjątkowy. Dziś profesor spoglądał na pióro z nostalgią, regularnie brał je w dłonie, wycierał srebrną skuwkę, ale nie używał. *Co miałbym pisać takim przedmiotem? – myślał. Tym warto by napisać rozprawę godną Nobla, a nie wstawiać oceny kolejnym studentom.*

Karol widział w gabinecie profesora archiwum. Jednak moja córka za każdym razem, gdy przekraczała próg profesorskiego gabinetu, czuła się zaszczycona, podekscytowana. Uważała się za wyróżnioną samym faktem, że mogła tu przebywać. Była jednym z nielicznych pracowników naukowych, którzy tak postrzegali Wiktora. Jej fascynacja profesorem była platoniczna, za to bałwochwalcza. Chociaż z czystością myśli Małgosia miewała czasem problem, to jednak niemal wyłącznie na pograniczu snu. Wiktorowi wystawiła pomnik za życia.

Wiktor cenił Małgorzatę. W jego oczach pozbawiona była polotu, ale można było na nią liczyć. Był świadomy adoracji i łechtalo to jego dumę. Lubił szczególnie, kiedy chodziła na szpilkach, w płaskich butach nie wydawała mu się atrakcyjna. Za to gdy była na wysokich obcasach, wyobrażał sobie, że nosi pończochy.

To ich łączyło. Platoniczne, podszyte włochatymi marzeniami uznanie.

Wiktor cenił Małgorzatę jako pracownicę, ale nie lubił kłopotów, a jej choroba mogła oznaczać problemy i tych się

obawiał. Już nie było dla Małgorzaty miejsca w zespole profesora.

Małgosia wyszła milcząca, Karol zacisnął zęby już podczas rozmowy. Nie wtrącał się, uważając, że Małgorzata miałaby mu to za złe. Przerwać profesorowi? Do niedawna byłby to afront do sześcianu. Nie miał pojęcia, jak będzie teraz. Chciał okazać się mężczyzną, zrobić coś, cokolwiek, bić Wiktora, albo chociaż walnąć pięścią w ścianę. Ale Małgorzata chwyciła go za rękę i powiedziała, gdy Wiktor skończył:

– Rozumiem, profesorze.

Wiktor uznał sprawę za zakończoną.

Mnie Małgorzata opowiedziała o tym dopiero po trzech dniach. Przez ten czas mówiła mało, poruszała się jeszcze odrobinę wolniej. Karol nie poganiał żony. Trzeciego dnia po powrocie z pracy jednak zagadnął:

– Małgosiu – zaczął nieśmiało – a gdybyśmy... hm... sam nie wiem... myślałem o tym... – Czekał, aż Małgorzata wykaże zainteresowanie. Nie było jednak żadnej reakcji. Siedziała w fotelu, uosobienie „nie potrafię”. – Tyle lat mówiłaś mi, że chciałabyś mieć dom, z ogrodem. Może byśmy... zawsze to była kwestia pieniędzy, i dalej jest, ale może czas się zebrać na odwagę. Jakoś byśmy poradzili.

– Nigdy nie lubiłeś słowa „jakoś” – odpowiedziała Małgosia ostrożnie. Uniosła jednak głowę i wykazała zainteresowanie.

– Tak... może czas podejść do sprawy elastyczniej. – Uśmiechnął się. – Trochę mamy odłożone, spodziewam się pokaźnej premii, musielibyśmy wziąć nieduży kredyt. Twoja mama mogłaby z nami zamieszkać, nie byłaby sama na stare lata.

Naiwniak. Głośno mogłam zaprzeczać, ale stare lata to nie była jakaś tam przyszłość, tylko coraz dotkliwiej strzykająca w kościach terażniejszość.

Zamilkł, Małgorzata patrzyła w dywan. Zagryzła wargi.

– Od kiedy nie żyją moi rodzice – kontynuował Karol – nie zastanawiałem się nad tym. Przeżyłem żałobę, pogodziłem się. A teraz... pomyślałem, że wielopokoleniowa rodzina to jest coś. Dom pełen ludzi, męczący czasem, ale pełen ciepła. Chciałabyś?

Znów zamilkł. Pozycja Małgorzaty minimalnie się zmieniła, wyżej uniosła głowę.

– Pewnie się starzeję – mówił dalej – bo przeszło mi przez myśl, że nie byłoby to złe. Mielibyśmy też miejsce dla Joasi i Artura, gdyby chcieli. Tak tylko pomyślałem. – Usiadł na oparciu fotela obok żony.

Odwróciła twarz w jego stronę.

– Moglibyśmy? – wyszeptała Małgorzata. – Naprawdę, moglibyśmy?

Rozłożył ręce w geście: „Dlaczego nie?”.

– Wziąłbym wolny dzień i pojeździlibyśmy po okolicy, w przyszłym tygodniu. Może coś nam się spodoba, jakiś gotowy dom, niekoniecznie nowy. Na budowę nie mam siły.

– Karol, cudownie. – Małgosia się uśmiechnęła. Po wylewie zrobiła się sentymentalna, w oczach zalśniły łzy. Ale tylko w kącikach.

– Chciałbym dom z charakterem – dodał.

– Z historią – wtrąciła ona.

– Mamy już plan. – Uśmiechnął się.

– I żeby miał ogród. Stary, z drzewami.

– Proszę bardzo – odparł.

– I werandę.

– Tylko się nie zapędzajmy.

Przytulił żonę, siedzieli tak długą chwilę. Zmierzch przeszedł w mrok, nie zapalili jeszcze lampy.

– Nie wyobrażam sobie życia bez pracy – powiedziała moja

córka po dłuższym milczeniu.

– Na razie ciągle pracujesz. Wiktor tylko stwierdził, że nie ty pojedziesz na stypendium do Stanów.

– Z domu nie poprowadzę wykładów ze studentami. Wiesz przecież, że to największa część mojej pracy. Badania nie zajmują wiele czasu, a jak – przełknęła ślinę – nie mam widoków na stypendium, to i tak nie mają sensu. Zresztą, dobrze wiesz, jak to jest – jesteś mniej wydajny, jesteś mniej potrzebny.

– Trudno zaprzeczyć – potwierdził.

– U ciebie w firmie takie osoby lądują na wypowiedzeniu po kilku tygodniach.

– Czasami od razu. – Przytaknął. – I chcesz się odciąć od uczelni?

– Mam być zapchajdziurą? Dostawać nagłe zastępstwa i porządkować notatki Wiktora?

– A jaki masz inny pomysł? Jeśli nie uczelnia, to co?

– Problem w tym, że nie wiem. Będę się musiała dowiedzieć.

– To co, w przyszłym tygodniu? – Upewnił się mój zięć.

– Tak. Pojedziemy w teren. I wystąpię o rentę.

– Super – odpowiedział, wstając. – O co wystąpisz? – dopiero dotarła do niego cała wypowiedź żony.

– Wystąpię o rentę. Lekarz mówił, że mogę się starać.

Karol zatrzymał się nad wciąż siedzącą w fotelu żoną.

– To jeszcze raz super – powiedział po chwili zastanowienia. – Będziesz mogła robić, co będziesz chciała. Pracować tak, jak będziesz chciała i mogła. I dopilnujesz domu. Ekstra. – Cmoknął ją w policzek.

– To może powiem mamie? Żeby się szykowała na przeprowadzkę?

– Będzie z nią przeprawa – mruknął Karol. – Nie zrezygnuje tak łatwo ze swojej wolności.

- Ale kiedyś jej trzeba powiedzieć - stwierdziła Małgorzata zdecydowanie.

Karol to zasłużył na zwyczajne lańsko. Tak mówić o starszej osobie! Że niby ze mną, przeprawa! Chociaż właściwie to ma rację. Ale dlaczego miałabym im ułatwić?

Rozdział 52

MA i KA

Małgosia przyjechała do mnie spóźniona tak bardzo, że Katarzyna, która miała przez przypadek „wpaść” na siostrę, dojechała pierwsza. Taki uknułyśmy plan. Tymczasem młodsza siostra siedziała spięta w starym fotelu, przykrytym szydełkową kapą z kolorowych kwadratów, i próbowała czytać ilustrowany tygodnik.

– Mamo, o czym to jest? – zapytała po przeczuciu go dwa razy.

– O plotkach – odpowiedziałam Kasi. Nieprzytomna była kompletnie.

– I ty to czytasz? – Moja młodsza córka drażyła temat.

– Kochana, to się ogląda. W sam raz dla kogoś, kto bez okularów widzi tylko szlaczek z liter.

– Tu przecież nawet obrazki są badziewne. – Kasia prychnęła. Była zirytowana czekaniem.

– Ale są kolorowe. Za moich czasów wszystko było czarno-białe, lichy wydrukowane, czyli szare. Doceniaj, co masz.

– Taaaak. – Katarzyna westchnęła. – Po tej tęczy, która jest w każdym, nawet zapomnianym i zakurzonym kącie indyjskiej ulicy, tutaj żaden kolor nie raduje oczu. Wszystko widzę jako

bure i niechlujne. Może dlatego jestem ciągle rozdrażniona.

– Po prostu boisz się rozmowy z siostrą. – Nazwałam rzeczy po imieniu.

– Jak zawsze do bólu bezpośrednia – wymamrotała Katarzyna.

– Wzrok mi szwankuje, ale słuch mam niezły. Szczera, tylko szczera. Przydałoby się także i tobie stanąć przed lustrem i trochę zażyć uczciwości. Wobec siebie. – Zastrzegłam, widząc grymas na twarzy Katarzyny.

Wolałam nie zastanawiać się zbyt głęboko nad tym, co właśnie powiedziałam.

Drobne skrzywienie widniało także na twarzy Małgorzaty, która wpadła spóźniona, tłumacząc się od razu w przedpokoju.

– Wybaczcie, byłam z Karolem na kawie.

Była tak szczęśliwa, że nie szpeciła jej ta niewielka pozostałość po wylewie. Każda zmarszczka była uśmiechem. U mojej starszej córki!

Kasia zdenerwowała się jeszcze bardziej.

Mam zniszczyć jej dobre samopoczucie? – myślała w panice.

Starsza siostra długo opowiadała o poszukiwaniach nowego domu.

– Działka ma być duża, żeby było miejsce na warzywniak i na duży ogród ozdobny. Najlepiej już wyrosnięty, nie mam czasu czekać całe lata. Kupiłam już górę książek i katalogów ogrodniczych – opowiadała.

Ona się śmieje jak nastolatka. Niech to licho! – myślała dalej Katarzyna.

– No i chciałabym, żeby niedaleko był las – kontynuowała Małgosia. – Wreszcie będziemy mogli mieć psa! Może nawet dwa. – Cieszyła się. – Już was zapraszam na herbatę przy kominku.

– Aha, a ja będę musiała ją zaparzyć – mruknęłam, wstając.

Wyszłam do kuchni po herbatę właśnie. Jeszcze trochę czekania na Małgorzatę, a całkowicie by wystygła.

– Mama nie jest zachwycona perspektywą mieszkania z nami – wyszeptała Małgosia do młodszej siostry. Nie sprawiała wrażenia przejętej moimi obiekcjami. – Myślę jednak, że tak będzie lepiej. Ten dom wymaga już sporo pracy, mama nie ma siły. I będzie jej milej mieszkać z kimś, mimo wszystko.

– Mimo co? – zapytałam, wnosząc tacę z czajnikiem. – Tak, tak, słuch mam ciągle dobry.

– Pomimo tego, że lubisz niezależność i samodzielność.

– Nie jestem jeszcze na etapie takiego zdziecinnienia, żebym potrzebowała opieki.

– Ależ skąd! – wykrzyknęła Małgorzata. – To my cię potrzebujemy.

Spryciuła. Skrzywiłam się, chyba wyraźnie, ale nic nie powiedziałam. *To właściwie dobrze, być potrzebnym* – pomyślałam po chwili.

Kasia słuchała bez ruchu, a kiedy wyszłam ponownie do kuchni, Małgorzata zapytała:

– Coś taka spięta? Masz problem?

Katarzyna pokiwała głową.

– Cieszę się, że pytasz... denerwuję się, bo nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Gośka zamilkła. Poczula lęk.

– Może słowami. – Usiłowała bagatelizować.

– Gryzę się tym od tygodni. Nie pojechałam do Indii z Januszem. Bardzo szybko z nim zerwałam.

– Skoro ci było z nim źle, to zerwałaś. A mówiłaś, że ma ładny, ten, no...

– Tyłek? – uzupełniła młodsza.

– Właśnie.

– Jestem z Miłozsem.

Wyczekiwanie. Małgorzata spoważniała.

– Myślę, że to coś poważnego – kontynuowała Katarzyna. – Jesteśmy razem kilka miesięcy, to dla mnie dużo. I może tak już zostanie, razem. – Kasia prędko wyrzucała z siebie słowa. – Chyba się pobierzemy. Wiem, możesz mieć żal. – Młodsza z sióstr mówiła coraz szybciej.

– Kaśka! Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? Cieszę się! – Małgorzata jej przerwała. – Trochę będzie głupio, faktycznie... Ale minęło już tyle lat. Dobrze, że jesteś w końcu szczęśliwa. Bo ja jestem, wiesz? Właśnie rzuciłam ukochaną pracę, a może praca rzuciła mnie. Może będę miała szansę na coś więcej niż tylko uwielbienie dla Wiktora. Dopiero w szpitalu odkryłam, ile barw jest na świecie. Zaczęłam cenić życie. Więc jeśli masz szansę, to ją chwytaj. W locie. Tylko się nie puść i nie spadnij. – Uśmiechnęła się.

Katarzyna odetchnęła.

– Z tym nie puść to przesadziłaś – powiedziała. – Za późno.

Śmiały się. Wyjrzałam z kuchni, z ciekawości, ale nie dołączyłam do córek. *Niech same załatwią swoje sprawy. Do końca* – myślałam.

– Tylko się nie wygadaj, proszę – powiedziała Małgosia, gdy już się uspokoiły.

Katarzyna wykonała gest przekręcania klucza na ustach.

– Tyle lat ciszy, to i teraz krakać nie zacznę.

– Krakać? – Małgorzata się zdziwiła.

– A! – Katarzyna machnęła ręką. – Cały czas mam wrażenie, że lata nade mną kruk.

– Kruk? – zapytała Małgorzata ze wstrętem.

– Wielki i czarny. Ma piękne, błyszczące pióra, to dobry znak.

– Dobry? Aha, no tak, dobry – odpowiedziała Małgorzata.

Weszłam w końcu do pokoju. Miałam na sobie fartuch, zawsze w kuchni go zakładałam. Nie lubiłam zapierać plam,

a pralka nigdy nie dopierała należycie.

– Mamo, do stołu, w takim stroju? – Małgorzata się zdziwiła.

– To prawie tak, jakbyś tu przyszła w negliżu. – Młodsza ją poparła.

Miały rację. Czyżbym była zdenerwowana?

– Porozmawiałyście? – zapytałam jakby nigdy nic. Bardzo tak jakby.

– Wiedziałaś mamo?

Nie było co udawać.

– To dlatego? – Małgorzata klapnęła ręką w czoło. – Siostro ty moja! Wszystko po to, żeby powiedzieć mi o planowanym ślubie. Z moim byłym narzeczonym.

Katarzyna siedziała trochę naburmuszona.

– To może i dobrze, że się trochę bałaś. Zawsze mogłam zejść na kolejny wylew, nie?

– No weź! – wykrzyknęła Katarzyna.

– Co ty wygadujesz, dziecko! – Zareagowałam równocześnie z nią.

– Nie przejmujcie się, nie wybieram się na żaden tamten świat. Kupujemy dom i będziemy w nim wieść nowe życie, cudowne oczywiście. Karol i ja. Mama i Joanna, z mężem albo kimś innym. À propos, wyobraźcie sobie, że zaprosiłam Joannę do SPA.

– No, siostra!

– Nie zaczyna się zdania od no – wtrąciłam. – Sprawa załatwiona, emocje nie powinny przeszkadzać w poprawnym wystawianiu się.

– Jestem pod wrażeniem – spuentowała Katarzyna. – Znajdziesz, mamo, jeszcze jeden kawałek ciasta?

– Przytyjesz – stwierdziłam beznamiętnie. Równocześnie sięgnęłam po paterę, wstałam i ruszyłam po ciasto.

– Wrócę do Indii, to spałę. Z Miłozsem.

Prychnęłam, Małgorzata znów zaczęła się śmiać.

To było udane popołudnie. Dopiero przy wyjściu Małgorzata prawie niechcący trąciła mnie ramieniem i wyszeptała:

– Nie będziemy wracały do tamtej historii, prawda, mamó?

Rozdział 53

MA

Małgorzata i Karol sporo czasu spędzali w samochodzie, nie miałam kiedy się z nimi zobaczyć. Karol często robił zakupy po pracy, ściśle według listy. Małgosia dopisywała zawsze kilka rzeczy dla mnie. Zięć przywoził mi je, wracając do domu, wpadał dosłownie na chwilę, wnosił siatki, pomagał poukładać w lodówce. Wczoraj to nawet na herbatę ze mną nie przysiadł, tak się spieszył. Z Małgosią w ogóle się nie widywałam, rozmawialiśmy tylko telefonicznie.

Za to Karol i Małgorzata spotykali się ostatnio często w ciągu dnia. Na kawę, na chwilę. Karol wychodził na pół godziny, ona podjeżdżała pod pobliską galerię handlową.

– Jakbyśmy byli nastolatkami – powiedział Karol.

– I obyśmy nimi zostali – skwitowała Małgorzata.

Pierwszy ich wypad był w środku tygodnia. Bardziej romantyczny niż praktyczny, sprawił im wiele radości. Kolejne domy oglądali w weekendy.

– Nie mogę zawałać roboty – powiedział Karol.

– Nie możesz. – Małgorzata przytaknęła. – Ktoś nas musi utrzymać – dodała beztrąsko.

Traktowali te wypadki poznawczo, pytali, rozglądali się. Często

jechali obejrzyć jeden czy dwa upatrzone domy, wybrane przez pośrednika lub znalezione w internecie. Starali się umawiać na oglądanie nieruchomości rano, potem zostawali w okolicy i pytali mieszkańców o domy na sprzedaż. W większości znajdowali rudery, które były wystawione w internecie i na które nie zwrócili tam uwagi.

Wspólne wyjazdy sprawiały im coraz więcej przyjemności. W weekend pojechali kilkanaście kilometrów na południe od Warszawy. Obejrzel domostwo zachwalane przez agenta, wielki dom w środku wsi, blisko ruchliwej jezdni. Wybudowany osiem lat temu, nigdy niezamieszkaany, straszył czarnymi oczodołami okien i nadpalonymi drzwiami wejściowymi. We wsi spotkali chłopca, który tylko wzruszył ramionami i odszedł, nie udzielając żadnej odpowiedzi. Nie wiedzieli więc, ani dlaczego dom był w takim stanie, ani też, czy w okolicy jest coś innego na sprzedaż. Popołudnie było upalne, nikogo więcej nie było widać.

Pojechali drogą do samego końca. Zatrzymali samochód przy polanie oddalonej od zabudowań o kilkaset metrów. Rozłożyli koc na skraju lasu, popijali herbatę z termosu i odwijali kanapki. W pewnym momencie Karol dotknął ręki Małgosi, palec miał przyłożony do ust. Na miedzy stała sarna. Małgorzacie wydawało się, że las, Karol i ona sama przestali oddychać. *Tutaj* – postanowiła w tamtym momencie, wbrew logice, bo niczego „tutaj” nie było.

Czterdzieści minut później szykowali się do powrotu. Okruchy wysypali między trawę, obserwując krzątanicę mrówek, które natychmiast zainteresowały się posiłkiem.

– Zobacz, jaki wielki okruch ciągnie – powiedziała Małgosia, wskazując placem.

– A ta tutaj goni tamtą. Chyba uciekinierka.

– Miga się, a ta jej pilnuje. – Moja córka pochyliła się jeszcze

niżej.

– Fakt, część pracuje, a kilka tu z boku kontroluje...
Strażniczki chyba?

– Interesowałeś się kiedyś światem mrówek?

– Nigdy. Może czas to zmienić. – Uśmiechnął się.

Usłyszeli daleki terkot. Małgorzata spakowała resztki do kosza, Karol wytrzepał koc, gdy na drodze, wśród tumanów kurzu, dostrzegli traktor.

– Pochwalony! – krzyknął Karol, machając równocześnie ręką.

Małgorzata spojrzała zdumiona. *Karol zna takie słowa?*

– Pochwalony – odpowiedział rolnik, gasząc silnik.

– Nie wiecie, czy jest tu dom do kupienia? Albo działka może?
Pięknie tu...

– Ano, piknie. I ludzi mało – powiedział. – Pojedziecie to drogo z pół kilometra. – Wskazał sękatym palcem przed siebie. – Za zakrętem stoi leśniczówka. Stara ona bardzo. Nie ma kto się nią zajmować, dzieciaki chcą sprzedać, ale jeszcze mieszka tam kto. Pojedźcie, zapytajcie.

Pojechali, zapytali. Dwa tygodnie później podpisali akt notarialny.

Małgorzata martwiła się o zimę. *Będziemy potrzebowali dodatkowej ciepłej bielizny* – myślała jak zawsze pragmatycznie. *Życie w lesie jest zupełnie inne niż w mieście.* Nie musiała za to kłopotać się o komunikację. Okazało się, że od drugiej strony droga do leśniczówki była oddalona od głównej szosy zaledwie o dwieście metrów i dokładnie przy tym rozwidleniu dróg był przystanek.

Miałam rację – pomyślała Małgorzata. *Czyż nie są to magiczne zbiegi okoliczności?*

Rozdział 54

TUTAJ

Oglądam cały świat jak z kamery. Zbieram w kaletę wszystkie wrażenia, a ona jest bez dna. Wszystko tam zmieszczę. Dobre, złe, jakie chcę. Chcę tylko dobre.

Czasem czuję się jak u Kafki. Może go zresztą kiedyś tu odwiedzę, jak zechcę. Nie wystarczy mi, że znam jego książki. Muszę je jeszcze przeczytać, a tutaj to wcale nie to samo.

W każdym razie w moim śnie kanon wszytkowiedzenia jest dotkliwy. Bo mogę obserwować, nie robić. Moc sprawcza równa zeru. Jak kancelista odznaczam swoją wolę, w kajecie dostępnym dla wszystkich. Co najdziwniejsze, sporo jest zainteresowanych. Jakbym co najmniej tańczyła kankana albo śpiewała solo kantylenę w kanonie. Albo kawatynę. Zapędziłam się nieco, wiem. Po prostu trochę mi wstyd, że widzę takie kardynalne błędy, własne i cudze, a muszę skapitulować, nie wtrącać się, chociaż czasami różne sprawy doprowadzają mnie do karmazynowego koloru twarzy. Katachrezy tworzą mi się, dalekie.

To przecież ani więzienie, ani zesłanie, a jednak kasacji nie ma. To nawet nie kaudyńskie jarzmo. To po prostu konstans.

Kimeryjskie ciemności. Klawesyn. Koincydencja. Nie cieszą

*brzmienia słów. Coś dzisiaj we mnie komasacja smutku
w kombinacji z kiepską kondycją kontrastującą z kordialną
konwersacją z samą sobą.*

Potrzebuję kurateli.

Rozdział 55

JO

Artur przykleił się do Joanny. Był szczęśliwy.

A ja nie wiem, jak mi z tym jest – myślała moja wnuczka. Dobrze mi z nim, ale czy gorąco? Przeczytała pewnego dnia mem na Facebooku. Jakaś myśl buddyjskiego mnicha, którego imię przekrecono, a i pewnie sama myśl była przekazana raczej ogólnie. Ale przekonała ją. Jeśli czujesz motyle w brzuchu, wielkie podniecenie, jeśli drżą ci ręce, gdy jesteś z ukochaną osobą – to nie jest ta osoba. Przy tej właściwej będziesz odczuwać absolutny spokój – taki mniej więcej był sens. Zapisała ją w notesie wytłaczanym w złote kwiatki, który zawsze nosiła ze sobą. Chyba o to chodzi – myślała. O spokój. To czuję przy Arturze. Nic mnie nie goni, niczego nie muszę. Ani udowadniać, ani robić. Jest czasem mało emocjonująco... nudno – poprawiła się w myślach. Ale jest bezpiecznie.

Spędzali razem coraz więcej czasu. Właściwie Joasia pozwalała Arturowi przebywać ze sobą. Przychodził rano i wychodzili po zakupy. Coś tam przygotowywali w kuchni, żeby ulżyć Małgorzacie. Czasem wpadali do mnie, miałam z kim porozmawiać. Zabierali wtedy jedzenie, które przygotowałam dla całej rodziny.

Artur pojechał z nią do schroniska, do którego nie chciał wejść, bo serce mu się krajało na widok takiego nieszczęścia – jak mówił. Wyśmiała go, bo przecież jak nieszczęście, to trzeba pomóc, a nie się chować, ale nie zmienił decyzji.

– Jeśli tam wejdę, będę wracał ciągle. A nie mam na to czasu i siły – tłumaczył się.

Tamtego dnia spadła nagła ulewa. Kąpiel w deszczu zakończyła się dla nich długim wzajemnym wycieraniem. Bardzo długim.

Młodzi spędzali razem całe dni, wieczory, a często i kawałek nocy.

– Muszę podjąć jakąś pracę – powiedział pewnego dnia chłopak.

– Przecież masz stypendium? I utrzymanie? – Moja wnuczka się zdziwiła.

– Ale mam też dziewczynę. Kobietę. Z którą chcę być i ją utrzymać.

Uśmiechnęła się.

– Póki co jeszcze dajemy radę. Mamy gdzie mieszkać i co jeść.

– Ale jak wprowadzimy się do mieszkania Katarzyny, to powinniśmy się już utrzymywać sami.

No tak, mieszkanie ciotki – zamyśliła się Joanna. Świetne miejsce, tylko niedostępne. Gdzie mamy się podziać?

Rozdział 56

KA

Katarzyna zakrzętnęła już się wokół firmy. Iwona prowadziła ją dobrze, chociaż jej staranność malała. Lojalność w stosunku do kogoś wirtualnego jest trudna do zachowania na niezmiennym poziomie. Iwone trochę przestawało się chcieć, chociaż obecność wtrącającej się wciąż Joanny mobilizowała.

Czas będzie wracać – pomyślała Katarzyna pewnego dnia. Muszę wracać do Miłosza. Muszę? Chcę!

Patrzyłam na moją młodszą córkę i przypominałam sobie czasy, kiedy sama byłam młoda. Znacznie młodszą od niej. Zakochiwałam się w Stanisławie, tęskniłam wtedy w każdym momencie. Nie miałam z kim o tym porozmawiać, Henryk nie interesował się takimi ziemskimi przywarami – cóż, dla niego zakochanie było przywarą, błędem na ludzkiej powinności, jaką było czyste uwielbienie Boga.

Mam wrażenie, mętne dosyć, że Henryk w którymś momencie stracił swoje żarliwe powołanie, w które nigdy, ale to nigdy nie pozwalał wątpić. Nie zaszedł wysoko w strukturach kościelnych, chociaż był bardzo błyskotliwy i skończył uczelnię z wyróżnieniem. Nigdy nie opowiadał, zbywał mnie uśmiechem i głaskaniem po głowie, co doprowadzało mnie najpierw do

rozpaczy, a potem do szału. Henryk nie zważał na to, że niszczył mi fryzurę, której ułożenie przy ówczesnych środkach kosmetycznych nie tylko nie było łatwe, przede wszystkim było nie do odtworzenia bez powtórnego umycia włosów. Poza tym nie byłam już dziewczynką... o czym mój brat raczył nie pamiętać aż do swojej śmierci.

Poszedł drogą Boga, bo tak chciał. Nie był szczęśliwy, przynajmniej pod koniec życia, chociaż chciał. Nie wiem, czy był nieposłuszny, czy spotkał się z jakimś molestowaniem, prześladowaniem, czy spotkał kobietę... Chorował, ale mi o tym nie powiedział. O pogrzebie dowiedziałam się dzień przed. Pojechałam, nikt ze mną nie chciał rozmawiać.

Nie mogłam więc z Henrykiem porozmawiać, a poza nim nie miałam nikogo. W towarzystwie nie wypowiadało się takich słów, no chyba że w tajemnicy, z przyjaciółką, szepcząc w kącie. Byłam sama z moim szczęściem, tak samo jak później byłam samotna z moim nieszczęściem, i tym drugim zakochaniem, które było już z całą pewnością błędem.

Kasia mogła porozmawiać ze mną i rozmawiała. I miała to szczęście, że pomimo tak znaczącej odległości miała cały czas kontakt ze swoim ukochanym.

Napisała maila. Odpisał tego samego dnia: „Pilnuję tutaj twoich dostaw. Te pasiaste materiały w złote słoniki nawet mnie się podobają”. „Czas już chyba wracać do ciebie” – pomyślała i napisała. „Czas? Czas na powrót mija od dnia, w którym wyjechałaś”. Uśmiechnęła się. „Jeszcze kilka dni. Nie za wiele, bo Joanna z chłopakiem czekają na mieszkanie”. „Wracaj. Po prostu wracaj – pisał Miłosz – albo ja lecę do ciebie”. „Wracam” – odpisała. *Całą sobą chcę wrócić. Właściwie jest mi obojętne, gdzie będę, byle być z tym mężczyzną. A skoro tak, to wolę być tam niż tu. Tam cieplej* – myślała. Lipiec tamtego lata był chłodny w Warszawie, zupełnie inaczej niż

w Indiach. Tam, w rozpoczynającej się porze deszczowej, i tak było cieplej niż w Polsce. *A ja lubię ciepło* – myślała Katarzyna.

– Może pojechalibyście na jakieś wakacje? – zagadnęła swoją wnuczkę przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Wakacje? – Dziewczyna się zdziwiła. – No tak, wakacje. Chyba się nie uda – wzruszyła ramionami. – Artur chce podjąć pracę, poza tym nie bardzo mamy za co. Rodzice teraz spłukani, leśniczówka ich kompletnie opętała. Wariactwo jakieś.

– Aśka, nie tylko młodzi mają prawo do porywów serducha.

– Ta, jasne – mruknęła dziewczyna.

– Nie musicie mierzyć od razu w pięć gwiazdek. Przsponsoruję wam trochę.

Katarzyna sięgnęła po portfel. Położyła kilka banknotów na stół. Joasia patrzyła ze zdziwieniem.

– Ciotka, coś ty taka wyrywna?

– Siedzicie mi na głowie i niemal słyszę, jak ten twój Artur potupuje. Jedźcie gdzieś, dajcie mi pomieszkać.

– Pozbyć się nas chcesz! – Dziewczyna sięgnęła po zwitek.

Właściwie, dlaczego nie?

Rozdział 57

JO

– Co byś powiedział na kilkudniowy wypad? – powiedziała Joanna do Artura.

– Jaki wypad? – Chłopak czytał jakąś sensacyjną powieść.

– Wakacyjny. – Joasia usiadła na oparciu fotela. Byli w mieszkaniu rodziców Artura, Joanna przyjechała tu prosto od ciotki.

– Jasne. – Odłożył książkę, starannie wkładając zakładkę między strony. – Ja tu się zastanawiam nad tym, jak od jesieni zorganizować nasze życie, utrzymać nas, usamodzielnąć, a ty o wyjeździe. Mamy wakacje, bo nie musimy chodzić na uczelnię. Nie mamy pieniędzy.

– Mam fundusz. Celowy. – Joanna się zaśmiała, otwierając dłoń ze zwiniętymi banknotami. – Dostaliśmy od ciotki. Chce, żebyśmy wyjechali gdzieś i przestali czekać jak sępy na wolne mieszkanie.

– Chyba jak kruki – wtrącił chłopak.

– Co? Dlaczego jak kruki?

– Ostatnio twoja ciotka mówiła coś o krukach. Że siedzi jej na ramieniu czy coś takiego. Takie tam, nawiedzone bzdety.

– Fakt, nawiedzona czasami jest, ale fajna z niej babka.

I kaskę nam dała!

– Wolałbym przeznaczyć ją na coś innego.

– Nie możesz. Jest na to.

– Dobra, dobra. – Artur ustąpił, słysząc narastającą irytację w głosie Joasi. A moja wnuczka potrafiła się irytować jak mało kto. – Dokąd chcesz jechać?

– Gdzie nie będzie za drogo.

– Pod namiot może? – zasugerował.

– Mówisz?

– No chyba żartujesz! – Oburzył się. – Jak mogłaś przypuszczać! W życiu nie zabiorę cię pod namiot, wróciłabyś chora, nie ma mowy. Jakiś hotel.

– Chciałabym pojechać nad jezioro, wiesz, jak lubię pływać. Nie musi być od razu hotel, agroturystyka wystarczy. Wyjdzie taniej, będziemy mogli pobycć kilka dni.

Artur wstał, odłożył książkę na półkę.

– Napijesz się herbaty?

– Raczej lemoniady – odpowiedziała. – Z lodem.

Picia domowej lemoniady ja ją nauczyłam. Joasia była jeszcze mała, gdy kiedyś przeczytałam skład kupnego napoju. Z Małgosią nie było sensu o tym rozmawiać, więc po prostu pobawiłam się z małą w wyciskanie soku. Po jakimś czasie kupiłam woreczki do lodu, lubiła je wyciskać, rozśmieszał ją grzechot kostek o szklane naczynie.

– Żeby anginy dostać? Nie ma mowy. – Ruszył do kuchni, wycisnął pół cytryny do szklanki i zalał mineralną. Gdy wrócił, Joanna odpalała komputer.

– Tylko nie wchodź na żadne dziwne strony, żeby mi się nie zawirusował – powiedział, stawiając szklankę na podkładce.

Joasia nie zwróciła na niego uwagi.

– Popatrz, może tutaj?

Prawie godzinę przeglądali internet, nic nie wybrali.

- Jadę do domu. - Przeciągnęła się w końcu.
- Idziemy gdzie dzisiaj? - zapytał.
- Chyba chcę odpocząć, poczytać, wziąć długą kąpiel. Dzisiaj lenistwo kulturalne.

Cmoknęła go w policzek i wyszła. Artur spoglądał na sylwetkę dziewczyny zza firanki. *Moja kochana. Moja* - pomyślał. *Dlaczego tak długo musiałem na ciebie czekać?*

Rozdział 58

TUTAJ

W labiryncie własnych myśli przyglądam się i boję.

– Przecież wiesz, co się stanie. Dlaczego się boisz? – pyta Stanisław.

Właściwie nie ma czego.

– Wszystko będzie dobrze – dodaje po chwili.

– Dzisiaj nie ma „l”? – pytam niewinnie.

– Dzisiaj jestem laikiem.

– Pójdźmy zatem razem w labirynt na lagunie.

– „L” jest chyba dla ciebie jakimś lakmusowym papierkiem.

Jesteś smutna.

– Nie, dojrzewam.

– Co robisz? W twoim świecie prawie nie ma zasad, a jednak wiedząc wszystko o wszystkim, jesteś wszystkim w każdej chwili, wiesz, co jest dziś i co będzie jutro. Co się wydarzyło i co się wydarzy. Czegoż się lękać?

– Ten lęk jest u mnie chyba jak lamówka na lamie. Wykończenie czegoś, co samo w sobie jest doskonałe.

– Dziś już wiesz.

– Coraz więcej.

– To larendogra? – mówi Stanisław, marszcząc nos.

- Już myślałam, że nie zwrócisz uwagi.*
 - Miałam tylko problem ze słowem. Lawendę wszędzie rozpoznam.*
 - Myślę, że jestem jak lektor. Tyle mogę.*
 - Nie dodawaj sobie znaczenia. Aż tyle nie możesz.*
 - Ale mogę lewitować.*
 - A ja założyć liberię.*
- A jednak się boję.*

Rozdział 59

MA

– Kupiliśmy prawie stuletnią leśniczówkę – powiedziała Małgorzata do Karola, wciąż zdziwiona tym faktem. Weszli do kawiarni po wyjściu od notariusza, zaraz po tym, jak zadzwonili do mnie. Moja starsza córka odezwała się tylko: „Podpisaliśmy, mamó”, niewiele więcej była w stanie powiedzieć.

Cieszyłam się z nimi.

– Będzie trochę zachodu z remontem – zauważył Karol, gdy już usiedli przy stoliku.

– To wiemy. Ale jest wystarczająco duża dla wszystkich! – Małgorzata się entuzjazmowała.

– I nawet nie potrzebowaliśmy kredytu – stwierdził z zadowoleniem.

– Za to będziemy potrzebowali na remont – ripostowała z takim wyrazem twarzy, jakby remont był priorytetem na liście jej ulubionych zadań.

W istocie bardzo się cieszyła. Las, ogród, oddzielna, niezależna część domu dla mnie. Miejsce dla wnuków.

Tak, najwyższy czas na wnuki – myślała cały czas z uśmiechem. Tak właśnie być powinno. Mąż. Dzieci. Dom. Wspólność. Zięc. Wnuki. Od nowa pieluchy, przedszkole,

wywiadówki, matura. Jak długo się uda, może do prawnuków. Tak. Właśnie tak powinno być. Sprawy układają się idealnie.

Wyszli z kawiarni objęci, chociaż Karol spoglądał już na zegarek, musiał wracać do pracy.

Tego popołudnia Małgorzata napisała do Wiktora e-mail: „Po ostatniej rozmowie z lekarzem wiem już, że moje zwolnienie się przedłuży. Niewykluczona jest nawet, za kilka miesięcy, renta. To oznacza, że przez jakiś czas nie wrócę na uczelnię. Mam nadzieję, że nie będziesz mi miał tego za złe, Wiktorze. Chciałabym jednak wykonywać część pracy w domu. Może jakieś korekty, redakcje? Oczywiście zależy to od Ciebie, Wiktorze, liczę jednak na Twą wyrozumiałość”.

Wiktor miał jej to bardzo za złe. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że może utracić Małgorzatę, która od zawsze wyręczała go w opracowywaniu publikacji. Od czasu choroby Małgorzaty Wiktor zdołał przygotować jedną pracę – była słaba, nikt nie zanotował na marginesach drobnym pismem dogłębnych i rzeczowych uwag. Teraz przygotowywał kolejne opracowanie i obawiał się o jego poziom.

Profesor kiepsko spał tej nocy. Wypił wieczorem co najmniej o jedną lampkę za dużo. Rano wstał zmęczony i napięty, szary na twarzy jak listopadowy poranek. Po południu odpisał, że oczywiście rozumie sytuację i w pełni ją wspiera. Przy okazji, od niechcienia niemal, zaproponował Małgorzacie wynagrodzenie za wykonanie korekty i redakcji jego kolejnego dzieła. *Jej nieobecność jest dysfunkcją, tekst musi być gotowy za trzy tygodnie, nie mam czasu na sentymenty* – myślał.

W pierwszym odruchu Małgorzata odpisała: „Wiktorze, nie mogę przyjąć pieniędzy od Ciebie”. Nie wysłała jednak maila. Co ją powstrzymało? Może postawa Wiktora, kiedy komunikował jej, że nie dostanie stypendium. Wyraz jego oczu i charakterystyczne ułożenie rąk, które sygnalizowało irytację.

Trudno było Małgorzacie pogodzić się z tym, że trzy lata jej badań i pełna dokumentacja projektu zostały wykorzystane przez inną, młodą i obiecującą panią doktor. Którą Wiktor cenił, ale nie miał na jej temat żadnych wyobrażeń. Żadnych szpilek, ażurowych ineksprymabli, które kojarzyły mu się z Małgorzată. Tego jednak Małgorzata nie wiedziała.

Byłam z niej dumna. Nie tylko dlatego, że tak daleko zaszła. Byłam dumna z mojej córki, że mnie nie posłuchała. Wpajałam jej, jak to trzeba być grzeczną, posłuszną, i że potulne cielę dwie matki ssie. A ona – po latach wprawdzie – potrafiła podnieść głowę i powiedzieć sobie, jak w słynnej reklamie, wartościowszej pewnie od moich marnych przysłów: „Jestem tego warta”.

Małgorzata zadzwoniła do Karola, przeczytała mu list od Wiktora i oznajmiła, że zamierza przyjąć propozycję.

– Szybciej zrobimy remont leśniczówki – zakończyła.

– Ty chyba żartujesz? – zapytał.

– Jak to... – Była zdeprymowana. – Mam tego nie brać?

– Ależ oczywiście! Robiłaś to od zawsze, wreszcie zostaniesz wynagrodzona. Ale to specjalistyczna publikacja, za taką kasę się nie gódź. Zaproponuj Wiktorowi inną stawkę.

– Ale... – Zastanowiła się. – Właściwie to masz rację. – Odetchnęła z ulgą. – Pewnie nie miałabym odwagi powiedzieć mu tego w oczy, ale napisać mogę.

– I niech to będzie sowita zapłata. – Karol rzucił sumę.

– Sowita. To jest to słowo – odpowiedziała Małgorzata z zadowoleniem.

Karol się roześmiał.

– Małgosiu, nareszcie!

– Co nareszcie?

– Nareszcie uwolniłaś się od tego starego pryka! Zawsze byłem o niego zazdrosny! – Karol się rozłączył, chichocząc.

Małgorzata stała chwilę, wpatrzona w telefon, i też się roześmiała. *Zazdrosny! Też mi coś.* Wzruszyła ramionami. Skąd jednak wiedziała, co Karol miał na myśli?

Rozdział 60

JO

Artur zadzwonił do drzwi o dziesiątej. Dokładnie tak, jak się umówili. Moja wnuczka była jeszcze nieumalowana, dopiero kończyła robić śniadanie. Ani matka, ani ja nie potrafiłyśmy jej nauczyć punktualności.

– Nie jesteś gotowa? – Chłopak zdziwił się trochę teatralnie.

– Nie widzisz? Od rana jestem zajęta. Wiem już, dokąd pojedziemy.

– Wiesz?

– Mama mi znalazła. To znaczy nie ona, jej koleżanka. To znaczy, jej córka tam była i było świetnie, i jedziemy – mówiła chaotycznie.

– Córka koleżanki twojej mamy? – precyzował Artur.

– Tak, i było świetnie.

– A gdzie to jest?

– Gdzieś na Mazurach. Mówiłam ci, że chcę nad jezioro.

– Ale coś więcej.

– Obejrzyj stronę. Jest otwarta u mnie w pokoju na pulpicie. Zobacz sobie, ja się idę umalować.

– Jesteś piękna i bez malowania – mruknął Artur, ale Joasia już go nie słyszała.

Gdy wróciła, Artur przeczytał już wszystkie opinie.

– Ale ci byli niezadowoleni – marudził. – Zobacz, narzekali, że im pies w nocy szczekał...

– Ludzie zawsze znajdą powody do niezadowolenia.

– I łazienki są na korytarzu. – Nie krył rozczarowania.

– A stać nas na łazienkę, prywatny basen i śniadanie do łóżka? – Moja wnuczka podeszła do chłopaka i oburącz złapała go za twarz. – Mamy tylko tyle kasy, co od ciotki – dodała i zachłannie pocałowała Artura.

– Pojadę, gdzie zechcesz – wydyszał z zadowoleniem. – Ale będziesz tak robiła codziennie?

– To i pewnie coś jeszcze innego...

– Może teraz, od razu, próbka. – Uśmiechnął się. Wstał i objął Joasię w talii, popchnął w stronę łóżka. Gdy już na nim leżała, rozchylając nogi, wyszeptała mu do ucha: – Zaraz wróci mama.

Artur usiadł, doprowadził koszulkę do porządku i powiedział:

– Te mamy. Nigdy nie wiedzą, jak się zachować.

– Musimy po prostu wyjechać – spuentowała Joanna.

– A dzisiaj idę z tobą na basen – powiedział Artur.

Joanna machnęła ręką.

– I tak mnie nie dogonisz.

– Pewnie nie. Ale przynajmniej będę z tobą.

– Jak chcesz. – Wzruszyła ramionami.

Artur się ucieszył. Do tej pory nigdy się na to nie zgodziła. Bał się, że basen jest miejscem jej potajemnych spotkań z... wyobraźnia podsuwała mu przeróżne obrazy. Po cóż chciał to sprawdzać?

Rozdział 61

MA

To był małżeński renesans. Tak czuła Małgorzata i nie wstydziła się mi tego powiedzieć. Karol w głębi duszy nie wątpił, że za chwilę sinusoida uczuć zmieni kierunek, ale cieszył się chwilą. Elektryzowali się wzajemnie. Czasami mój zięć wracał wcześniej do domu, spędzali ten czas „efektywnie” – jak mówił. „Twórczo” – twierdziła moja starsza córka.

– Twórczo? – Karol się zdziwił, gdy po raz pierwszy użyła tego słowa. – Nigdy nie przepadałaś za takim... – zastanowił się – działaniem. Nawet słowa nie lubiłaś.

– Ale się zmieniłam – odpowiedziała i podeszła do męża, zakładając jedną nogę na jego biodro i oplatając ramionami barki. Zachwiali się i upadli na kanapę. Karol dostrzegł brzeg majtek, koronkowych i kolorowych.

– Czy to było wystarczająco twórczo? – zapytała Małgorzata, nie oczekując odpowiedzi.

Małgorzata nigdy wcześniej nie kochała się w kuchni. Błat kuchenny był na idealnej wysokości. Z uśmiechem mówiła potem do swojego odbicia: „Lustro, starzeję się, wiesz? Robię się rycząca i wiesz co? Uwielbiam uwielbiać seks!”.

Kiedyś niechcący usłyszałam jej monolog. Byłam akurat

u nich, wyszłam z kuchni i od razu do niej wróciłam. Było mi wstyd za siebie, że nie nauczyłam jej czerpać z seksu radości, ale może to nie ja powinnam się tym martwić?

Czasami Karol podchodził do niej od tyłu. Zasłaniał oczy, zwykle złożonymi dłońmi, ale raz zawiązał na jej oczach jedwabny czarny szal. To był wstęp. Dotychczas wykorzystanie bitej śmietany Małgorzata uważała za wymysł zboczeńców. Albo artystów, a dla niej to było niemal to samo. Karol wylizujący śmietanę z jej pępka, dwie kostki lodu na sztywnych, sterczących brodawkach, miód rozlany po brzuchu – zmieniły jej opinię.

Wieczorem, gdy nie byli sami, starali się być bardziej dyskretni. Wymuszona cisza i misjonarska pozycja irytowały Małgorzatę. Z niesmakiem myślała: *Jakie to nudne! Jak ja mogłam stracić tyle lat?*

Rozdział 62

TUTAJ

To bez sensu. To wszystko uknuł jakiś machiaweliczny mag! Maceruje nas we wszechwiedzy, czujemy się jak członkowie mafii, wolnomularze najwyższego wtajemniczenia, a to tylko rządy maczety. Nie wolno, nie wolno! Czuję się maltretowana, wyrzucona na makulaturę zdarzeń!

– Ależ wolno. – Stanisław mnie uspokaja. – Wszystko ci wolno. Tylko nie potrafisz. A manifestem nic nie wskórasz. Zawsze jednak możesz pisać memuar.

– Daj trochę tej malagi – mówię, a Stanisław nalewa tylko jeden kieliszek. – Tutaj możesz pić.

– Tutaj mogę robić, co chcę – odpowiada spokojnie.

– To nalej z meniskiem. Wypukłym.

– Przyniosłem wam majolikę – mówi wchodzący Roman. – Dawno u ciebie nie byłem – dodaje, spoglądając na moje puste, białe ściany. Tutaj będzie pasować.

– O nie. Nie, nie, nie. Makijażu salonu to ty mi nie rób.

– O, wróciła moja magnetyczna magnificencja – dodaje Stanisław.

– Nie podoba ci się? – Roman się martwi.

– Właściwie to nie – odpowiadam z całkowitą szczerością. –

Jest wprost masakryczna.

– Aha. Tak właśnie myślałem – odpowiada, siadając. Materializują się filiżanki i herbata z mlekiem, a Roman otwiera niewielką książeczkę.

– Trudno mi was ostatnio zrozumieć, więc wymyśliłem sobie mamotrept.

Milkniemy. Trudno NAS zrozumieć?

– Idę zdobić metopy – dodaje, dopijając herbatę.

Rozdział 63

KA i MA

Katarzyna wyleciała. Tęskniłam, zanim jeszcze wsiadła do samolotu. Odkąd młodzi wyjechali na Mazury, tylko Katarzyna bywała u mnie codziennie, mając czas na rozmowę i posiedzenie w ogrodzie.

Małgorzata tego samego dnia napisała jej w mailu: „Nie opowiedziałas mi o Indiach! Wracaj!”. Uświadomiła sobie, jak mało rozmawiała z siostrą. A i to głównie o błahostkach, nieistotnych zdarzeniach, nużącej codzienności. Poza rozmową o Miłoszu, do której Katarzyna tak długo się przymierzała, właściwie nie rozmawiały. *Nawet nie wiem, jak ta jej firma. Czy Joanna niczego nie popsuła? Widzę, że biega tam, coś nawet przynosi, jakieś papiery, siedzi nad nimi, ale czy ona ma pojęcie, co z tym robić?*

Odpowiedź od Katarzyny przyszła następnego dnia: „Nie było dość czasu. Obiecuję następnym razem. Indie są cudowne i nie da się w skrócie ani w mailu. Przyślę trochę zdjęć. Nie oddadzą bogactwa i nędzy, kolorów i zapachu, ale przynajmniej zatkają dziurę z Twoimi pytaniami”.

„Byłaś w Bollywood?” – zapytała Małgorzata od razu po przeczytaniu maila.

„Skąd znasz tę nazwę, mój naukowcu?”.

„Z brukowej prasy” – odpowiedziała starsza siostra.

„Wyjechać tylko gdzieś na chwilę, od razu rodzina się biesi. Co Ty czytasz! Pomyśl o historii. Buddyzm jest starszy od chrześcijaństwa o pięć wieków. I jest mądry. A Ty o Bollywood. Pomyśl o rzeczach istotnych, nie o błyskotkach!”.

„PS. Pewnie, że byłam!” – dopisała po pięciu minutach.

„Jestem Panią Leśniczanką. Dlaczego nazywasz mnie naukowcem?” – odparowała po kolejnych dwóch minutach Małgorzata, używając swojego nowego odkrycia, ikonki uśmiechniętej buźki. *Robię się coraz młodsza* – pomyślała, patrząc na ten graficzny znaczek. *I coraz nowocześniejsza na zabitej dechami wsi.*

„Bo zawsze naukowcem byłaś. Nie zdążyłam się przyzwyczaić”.

„Napisz chociaż, czy Joanna niczego ci w firmie nie popsuka”.

„Popsuka? Jak możesz tak myśleć o własnej córce? Która jest mądra, inteligentna, wspaniała? Oczywiście, że wszystko dobrze. Jestem wręcz zadziwiona, jak dobrze sobie poradziła. Mam wrażenie, że Iwona chciałaby się usamodzielnic znacznie bardziej, niż się na to umówiliśmy przy moim wyjeździe, Joasia jej to uniemożliwia. Pilnuje moich interesów jak złoto” – odpisała Katarzyna.

„Cieszę się. Napisz o Indiach...”

„Mówiłam Ci już, nie da się tak w kilku słowach”.

„Choć trochę spróbuj” – prosiła Małgorzata.

Od tego dnia siostry korespondowały niemal codziennie. Małgosia pokazywała mi czasami tę korespondencję. Powstawał z tego niepostrzeżenie dziennik ich emocji – jako dorosłe kobiety zaczęły się znów poznawać, przeżywać codzienność razem, chociaż na odległość. Znak czasów?

Rozdział 64

WA

– Nie tutaj! Z tamtej strony! – Małgosia kierowała ekipą z wprawą dyrygenta wielkiej orkiestry symfonicznej. Rozglądałam się w poszukiwaniu batuty. Część kartonów była popakowana z wielką starannością, nawet nie wiem, kiedy moja córka to zrobiła. Doszłam do wniosku, że większość przedmiotów zgromadzonych w mieszkaniu Małgorzaty i Karola mogłaby zostać unicestwiona, bez uszczerbku dla komfortu życia. Rzadziej ostatnio u nich bywałam, trochę byłam słaba... ale to wiek, cóż mówić.

Kartony były równo oklejone taśmą i opisane czarnym flamastrem, każdy dokładnie w połowie wysokości i na szczycie.

„Kieliszki kryształowe”.

– Ostrożnie! – krzyknęła Małgorzata, gdy bagażowy podniósł to pudło z podłogi.

– Wszystkie podnosimy ostrożnie – odpowiedział za niego szef, stojący przy drzwiach. Dłubał pod paznokciami, nie widziałam czegoś takiego od lat. Od kiedy Stanisław... nieważne.

Kiedy Małgorzata używała ostatnio kryształowych kieliszków?

Rzeczy trzeba używać, inaczej zabierają przestrzeń przynależną ludziom. Da się żyć bez przedmiotów, wiem coś

o tym.

Karol pozornie się nie wtrącał. Za plecami głównodowodzącej wskazywał palcem – teraz to. Tamto. Swoją drogą, to ciekawe: kiedyś do przeprowadzki wołało się całą rodzinę, wszystkich wujków, stryjków, kuzynów i ich kolegów, teraz bierze się firmę przeprowadzkową. Ludzie nie mają już kuzynów?

Problem zaczął się, kiedy dotarli do przedmiotów pakowanych w ostatniej chwili. Wiadomość o przeprowadzce, teoretycznie spodziewanej, spadła jednak jak grom z jasnego nieba.

– Mamo! Przeprowadzamy się – wykrzyczała mi Małgorzata do słuchawki pod koniec lipca.

– Mówimy o tym od kilku tygodni – odpowiedziałam spokojnie. Małgosia przerwała mi rozwiązywanie krzyżówki.

– Ale już, teraz!

– Jak to teraz? Teraz to ty krzyczysz do słuchawki.

– Oj, mamó. – Wyraźnie się zirytowała. Kto to widział irytować się na matkę! – Sprzedajemy mieszkanie.

– O tym też mówi się w rodzinie od kilku tygodni. – Teraz ja westchnęłam.

– Ale kupujący postawili warunek. Wyprowadzka w ciągu tygodnia.

– No to się pospieszyliście.

– W ciągu tygodnia, mamó!

– Wiem, ile to tydzień. I co to znaczy przeprowadzka.

– Ja nie dam rady, mamó – jęknęła.

– Trzeba było tak od razu. Przyjadę dzisiaj, tylko wiesz, siły już nie te...

Co jej będę opowiadać, jak bardzo nie te.

– Dziękuję, mamó! – wykrzyknęła i się rozłączyła.

Czy ja naprawdę aż tak się posunęłam? Czy też kiedyś po prostu nie rozłączało się rozmowy z matką w pół słowa?

Pomogłam, odrobinę, ale jednak. Małgorzata pakowała, ja

zaklejałam. Wydawało mi się, że zrobiłyśmy dużo, ale to była kropla. Małgosia już wcześniej popakowała większość rzeczy, porozstawiała kartony po kątach w nieużywanym pokoju Joanny. Wciąż pozostało morze rzeczy niespakowanych, wołających o uwagę.

Chodziłam po czteropokojowym mieszkaniu i wciąż znajdowałam coś jeszcze. Joasia bardziej snuła się niż pomagała. Małgorzata próbowała komenderować córką, z mizernym skutkiem. Ja pozwoliłam wnuczce po prostu poleżeć na kanapie w salonie – przynajmniej nie przeszkadzała.

Teraz kilku panów w szaro-czerwonych kombinezonach wynosiło życie mojej córki do ciężarówki.

Nie mogłam na to patrzeć.

– Pójdę już, dziecko – powiedziałam do córki. Cały czas trzymałam w ręku torebkę, byłam gotowa do wyjścia. Jeszcze co głupiego strzeli któremuś z tych panów do głowy. Przeprowadzą moją torebkę, razem z kluczami do domu i butelką perfum, albo w ogóle wyprowadzą zawartość gdzieś indziej. Torebki to ja pilnowałam od zawsze.

– Mamo, herbaty ci zrobię – odpowiedziała Małgorzata. – Siadaj.

Jak zawsze kategoryczna. Moja córka.

– Nie, kochana. Czajnik też musisz spakować. Zróbcie porządek i przyjeżdżajcie.

Porządek? – pomyślała Małgorzata. *To chwilowo będzie zapomniane słowo.*

Miała rację. Dwa słowa na „p”, przeczące sobie. Porządek i przeprowadzka. Nawet u mnie się to odbije.

Joasia to nie problem, mieszka u siebie, ale Małgorzata i Karol nocować mieli u mnie. Przygotowana pościel, wysprzątane kąty... *Moja perfekcyjna córka* – myślałam z lekką obawą. *Przecież dla niej nic nie będzie wystarczająco dobre.*

Wróciłam do domu autobusem. Nie miałam siły na spacer. Zrobiłam herbatę, wielką miałam na nią ochotę. Tylko kłopotu nie chciałam Małgorzacie robić. I leżałam na kanapie, w salonie, w ciszy. Bez telewizora i bez radia, tylko z góry od sąsiadów czasem słyhać było jakiś przesuwany mebel. To sprzątaczką polerowała sterylny dom pod nieobecność państwa. Wychodziła, zanim wrócili z pracy, zawsze.

– Nie będę w domu znosić hałasu. – Dotarła kiedyś do mnie wypowiedź kobiety z góry. – Niech zrobi swoje i idzie, nie muszę patrzeć na sprzątaczkę.

Małgorzata dotarła po dziewiątej.

– Karol pojechał z całą ekipą do leśniczówki – powiedziała już w drzwiach. Nie wiem, kiedy będzie. Wyobrażasz sobie, mammo? Nie chciał, żebym z nim pojechała. Jakbym w czymś miała przeszkadzać. A może on... – Zamilkła nagle.

– Przestań, nie możesz się tak forsować. Niedawno byłaś w szpitalu.

– Jakie niedawno, mammo! – wykrzyknęła.

– Chodź, kolację zrobimy.

Byłam zmęczona. Moja córka przez cały wieczór gadała jak najęta. Dwa razy rozglądałam się w poszukiwaniu pilota, nie dawała się jednak wyłączyć. *Staroświeckie radia były lepsze* – pomyślałam kilkanaście minut po dziesiątej. *Wciskało się guzik i była cisza.*

– Małgosiu, pójdę już spać – powiedziałam.

– Poczekam na Karola.

Kiwnęłam tylko. Zamknięta w łazience, nie słyszałam, kiedy Karol przyjechał. Gdy wyszłam, siedzieli przy stole. Nie poszłam się przywitać, byłam już w szlafroku.

Długo nie mogłam zasnąć. O północy ruszyłam za potrzebą, starsi tak mają. Pod drzwiami sypialni gościnnej zatrzymałam się, wcale nie chciałam podsłuchiwać, drzwi zostawili uchylone.

– Mama już nie daje rady. – Usłyszałam głos córki. – Posunęła się. Popatrz, ile kurzu. Kłaki latają.

Odkurzałam przecież! – pomyślałam.

– Kolacja nie była zrobiona, kiedy przyjechałam.

– Daj mamie spokój – odpowiedział Karol. – Ma osiemdziesiąt lat i może być zmęczona.

– Ale to jakoś tak skokowo... jeszcze niedawno była całkiem sprawna.

– Chcielibyśmy mieć taką kondycję w jej wieku.

– A w ogóle to gdzie byłeś? – Usłyszałam odpowiedź mojej córki.

Jak to gdzie był? Przecież ich przeprowadzał?

Rozdział 65

KA

Małgorzata i Karol byli bardzo zajęci leśniczówką. Tylko ja obserwowałam Joasię. Patrzyłam i się martwiłam. Po powrocie z wakacji moja wnuczka i Artur wyglądali bajkowo. Obejmowali się, wpatrzeni w siebie, po młodzieńczemu zakochani. Radość biła od nich z daleka. A potem moja wnuczka przygasła. Chodziła smętna, blada, jako ta Balladyna, nie przymierzając. Dwa razy usłyszałam, jak wymiotuje w łazience. Już po pierwszym nie miałam wątpliwości.

Joanna często rozmawiała z Katarzyną przez Skype'a, dużo też do siebie pisały. Ja wiedziałam nieproszona, ale to ciotka jako pierwsza się dowiedziała, że Joanna jest w ciąży. I że się z tego nie cieszy.

Niech to. Znowu jest coś, co powinnam powiedzieć siostrze. Kasia cały czas wspominała stres, jaki przeżywała w Polsce. „Porozmawiaj z rodzicami” – napisała Joannie.

„Kiedyś będę musiała – odpisała dziewczyna. – Ale bardzo nie chcę. Zaraz mnie przerobią na inkubator”.

„To tylko troska. Nie miej im za złe. Po prostu porozmawiaj z nimi”.

„Któregoś dnia” – odpowiedziała dziewczyna.

Nie miałam wątpliwości, że „któryś dzień” nastąpi raczej później niż prędzej, tak przynajmniej wyobrażała to sobie moja wnuczka.

Małgorzata pytała czasem Katarzynę w mailach, kiedy ten obiecany ślub z Miłozem, ale były to pytania niewymagające dosłownych odpowiedzi. Kilkakrotnie Kasię świerbiło, żeby napisać siostrze o spodziewanym wnuku, ale się powstrzymywała. *Musi to zrobić sama Joanna*. Pisała do Joasi codziennie.

„Ciotka, przestań naciskać – odpisała w końcu Joanna. – Wyluzuj, bo przestanę do ciebie pisać i dzwonić. Daj mi czas”.

Katarzyna zagryzła wargi, gdy to przeczytała. *Ma rację. Co się będę wtrącać*. I więcej o to nie zapytała.

Z Miłozem było Katarzynie cudownie. Seks był obłędny. Nie bardzo rozumiem, dlaczego był dla nich taki ważny, niemniej pomiędzy wybieraniem tęczowych tkanin i planowaniem kolejnych dostaw do Polski – świetnie się bawili. Na szczęście wspólne picie kawy też było wyśmienite. Każdy ich dzień zdawał się perfekcyjny.

Katarzyna miała znacznie większe erotyczne doświadczenie niż siostra, bo nigdy nie zatrzaśniała drzwi do swojego ciała. A nawet wręcz przeciwnie. Czasem Kasia doświadczała wrażeń ekstremalnych; bywało, że sama się ich potem wstydziła. W odróżnieniu od starszej, czasem mi się zwierzała. Małgosia miała siostrze za złe „takie prowadzenie się”. Ja właściwie też, ale raczej o tym nie mówiłam, jeśli już, to tylko w domu i bez wypominania. Małgorzacie zdarzało się wypomnieć coś siostrze w towarzystwie. Dawne to dzieje, a wciąż pamiętam... Raczej przytyki, złośliwości, igły wbijane niepostrzeżenie. Wprost nigdy nie rozmawiały o seksie. Teraz jednak Małgorzata śmiała się w duchu, że powinna zapytać siostrę o szczegóły. Może dowiedziałyby się czegoś inspirującego?

Katarzyna nie musiała się uczyć, Miłosz też nie. Po wyjeździe z Polski kobiet w jego życiu nie brakowało. Brunetki, blondynki, ja wszystkie was dziewczynki... miał jednak słabość do włosów kasztanowych, z mocnym rudym poblaskiem.

Katarzyna i Miłosz odkrywali się wzajemnie w każdym sensie, fizyczność była tylko narzędziem, aż im tego zazdrościłam. W moim wieku... Może naprawdę słońce i ciepło otwierają, nie tylko ciała, ale i dusze?

Może to Indie tak na mnie wpływają – myślała Katarzyna.

– To na pewno ten buddyzm – komentował głośno Miłosz.

Katarzyna nie poznawała samej siebie, naprawdę myślała o ślubie. Miłosz planował ślub z każdą kobietą, z którą szedł do łóżka. Trzy miesiące i dwa dni – to był jego rekord w planowaniu ceremonii. Nigdy nie wytrzymał więcej z żadną, ani szczupłą, ani puszystą, mądrą, głupią, żadną. Chociaż właściwie z głupimi się nie zadawał. Teraz myślał o ślubie już ponad pół roku. W pierwszej chwili uznał relację z siostrą pierwszej ukochanej za zbyt skomplikowaną. Wydawało mu się, że to tylko słabość do koloru włosów i podobnej figury. Sądził, że będzie to kilka szalonych wieczorów, parę wspólnych wyjść, może kolacje ze śniadaniem, może tylko seks. A okazało się szybko, że wracał do Polski tylko dla niej. Potem było mu obojętne, dokąd pojedzie – byle z nią. Patrzył na rozbierającą się Katarzynę i dziwił się, że ciągle ma na nią taką ochotę.

Jak cudownie, że są kobiety, przy których staje mi na samą myśl o ich dotyku – myślał już po. *Uzależniła mnie!* Był zakochany, ale stan ten stawał się permanentny, przechodził w miłość.

Katarzyna była coraz bardziej szczęśliwa. *Nawet mój kruk odleciał. A już zaczęłam się doń przyzwyczajać* – myślała. Zaczęła tęsknić do czarnego ptaka na ramieniu, kiedy przeczytała, że w starożytności to był bardzo pozytywny symbol.

Dopiero chrześcijaństwo nadało mu inny wymiar. Kruk zaczął więc dla niej oznaczać płodność, bogactwo, mądrość i przenikliwość. *Mój kruk oznaczał tajemnicę. Uporałam się z nią, to i on przestał mi się ukazywać* – tłumaczyła sobie. Nie zamierzała się zastanawiać, dlaczego czasami, rzadko, gdy czarny ptak przysiadł w snach na jej prawym ramieniu, bała się. Przecież był przyjacielem. Przyjaciół nie trzeba się bać?

Rozdział 66

TUTAJ

Natura abhorret vacuum – mówię do lustra i widzę za sobą rozbawioną twarz Stanisława.

– Wiesz, jednak mógłbyś się zapowiadać.

– Kilka razy próbowałem. Cały czas miałaś zajęte myśli.

Fakt.

– A gdzie Roman? – Nie chcę oddać mu pola. Odrobina złościwości to miała być, nie bardzo się udała.

– Roman to Roman. Zobacz, kogo przyprowadziłem.

– Mama? – No tego tu jeszcze nie pokazywali.

Podchodzi do mnie. Dotyka. Jest młoda, bardzo piękna. Ma tylko zniszczone dłonie. Na jedynym zdjęciu, które pamiętam, nie widać rąk.

– Ty też jesteś piękna – odpowiada, chociaż nic nie powiedziałam.

– Dlaczego dopiero teraz?

– To od ciebie zależy, z kim się spotykasz. Ty wybierasz.

– I teraz wybrałam?

– To nobilitacja dla mnie.

– Nie mam, to nokaut. Słowa na literę to mój pomysł.

– I obowiązują w twoim świecie. Niuans, o którym powinnaś

pamiętać. W innym świecie nie będzie obowiązywać słownik wyrazów obcych.

– Nieważne. Mamo, opowiesz mi...

– To ja już pójdę – mruczy Stanisław. – Wy tu sobie przeciwiczcie nirwanę.

Nie zwracam uwagi na jego słowa.

– Jak to było, mamo, opowiedz. Wtedy, w czasie wojny...

– Opowiem, dziecko, po kolei. Wiesz, ja jednak zawsze lubiłam herbatę. A rzadko piłam. Kiedyś było o nią trudno.

Na stole wymyślałam imbryk z ciemnym naparem. Nalewam do naczyń zrobionych przez Romana.

– Piękne – mruczy mama. – Nostalgia ogarnia na widok takiej ręcznej roboty. Może zaczniemy wcześniej, od naszej wsi? Nazywała się...

Rozdział 67

JO

Pewnego bardzo słonecznego dnia Joanna uznała konieczność oznajmienia nowiny. Trochę miałam w tym udziału, przyznałam, że wiem i że powinna... Zdenerwowała się. Też coś, denerwować się na babkę!

– Zobaczysz, matka bardzo się ucieszy – tłumaczyła dziewczynie na Skypie Kasia. Małgorzata napisała kiedyś siostrze, że jeden pokój w leśniczówce zostawia dla wnuczka, a dwa większe – dla Joanny i Artura.

– Ja się nie cieszę, przecież wiesz – odpowiedziała Joasia. – To jakaś masakra. Może w ogóle nic nie powiem rodzicom.

– Jak możesz tak myśleć? To ich wnuk!

– A moje dziecko. Niechciane. Artur jest... beznadziejny. Kompletnie bez polotu. Można na niego liczyć, nadaje się na podwózkę po imprezie, ale jest przewidywalny do znudzenia.

– Sądzisz, że dobrze żyć z kimś nieobliczalnym? Szalone pomysły, nieplanowane wycieczki na koniec świata i najdroższe perfumy w prezencie bez okazji są świetne – w komediach romantycznych.

– Ciotka, a co ty o tym wiesz? – Joanna beczelnie dotknęła czułego punktu.

– Jesteś teraz podła, wiesz? – Katarzyna się obruszyła. – Wybaczam ci, bo tak trzeba z ciężarną.

– Ohydne słowo.

– Ciesz się nim.

– Nie zamierzam – fuknęła Joasia. – Nie jestem gotowa na noszenie przed sobą brzucha, na bycie przeźroczystą dla facetów, na zmywanie kupy z niemowlęcego tyłka.

– Ciebie też ktoś przewijał. Pieluchy śmierdziały, zapewniam cię. Co cię nudzi w Arturze? – Katarzyna zmieniła temat.

– W czasie naszych wakacji – moja wnuczka westchnęła – codziennie robił to samo na śniadanie. Nie chciał kupić gofra w budce, bo to nieplanowany wydatek. Znalazłam wyprzedaż w księgarni, pokłóciliśmy się o dwie książki. Potrafił pójść pół kilometra dalej do sklepu, bo tam masło było tańsze o dwadzieścia pięć groszy. Życ z kimś takim? Jak w więzieniu!

– Fakt, fantazji to mu trochę brak. – Katarzyna odwróciła się, żeby Joanna nie dostrzegła drwiny. – Pomyśl jednak, jak by się zachował, gdybyś tam zachorowała.

– Znalazłby lekarza.

– Po prostu?

– No nie... Wykupiłby wszystkie lekarstwa, a potem podawał je dokładnie o czasie, co do minuty.

– I na te lekarstwa nie zabrakłoby mu pieniędzy, prawda?

– Ciotka?

– Tak, kochana?

– Morały prawisz.

– Pomyśl, jak już będzie dziecko, wasze dziecko. Jak zachowa się Artur, gdy małe całą noc będzie płakać?

– Dlatego nie chcę mieć tego dziecka, nie teraz. Żeby nie płakało.

– Później urodzone też będzie płakać, nie zmieniaj tematu. Jak by się zachował?

– Wiem, rozumiem! – wykrzyknęła Joasia. – Jest odpowiedzialny, poukładany, pomocny. Jest ze wszech miar najlepszym kandydatem na męża i ojca. A ja chcę mieć, póki co, chłopaka.

– Tylko że masz dziecko w brzuchu.

– Którego nie chcę – warknęła znów dziewczyna.

– Porozmawiaj z matką, ojcem, babką. I z Arturem, oczywiście.

– Babka wie, a z Arturem zerwałam. On nie wie o ciąży i ma o niej nie wiedzieć.

– Słucham? – Moja młodsza córka, która zawsze wydawała mi się wzorem nieodpowiedzialności, teraz z trudem powstrzymała się przed mocniejszym komentarzem. Wzięła głęboki oddech. – Kiedyś się dowie – odpowiedziała, udając spokój.

– Chcę usunąć.

– Nie podejmuj pochopnych decyzji. Porozmawiaj z matką.

– Po co? Ona będzie chciała wnuka i już.

– O ciąży wie już Wanda, więc i Małgorzata będzie zaraz wiedzieć.

– Znalazł się wzór cnót i prawego postępowania.

– Ciężarnym wybaczam, chociaż z trudem. Idź i zmądrzej, dziecko. Będziesz musiała wytłumaczyć matce, dlaczego nie jesteście jeszcze po ślubie z Arturem.

– Po co mnie drażnisz?

– Bo ty mnie wkurzasz.

Rozłączyły się, obie rozżalone.

Gówniara – myślała Katarzyna. Głupoty opowiada.

Zramolała ta moja ciotka. Kiedyś była fajna. Joanna przygryzła wargę.

Dwa dni wcześniej Małgosia napisała Katarzynie, że młodzi powinni się do nich, do leśniczówki, wprowadzić jak najprędzej. Najlepiej zaraz po ślubie.

„Przecież nie ma chyba na co czekać, jak sądzisz?” – pytała siostrę.

„Nie podejmuj pochopnych decyzji. Proszę, porozmawiaj z matką, zanim cokolwiek zrobisz. Obiecuj” – napisała szybko Kasia w mailu do Joanny. *Oby tylko głupota wywietrzała jej z głowy. Martwiła się. Właściwie powinnam zadzwonić do Małgości. Młoda mnie wyklnie, ale matka zawsze ma wpływ na córkę. Zawsze? Czy moja mama miała na mnie wpływ? Delikatnie ujmując, umiarkowany. Robiłam, co chciałam i tak mi zostało. Aśka jest do mnie podobna. Postrzelona i z fantazją. Czy ja jednak byłam aż taka głupia w jej wieku? Nie byłam w nieplanowanej ciąży. Przecież nie dlatego, że byłam święta – westchnęła. – Lepiej się pilnowałam albo miałam więcej szczęścia.*

Joanna nie odpisała na maila. Dwa dni później pojechała do rodziców.

Po powrocie z wakacji zamieszkali z Arturem na Mokotowie. Katarzyna już wyleciała do Indii, mieszkanie na nich czekało. Lokum zyskało na przytulności, głównie z inicjatywy Artura. Przywiózł trochę niepotrzebnych u jego rodziców mebli, coś tam dokupili. Pojawiły się dodatkowe naczynia i sztucce. Dbał o gniazdko.

Jednak Joanna cały czas widziała Grażynę. Jej cień chodził za nią, przeszkadzał się skupić. Joanna przerywała czasami, zawieszając się – czegokolwiek by nie robiła. Na imaginację obecności Grażyny pomagała tylko długa kąpiel.

Artur zaczął drażnić Joannę w czasie wspólnych wakacji, ale trzy dni po przeprowadzce była już na niego nieustannie wkurzona. O wszystko, z powodu i bez. Kruszył, jedząc w fotelu. Pił herbatę w szklankach z metalowym uchwytem. Rzucił piżamę w poprzek łóżka. Zostawiał kapcie równo ustawione albo rozrzucone.

Dzień po rozmowie z ciotką zrobiła mu karczemną awanturę. Powód nie był jasny, ani dla Joanny, ani tym bardziej dla Artura.

– Zabieraj swoje mebelki i wynocha! Przestań mi zaśmiecąc mieszkanie! – krzyczała.

– Nie jest twoje i podobały ci się... – próbował tłumaczyć, co wzbudziło kolejną falę furii.

– Nie chcę cię znać! – krzyczała dziewczyna.

Nic mu nie wytłumaczyła i nie chciała więcej rozmawiać.

Zamknęłam rozdział „Artur” – pomyślała. Czas załatwić sprawę z matką.

Artur uniósł się honorem i nie prosił o wyjaśnienia. *Przestaną utrzymywać z nią jakikolwiek kontakt – myślał. Nawet na uczelni nie będziemy się już spotykać. Co ja w niej widziałem tyle czasu?*

Chłopak zdążył przenieść studia w tryb zaoczny, chociaż nie powiedział tego jeszcze Joasi. Chciał zarabiać na rodzinę, na Joannę i siebie. Jego rodzice byli temu przeciwni.

– Studia zaoczne nigdy nie są takie jak dzienne – mówiła jego matka z troską w głosie. – Zawsze mają niższy poziom.

– Co to w ogóle za pomysły? – denerwował się ojciec. – Masz utrzymanie i mieszkanie, zdążysz się jeszcze usamodzielnąć.

– No i miło by było, gdybyś zechciał nam ją przedstawić – dopominała się matka.

Miło, miło – w myślach sarkastycznie przedrzeźniał matkę chłopak. By było. Gdyby Joanna dała się do was zaciągnąć.

Joasia konsekwentnie odmawiała wizyty w ursynowskim mieszkaniu rodziców Artura, nawet wspólne wakacje nie zmieniły jej nastawienia. A krótki okres wspólnego mieszkania już w ogóle nie sprzyjał takim planom.

Oboje byli rozżaleni. Artur, bo nie rozumiał dziewczyny, Joanna, bo nie rozumiała siebie. *Każda normalna kobieta ma*

już w moim wieku rozbudzony instynkt macierzyński. Niektóre decydują się nawet na wyjście za mąż tylko dla dzieci. Co ze mną? Gdy z Joanny opadła złość, pozostał głęboki smutek. Ciężowe zmiany nastrojów – pomyślała, znów czując złość. Cięża. Na co mi ta cięża?

Gdy Joanna jechała do matki, jej nastrój zmieniał się dosłownie co kwadrans. Małgorzata, słuchając nowin, poczuła zawrót głowy. Radość – niedowierzenie – przerażenie – niepokój.

Rozmowa była burzliwa, o co postarała się moja wnuczka.

– Mam prawo o sobie decydować! – krzyczała w kuchni leśniczówki.

Już po pierwszych zdaniach Joanny wyszłam do swojej części domu. Nie zamierzałam uczestniczyć w kłótni.

– Pójdę się położyć – powiedziałam. – Coś głowa mnie pobolewa. *Niech sobie porozmawiają w spokoju* – myślałam. Chyba stchórzyłam.

Akurat teraz potrzebowałabym matki i jakiejś mądrej rady – pomyślała Małgorzata kilka minut później.

Małgorzata niedawno odkryła nową terapię uspokajającą. Zastosowała ją teraz, czekając, aż Joanna skończy mówić i ona sama trochę się uspokoi. Trzy razy przełknąć ślinę – raz popić herbatą. Czarną, mocną, bez cukru. Cukier podwyższał ciśnienie, nie pomagał się uspokoić ani skupić na problemie. Dzięki temu unikała tabletek i kropli.

Może jednak uda mi się nie brać znów prochów – pomyślała, oddychając głęboko. *Trzy razy przełknąć ślinę – popić herbatą.*

– Córeczko, spokojnie. Daj mi pomyśleć – powiedziała cicho, gdy córka skończyła pełną pretensji mowę.

Joanna mówiła jak prokurator – pomyślała Małgorzata. *Nie wiem, kogo chciała oskarżyć, ale wyszło, że wszystkich.* Westchnęła, mówiąc na głos:

– Zrobię świeżej herbaty.

Po zastanowieniu doszła do wniosku, że wnuk jest najważniejszy. Cała reszta może poczekać. Zebrała siły.

– Wiesz, kochana, jestem w tej chwili prawie bezrobotna – zaczęła, stawiając parujący czajnik na drewnianym stole. Ten stół wypatrzyła na pobliskim bazarze, handlarz ustawiał na nim starocie i nie bardzo chciał go sprzedać. Małgorzata zachwycała się zaokrąglonymi brzegami i frezowanym rantem. Kupiła stół drogo, ale sprawił jej wielką radość. Nie nakrywała go nawet serwetą, podobało jej się usłojenie blatu, chociaż był w kilku miejscach uszkodzony. – Za chwilę zacznę się bardzo nudzić – kontynuowała. – O wnuku marzyłam od dawna i marzę ciągle.

Joanna wzruszyła ramionami. *Ale ja nie jestem maszynką do spełniania życzeń* – pomyślała dziewczyna.

– Idzie zima, remont w leśniczówce zaraz się skończy – mówiła dalej matka. – W ogrodzie też nie będzie co robić. Zajęcie by mi się przydało.

– Mam urodzić po to, żebyś się nie nudziła? – powiedziała kąśliwie Joanna.

– Nie. – Małgorzata uśmiechnęła się ciepło, chociaż czuła, że spokoju nie wystarczy jej już na długo. – Deklaruję, że wyręcę cię w opiece nad dzieckiem. Tylko tyle, może aż tyle.

Milczały.

Pomocy! – myślała Małgorzata. *Żeby matka tu przyszła!*

U siebie w pokoju nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Jakbym usłyszała wołanie córki, ruszyłam do ich części domu.

– Czy dobrze myślę, że jest tu gorąca herbata? – zapytałam, wchodząc do kuchni. – Tabletki mi pomogły. Coś się stało? – Zatrzymałam się niedaleko wejścia. – Mam wrażenie, że spojrzenia tu przeszywają jak dobrze naostrzone miecze.

Joanna wzruszyła ramionami.

– Siadaj, mamo – powiedziała Małgorzata. Zdążyła już wstać

i sięgnąć po filiżankę. – Masz idealne wejście na herbatę.

– Powiecie, o co chodzi? – dopytywałam się niespokojnie.

– Twoja wnuczka jest w ciąży – powiedziała Małgorzata.

Zerwałam się z krzesła. Umówiliśmy się z Joanną, że się nie zdradzę. – Cudownie! Najlepsza wiadomość dziesięciolecia. Mam dla ciebie już kilka kartonów ubranek, koleżanki mi oddały, po swoich wnuczkach. To będzie najlepiej ubrany dzidzius w kraju.

– Babciu, ja...

– Wiem, wiem, ciężko jest na początku. Hormony i inne przeszkadzają. Na szczęście jesteśmy razem. – Zamknęłam wnuczkę w delikatnym uścisku szczupłych ramion. W ogóle to znowu zeszczuplałam ostatnio.

Joanna poczuła się raptem bezbronna. Minęła złość, objęła mnie.

Tak przypuszczałam. Wanda była tu niezbędna – pomyślała Małgosia.

– Już obiecałam Joasi, że pomogę przy dziecku. Zajmę się nim, ile trzeba będzie, tym bardziej, iż Joasia podjęła decyzję, że nie chce żyć z tatą dzidziusia.

– Artur coś podpadł? – zapytałam ze szczerą chęcią usłyszenia odpowiedzi. – Zajmiemy się tym później – powiedziałam, gdy zobaczyłam minę Joanny.

Wnuczka spojrzała z wdzięcznością.

– I mówiłam Joasi, że zimą nawet z nudów się zajmę dzieckiem...

– Tak, tak. – Machnęłam ręką. Dawno już policzyłam, że dziecko urodzi się wiosną, wtedy pracy w ogrodzie będzie mnóstwo.

Jednak przecież nie o ogród tu chodziło, prawda?

Rozdział 68

MA

– Mamo, jestem zmęczona – skarżyła mi się Małgosia. – Remont leśniczówki ciągnie się jak glut z nosa jesienią, Joanna w ciąży, ojca dziecka nie ma, Katarzyna wyjechała, Karol znów w rozjazdach... Nie daję rady!

– Masz jakieś kłopoty ze zdrowiem? – Zaniepokoiłam się. – Na wszystko można poradzić, tylko zdrowie musi być. – Już ja coś o tym wiedziałam.

– To nie to. Tak po prostu. Po wylewie mi trudniej. Jestem wolniejsza, wszystko zajmuje mi więcej, za dużo czasu. Najgorsze jest to, że umysłowo też jestem mniej sprawna. To jest straszne. A muszę ogarnąć cały dom, wiecznie nieobecnego Karola i jeszcze kłopoty Joanny.

– Niedługo będzie lepiej. Remont się skończy, przestaniemy żyć na walizkach, Joasi miną humory, jak to w ciąży. Początek i koniec są okropne, w środku jest całkiem miło.

– Joanna wiosną urodzi córkę i zostawi ją mnie. Ciągle mi przypomina, że to ja odwiodłam ją od skrobanki.

– Nam zostawi. – Poprawiłam córkę. – Wszyscy jej mówiliśmy, żeby nie popełniała tego grzechu. Kasia także, z tego, co wiem.

– Z siostrą to się jeszcze policzę. O ciąży wiedziała prędzej ode

mnie i nawet słowem się nie zająknęła.

– Ja też wiedziałam wcześniej. – Wzruszyłam ramionami. – Tylko mnie nikt nie powiedział. Sama dostrzegłam.

Po co miałam ją drażnić. Jakby się przyjrzała, też by się domyśliła. Tylko nie patrzyła wystarczająco uważnie.

– Cieszę się z wnuczki – powiedziała Małgorzata, wzdychając.
– Bardzo nawet. Ale mam obawy, czy podołam opiece nad noworodkiem. Już nie te lata i ten wylew...

Widziałam zmiany w córce, część z nich mnie cieszyła. Na przykład to, że nie tęskniła za uczelnią. Uważałam, podobnie jak Karol, że Wiktor wykorzystywał Małgorzatę. Praca była absorbująca, za to nieprzynosząca godziwych dochodów. Małgorzata żyła teraz z małego zasiłku i niepewnych zajęć dorywczych, jednak pod każdym względem było lepiej. Finansowo i czasowo. Brakowało tylko satysfakcji i prestiżu. „Bez tego przecież można się obejść” – tłumaczyłam sobie i czasami jej. Cieszyłam się także z tego, że moja córka zdecydowanie się rozluźniła. Kilka razy na sznurku w łazience widziałam pończochy – nie należały przecież do ciężarnej Joanny.

Była i denerwująca strona owej przemiany – owszem, Małgorzata stała się swobodniejsza, ale też zbyt łatwo się dostosowywała. Straciła pazur. *Na pewno z powodu wylewu, ale może nie tylko?* – myślałam. Martwiłam się o starszą córkę.

– Wiesz przecież, że pomogę ci w opiece nad małą – zadeklarowałam po raz któryś.

Obydwie myślałyśmy to samo – że musimy się sobą opiekować. Małgorzata uważała, że wiek zaczyna mi już mocno doskwierać. *Wymaga już pomocy, nawet w prostych sprawach* – myślała o mnie córka. Ja postrzegałam ją jako wciąż ciężko chorą. *To już nie moja błyskotliwa, czasami wredna Małgosia. Potrzebuje mojej pomocy* – myślałam i mobilizowałam siły.

W ten sposób splatała się między nami w coraz grubszy sznur nieć symbiozy, oparta nie tylko na więzach krwi.

Oczywiście, była to miłość niewypowiedziana, wstydliwie ukrywana pod płaszczem obowiązku.

– Pomogę ci, mam – mówiła Małgorzata.

– Daj, córuś, wyręcę cię – odzywałam się innym razem.

Miałyśmy dla siebie więcej czasu, sporo rozmawiałyśmy. Wreszcie o wszystkim. Nie wychodziłam teraz z Joanną do kina, z kim miałam dyskutować? Dzieliłam się przemyśleniami z córką.

– Pożyczyłam z biblioteki dla ciebie nową Allende – powiedziała pewnego dnia moja córka.

Ucieszyłam się.

– Lubię ją.

– Wiem, dlatego pożyczyłam – odpowiedziała Małgorzata.

Innym razem przyniosła film DVD.

– Zrobiłam gulasz z curry. Według przepisu od Kasi. Zasmakuje może Joannie? – innego dnia powiedziałam niepewnie do Małgorzaty.

Córka spróbowała, sięgnęła po talerz i nałożyła dużą porcję.

– Jeśli dla niej wystarczy, będzie jej smakowało. – Uśmiechnęła się.

Wspólny czas, wzajemne przysługi, rozmowy zbliżyły nas do siebie.

Nawet zastanawiałam się, czy powiedzieć. Ale to jeszcze nie był ten czas.

– Martwię się – powiedziała Małgorzata, ot tak, bez wstępu, przy kawie. Piłyśmy ją w kuchni, przy wielkim drewnianym stole, w fajansowych filiżankach. Małgorzata nie piłaby w kubku, a porcelana psuła harmonię wiejskiego wystroju.

Znowu? – pomyślałam.

– Ale czym? – zapytałam, trochę zniechęcona.

- O Karola. Znowu znika.
- Małgosia! - Zdenerwowałam się. - Już jeden wylew był z tego twojego martwienia się. Dajże spokój, dziecko!
- Małgorzata uniosła ręce w obronnym geście.
- Nic nie mówię - powiedziała, kręcąc głową.
- Jak myślisz, czy Katarzyna zamierza wrócić? - zapytałam, zmieniając temat.
- A kiedy z nią rozmawiałaś, mamo?
- Jakieś trzy dni temu. Przed komputerem. Joasia mi podłączyła - powiedziałam z dumą. Nie wyobrażałam sobie wcześniej, że można dialogować przez komputer.
- To wiesz więcej niż ja. Ostatnie wieści od mojej siostry mam z ubiegłego tygodnia. Mam nadzieję, że kiedyś wróci. Smutno bez niej. Nadaje... - zawahała się Małgorzata - koloru. Poza tym dobrze, kiedy cała rodzina jest razem, prawda?

Rozdział 69

KA

Katarzyna i Miłosz oddawali się rozpuście. Tak zapewne określiłaby to Małgorzata. Mówiąc szczerze, ja też. Po egzotycznym obiedzie, który jadali zwykle około piątej lub szóstej, leżeli na dywanie i opróżniali kieliszki. Byli wstawieni, nadzy i szczęśliwi.

I ten stan niezwykle mi odpowiada – myślała czasami Katarzyna.

– Kasiu, zamierzasz wrócić do Polski? – zapytał Miłosz przy trzecim kieliszku. Właśnie wstawał, żeby otworzyć następną butelkę.

– A może do Kanady? Jeśli chcesz – zastrzegła się. Ciągle odczuwała lęk, że Miłosz się wystraszy.

– Wolałbym Polskę. W Kanadzie niewiele mnie trzyma. Rodziców już nie ma, biznes... Cóż, pańskie oko konia tuczy. Mnie nie ma od kilku miesięcy, wspólnik prowadzi interesy. Omówiliśmy warunki sprzedaży firmy. Poza tym tęsknię za Polską. No i chciałbym, oczywiście, prosić cię o rękę.

Katarzyna odstawiła szklanekę.

– Wspólne szczęście na odległość nie jest możliwe – dodał.

To już? Teraz? Tak zaraz? – myślała spanikowana.

– Polikwidowałam w Polsce prawie wszystkie interesy – mówiła na ile potrafiła spokojnie. – Butiki prowadzi Iwona, dla Joanny to chyba jeszcze nie ten moment. Ja byłabym szczęśliwa, gdybym dostała taki prezent, gotowa firma na start. Nawet mieszkanie na nią zapisałam.

– Więc nie ma znaczenia, gdzie osiadziemy. Wolałbym tam, gdzie jest lepszy asortyment win. – Uśmiechnął się. – Nie wiem, jak oni tu wytrzymują bez wina. Tylko piwo i whisky.

– Przecież pijemy wino. – Katarzyna się zdziwiła.

– Jakieś popłuczyny w astronomicznej cenie.

– To co, południe Europy?

– Kasiu, Joanna jest w ciąży, prawda? Za kilka miesięcy zapewne znów wprowadzi się do rodziców, Mokotów będzie wolny. Jak bardzo ufasz Iwonie? A, byłbym zapomniał! – Miłosz sięgnął do płóciennej torby. Zachwyciła Katarzynę. *Coś podobnego!* – pomyślała. *Żeby z takiego materiału uszyć torbę! Przecież to w Polsce będzie sprzedażowy hit! Zaczęła planować od razu niezbędną ilość materiału i przeliczać to na bele. Miłosz zaś wyciągnął z torby pudełko w kształcie serca. Niemożliwe! Nie tak! Wielkie, czerwone pudełko. Ekstremalny banal –* jęknęła Katarzyna w duchu. Kiedy je otworzyła, zamrugła. Złoty słoń wysadzany kamieniami, dzieło starej indyjskiej szkoły jubilerskiej. O skraj trąby zaczepiony był skromny pierścionek. *Ten słoń kosztował majątek! Pierścionek jest za to idealny* – pomyślała. *Taki skromny.*

Byli nadzy, łatwo było wyrazić „tak” bez słów.

– Pierwszy raz będzie szybko – wyszeptała Katarzyna. – Ale już za chwilę będziesz się pode mną wił i jęczał, żebym cię wypuściła. Nie zrobię tego. Będę cię obejmować, ścisnąć udami, ujeżdżać, aż wypłynie z ciebie ostatnia kropla. Jeśli wtedy mi powiesz, że dalej chcesz się ze mną ożenić – pobierzemy się.

Trzy godziny później Miłosz zapisał swoje wyznanie na dużej,

białej kartce: „Chcę się z tobą ożenić. Niniejszym zostawiam pisemny dowód. Wyjdiesz za mnie?”.

Rozdział 70

TUTAJ

- *Jak na to wpadłeś? – pytam Stanisława z odrobiną pretensji.*
- *A nic, tak sobie grałem na oboju i wpadło mi, żeby...*
- *Walnę cię obuchem.*
- *W ogóle nie wpadłem. Po prostu twoja mama do mnie przyszła.*
- *Przecież ona cię nie zna!*
- Milczymy.*
- *Już zna – cicho odpowiada Stanisław. – To twój świat. Wszyscy cię znający w końcu się poznają. Jeśli tylko tego chcesz. Ty rządzisz.*
- *Tak, to moja oaza.*
- *A ja jestem twoim oblatem wiernie warującym pod opactwem, w którym wyglądasz z wieży przystrojona w ornamenty z opali.*
- *Przeprowadzę ofensywę.*
- *Cudownie! Ale nie możesz.*
- *Mogę tylko oczekiwać.*
- *I rozmawiać.*
- *Z mamą.*
- *Z kim chcesz.*

Rozdział 71

JO

Joanna wciąż dwa razy w tygodniu chodziła na basen. Lekko wystający brzuch zaczynał ją krępować, jednak potrzebowała pływania. *Chciałabym mieć skrzela – myślała czasami. Pod wodą dźwięki są tak miękkie. Nic nie jest istotne, tylko aksamitny prąd wody.*

Rytm jej życia był teraz ustabilizowany. Cztery razy w tygodniu szła na uczelnię, codziennie była w hurtowni, basen odwiedzała w poniedziałki i piątki. Zасыiała o dwudziestej drugiej. Spostrzegła, że praca w hurtowni i w sklepach ciotki dawała jej coraz więcej satysfakcji. *Chyba odnajduję się w tym biznesie – myślała. Jest uporządkowany, wymaga wyłącznie trochę systematyczności. Czyżbym zmieniała się w matkę? Gdzież moja fantazja? Wyobraźnia, wolność i inne takie obecnie mieszczą się w moim brzuchu.* Joanna z mieszanymi uczuciami patrzyła na wyłaniającą się z wody wypukłość. Łatwo się męczyła, lubiła teraz leżeć nieruchomo na wodzie.

Uświadomiła sobie, że Grażyna nigdy nie była z nią na basenie. Ona była niska i pulchna, chociaż atrakcyjna. *Sęk w tym, że Grażyna nienawidzi się ruszać – pomyślała Joanna.* Smutkiem napełniła ją świadomość, że ciągle myśli o Grażynie

w czasie teraźniejszym.

Ostatnio Joanna często się denerwowała. Właściwie na wszystko, ale głównie na siebie. Nie potrafiła określić, co było przygodą, co objawieniem. Grażyna, Artur? Kobieta, mężczyzna? *Kogo będę chciała spotykać w moim życiu?* – zastanawiała się. Męczyło ją to. Raz śniła o życiu z kobietą, następnej nocy o mężczyźnie. Nie zawsze miał twarz Artura. Prawie nigdy nie było to ciało Artura. Potem kilka nocy wolnych, pozbawionych snów, i znów ta sama sekwencja. Kobieta – mężczyzna – nic.

Joanna wiedziała, że wszystko jest lepsze niż nic. Wszystko?

Rozdział 72

MA

Małgorzata siedziała przed buzującym kominkiem i czuła się jak Ania z Zielonego Wzgórza. Brak centralnego ogrzewania, wewnętrzne zimno, kobieca postać. *Przydałby się jeszcze księżyc, zawyłałabym* – pomyślała. *Chociaż to chyba inna bajka.* Smutek wywoływała w niej myśl o własnym mężu. Po zorganizowaniu perfekcyjnej przeprowadzki Karol znów zaczął znikać z domu. Wbrew zapewnieniom małżonka Małgorzata przeczuwała jakąś atrakcyjną i chętną panią bez zobowiązań, za to z przestronną szafą pełną bielizny, przez co zadawała wiele pytań, często wpadając w ton podejrzliwy i pełen niewypowiedzianych pretensji. To spowodowało, że pewnego dnia Karol wparował do leśniczówki z bukietem wielkości stodoły.

Skąd wziąć na te kwiaty wystarczająco wielkie wiadro? – To była pierwsza myśl Małgorzaty.

– Małgosiu, uwielbiam cię – zaczął Karol patetycznie – jesteś najwspanialszą kobietą świata. Ale przestań mnie śledzić, bo czuję się jak kot w klatce. A z kota mogę się zmienić albo w tygrysa, albo w szczura.

– Jak to, śledzić? – Małgorzata się zdziwiła.

Karol usiadł.

– Przeglądasz moją komórkę. Czytasz maile. Sprawdzasz komputer.

– Może powinnam wynająć detektywa – mruknęła, bo było jej wstyd.

– Dowiedziałaś się czegoś? Jeszcze się nie przekonałaś, że jesteś najważniejsza?

– Teoretycznie wiem, praktycznie znikasz. Nie wiem, gdzie jesteś, co robisz, ani z kim. Co mam myśleć?

– Że pracuję.

– Pracujesz z kobietami.

– Też. Pracuję z pracownikami.

Małgorzata ułożyła wargi w pełen powątpiewania grymas.

– I mam tak po prostu przyjąć do wiadomości, że wyjeżdżasz z jakimiś babami i nic? Przez dwie noce?

Karol jęknął.

– Wyjeżdżam najczęściej sam. Jeśli nocuję, to na jakimś większym spotkaniu.

– Tak. Ostatnio było takie. Widziałam relację w internecie. Wielkie przyjęcie na kilkadziesiąt stolików w ogromnej sali. Impreza trwa w najlepsze, płyny się leją, muzyka huczy, a przy stoliku dwójka ludzi po prostu uprawia seks. Dziewczyna rozpięła facetowi rozporek, on jej bluzkę. Większość była tak pijana, że tego nawet nie zauważyła. Ale ktoś sfilmował i wrzucił do netu.

– Małgosiu, to film sprzed dwóch lat z imprezy któregoś z banków. Dlaczego mnie posądzasz o rzeczy, na które nie mam ani ochoty, ani czasu?

– Karol, przestań. – Małgorzata przerwała mu obcesowo i przyszło jej to z zadziwiającą łatwością. – Zabierz te łydgi i nie opowiadaj więcej andronów. Idź już.

Karol wyszedł. Bardzo długo stał przed domem. Przez

niezasłonięte okna obserwował krzątanie żony, za nią chodziło światło. Karol słuchał gadania lasu, siedząc na murku ogrodzenia. Jedno z pręseł przerdzewiało i zdecydował o jego zdjęciu. Stało teraz obok, kruszące rdzą.

Wygląda jak moje życie – pomyślał. Co za bzdury. Mam nowy dom, który dopiero wykańczam. Leśniczówka będzie piękna i będziemy w niej długo i dobrze żyli. Mam ukochaną żonę, która szczęśliwie wyszła z ciężkiej choroby i teraz musi dojść do równowagi, każdej, także psychicznej. I mam wnuka w drodze. Czego ja chcę od życia?

Małgorzata płakała. Przestraszyła się, kiedy godzinę później dostrzegła męską postać na podwórzu. Potem obserwowała męża stojącego bez ruchu wśród nocnego hałasu, trzeszczących konarów, szelestu zwierzęcych kroków, szeptania liści i skrzypienia wielkich pni. Liczyła jego kroki, gdy chodził po podwórku. Chwycił grabie.

Cóż to za grabienie po ciemku – pomyślała z wyższością. Co ja tu nagrabię po ciemku – pomyślał Karol. Usiadł. Wstał. Podszedł do ganku, oglądał dach. Tu też trzeba naprawić – pomyślał ze smutkiem. Gdzież on poszedł? – myślała Małgorzata. Potem obserwowała jego kroki skierowane do samochodu.

Było już późno w nocy, gdy wsiadł do samochodu i pojechał do miasta. *Jak powinienem postąpić? – zastanawiał się, jadąc.*

Małgorzata wyszła i stanęła w miejscu, w którym widziała przed chwilą Karola. *Może chociaż jego zapach został w moim życiu – myślała. Wieczorne mgły jednak zabrały już woń, strasząc nią sarny i zające. Jestem beznadziejna. Katowała się. Wyrzuciłam go.*

Upić się – myślał Karol. Powinienem się upić. Tak zrobiłby każdy normalny facet. Jak mam pomóc Małgosi? Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Mam dość tłumaczeń! Najpierw czekałem na jej wyzdrowienie, grzecznie i z podkulonym ogonem, jak

winowajca. A ja nic nie zrobiłem! Uderzył otwartymi dłońmi w kierownicę. Zatrzymał się pod hotelem, w którym jego firma od czasu do czasu organizowała konferencje. *Powinienem tu wejść?* – zadawał sobie pytanie, siedząc na parkingu w samochodzie z odpalonym silnikiem. *Mam ochotę wrócić i ją przytulić. Zamknąć głupie gadanie porządnym całowaniem. Ale jestem zmęczony. Chcę odpocząć.* Znalazł pokój w hotelu, nie myślał tej nocy więcej. Zostawił myślenie żonie.

Małgorzata zmarzła, stojąc na podwórzu. Potarła rękami ramiona, nie pomogło. W domu dorzuciła do kominka, próbowała czytać. Obserwowała ogień. *Wyrzucę do niego swoje myśli* – przemknęło jej przez głowę. Siedziała przed ogniem, głęboki oddech, jeden – dwa – trzy – łyk herbaty. Głęboki oddech... Ale rytuał nie pomagał.

– Co tak po ciemku siedzisz? – Weszłam do salonu rozjaśnionego czerwoną poświatą ognia. Widziałam odjeżdżającego Karola, martwiłam się. *Znowu będą kłopoty?* – pomyślałam. – Strasznie suche dzisiaj powietrze, to od tego ognia? – Spojrzałam w stronę buzującego kominka. – I nie gorąco ci tak? – Łatwiej czasami pytać niż rozmawiać. – Idę się napić – powiedziałam w końcu do wciąż milczącej córki.

– Chodź już spać – powiedziałam, wracając z kuchni. – A może posiedzieć z tobą? – zapytałam, stojąc już przy drzwiach na korytarz.

– Nie, mamo, posiedzę chwilę jeszcze i też idę – odpowiedziała Małgosia, wystraszona nieproszonym towarzystwem.

– A Joanna gdzie?

– U siebie. Znaczący, u Katarzyny.

– Nie miała być dzisiaj tutaj?

Małgorzata pokręciła głową.

– A – odpowiedziałam.

Nawet nie zapytała o Karola. No tak, po co o niego pytać, skoro

go wiecznie nie ma! – rozmyślała Małgorzata. Próby uspokojenia się nie dawały rezultatu. *Wybaczyłam* – wściekała się na siebie. *Jestem wspaniałomyślna, prawdziwa święta. Wdychałam obce feromony, spierałam cudze perfumy, podglądałam kolor szminki z kołnierzyków. Wybaczyłam!* – krzyczała do siebie. *Ale nic nie zrozumiałam!*

Poczuła uderzenie gorąca. *Jeszcze i to!* Ze złością uderzyła w oparcie fotela. Skrzywiła się, zabolą ją ręka. *Menopauza, niech to.*

Ale to nie była menopauza. Znów widziała, jak w krzywym zwierciadle, swoją wykrzywającą się rękę. Tętno przyspieszyło, panicznie łapała oddech.

Moje serce pobiegnie za Karolem – myślała przerażona Małgorzata. *Za moim zdradzającym, ukochanym Karolem.*

Chciała mnie zawołać, zawołać matkę, poprosić o wezwanie pogotowia. Nie była w stanie wstać z fotela. Komórka została w kuchni, poza zasięgiem dłoni. Sturlała się z fotela i leżała na cienkim wytartym dywanie, odziedziczonym po poprzednich właścicielach. *Trzeba będzie zmienić ten dywan* – pomyślała, gdy serce trochę zwolniło, a ręka zaczęła się prostować, chociaż wciąż pozostawała zdrętwiała.

Nie, nie zadzwonię do Karola! – pomyślała, gdy udało jej się wstać i dojść do drzwi. *Za te wszystkie perfumy i szminki nie zadzwonię!*

Dopiero w łóżku, już na progu zaśnięcia, pomyślała, że prać prała, ale szminki nigdy na kołnierzyku Karola nie widziała. Wybudziła ją ta myśl. Leżała chwilę w łóżku, ale sen nie nadchodził. Wróciła przez kuchnię do salonu, dorzuciła do kominka. Znów w fotelu, z fajansową filiżanką ogrzewającą rękę, mówiła do siebie półgłosem: *Chciałam tylko, żeby ze mną był. Jestem jak Dulska. Nawet koronek przy staniku nie nosiłam. Na co mi te wszystkie uczelnie!*

Odstawiła filiżankę, sięgnęła po książkę leżącą na stoliku. Ważyła ją chwilę w ręce, potem potraktowała jak piłkę do rugby. Tom rozleciał się na ścianie. *Klejona tandeta, zszyta by się nie rozwalila* – pomyślała. *I nawet nie umiem trafić w obraz* – skonstatowała spokojniej. Zamierzała zrzucić ze ściany ulubioną reprodukcję Karola. *A potem skakać po potłuczonym szkłe*. Wyobrazila to sobie i w końcu się uśmiechnęła. *Kim jest dla mnie Karol?* – myślała już spokojniej. *Kimś istotnym. Ojcem mojej córki. Ukochanym. Czasowym. Ja jestem dla niego czasowa. Zastępcza.* Podpowiadała złość. *Stałym ukochanym.* Racjonalizowała. *On był stały, tylko one się zmieniały.* Chochlik nie ustawał. Małgorzata machnęła ręką na wewnętrzny dialog. *Nie wiem, czy chcę rozumieć Karola. Może skupię się wreszcie na sobie.*

Wstała, złożyła starannie koc, którym opatulila się szczelnie, siadając na fotelu. W kuchni nie zapaliła światła. Za oknem, nieosłoniętym firanką, nocny las wyglądał groźnie. Pstryknęła czajnikiem, oparła się biodrem o parapet. Słaby poblask ognia z salonu nadawał szybie czerwonej poświaty. Zaparzyła ponownie herbatę. W tym przytłumionym blasku trzymała filiżankę w dłoniach, oparta łokciami na blacie. Patrzyła za okno, w las.

Zerknęła w naczynie, gdy poczuła między zębami pierwsze fusy. Poczuła się jak wróżka. *Powrózę z fusów.* Uśmiechnęła się ironicznie. *Jak Katarzyna.* Spojrzała w głąb ceramiki.

– To działa! – powiedziała półgłosem.

Wśród fusów dostrzegła coś istotnego a oczywistego.

– Chcę być szanowana. Jako ja. Nie jako pani domu, matka ani żona. Nie chcę być zdradzana. Nie chcę zdradzającego samca. Jestem wolna. – Zaśmiała się głośno. – Ale muszę w końcu z kimś porozmawiać. Nie mogę ciągle przerzucać się argumentami z Karolem. Z Joanną rozmowa o ojcu jest

wykluczona. Nie w jej stanie! – wciąż półgłosem mówiła do siebie, sprzątając.

Umyła filiżankę, fusy wyrzuciła do wiaderka na kompost. Po zastanowieniu wyciągnęła wiadro ze spiżarki, stuknęły cicho drzwi, wyszła w noc, w kąt ogrodu, wyrzuciła zawartość. Potem umyła podłogę w kuchni i w korytarzu. Przetarła lamperię nad blatem, myśląc: *Trzeba tu będzie położyć płytki, koniecznie. Stylowe jakieś, beżowe? Nieduże. A może mozaikę? Nie, za nowoczesna. Nierówne płytki, małe, bez wzorów.*

W środku nocy szeleszczącej życiem lasu wysprzątała kuchnię, korytarz, salon i przedsiónek. W tym ostatnim zmarzła trochę, wróciła więc przed kominek. *Czy jestem już wystarczająco gotowa? Na co mam być gotowa?* – zastanawiała się. *Czy jestem już wystarczająco gotowa na rozmowę z matką?*

Rozdział 73

KAROL

Co mogę zrobić? Znowu mam się płaszczyć, prosić? – zastanawiał się Karol. – A jeśli nie... Małgorzata ma chyba jakieś odchylenia. Cholera! Złościł się, ale właściwie tylko w samochodzie. We wszystkich innych okolicznościach starał się być zajęty. W biurze przez cały dzień nie dał sobie wytchnienia. Przerabiał kolejne maile i dokumenty jak maszyna. Tylko w drodze do klienta myśli wróciły. Znowu uderzył pięściami w kierownicę. Żeby tylko nie myśleć. Zaciskał zęby. Działać. Muszę coś wymyślić i działać. Czyli jednak powinienem pomyśleć.

W przerwie na lunch zadzwonił do Joanny.

– Córka, musisz przygarnąć ojca. Mama znowu coś sobie ubzdurała, a ja nie mam ochoty szlajać się po hotelach.

– Ale tato... – zająknęła się Joanna.

– Zniesiesz mnie, zniesiesz. – Przerwał jej. – Tak jak tolerowaliśmy się przez ponad dwadzieścia lat, tak i teraz wytrzymasz.

– Jasne, tato. – Karol usłyszał, jak dziewczyna próbuje się uśmiechnąć. *Zadziwiająco – pomyślał – że przez telefon można usłyszeć uśmiech.* – Będę około szóstej – zakończył rozmowę.

Jak Małgosia dalej tak będzie postępować, to w końcu rozbije rodzinę – rozmyślał, jedząc zimną kanapkę z biurowego baru. Wprawdzie dzieci małych nie mamy, ale wnuka w drodze. O co jej chodzi? Rozbije rodzinę. Jak nic, rozbije naszą rodzinę! – denerwował się.

Joanna zadzwoniła do mnie zaraz po telefonie od ojca.

– A skąd ja mogę wiedzieć? – wykręcałam się od odpowiedzi. Pewnie znów się pokłócili.

– Ale oni się nie kłócili, nigdy, poprzednio też nie.

– Faktycznie – przyznałam. – Małgosia chyba znów o coś podejrzewa twojego tatę.

– Tego się domyśliłam. Ale, babciu, co ty o tym myślisz?

No ba! Oczywiście, że nic nie myślałam.

Mój zięć zadzwonił do mieszkania Katarzyny piętnaście po szóstej. Joasia otworzyła, oblizując palce.

– Pomyślałam, że będziesz głodny – powiedziała do ojca.

– Ty gotujesz? – Teatralnie wytrzeszczył oczy Karol. – A nie otrujesz mnie?

Dziewczyna wykrzywiła usta.

– Tata, doceń starania.

– Doceniam, doceniam. Naprawdę dobrze pachnie.

– Nie miej zbyt dużych oczekiwań. Gotowe danie z mrożonki – zastrzegła.

– Ale ciepłe, świeżo zrobione i podane na stół.

Jedli w milczeniu, z apetytem. Dopiero odkładając sztućce, Karol powiedział:

– Będziemy musieli chyba to omówić. Pyszne było.

– Omówić co? – Joanna przypomniała sobie, że to samo danie lubiły odgrzewać z Grażyną.

– Po prostu nie wiem, co myśleć – kontynuował Karol. – Może ty masz pomysł. To jakieś wariactwo!

– Mówisz o mamie?

Rozłożył ręce w geście „a o kim by?”.

– Ja myślę, że wszyscy mamy problem – powiedziała ostrożnie dziewczyna. – Mamie się chyba trochę... coś poprzestawiało.

Karol położył przed sobą dłonie na stole. Drgały mu kciuki.

– Ale...

– Myślę, tato, że powinniśmy poszukać jakiegoś specjalisty. Nie wiem, jak to się nazywa. Ale mama szuka – zawahała się – zdrady w każdym twoim geście, w każdym słowie, we wszystkim. Ona się strasznie męczy, wcale nie jest jej z tym dobrze.

– To dlaczego to robi?

– To jest choroba, tato. Chyba, obym nie miała racji.

– Dlaczego masz jej nie mieć?

– Bo jeśli to choroba, to rozmowa nic nie pomoże, nie da się nic wytłumaczyć. Mama myśli i postępuje wbrew sobie. Szkodzi tobie i sobie. Niszczy. Nie wiem...

– Jeśli to choroba, to da się wyleczyć.

Tata ma myślenie życzeniowe. Mój rozsądny tato? Choroby, które są w głowie, nie są tak prosto wyleczalne – pomyślała.

Powiedziała jednak:

– Więc może lepiej, żeby to była choroba, tato.

– Zadzwoń do mamy wieczorem.

– Świetnie – odpowiedziała Joasia, zbierając talerze. – Już jest wieczór.

– Usiądź, ja to zrobię. – Wyjął jej naczynia z ręki. – W końcu jesteś ciężarna. – Puścił do niej oko, wiedząc, jak moja wnuczka nie lubi tego określenia.

Prychnęła jak kotka i zasiadła przed telewizorem.

Właściwie dlaczego tym razem miałyby nie podzielać – pomyślał, zmywając. Poprzednio ukorzyłem się, chociaż nie miałem ku temu powodu. Teraz też nie mam. Więc miejmy nadzieję, że znów zadziała. Tylko na jak długo tym razem?

*Mogłem właściwie wziąć się na ambit i za nic nie przeproszać.
Nic nie zrobiłem!*

No mogłem, ale niewykluczone, że do dzisiaj byśmy nie rozmawiali ze sobą. I tak boli, i tak śmierdzi. W którą stronę się obrócisz, dupa z tyłu. Westchnął.

– Tata, no weź! – wykrzyknęła Joanna.

– Ale że co? – odpowiedział, stając na skraju kuchni.

– Nie wzdychaj tak. Pomyślę, że się zakochałeś.

– Ale ja się zakochałem. Jakies dwadzieścia pięć lat temu i ciągle mi nie przeszło.

– Zazdrozczę wam – powiedziała Joanna.

– Że mnie matka znowu z domu wyrzuciła?

– Zazdrozczę wam dwudziestu pięciu lat. Tego wspólnie i razem. Takiej... pewności. Ja nawet nie wiem, czy wolę baby, czy facetów.

– Kiedyś się dowiesz, po prostu będziesz wiedziała i już. – Usiadł obok córki i ją przytulił.

– Dawno tak nie siedzieliśmy.

Na myśl przychodziły mu same banały, więc nic nie powiedział.

– Zadzwoń do mamy – odezwał się po kilkunastu minutach. Joanna tylko kiwnęła głową i okryła się szczelniej kocem. Karol wyszedł do drugiego pokoju.

Małgorzata odebrała za dwudziestym siódmym razem. Nie dała Karolowi dojść do słowa.

– Jeśli tak bardzo chcesz, możesz przyjechać – rzekła zamiast powitania. – Jednak nie wcześniej niż jutro o dwudziestej. Mam teraz tutaj dużo pracy – powiedziała i się rozłączyła.

– Nie zostawię cię dzisiaj w enklawie spokoju. Zostaję – powiedział, wracając do Joanny.

Dziewczyna klepnęła miejsce obok siebie.

– Nie, popracuję trochę. Wziąłem dodatkowy projekt, trochę

mam wyliczanek.

– Nie mógłbyś tego scedować na kogoś? Asystentkę jakąś?

– Mógłbym. Ale potem musiałbym sprawdzać, więc wolę zrobić sam. Poza tym asystentka zawsze może się wygadać, a ja potrzebuję dyskrecji, to dla mnie ważny projekt. Ambicjonalnie.

– Polityka – mruknęła Joanna, ścisząc telewizor.

– Polityka – potwierdził. – Wszędzie jest potrzebna. No i chcę się czymś zająć – dodał, siadając.

Popatrzyła na ojca.

– Gdybyś chciał pracować, nie usiadłbyś obok swojej rozlazłej, ciężarnej córeczki.

– Moja córeczka nigdy nie będzie rozlazła. Poza tym ciąży prawie po tobie nie widać.

– Yhm – mruknęła. – Prawie czyni różnicę.

Obejrzeli końcówkę filmu.

– Uwielbiam go.

– Banderasa?

– Almodóvara. – Joanna się skrzywiła. – Chociaż Banderasa też. Zawsze coś wymyśli.

– Banderas?

– Tato!

– Dobra, dobra. Ale co wymyślił? Psychopatę, który realizuje obsesję. A że jest zdolnym lekarzem...

– To przerabia chłopaka w kobietę. Tak sobie, ot po prostu. – Weszła ojcu w słowo. – Mogę wracać do tego filmu ciągle i ciągle. Potem przez dwa dni się zastanawiam, która warstwa jest prawdziwa.

– Pewnie każda – odpowiedział Karol. – Ta, która w tej chwili poruszyła cię najbardziej. Jutro będzie inna.

– Właściwie to nie wiem nawet, o czym on jest. Ten film.

– O namiętności? Albo bioetyce. Nakłada się na to gender. Miłość, nienawiść, wszystko naraz. Tylko szkoda, że na koniec

ucieka. Ona, on, nie wiem. Vera.

– To tak jak u was, prawda?

Karol spojrzał pytająco.

– U ciebie i mamy. Kochacie się, a ciągle spieracie. Łądujesz w hotelu, chociaż mama nie może bez ciebie wytrzymać, a ciebie aż skręca za nią.

– A u ciebie to niby inaczej? – Ojciec odbił piłeczkę. – Nie wiesz, czego chcesz.

– To jest postawa wspierającego ojca.

– Cóż za sardoniczna uwaga. Nie bardzo mi dajesz szansę na wspieranie. Nie chcesz rozmawiać. Nie dzielisz się tym, co cię frapuje. Co mogę zrobić? Obserwować i czekać, aż zechcesz pogadać. Jeśli zechcesz.

Joanna milczała.

– No właśnie – dokończył Karol. – To ja pójdę do komputera.

– Jestem, tato, jak w studni.

– Słucham?

– Tylko ciemność i echo. Krąg światła czasem jest, czasem znika, ale nikt się nie pojawia.

– O czym ty mówisz, córuś?

– Sama nie wiem. A ty wcale nie idziesz pracować i robić statystycznych zestawień. – Zmieniła temat.

Karol chwilę przyglądał się dziewczynie. Usiadł znów koło niej, ale pokręciła głową.

– Po prostu nie wiem, kim jestem – powiedziała.

– Idę szukać pomocy dla Małgorzaty – stwierdził, gdy upewnił się, że córka już nic więcej nie powie.

Właściwie mógłbym porozmawiać z Wandą. Czasami chciałbym teściową zapuszkować i sprzedawać jako tańszą wersję tuńczyka, chyba każdy zięć tak ma. Jest pruderyjna i upierdliwa, ale dużo wie o życiu. Teściowa to teściowa, chociaż mi się niegłupia trafiła. Tylko że jest aktualnie u Małgorzaty.

W mojej leśniczówce, którą kupiłem razem z moją żoną. Która nie chce mnie widzieć. Niech to szlag!

Wyobrażacie sobie? Wersja tuńczyka? Tańsza? Gdybym ja to w tamtej chwili wiedziała!

Karol szperał po stronach internetowych. „Jak wytrzymać z chorobliwie zazdrosnym partnerem”, „Chorobliwa zazdrość – wyzwanie dla kochającego partnera!”. Skrzywił się. Trafił na kilka prostackich wpisów na temat „pukania” cudzych żon. Szukał dalej. Mnóstwo złotych rad: „Bądź stanowczy!”, „Nie daj się stłamsić!”, „Szanuj własne poczucie wartości, bo chorobliwie zazdrosny partner będzie ci je odbierał!”, „Bądź zawsze szczery z partnerem!”, „Daj się wygadać, ale nie musisz tego słuchać. Po prostu się wyłącz!”, „Dbaj o poczucie wartości partnera!”, „Dbaj o siebie, fizycznie i psychicznie. I zawsze ciesz się życiem, bez względu na wszystko!”. *Każda rada z wykrzyknikiem. Większość wyklucza się nawzajem. Najlepsza ta ostatnia – pomyślał. Wszystko prowadzi do jakiegoś lekarza. Psychologa, terapii par. Musiałbym namówić Małgosię.*

Zaczął chodzić po pokoju.

– Tato, przestań! – powiedziała Joanna.

– Ale że co? – Zdziwił się.

– Chodzisz w kółko.

– Nie mogę?

– Tato! – jęknęła. – Idę się umyć.

Nic tu nie wymyślę. Trzeba znaleźć pomoc – pomyślał.

Sieć znów radośnie obsypała go śmieciami. W końcu odszukał specjalistę przyjmującego na Mokotowie. Przyjmującą – popatrzył na zdjęcie krótkowłosej szatynki. Chociaż zdjęcie było portretowe, widać było, że kobieta jest zaokrąglona, a przede wszystkim – uśmiechnięta. *Takim uśmiechem, który jest ze środka, o ile można to dostrzec na zdjęciu – pomyślał.* Zanotował w komórce adres, zamknął komputer. Patrzył

w okno, wieczór przechodził w noc. Ostatnie tramwaje dudniły, puste prześwietlone kabiny nasunęły Karolowi myśl o – jakżeby – samotności. *Jestem samotny?*

Przypomniwał mu się wpis jednej z zazdrosnych żon. „Czułam się kochana, czułam się piękna – pisała. – Teraz jestem szara jak mysz, mój mąż bryluje w towarzystwie, a ja się chowam. Nie mogę znieść tego błysku w oczach, tych uśmiechów, które rozsyła wokół...” *Naprawdę mąż ją zdradza? – zastanawiał się Karol. Czy kobieta sobie imaginuje? Małgorzata też tak myśli? Że rozsyłam uśmiechy i błyskam oczkiem, jak tani donżuan? A może ona też czuje się jak mysz? Nie dam jej chyba powodów. A może? Gdzie jest indywidualność, a gdzie zaczyna się samotność?*

Chciałbym z kimś pogadać – myślał dalej. Z Kaśką byłoby dobrze. Byłoby, zwykle jest, jeśli akurat nie jest oddalona o sześć tysięcy kilometrów. Nie chcę martwić Joasi. Ma swoje kłopoty. W pracy? Pod żadnym pozorem. Wieści o małżeńskich kłopotach mogłyby zaszkodzić. Żadnych gadek z kolegami. Nikt mi nie pozostał? Muszę się chyba napić.

Przemknął do kuchni. Joanna jeszcze czytała w sypialni, światło przenikało pod drzwiami. Karol odsunął kolorową szmatkę i wyciągnął szklanę. *Bardzo ekonomiczne rozwiązanie, te szmatki – pomyślał. Właściwie echogeniczne. Nie robią hałasu. Ciekawe, czy uda mi się nie szczęknać butelką. Udało się. Zostało jeszcze! Ucieszył się. Kto to widział, tyle czasu pełno we flasce. Patrzył na butelkę, którą przyniósł do mieszkania Katarzyny z okazji jakiegoś rodzinnego spotkania.*

– No chyba nie będziesz alkoholu ze sobą nosił? – fuknęła wtedy Małgorzata.

– Kaśka pewnie nic normalnego nie ma – odpowiedział. – Wina ani likieru pić nie będę.

Miał rację. Nic innego nie było. A co zostało wtedy, przydało się teraz. Tylko czy samotna wódka może smakować?

Rozdział 74

TUTAJ

– Chyba zaczynam rozumieć – mówię głośno, choć przecież mogłabym pomyśleć.

Stanisław milczy. Znow u mnie jest, chociaż go nie zapraszałam. Tak samo jak Romana, ale Romana nie ma, chociaż miał się wprowadzać razem ze Stanisławem.

– Ty jesteś, bo ja tego chcę, tak? A Romana tylko mówię, że chcę?

– Ty mówisz.

– Wiesz, że słowo „palant” ma więcej znaczeń niż tylko nazwa gry drużynowej?

– Jesteś szybka i bystra. W tym świecie, utkanym ze złotych nitek snu, w którym możesz podróżować palankinem lub pociągiem, mieszkać w pagodzie lub pałacu, w którym możesz podziwiać lub przeklinać, w którym możesz wszystko, nie każdemu się chce sięgać po słownik. Uczysz się. Ale to twój świat. Ty ustalasz zasady.

– Jestem całkowicie dorosła.

– Mentalnie jesteś niepełnoletnią pannicą.

– Namalowałam panneau. – Roman jak zwykle wchodzi bez uprzedzenia. – Dobrze, nie umieszczę go na twojej ścianie i nie

pytam o zdanie na jego temat.

Dlaczego wiem, że już więcej tak nie wejdzie?

– Bo tak zdecydowałaś – odpowiada Stanisław, chociaż nic nie powiedziałam.

Rozdział 75

WA

Następnego dnia moja wnuczka przyjechała do matki.

– Rozmawiałam z ojcem – powiedziała zaraz po przywitaniu.

Małgorzata wzruszyła ramionami.

– Ma dzisiaj przyjechać – powiedziała i ruszyła w głąb domu, niosła do łazienki brudne ścierki. Joasia weszła tam za matką, umyła ręce, spojrzała w lustro.

Będzie jatka – pomyślała dziewczyna.

Gdy wróciła do kuchni, matka pochylała się nad garem parującej zupy.

– Wiem, że ma przyjechać – powiedziała dziewczyna. – Właściwie o co chodzi? Czemu wywaliłaś go z domu?

– Po co w ogóle z nim rozmawiasz? Przecież to zwykła, szowinistyczna świnią!

– Mamo! To mój tata, przestań.

– Przecież widzisz, co się dzieje. Gdzie nie wyjedzie, tam kogoś... – Zawiesiła głos.

– Tam co? Tata cię kocha, mnie kocha i nie robi nic złego!

– Młoda jeszcze jesteś.

– Pewnie tak – powiedziała młoda stanowczo. – Jestem młodociana i nic nie wiem o życiu. Ale potrzebuję mamy i taty,

babci i dziadka. Patrę na ojca jak na ojca.

– Dobrze, córuś, dobrze. – Małgorzata zmiękła. Podeszła do Joanny i objęła ją.

– Więc dla mnie się pogodzicie i będzie wszystko jak dawniej.

– Nic nie będzie jak dawniej. – Małgorzata weszła w piskliwy ton. – Ojciec zawsze tu może przyjechać, ale mieszkać już ze mną nie będzie. Tylko jeszcze o tym nie wie – dodała kąśliwie.

– Będzie tu mieszkał i ja będę tu mieszkać, i dziecko. I babcia, to znaczy prababcia – dodała, widząc mnie w drzwiach.

Widziałam Joasię idącą drogą w stronę leśniczówki. Miałam nadzieję, że wreszcie coś się wyjaśni. Jakikolwiek by było owo coś. Dałam im chwilę na rozruch i przeszłam do ich części domu.

– O czym tak? – rzuciłam w powietrze zaraz po ucałowaniu wnuczki.

– O rodzinnym szczęściu – odpowiedziała Joanna, patrząc matce w oczy.

– Tak, o szczęściu – potwierdziła Małgorzata, wykrzywiając usta. – Ja nie chcę, żeby Karol z nami tu mieszkał.

– Co ty za bzdury wygadujesz? A w ogóle gdzie jest Karol?

– Wyrzuciłam go – z dumą powiedziała Małgorzata.

– A – odparłam lekko. – To go znowu zawołaj. Dasz już zupę?

Małgorzatę zatkało. Sięgnęłam po sztucę do szuflady białego kredensu pozostawionego przez poprzednich właścicieli i siadłam na ławie.

– Grubsze te poduszki trzeba uszyć, za twardo tu. Siadaj, dziecko, siadaj. – Wskazałam Joannie miejsce obok siebie. – I opowiadaj. Jak tam się miewasz?

– Ja dobrze i brzuch dobrze – powiedziała Joasia. Kątem oka obserwowała matkę.

Małgorzata, odwrócona do nas plecami, wielką chochłą nalewała zupę.

– Mamo, to nie tak – powiedziała w końcu, stawiając talerze na rattanowych podkładkach. – Nie można komendą ustawić czyjegoś życia. Karol to babiarz. Nieustannie romansuje, mam tego dość. Nie będzie tu mieszkał.

– Będzie, moja kochana – odparłam spokojnie. – Coś ci się pomieszało. Tak cierpliwego męża, jakiego ty masz, to ja nie widywałam za często. Długo żyję, ale to rzadki egzemplarz, ten mój zięć. Może i mu się coś przydarzyło, a może i nie. On twierdzi, że nie, póki nie masz dowodów, póty on niewinny.

– Nie mam dowodów? – Małgorzata przerwała matce. – Mam same dowody! Wyjeżdża, wraca późno. Ciągłe telefon przy tyłku. I wypachnia się, jak wychodzi do pracy. I codziennie świeża koszula!

Joanna zaczęła się śmiać.

– A ty co? – warknęła Małgorzata.

– W ciąży jest, niech się śmieje. Śmiech jest dobry dla dziecka – wtrąciłam twardo. Dość już miałam tych głupot.

– Śmieję się, mamo, bo bzdury opowiadasz. Tata wyjeżdża, bo taką ma pracę. Z niej nas wszystkich, póki co, utrzymuje. Trudno, żeby menadżer przychodził do pracy w brudnej koszuli albo w dresie. Mamo, opanuj się, tata cię uwielbia!

Małgorzata zacisnęła usta w dzióbek, co jeszcze bardziej rozśmieszyło Joannę. Jej matka wstała. Poprawiła fartuch i kierując się do drzwi, powiedziała:

– Talerze sprzątniecie już same.

I wyszła.

– Co tej twojej matce się kotłuje w głowie?

– Babciu, ta moja matka to twoja córka. Jest przekonana, że tata ją zdradza.

– A nie wiesz, czy zdradza? – zapytałam od niechcienia. Warto byłoby wiedzieć.

Joanna wywróciła oczami.

– Babciu, daj spokój, ty też? Po pierwsze: nie wiem. Po drugie: to nie ma znaczenia. Po trzecie: istotne jest, że ojciec naprawdę matkę kocha. Po czwarte: potrzebujemy go tu. A po piąte uważam, że to mama ma problem. To jakaś obsesja. Może powinna pójść na... – zająknęła się – terapię.

– Na terapię? – powiedziałam ze wstrętem. – Dzisiaj wszyscy na kozetkę. Psycholog, tabletki i załatwione. Kiedyś inaczej bywało. Ludzie rozmawiali ze sobą.

– Wiem, babciu, kiedyś prawdziwy mężczyzna brał kij albo pas, babę kładł na stół z podwiniętą kiecą i kilkoma sążnistymi razami głupoty jej wybijał z głowy. Albo z dupy...

– Wyrażaj się!

– ... a dzisiaj załatwia się to inaczej. – Joanna nie dała sobie przerwać.

Westchnęłam.

– Właściwie powinnam poczuć się obrażona. Nic nie wiesz, moja droga, o kiju albo pasie w rękach silnego mężczyzny. Szczególnie w cichych czterech ścianach. Nic nie wiesz o siniakach, rozciętej skórze ani naddartych paznokciach. I nie mówię bynajmniej o torturach na Rakowieckiej. Wielu rzeczy nie rozumiesz. Ale mnie też się wydaje, że moja córka... ma pewien problem.

– Jak zawsze dyplomatyczna. Z tym, że mamy problem to nasz kłopot. Doleję sobie, świetna zupa.

– Drugie jest, nałożę ci.

– Siedź, babciu, nie jestem dzieckiem. Wolę zupę.

– Musisz się teraz dobrze odżywiać.

– Wiem, babciu, wiem. – Joanna wywróciła oczami.

Zamilkłyśmy. Joasia wróciła z talerzem pełnym zupy, jadła zamyślona. Wpatrywałam się we wnuczkę, snując nie całkiem wesołe myśli.

Ojciec i seks to dwa odległe pojęcia – myślała dziewczyna.

Ojciec w łóżku to niedzielne poranne wygłupy i popołudniowa drzemka. Ale przecież jakoś mnie zrobili.

Co ten dom z nami wyprawia? – chodziło mi po głowie. Rozejrzałam się. Leśniczówka to ciągle jeszcze nie był mój dom. Stary kredens z wieloma warstwami farby, w jego zakamarkach kurz ma pewnie ze sto lat. Na pewno dużo, pewnie tyle co ja. To już niedługo sto. Nawet piec jest stary, chociaż unowocześniony. Swoją drogą, ładnie wygląda. Kuchenka wsadzona w kaflową formę, jak prawdziwy. Prawie jakbym u mojej babki była. Za chwilę babka tu przyjdzie i wyjmie chleb z dolnej komory. Jakbym ją widziała. Tylko ja nie pamiętam mojej babki. To kogo mam przed oczami?

Nawet chochla, którą Małgorzata zostawiła na garnku, też jest stara. I ma historię. Źle ją moja córka położyła, zaraz spadnie, kołysze się. Może w takt tej pogmatwanej rodzinnej sagi.

Jaką historię piszemy? Moja córka wariuje, zięć może wierny, może nie, wnuczka nosi dziecko bez ojca, a ja... Mnie się ciągle kręci w głowie. Coś się znowu odzywa, podnosi we mnie głowę, hydra jakaś. Starość... Może i niezła ta moja starość, z rodziną. Może nie w zgodzie, nie tak zupełnie, ale przynajmniej nie samotna. Ale co zostanie? Co po niej zostanie? Po mojej starości, młodości, po mojej rodzinie?

Rozdział 76

WA

Rzadko prosiłam o zawiezenie do miasta. Nie zwykłam się także tłumaczyć.

Sprzątnęłam po zupie, poprawiłam chybotającą łyżkę i poszłam do Małgosi. Powiedziałam do córki, tak po prostu:

– Zawieź mnie, proszę, jutro do Warszawy.

Małgorzata rozmyślała o spotkaniu z Karolem. *Jak to będzie?* – martwiła się. Z jednej strony tęskniła za mężem. Z drugiej myśl o nim, o jego zdradach, od razu podnosiła jej ciśnienie.

Ustaliłyśmy wyjazd na środek.

– Zawiozę cię od razu na miejsce, mamó! – przekonywała mnie.

– Nie, podrzucisz mnie pod dom.

– Przecież już tam nie mieszkasz. Proszę, nie chodź sama po mieście.

– Co ty ze mnie niedołągę robisz. Muszę się spotkać z najemcą i chcę zobaczyć, czy dba o dom.

– Przecież mieszka tam od paru tygodni. Dom jeszcze nie zdążył zarosnąć, nawet jeśli o niego nie dba.

– Mieszkają. To rodzina.

– Dobrze, mieszkają i dbają. Odwiozę cię i poczekam,

cokolwiek chcesz załatwić.

– Wyszadzisz mnie pod domem i już. Spotkamy się po południu.

Małgorzata, zajęta myślami o zbliżającym się spotkaniu z mężem, nie poświęciła tej kwestii więcej uwagi.

Mnie natomiast wytrąciła z równowagi.

Chciałaby wiedzieć... – myślałam. Niedoczekanie. Jeszcze nie. Nie musi wszystkiego wiedzieć o matce, nawet już starszawej. Niech będzie, starej. Powiem, jak uznam, że należy. I ani chwili wcześniej. Każdy ma chyba prawo do tajemnic?

Rozdział 77

KAROL

Przyjechał zaraz po pracy, znów z wielkim bukietem, za którym miał ochotę schować się jak za tarczą.

– Małgosiu, nic nie mów – powiedział na wstępie. – Ja cię po prostu kocham. I nie zdradzam. Nie wiem, skąd w tobie takie podejrzenia, to nieprawda.

– Tyle lat ci ufałam... – Stała w przedpokoju, tuż obok wieszaka na płaszcz, odziedziczonego po poprzednich właścicielach jak wiele przedmiotów. Nadawały domowi charakter, chociaż czasem Małgosia miała trudności z określeniem, jaka była natura tego domu. Miała wrażenie, że musi poznać domostwo jak żywą istotę, która przechowuje w pamięci całą masę wspomnień. Przez to czasem czuła się nie na miejscu. Jakby nie u siebie.

W pewnym sensie wszyscy byliśmy jak nie u siebie. Jeszcze nie. Dom był stary, miał duszę i nie dawał się łatwo rozszyfrować. Czasami wieczorami, gdy leżałam w swoim łóżku, przywiezionym tutaj z mojej mokotowskiej willi, czułam się jak na okręcie dryfującym po jakimś obcym morzu. Tak było aż do zaśnięcia, a czasem i dłużej, we śnie, aż do rana. A jednak wierzyłam, że dom jest nam wszystkim przyjazny, chociaż

jeszcze trochę nieufny.

Teraz jednak Małgosia nie zastanawiała się nad charakterem domu. Stała elegancko ubrana obok przedpotopowego wieszaka. Zamierzała początkowo przywitać Karola w fartuchu i z rękami brudnymi od obierania grzybów, ale huknęłam na nią, aż się echem o ścianę lasu odbiło. Nic nie szkodzi, że osiemdziesiątka na karku, na solidne przyłożenie drzwiami sił mi jeszcze wystarczało.

W pierwszym odruchu Małgosia chciała zrobić wszystkim na złość i dołożyć jeszcze dziurawe dresy. Po namyśle doszła jednak do wniosku, że Karol ma wiedzieć, co traci. A teraz stała przed nim i miętosiła skraj sukienki. *Jak dziewczynka* – pomyślała. *Ale ja nie jestem dziewczynką!* Rozprostowała ręce, ale nie zmieniło to ani jej uczuć, ani samopoczucia. Na widok Karola po prostu go zapragnęła. Jego ciała, zapachu po całym dniu pracy. Uwielbiała przytulać się do niego, spoconego. Rano dotykać nosem jego skóry. Pragnęła go i chciała, żeby tu został. *To o co mi chodzi?* – myślała spanikowana.

– Małgosiu... – Karol podszedł i podał jej kwiaty.

– Tęskniłam za tobą – powiedziała wbrew sobie.

– Tak jak ja za tobą – odpowiedział.

Wyszłam na korytarz.

– Nie przeszkadzajcie sobie, ja tylko kawę wstawię – powiedziałam.

Karol cofnął się, uchylił wejściowe drzwi i wyciągnął zza nich mniejszy bukiet. – Mamo, dla ciebie – powiedział.

– Coś ty, przyszedł się oświadczyć?

– Niezły pomysł – odpowiedział, podchodząc do Małgorzaty. Przyłgnęła do niego całym ciałem, przygarnął ją zdecydowanym gestem.

– Kochana, co się dzieje? Martwię się – wyszeptał do ucha.

– Ja też. Nie wiem, co się dzieje. Coś jakby... jakby

wstępowało we mnie. Podejrzewam... wszystko podejrzewam – powiedziała.

– Ja teraz podejrzewam, że strasznie za tobą tęskniłem – szeptał dalej Karol.

Nie odpowiedziała, wtuliła się mocniej. *Tak mi dobrze. Tu mi dobrze, przy nim. O co mi chodzi?* – myślała.

Weszli do kuchni. Zdażyłam przygotować nie tylko kawę, postawiłam też talerz z ciastem i owoce.

– Jak oświadczyny, to oświadczyny. – Uśmiechnęłam się. – Ja też mam coś do oświadczenia.

– Ty już, mamo, lepiej nic nie oświadczaj. Wystarczy niusów na dziś.

– O co chodzi? – Karol się zdziwił.

– Niniejszym oświadczam uroczyście, że jesteś tu potrzebny i więcej się nie wynoś – powiedziałam patetycznie.

– Ja się nigdzie nie wyniosłem – podniósł ręce w żartobliwej obronie.

Skrzywiłam się.

– Ja też mam tu coś do dodania – powiedziała Małgorzata.

– Tak, córeczko. Możesz dodać jeszcze cukiernicę na stół, bo zapomniałam.

– Przecież nikt z nas nie słodzi. – Karol się zdziwił.

– Dlatego nie podałam. Ale Małgosia zawsze może uzupełnić.

– Mamo, nie spodziewałam się czegoś takiego po tobie – powiedziała Małgorzata po długim milczeniu. – To także mój dom. Nikt nie może podejmować decyzji za mnie!

– Ależ kochanie! Jakżebyś śmiała? Twój dom, twoje decyzje.

I dodałam po chwili:

– Jednak ja także tutaj mieszkam, prawda?

Rozdział 78

TUTAJ

Rozeznanie się w różnych rzeczywistych sprawach nie jest proste. Wydawało mi się, że we śnie, który w końcu sama tworzę, jest znacznie prościej. Wprawdzie nie ma żadnych rabatów, nikt nie wymyśli nic za mnie, i mam czasami ochotę na radykalne posunięcia, ale jednak racjonalizuję. I w sumie to nawet myślę, że ramifikacja świata nie jest zła.

Czasem mam tylko wrażenie, że potrzebuje redundancji. Minimalizacji. Świat pomniejszony, świat zrehabilitowany.

Siadam na reklamierze, to ostatni prezent od Romka, właściwie na rozstanie. Jakie dziwne słowo. Rekomendowałam przerwę w naszych bliskich relacjach. Chcę Stanisława i mam nadzieję, że nie potrzebuję rekompensaty żadnych strat, że to ani rewanż, ani rewalidacja. Prędzej rekonstrukcja lub restauracja. I że nie będę rozdzielać, jak regent, reprimend. Że to tylko będzie resuscytacja, bez rewolucji. A wyjdzie z tego rewelacja.

Zrobię dzisiaj risotto z ricottą, niech Stanisław też ma przyjemność. Zawsze on przygotowuje jedzenie, niech tym razem będzie mały raut mojej roboty.

Rozdział 79

MA

Miałyśmy spotkać się dwie godziny później. Małgosia była na uczelni umówiona z Wiktorem, czekał na korektę znacznie bardziej niecierpliwie, niż chciał się do tego przyznać. Obawiał się, że Małgorzata w ostatniej chwili się rozmyśli, a nie miał do kogo się zwrócić o pomoc w tej materii. Nie miał NIKOGO, co uświadomił sobie boleśnie w ostatnich tygodniach. Szukał w myślach osób, zdolnych studentów, doktorantów, stypendystów – nikt nie miał ani wiedzy, ani wystarczającego wyczucia tekstu. Dopiero niedawno zdał sobie sprawę, że od strony redaktorskiej jego prace były mniej niż mizerne.

Moja córka zaś, chociaż bardzo starała się zdystansować, wciąż silnie przeżywała spotkania z byłym mentorem. Okłamywała siebie, twierdząc, że lata uczelnianej podległości ma już za sobą i jest całkowicie wolna. *Dobrze wyglądam?* – zastanawiała się, gdy już wysadziła mnie pod domem, chociaż wygląd nie powinien mieć znaczenia.

Po spotkaniu z Wiktorem wybierała się do redakcji, dla której zaczęła pisać popularnonaukowe artykuły. Te nibyfeliety, quasi-relacje miały sporo czytelników i podobała jej się ta praca. Redakcja płaciła dobrze, poza tym Małgosia miała

zasilek i pieniądze od Wiktora. Wystarczało, a nawet trochę zostawało.

– Nic, tylko dostać wylewu – żartowała czasami moja córka, a ja się na nią bardzo denerwowałam.

– Mamo, wszystko jest idealnie. – Uspokajała mnie. – Gdyby nie pękła mi ta żyłka, to ciągle siedziałabym na uczelni i lizała Wiktorowi... wiesz co.

– Dziecko, fuj – mówiłam wtedy z wyraźnym wstrętem.

Małgorzata weszła na uczelnię z przyjemnością. Stała w holu, wzięła głęboki oddech. *Już mnie ten zapach kurzu więcej drażnić nie będzie* – pomyślała. Odsunęła się. Grupa studentów wychodziła z zajęć, rozpoznała niektóre twarze. Żaden się nie uklonił. *Chociaż może i trochę żal. Nie tej klitki, skrzypiących krzesel na cienkich nogach i za małego biurka. Raczej życia, które kipi tutaj za sprawą młodych ludzi. Biegają, śmieją się, hałasują. Przeklinają i tworzą nowe słowa. Spokój czasami może przytłoczyć, szczególnie jesienią i zimą. Będą krótkie dni, będę pewnie czuć się samotna. Za to tutaj czułabym się zmęczona i stłamszona. Nie wiem, co lepsze.*

Wchodziła po schodach powoli, trochę dlatego, że łatwo się męczyła, nie bez znaczenia było też, że chciała nacieszyć się tym miejscem. *Przypomnę sobie wszystko. Złość, radość, wyczerpanie. A potem wrócę do swojego spokoju w leśniczówce na skraju wsi, gdzie właściwie bezludzie, więcej zwierząt niż dwunożnych. I będę się śmiać, że już nic nie muszę. Oni tutaj muszą, a ja mogę. Na przykład przyjechać tu i po prostu posiedzieć. Wziąć herbatę w nietłukącym duraleksie z barku i stanąć w kącie korytarza. I mieć wszystko w nosie.*

Dopóki mam co robić, o czym pisać... – pomyślała na koniec i odepchnęła tę myśl. Jestem szczęśliwa, i już.

Wiktor siedział w swoim gabinecie. Odruchowo zapukała. *Bez sensu, niech przestanę być już taka grzeczna – pomyślała.*

Weszła, nie czekając na zaproszenie. Wiktor podniósł się zza biurka, udając zdziwionego.

– To już taka godzina? Siadaj, proszę, siadaj. Co u ciebie słychać, drogie dziecko?

– Przestałam być już dzieckiem, panie profesorze. – Uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy.

Speszył się.

– No tak, tak. A jak zdrowie?

– Dziękuję, panie profesorze, całkiem już w porządku. Przeprowadziłam się za miasto, mam świeże powietrze, wysypiam się, odpoczywam, ile potrzebuję. Czuję się świetnie. Pracuję tyle, ile uważam za stosowne. Nie wiem, czy pan profesor widział, sporo ostatnio publikuję...

– Tak, tak, widziałem, oczywiście gratuluję. – Wiktor siedział sztywno wyprostowany.

Kiedyś mówiłam do niego po imieniu – pomyślała. A teraz nie chcę.

– A co u pana profesora?

– Świat się toczy, badania trwają.

– To znakomicie, chociaż żałuję, że nie mogę dokończyć własnych. Mam nadzieję, że przy publikacji wyników pojawi się moje nazwisko? Jeśli mówimy o tych badaniach, to wykonałam ich większą część.

– Bezwzględnie! – Wiktor się speszył. – A co z naszą bieżącą pracą?

– Mam, oczywiście. – Uśmiechnęła się. – Wydruk z ręcznymi poprawkami, jak pan lubi. W środku jest też pendrive z poprawionym plikiem. – Wręczyła mu białą teczkę przewiązaną troczkiem. Sięgnął po nią zamaszystym gestem.

– Tak... tak... – mrucał, przeglądając tekst. – Dużo poprawek.

– Panie profesorze, są zrobione rzetelnie. Przecież nie robię

tego tylko dla przyjemności.

– Tak, tak. Ile jestem winien? – Zreflektował się.

Głupca zgrywa – zirytowała się Małgorzata w myślach. Moja córka miała obiekcje do mówienia o pieniądzach, sama ją, niestety, tego nauczyłam. Kiedy pieniędzy było tak mało, że ledwo wystarczało na nici do pocerowania przykrótkiej sukienki, uczyłam dziewczynki, że o pieniądzach się nie rozmawia. Są, zaspokajają potrzeby, a jak ich nie ma, to trzeba sobie radzić. Obserwując rzeczywistość, wyrzucałam sobie tę elegancję, przeze mnie Małgosia wyszła w świat idealistycznie nieprzygotowana. Na szczęście Karol twardo stąpał po ziemi, pilnował finansów rodziny i tym razem też przygotował moją córkę do rozmowy z profesorem.

Podala Wiktorowi kartkę z numerem konta i kwotą.

– Tutaj są wszystkie nasze ustalenia, panie profesorze – powiedziała, kładąc kartkę na skraju biurka.

Uśmiechnął się blado. Małgorzata wstała.

– Panie profesorze, chciałabym zerknąć na przygotowywaną publikację, zanim zostanie wydana – powiedziała.

Spojrzał, nie rozumiejąc.

– Przecież właśnie ją przejrzałaś, dziecko – powiedział.

– Nie jestem już dzieckiem, panie profesorze. Mówię o publikacji badań, które rozpoczęłam.

– Ach tak... Oczywiście. – Zupełnie się tego nie spodziewał.

– Kiedy tekst będzie gotowy?

– Nie wiem, nie wiem – odparł jednym tchem, chociaż doskonale wiedział. Gotowy tekst leżał u niego w szufladzie biurka. Nie było na nim nazwiska Małgorzaty. – Poinformuję panią.

Uśmiechnęła się na „panią”.

– Do widzenia, panie profesorze – powiedziała, kierując się w stronę drzwi.

– Do widzenia, do widzenia – powiedział jowialnie.

Wiktor odetchnął po jej wyjściu. Chwycił kartkę i schował do portfela, pisał przecież następną pracę, która również będzie wymagała korekty. Po czym sięgnął po telefon i zadzwonił do swojej aktualnej stypendystki.

– To nazwisko musi się pojawić w tej pracy! – W pewnym momencie podniósł głos. – To jest nieetyczne. Pani Małgorzata wykonała większą część badań, nic nie szkodzi, że nie ma jej teraz na uczelni. Może kiedyś wróci. Zresztą, to zwykła, elementarna uczciwość.

Załatwił sprawę i oparł się łokciami o biurko. *Dobrze, że są tacy naiwniacy. Droga jest ta jej korekta, ale nikt inny jej tak nie zrobi. Niech ma swoje nazwisko na nieistotnej publikacji i niech ma swoje pieniądze. I tak ja tu rządzę* – myślał.

Małgosia wyszła z uczelni. Minęło południe, zrobiło się chłodno, ale w osłoniętym od wiatru miejscu, tuż pod murem uczelni, słońce grzało mocno. Małgorzata rozplątała szalik. *A co. Młodość. Uśmiechnęła się. Stała chwilę, przyglądając się migrującym studentom. Wiek to kwestia poczucia, nie metryki, jestem więc młoda i piękna. I świetna. Ciekawe, czy kochanki Karola też są takie młode? Jak te tutaj? Dlaczego o tym myślę? Niech sobie będą, jakie chcą, albo jakie on chce.*

Zamierzała się podnieść, gdy poczuła znajome drętwienie. Zdążyła włożyć rękę pod poję płaszcza, zanim wykrzywiła się w dziwnym skurczu. Oparła się całym ciałem o mur, oddychając głęboko. Poczowała wrzynający się w ciało biustonosz, który zawsze uważała za bardzo wygodny.

Żeby tylko się nie przewrócić – pomyślała. Następną myślą było: *Niebo nade mną świetliste...*

– Proszę pani! Proszę pani! Wezwijcie karetkę!

– Nie, nie potrzebuję karetki. Nie, nie – powiedziała cicho. Pochylony nad nią student nie usłyszał.

– Karetka już w drodze – powiedział niepotrzebnie. Sygnał było słychać bardzo blisko.

– Odsunąć się, odsunąć! – Usłyszała inny głos. – Niech się pani nie podnosi. Co się stało? Proszę pani! Słyszysz mnie pani?

Małgorzata kiwnęła głową. Usiadła.

– Już dobrze – powiedziała.

– Kto wezwał karetkę? – zapytał sanitariusz.

Nikt się nie odezwał.

– Co pani jest? – zwrócił się znów do Małgorzaty.

– Ja tylko... nie mogłam oddychać. I serce mi tak waliło.

Sanitariusz rozpiął jej płaszcz.

– Ręka? Zawsze tak pani ma?

– Nie, tylko teraz. W czasie takich ataków...

– To nie pierwszy raz?

Pokręciła głową.

– Zdarzało się już pani?

Kiwnęła.

– Ile razy? Jak często?

– Kilka. Nie wiem. Co jakiś czas – odpowiadała bezładnie.

– Czy odczuwa pani kołatanie serca?

– Teraz nie. Ale przed chwilą... I ciężko mi się oddychało.

Myślałam, że to zawał. Że umieram. Mdlałam.

Sanitariusz badał ją ostrożnie. Uśmiechnął się.

– Nic pani nie jest. To tylko atak paniki.

– Atak paniki? Żartuje pan sobie? – Spojrzała oburzona.

– Nie, proszę pani. Możemy pojechać do szpitala, ale nic pani nie jest.

– To co... powinnam zrobić? – Zdziwiła się jak dziecko.

– Wrócić do domu, znaleźć dobrego psychologa i rozpocząć terapię – powiedział. – Jedzie pani z nami czy rezygnuje?

– Czy jadę? Nigdzie nie jadę. Mam sprawy do załatwienia.

– To zapraszam na chwilę do karetki. Schowamy się przed

gapiami – powiedział, nieprzyjaźnie rozglądając się wokół. Teraz dopiero Małgorzata uświadomiła sobie, że wywołała zbiegowisko. Sami studenci, na szczęście żadnego z kolegów wykładowców.

– Nie żartuję z tym psychologiem. Fizycznie jest pani zdrowa, ale takie napady lęku mogą być groźne. Muszę spisać pani dane – powiedział już w karetce.

– Pospiesz się, wzywają nas – wtrącił kierowca.

Sanitariusz nabazgrał podstawowe dane Małgorzaty i oddał jej dokumenty.

– Niech pani zwolni – powiedział, pomagając jej wyjść z samochodu.

Ruszyła powoli ulicą. Przeszła do redakcji kilkaset metrów. *Zwolni?* – myślała. *Przecież właśnie zwolniłam.*

– Pani Małgosiu, witamy. – Przywitał ją zastępca redaktora.

– Byłam na uczelni, postanowiłam i do państwa zajrzeć – odpowiedziała z premedytacją.

Niech wiedzą, że ciągle jestem tam obecna. Jestem cenionym, chociaż praktycznie byłym pracownikiem. Tak, cenionym, tylko przez kogo? – przemknęło jej przez myśl.

Podano jej miętowej herbaty, przekazała dwa nowe artykuły. Wyszła zadowolona po pół godzinie. Zastępca też był usatysfakcjonowany.

Ależ ona pisze – myślał ze skrywanym podziwem. Jakby mnie ktoś tak uczył fizyki, to nawet ja bym zrozumiał.

Wyszła na ulicę, ostrożnie stawiając kroki. Weszła do niewielkiego baru w połowie drogi między redakcją a uczelnią.

– Kawę poproszę – powiedziała, odruchowo się uśmiechając. – Albo nie, herbatę. Bez cukru, z cytryną.

Barmanka odwzajemniła uśmiech.

Małgorzata usiadła na niewygodnym, niewielkim krześle obitym skajem. Rozpięła płaszcz, rozwiązała szalik. Czapkę

i rękawiczki położyła na blacie stolika, niewiele zostało miejsca na plastikową filiżankę.

Piła lurowaty napój, rozglądając się po ulicy.

Samochody jadą, tramwaje suną – pomyślała odkrywczo. A ludzie idą i nic nikogo nie obchodzi, że ja mam jakieś pieprzone ataki. Zastanowiła się nad użytym właśnie słowem. I że strasznie mnie wkurzają owe napady, skoro zaczynam przeklinać, nawet w myślach. Co powinnam z tym zrobić?

Wyrzuciła plastikową filiżankę do wielkiego worka zawieszzonego na stelażu. Zapinała płaszcz już na ulicy. Wolno ruszyła w stronę samochodu.

Byłam chyba bardzo blada, kiedy Małgorzata po mnie przyjechała. Pewnie chciała mi opowiedzieć, ale nie dałam jej szansy. Przecież nie wiedziałam, co się stało. Wtedy nie wiedziałam.

– Nie, nic mi nie jest. – Zbyłam jej pytania. – Tylko zatrzymaj się, proszę, przy aptece, skończyła mi się aspiryna i witaminy. Coś potrzebujesz?

Małgorzata pokręciła głową. Zatrzymała samochód przy krawężniku, nie gasiła silnika – miejsce nie było najbardziej fortunate do parkowania. Włączyła radio, nuciła *Just gonna stand there and watch me burn but that's alright because I like the way it hurts* razem z Rihanną. Dlatego zauważyła mnie dopiero, gdy stanęłam tuż przy drzwiach samochodu.

Torebkę i sprawunki od razu włożyłam na tylne siedzenie, Małgorzata włączyła kierunkowskaz i równocześnie zerknęła w lusterko. Dlatego nie widziała zakupów z apteki, umknęły wśród innych toreb. Dopiero późnym popołudniem zapytała:

– Mamo, zostawiłaś na blacie paragon z apteki. Prawie tysiąc złotych.

Byłam zmęczona. Już nie miałam siły.

– Małgosiu, miałam raka. Mam raka. Takie lekarstwa biorę od

dłuższego czasu. Dużo kosztują, ale chronią mnie, nie mam przerzutów, jest dobrze. Tylko muszę dbać o siebie. Dwa lata temu nie pojechałam na wycieczkę... – Zamilkłam. Chciałam dać córce czas na przetrwanie wiadomości.

– Nie pojechałaś...

– Byłam w szpitalu. Operacja była udana, wszystko się dobrze goiło. Tylko muszę się regularnie badać, co parę miesięcy. No i jeszcze będę miała rehabilitację. Trochę mam słaby kręgosłup, muszą mi go wzmocnić. Zamierzałam w ogóle nic nie mówić, ale dzisiaj lekarz uświadomił mi, że ty też powinnaś się przebadać. I Kasia, i Joanna, jak już urodzi. To może być dziedziczne.

– Nie mówić? – Małgorzata miała minę, którą oceniałabym jako bezcenną. Gdyby tylko było mi choć trochę weselej.

– Po co miałam was denerwować.

– Ale jak to? Po operacji byłaś sama?

– Nie byłam. Miałam pomoc. Codziennie była pielęgniarka.

– Ale mamó... – Moja córka była wstrząśnięta.

– Tak zdecydowałam. Nie chciałam litości. Uznałam, że powiem ci, jak już zupełnie z tego wyjdę. To będzie dopiero za trzy lata... Tak zakładają lekarze. Że po pięciu latach bez przerzutów pacjent jest wyleczony. Ale nie chcę czekać tak długo. Chcę, żebyś ty też się przebadała. Umówiłam cię na wizytę w przyszłym miesiącu. Jeszcze przed świętami.

– Mamó... – wyszeptała Małgorzata.

– Córeczko – powiedziałam ciepło – tyle razy rozmyślałam o chorobie, o tym ostatecznym dniu, o widoku trumny od środka, że nawet nie chcę o tym rozmawiać. Po prostu idź się przebadaj, dobrze?

Wstałam i pstryknęłam czajnikiem. Nawet się nie zastanowiłam nad słowem, którego użyłam. Córeczko. Tak ładnie, tak obco. Tak trafnie.

– Napijesz się herbaty? – zapytałam wciąż wstrząśniętą

Małgorzatę.

– Tak, poproszę. I kupiłam drożdżówkę – odpowiedziała.

– Przyda się coś na osłodę.

Wypiłyśmy w ciszy. Wyszłam potem do swojego pokoju, zostawiając szklanki i talerze w zlewie.

– Zmyjesz, dobrze? Idę się położyć.

Małgorzata kiwnęła głową, odprowadzając mnie wzrokiem. Zastanowiła się: *Ile razy nie powiedziałam matce „kocham cię”?*

Rozdział 80

WA

Nie mogłam spać. Właśnie tego chciałam uniknąć. Szoku wymalowanego na twarzach. Współczucia, potem wściekłości. Rozmawiania o chorobie. Traktowania mnie jak umierającej. Byłam umierająca, ale nie umarłam. Jeszcze nie. Kiedyś to przyjdzie i mówiąc szczerze, coraz częściej mam na to ochotę. Jestem zmęczona. Tak dużo się dzieje, nie nadążam za światem. Swoje przeżyłam, chciałabym zasnąć, spokojnie, bez wielkich wzruszeń. Po prostu usnąć, to takie dobre rozwiązanie.

W sumie nie wiem, jak mi się udało przetrwać tamten czas. Sama operacja to nic. Udałam, że jadę na miesięczną wycieczkę do koleżanki, do jej letniskowego domku, nad Balaton. Miesięczną! A oni przyjęli to do wiadomości, tak po prostu. Chwaliłam się przed wyjazdem kolekcją kremów z filtrami, a i tak drżałam, że się wszystkiego domyślą. Nawet nie po opaleniznie, ale cóż, po wszystkim. Moje przewodnikowe opowieści, kartki pisane przez koleżankę, niedobre upominki, przecież nie ja je kupowałam. Wszystko załatwiłam, a przecież bałam się, że moja córka się zorientuje.

Nic nie zauważyła. Rzadko się z nimi widywałam, nie miałam siły. Całe szczęście, że trafiło na okres, w którym Małgorzata

była zajęta. O nic nie pytała. Joasia trochę się interesowała, ale zdawała wtedy maturę. Nie miała czasu na wypadki ze starą babcią.

A teraz... Zdałam sobie sprawę, że nie jestem sama. Jednak nie. Nie ma Stanisława, nie ma Romka, nie ma przyjaciół, którzy odchodzili stopniowo. Wykruszali się jak mur na Powązkach, po troszeczkę. Ale nie jestem sama i coś po mnie zostanie. Po nas. Po Stachu, Romku i po mnie. Niech to, co zostanie, będzie najlepsze.

Dlaczego teraz? Nie wiem. Najtrudniejszy czas przemilczałam. A teraz mam potrzebę mówić. Może dlatego, że nie potrzebuję już codziennej pomocy. Poradziłam sobie, litość nie będzie mi dokuczać. Udowodniłam, że jestem dzielna i potrafię przetrwać, więc w końcu mogę sobie pozwolić na słabość.

A może to wcale nie to. Może po prostu czuję, że mój czas się zbliża. Nic się nie kończy, nie wierzę w koniec. Wierzę w drugą stronę, jakakolwiek by nie była.

Wróciłam do kuchni. Przy stole siedział Karol i przekonywał Małgorzatę. Miałam wrażenie, że weszłam w dzień wczorajszy. Jakby dyskusja nie została przerwana dobę temu.

Przysłuchiwałam się chwilę.

– Jesteś tu potrzebny i więcej się nie wynoś. – Weszłam im w słowo.

– Mamo, mówiłaś to już wczoraj, pozwól nam podjąć decyzję. Nie rób tego za nas. Swoje decyzje już podjęłaś – powiedziała Małgorzata zirytowanym tonem.

– Niczego nie próbuję podejmować. Karol to mój zięć i życzę sobie mieć go pod ręką. Jak wiesz, córeczko, jestem chora i mogę potrzebować męskiej pomocy. Nie możesz mi tego zabronić.

– A ty nie możesz mi nakazać żyć z facetem, który mnie zdradza!

- Ale o co chodzi? Jak to, jesteś chora? – dopytywał się Karol.
- Mama nie jest już chora.
- I wcale cię nie zdradzam – dodał Karol, nie słuchając Małgorzaty.
- Co się przekrzykujecie – wtrąciłam rozbawiona. Sytuacja była kuriozalna.
- Bo dziwne rzeczy opowiadasz – powiedziała Małgorzata.
- Tak, dziwne. – Karol poparł żonę.
- No i widzicie, już jest zgoda.
- Co? – powiedzieli niemal równocześnie.
- Zgadzaście się. Że opowiadam dziwne rzeczy, a one nie są dziwne.

Małgorzata pomyślała, że lubię przewodzić. Cóż, czasem lubię. *Seniorka rodu* – dodała moja córka w myślach. Z całkiem niepotrzebnym przekąsem.

- Nie jestem jeszcze zdrowa – zaczęłam mówić, rozsiadając się na szczycie stołu. Rozłożyłam łokcie na blacie, filiżankę z herbatą ustawiłam przed sobą. – Miałam raka. Mam nadzieję, że już go mieć nie będę, ale minęły dopiero dwa lata. Będę zdrowa po pięciu.

- Jak to? – Karol był oszołomiony.
- Tak to. Zamiast na wycieczkę nad Balaton mama pojechała do szpitala. Na operację. Tylko nic nam nie powiedziała.
- A rehabilitacja? Leczenie? Mamo? – Nie mógł się otrząsnąć.
- No właśnie. – Małgorzata zacisnęła wargi. – Nic! Nic mama nie powiedziała.
- Nie chciałam was martwić.
- No faktycznie – sarknęła Małgosia.
- Rehabilitację mam teraz. I potrzebuję, żebyście mnie na nią wozili co drugi dzień. Jeszcze trzy lata do wyleczenia... Nic nie wskazuje, żeby miał być nawrót, ale to nieprzewidywalna choroba, rozumiesz więc, że mogę potrzebować męskiej ręki.

A co do was, to wreszcie jakoś załatwcie sprawę, bo męczy mnie już ta huśtawka. Uwierz wreszcie, córko, że twój mąż cię nie zdradza i już.

– Jak niby mam uwierzyć?

– Po prostu. Zaufaj.

– Uf, uf – dodał cicho Karol.

Spojrzałyśmy na niego równocześnie i z wyrzutem.

– Żart się chyba przyda. – Bronił się. – Jak dla mnie trochę za dużo wiadomości naraz. Z tą chorobą, mamo, to przesadziłaś. A gdybyś nie wyszła z tego?

– To bym doglądała waszych spraw z nieba.

Karol westchnął.

– Nie zdradzam cię – zwrócił się do Małgorzaty. – Po prostu nie i już. I też mam dość huśtawki, w której bez powodu wyrzucasz mnie z własnego domu. Myślę, że trzeba to jasno powiedzieć. Małgosiu, powinniśmy pójść na terapię. Coś nie działa. Albo ja robię coś nie tak, albo ty coś źle rozumiesz, albo jedno i drugie.

– Wysyłasz mnie do psychologa?

– Coś ty – oburzył się. W głębi ducha jednak pomyślał: *Jak mogłem przypuszczać, że Małgorzata, moja żona o ścisłym umyśle fizyka, da się łatwo podpuścić?* – Mamy problem. Wspólny, twój i mój. Trzeba go rozwiązać.

– Problem wcale nie jest tylko wasz. Jest też mój i mojej wnuczki. I prawnuka – wtrąciłam, wcale nie cicho.

Małgorzata zacisnęła dłonie w pięści.

– Nie wyślecie mnie do wariatkowa! – krzyknęła. Odsunęła krzesło od ciężkiej ławy i gwałtownie wstała. – Nie ma mowy! – Wyszła, trzaskając drzwiami.

– Nikt nie powiedział, że będzie łatwo – powiedziałam ciszej.

– Planowałem zaproponować to trochę mniej... arbitralnie – powiedział ostrożnie Karol.

- Wiem, planowałeś się poprzytulać, a potem przejść do tematu delikatnie, powoli. Dzisiaj wspomnieć, za tydzień powtórzyć, po miesiącu zaproponować, a po pół roku delikatnych przekonywań być może Małgorzata zgodziłaby się porozmawiać o waszych relacjach z jakimś specjalistą. Jako o hipotetycznym problemie. Nie ma czasu. Za chwilę będzie wnuk, musicie uregulować sprawę. Zresztą, od czasu choroby mam mniej skrupułów. Wyobrażałam sobie, że mój czas się skończył, że mnie już nie ma. I wiesz co? Uświadomiłam sobie, że wprawdzie świat się nie zawali, dalej będzie równie podły i tak samo wspaniały, to jednak póki tu jestem, chcę z niego czerpać radość. Ma być miły i przyjazny. I ma mi się tu dobrze żyć. A wasze dąsy mi przeszkadzają, więc przestańcie.

Wstałam i zebrałam naczynia, wstawiłam do zlewu.

- Może masz rację mamo, ale przecież nie zaciągnę Małgosi do psychologa na siłę.

- Nie. Po prostu umów wizytę i już.

- Dlaczego teraz o tym mówisz? Tyle czasu ukrywałaś chorobę. Nie mogę zrozumieć.

- Bo dzisiaj lekarz uświadomił mi dobitnie, nie przebierając w słowach, że ta choroba może być dziedziczna. I chcę, żeby moja córka, a za jakiś czas i wnuczka się przebadały. Małgorzata ma wizytę za miesiąc. Ty zrób to samo, po prostu umów wizytę.

Zostawiłam mojego zięcia zamyślnego.

Od kiedy dla mamy wszystko jest takie proste?

Rozdział 81

MA

Ale wymyślili. Terapia, też mi coś. Jakiś psychocoś będzie miał radochę z wystłuchiwania o moich problemach. Moim kosztem. W życiu! – myślała Małgorzata. Wracała jednak do niej myśl, że w jednym dniu o tym samym powiedziały dwie, nieznające się osoby. Sanitariusz z karetki i Karol, wsparty przeze mnie. Tego Małgorzata nie mogła zdzierżyć, złościła się na mnie. *Mama powinna wspierać mnie, nie Karola!* – myślała.

Życie wróciło do względnej równowagi. Karol mieszkał w domu, codziennie wyjeżdżał do pracy i codziennie Małgorzatę skręcało, gdy widziała jego garnitur i odprasowaną koszulę. Wieczorami oglądała i wachała jego ubranie. *Ale się pilnuje* – myślała. *Ani odrobiny szminki, ani perfum, nic.*

Po kilku dniach sięgnęła do kieszeni marynarki. Trochę okruchów. *Przecież muszę sprawdzić przed praniem, czy nic nie zostało* – usprawiedliwiała się. O tym, że garnituru nie wkładała do pralki, ani też nie zawoziła osobiście do pralni chemicznej, wolała w tamtym momencie nie pamiętać.

Zerknęła też do komórki Karola. Niechcący, mimochodem. Tak po prostu, leżała na blacie. *Szukam numeru do przychodni* – myślała. Niewiele esemesów, wszystkie biznesowe. Prawie

wszystkie. Jeden od kolegi, który zapraszał go na „męskie gadanie”. *Męskie! Podskoczyła. Zaraz będą jakieś baby, na pewno! To jutro, już ja mu dam! Zapamiętała adres z esemesa. Pojadę tam, złapię na gorącym. Będzie się miał z pyszna!* – myślała, odkładając komórkę dokładnie w to samo miejsce. Usłyszała Karola wychodzącego z łazienki.

Miała tryumfującą minę, gdy podawała kolację. Nie wspomniała o komórce, wieczór minął spokojnie.

Następnego dnia Karol zrobił jej niespodziankę. Wrócił po pracy do leśniczówki, umył ręce, przebrał się, i zabrał do rąbania drewna.

Kiedy wreszcie pojedzie? – Małgorzata nie mogła znaleźć sobie miejsca.

Karol nigdzie się nie wybierał, co zrozumiała o dwudziestej drugiej, gdy poszedł do łazienki.

– Mam jutro ciężki dzień, położę się wcześniej – powiedział.

Stała przed lustrem. *Kim jestem? Nie ufam, ale dlaczego?* Przez dwa dni czuła się winna. *Nie powinnam zaglądać do jego kieszeni. Tym bardziej do komórki.* Wytrzymała kolejne dwa dni. W marynarce znalazła paragon. *Sklep z bielizną!* Podskoczyła na łóżku, na którym rozłożyła marynarkę. Obok położyła wieszak, scena wyglądała niewinnie. Kochająca żona składa mężowi ubranie. Była wściekła. *Wreszcie go mam!* – myślała, dotykając paragonu, który włożyła do kieszeni fartucha. Starła się nie nosić tego pasiaka. *Nie chcę zdiadzić, nie szkodzi, że tu nikt nie zagląda, dla siebie nie mogę zramoleć.*

Podtrzymywałam ją w takim myśleniu. Ani na moment nie zrezygnowałam z eleganckiego, chociaż domowego ubioru. Można być starszą panią, ale nie trzeba być zaniedbaną staruszką. W szczególności, jak się ma pięćdziesiąt kilka lat.

– Może być tanio, ale nie może być byle jak – mawiałam do Małgosi, odwołując się do powojennych doświadczeń.

Tego wieczoru Małgorzata założyła fartuch jako demonstrację buntu. *On będzie kupował kochankom fatałaszki, a żona w domu w barchanie. Niech będzie – myślała. Ja mu pokażę!* Wściekała się, zaciskając palce na trzonku noża. Łykała łyżę i uśmiechała się na przemian.

Gdy Karol poszedł do łazienki, weszła do ich sypialni. Chciała stanąć przed szafą i spróbować wywachać. Coś.

Stanąła jednak przed łóżkiem, zaskoczona. Na wygładzonej narzucie leżało koronkowe body, czerwone. Obok świeczka w szklanym słoiku.

Przełknęła ślinę. *Oszalałam – pomyślała. Naprawdę oszalałam. Pękło mi jakieś naczynko w mózgu przy tym wylewie. Pękło to, które odpowiada za zdrowy rozsądek i teraz tracę rozum.* Siadła na łóżku i patrzyła na bieliznę, zagryzając wargi.

– Już zobaczyłaś? – Karol wszedł i po pierwszym zdziwionym „ooooo” uśmiechnął się do żony. – Jesteś moją ukochaną kobietą, która zasługuje na najpiękniejszą oprawę.

A ja dzisiaj paradowałam w chałacie – pomyślała. Przytuliła się do męża.

– Wykąpię się – powiedziała, całując go w usta. Kiwnął głową. *I wypachnię. I wszystko – myślała.*

Rozdział 82

TUTAJ

Miałabym ochotę na mały sabotaż własnego świata. Zrobiłabym sabat, tylko czarownic jeszcze nie wyśniłam. Mogę być samarytaninem, mogę wykluczyć z życia wszelkie przejawy sadyzmu, ale czy to da mi salomonową mądrość?

– A na co ci taka? – pyta Stanisław stentorowo, wnosząc przed sobą salaterkę z sałatką selerową z plastrami salami.

– A to? – Wskazuję palcem z niechętnym wyrazem twarzy.

– Soczewica – mówi z sympatycznym uśmiechem. – Nie krzyw się. Ma mnóstwo składników zastępujących mięso.

– I?

– Skutecznie odżywia. Świetnie wpływa na seks. Tylko mnie nie sekuj! – dopowiada, widząc moją reakcję.

– Założymy sektę soczewicy?

– Nie. Za sekundę rozpoczniemy solidarnie sekwencję systematycznego spożywania.

– A to siurpryza – odpowiadam już rozluźniona.

– Może postępujemy? – dodaje Stanisław, a ja się rozglądam. To tylko żart, Roman wcale tu nie przyszedł.

– W stereo – odpowiadam. – Albo nie. Będę ci statystować.

– Nie sądzisz, że świat jest stochastyczny?

- Sądzę, że jest tylko wyśniony. Sen, sen. - Wzruszam ramionami, powtarzając słowo jak strofę. - Chciałabym się obudzić.

- Już niedługo - mówi Stanisław ze smutnym uśmiechem. - Już niedługo.

Kiwam tylko głową.

- Nie uda się żadna substytucja?

- Skądże - odpowiada.

- Jestem twoim satelitą - dodaje w skupieniu po dłuższej ciszy.

Milczymy.

- To jaki napiszemy scenariusz? - pytam w końcu. Strach niech pozostanie symbolem. Ja wolę zasygnalizować działanie.

Rozdział 83

ONE

– Mamo, pęknę za chwilę. – Niewielki jeszcze brzuch drobnokościstej Joanny już wystawał. – Od razu urodzi się wielkolud, nie będzie musiał rosnać.

– I codziennie będzie nam nosił drewno do kominka. Jesteś na początku ciąży, brzuch dopiero ci urośnie, nie histeryzuj.

Małgorzata lubiła życie w leśniczówce i jego kłopotliwą codzienność. Uczyła się wykorzystywać dary lasu, teraz świeżo zebrane grzyby miały najwytworniejszy bukiet. Moja wnuczka siedziała z boku i marudziła. Była smutna. Patrzyłam na nią z niepokojem, szukałam tego magicznego światła, które towarzyszy kobietom w ciąży. Joasia go nie miała.

– Powiew luksusu – powiedziała Małgorzata, komentując leżące w misce delicje. Nie słuchała córki. Siedziała nad miską pełną brązowych kapeluszy, ja czyściłam nóżki. Obie miałyśmy podwinięte rękawy, na sobie fartuchy.

– Nie wiem, kiedy doczyszczę ręce. Na ten klej nawet cytryna nie pomoże. – Krzywiła się moja córka. Na grzybobraniu trafiła kolonię maślaków.

– Ale pierogi z grzybami to chętnie zjecie? – powiedziałam z przekąsem.

Półtorej godziny później siedziałyśmy nad michą parujących pierogów z grzybami.

Tak było codziennie, Małgosia i ja organizowałyśmy życie. Ja podpowiadałam, co jadalnego oferuje las i pola, odkopałam swoje młodzińcze wspomnienia. Co się wtedy jadło, co przynosiło z łąki. Tyle wokół było niewykorzystanego jedzenia. Wydawało mi się nawet, że miałam przebłyski z dzieciństwa, jeszcze sprzed gruzów.

Czy to możliwe, żebym pamiętała babkę? Jak ciężko siadała przy piecu i snuła opowieści, jednocześnie czerwonymi dłońmi łuskając groch albo łatając koszulę? Prawie nie pamiętam matki... Właściwie w ogóle jej nie pamiętam, skąd zatem babka? Ojciec został w mojej pamięci chory, umierający. Brat, tak brata pamiętam, chociaż rzadko się widywaliśmy. On robił kościelną karierę, nie miał dla mnie czasu. Babka... jak tam było? Biednie. Wiejsko. Piec, drewno przynoszone z lasu. Pamiętam kafle pieca. Nieduże, beżowe, na dole brudne. Naprawdę pamiętam, jak babka wyciągała chleb z dolnej komory?

Miała wielkie dłonie, każda jak bochen chleba. I nosiła fartuch. Tak, na pewno nosiła fartuch. To babkę było słychać w domu. Mama prawie się nie odzywała. Dobrze im się żyło?

Dlaczego babka nie pojechała z nami do Warszawy? I dlaczego w ogóle nie pamiętam dziadka? Przez tyle lat o tym nie myślałam. Czemu teraz?

Codziennie rano Małgosia wychodziła na spacer. Potem razem gotowałyśmy lub robiłam to sama. Szukałyśmy nowych smaków, a może starych. Joanna dużo czasu spędzała w leśniczówce. Rozmawiałyśmy o wszystkim, o jesieni, zapachu spadających liści, zbliżającym się porodzie, pracy Karola i zapasach na zimę. Tylko nie o zabiegach, na które regularnie woziła mnie Małgorzata. Byłam zdyscyplinowanym pacjentem.

– Bałam się, że po chemii wypadną mi włosy – powiedziałam

pewnego dnia w drodze do przychodni. – Wtedy pomyślałam, że muszę się nabyć z wami, póki mogę. Dlatego chcę ci przekazać wszystko, co wiem.

Małgorzacie nie udało się zignorować zaczepki. – Ale ci nie wypadły.

– Nie miałam chemioterapii.

– Nie dasz rady wszystkiego... – powiedziała moja córka po długiej chwili.

Musiałam zastanowić się, do czego nawiązała.

– Mam dla ciebie mój zeszyt z przepisami – powiedziałam w końcu.

– Twój święty zeszyt? – Moja córka się uśmiechnęła.

– Nie oryginał, oczywiście, przepisałam go dla ciebie.

– Mamo, nie rozmawiałyśmy o tym i niech tak zostanie.

– To chyba niemożliwe, chociaż nie musimy teraz. Poza tym oryginał zostawiam Joasi.

– Słucham?

– Mojej książki kucharskiej. Młodzież też musi znać się na kuchni.

Starość i niedołęźność nie są dla mnie przerażające – myślała Małgorzata, czekając na mnie w samochodzie pod przychodnią. Nadejdą i tak. Prawdziwy strach to samotność. Samotność bez mamy... Nie wyobrażam sobie. Chociaż właściwie przez wszystkie te lata nie wyobrażałam sobie, że mogłabym żyć bez Karola. A teraz... właśnie, może podjadę do niego? Spojrzała na zegarek. *Zdążę obrócić.* Zastanowiła się jeszcze chwilę nad własnym wyglądem. Czarne spodnie, wczoraj odprasowane. Bluzka niewyględna, ale pod płaszczem da się ukryć. *Buty muszę tylko zmienić.*

Już na parkingu przed biurem Karola sięgnęła do bagażnika po elegancką parę czółenek. Zakładała drugą szpilkę, gdy dostrzegła męską postać obejmującą zgrabną kibić. Poczwała

sztynniejące mięśnie. *A jednak!* – pomyślała i zaczęła iść w stronę pary tulącej się za uchylonymi drzwiami toyoty. Dopiero gdy dostrzegła zdziwiony wyraz twarzy faceta, który odkleił się od ponad dwadzieścia lat od niego młodszej dziewczyny, zdała sobie sprawę, że biegła w ich stronę na jednej szpilce, drugą trzymając w dłoni. Zatrzymała się. *Krzyczałam coś?* – zastanawiała się. *Chyba tak. Co ja wyprawiam? Czy naprawdę powinnam iść teraz do Karola?*

Odwróciła się od niechcienia, rzuciła tylko nieuważne „sorry”, jakby angielskie słówko miało unieważnić jej zachowanie. Weszła do biurowca. Zatrzymała ją recepcjonistka.

– Ja do... – Nie zdążyła dokończyć, Karol przechodził korytarzem z plikiem kartek w ręku.

– Małgorzata? – Zatrzymał się. – To moja żona – powiedział do dziewczyny i cmoknął gościa w policzek. – Chodź. Kawy?

– Ja tylko na chwilę. Tak tylko... – Zawahała się.

Pociągnął ją do kuchni. Pstryknął ekspresem do kawy, szybko przenieśli się do jego pokoju.

– Karol, ja świruję – powiedziała bez wstępu. – Przed chwilą na parkingu chciałam zdzielić obcego faceta szpilką po głowie, bo wydawało mi się, że to ty.

– Ale to nie był mój szef? – Próbował zażartować.

– Nie wiem. Dziewczyna była dużo młodsza, a ja byłam przekonana... Wariuję.

Złapał ją za dłoń.

– Bądź przy mnie – powiedziała.

Otworzył stronę w internecie.

– Może być?

– Byleby nie była za ładna. – Małgorzata uśmiechnęła się blado.

Wywrócił oczami.

– Terapeutka?

– Też kobieta – powiedziała poważnie. – Żartowałam. Nie dam tak dłużej rady, kocham cię i nie znoszę. Tęsknię i wyrzucam z myśli. Tracę rozum.

Przytulił ją. W tym momencie otworzyły się drzwi.

– Przepraszam – powiedział facet z parkingu.

– Już idę, moment, uściskam tylko żonę.

– Żonę? – Uniósł brwi i wyszedł.

– To był twój szef?

Potwierdził kiwnięciem.

– To jemu zamierzałam rozwalić głowę.

Karol westchnął.

– Na szczęście ma poczucie humoru. Oby wystarczające.

– Pójdę już. Mama będzie czekała.

Odprowadził Małgosię do samej windy. Wrócił do siebie i od razu umówił wizytę z terapeutką, dopiero potem poszedł do szefa.

– Coś taka blada? – zapytałam w samochodzie.

– Wydaje się mamie – odpowiedziała moja córka.

– Aha. – Odwróciłam twarz w stronę okna. – Oko ci się rozmazało.

– Byłam u Karola i omal nie pobiłam jego szefa. Idziemy na terapię – wyrzuciła z siebie moja córka.

– Nareszcie! – Ożywiłam się. – Czas uporządkować wasze sprawy, za chwilę trzeba się będzie zająć najmłodszym członkiem rodziny.

Dojechałyśmy do leśniczówki w milczeniu. Przez całą drogę uparcie spoglądałam przez boczną szybę. Dopiero wysiadając, powiedziałam:

– Płacz. Wypłacz wszystko niedobre. Ja tak nie robiłam, może dlatego zachorowałam. Złe musi mieć ujście. Wyrzuć je i będzie dobrze. – Zamknęłam drzwi auta, złapałam poły grubego płaszcza i trzymając torebkę w ręku, podeszłam do córki.

Objęłam ją niezgrabnie. Potem weszłam do domu, nie oglądając się.

Małgorzata została przy samochodzie. Ciepłe łzy ciekły samoistnie, zostawiając zimną wilgoć na skórze. *Może to i dobrze. Jakby się dziura zrobiła. Co przez nią wyleci, nie wiem. Ale może robi się miejsce na coś nowego* – pomyślała.

Weszła do domu uspokojona. Zdążyłam się przebrać i przygotować świeżą herbatę.

Pół godziny później przyjechała Joanna. Pałaszowała trzeci kawałek mojej drożdżówki, gdy odezwała się Małgorzata.

– Będiesz miała słodkiego dzidziusia.

– Zastanawiam się, jak to będzie, wychowywać samotnie dziecko.

– Joasiu, przecież nie musisz. Artur na pewno...

Moja wnuczka przerwała matce.

– Nie będzie Artura w moim życiu, to była pomyłka. Po co po latach wyrzucać sobie stracony czas, lepiej go nie tracić.

Strasznie przemądrzała się zrobiła – pomyślała Małgorzata. *A może po prostu mądra?*

– Lepiej w ogóle nie tracić czasu na spory.

– I kto to mówi? – sarknęła Joanna.

– Ja. Dzisiaj podjęliśmy z tatą decyzję o terapii.

– Nareszcie!

Małgorzata wzruszyła ramionami.

– Trochę ciężko mi to sobie wyobrazić. Będę musiała się spowiadać komuś obcemu. Mam opowiadać o tym, co czuję?

– Trochę to chyba na tym polega – powiedziała Joasia, sięgając po kolejny kawałek ciasta.

– W życiu tyle nie jadłaś! – Matka się dziwiła.

– Dziecku żałujesz? – wtrąciłam się. Właśnie weszłam do kuchni.

– Mamo, czwarty kawałek – tłumaczyła Małgorzata.

- To może i za dużo. Może pierogów zjesz, co?
- Pierogów? Pewnie – odpowiedziała Joanna.
- Dziecko, nie zmieścisz. W życiu tyle nie jadłaś! – powtórzyła.
- Już to mówiłaś. Kiedyś nie jadłam i byłam szczupła. I pływałam. A teraz jestem wielka i muszę jeść.
- Wielka to dopiero będziesz. Jeszcze połowy nie ma. Będzie ci ciężko po ciąży – wtrąciłam, chyba trochę krytycznie patrząc na wnuczkę.
- Babciu! – Młoda westchnęła zirytowana.
- Napatrzyłam się na piękne dziewczyny, którym po każdej ciąży trochę zostawało. Po kilku latach wyglądały jak bańki.
- Będę wielką babą, z ogromnym dzieciakiem przy cycku! – Joanna wstała i zaczęła chodzić po kuchni, kolebiąc się jak kaczką.
- Joasiu, właściwie... nie rozmawialiśmy o tym. Jak na uczelni?
- Dziewczyna usiadła.
- W porządku. Nie dają mi specjalnie forów. Tylko będę musiała wcześniej pozaliczać... na wszelki wypadek. Gdybym musiała wcześniej być w szpitalu.
- Termin masz na kwiecień, jakie wcześniej? Zdaj sesję w styczniu, w zerówkach, i będzie dobrze. A... – Małgorzata przygryzła wargę – Artur?
- Spotykamy się czasami. Na korytarzu. Czasem ma zajęcia w tygodniu, popołudniami.
- I co?
- Nic.
- Tak po prostu, nic?
- A co ma być?
- Przecież widzi, że jesteś w ciąży.
- Noszę luźne ubrania. Nie wiem, czy widzi. Zresztą, zawsze się spieszę. Albo na zajęcia, albo do butik. Iwona chyba ma

chrapkę na większą część interesu, a ja nie mam ochoty pozbawiać się dziedzictwa.

– Czego? – Małgorzata się skrzywiła.

– Mamo, nie czepiaj się. Po prostu myślę, że współpracowniczka Kaśki chce się usamodzielnąć.

– Podła! – wykrzyknęła Małgorzata.

– A tam, od razu podła. To chyba normalne. – Dziewczyna się zastanowiła. – Swoją drogą, też nie ma lekko. Chciała mieć rodzinę, nie wyszło, teraz jest samotna i ciągle trafia na jakichś dziwnych gachów.

– Nie wyrażaj się – powiedziałam, odwracając się od kuchni. Właśnie wkładałam do wrzącej wody zamrożone pierogi. – Jakby naprawdę chciała, toby wyszła za męża, dzieci rodziła albo adoptowała. Co to, żale wylewać jak się nie chciało w młodości odpowiedzialności wziąć.

– Może i tak – odpowiedziała Joanna. – Ale ciężko samemu żyć. Chyba.

– To czemu tak chcesz? – podchwyciła Małgorzata.

– Wiedziałam, że nie można się przy tobie otworzyć.

– Nie obrażaj się.

– Może dlatego, że ty o sobie nie opowiadasz, mamo. Nie lubisz, boisz się terapii i nie znosisz, jak ktoś to robi przy tobie.

– Co robi?

– Otwiera się. Rozmawia. Wolisz mówić o sprawach gładkich. Wszystko u ciebie ma być poukładane, uporządkowane i poprawne. Żadnych zadziórów.

– Joanno!

– Tej prawdy też nie lubisz? Co ci mam powiedzieć? Artur chce się spotykać. Ciągle i do znudzenia robi maślane oczy, nie mogę już na niego patrzeć. Ja go nie chcę!

– Przynajmniej tak ci się wydaje – powiedziałam cicho. Joanna nie usłyszała.

– Tęsknię za Grażyną. Ona dała mi bliskość, jakiej nie doświadczyłam od nikogo, nawet od ciebie, mamo.

– No trudno, żebym się z tobą miziała jak ta... ta... – Małgorzata prychnęła. Próbowałam zmrozić ją wzrokiem. Joanna nas nie słuchała.

– A potem zraniła i właściwie znikła – kontynuowała dziewczyna. – Tęsknię za nią. Zwyczajnie i po prostu, jak za kimś, kogo się kocha. Ale ty... ty, mamo, uważasz, że kochać powinnam tylko faceta, i to koniecznie poukładanego. Niech ma od razu łysinę, brzuszek i nosi wyciągnięty sweterek w serek. Bo jak jakiś przystojniejszy i w białej koszuli, to na pewno niewierny!

Małgorzata poruszała ustami, jakby chciała coś powiedzieć.

– Kochana, a co to? Hormonki szaleją? – Zareagowałam, zanim moja córka się zreflektowała.

– W końcu musiałam to powiedzieć. Ja zwyczajnie nie wiem, kim jestem. Lesbijką? Biseksualistką?

– I musisz o tym przy obiedzie? – Małgorzata nie wytrzymała.

– A kiedy? Przy kolacji? Czy przed telewizorem? Zresztą, nie ma jeszcze obiadu. Ja póki co jestem po deserze.

– Obiad już jest – powiedziałam odruchowo.

Joanna pochyliła głowę.

– Przepraszam, mamo.

Małgorzata wstała i przesiadła się pod ścianę, obok córki. Objęła ją.

– Naprawdę nie miałaś ode mnie bliskości?

– No takiej to nie... – Dziewczyna cicho parsknęła.

– Zawsze byłam chłodna, prawda? – Tym razem nie dała się zbyć Małgosia. – Nie umiem chyba... Nie wiem. – Wzruszyła ramionami.

– To pewnie moja wina. Ciągle się spieszyłam. Dziewczynki wychowywałam najlepiej jak umiałam, ale nie było czasem

łatwo, same wiecie... Może ja wam dałam za mało ciepła? I teraz Katarzyna ucieka od związków, a ty czujesz się ciągle niepewna? – powiedziałam. Zostawiłam pierogi na półmisku na blacie i z łyżką cedzakową w ręku usiadłam na krześle zwolnionym przez Małgorzatę.

– Niepewna? – Małgorzata spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Te twoje podejrzenia... z tego chyba wynikają?

– A może z tego, że coś mi w mózgu pękło.

– Mamo, babciu, nie kłóćcie się. Wystarczająco ja namieszałam.

– Chroniłam was, jak umiałam. Przed Stanisławem, przed tamtymi czasami. Nie było łatwo. I te ludzkie spojrzenia. – Westchnęłam.

– Babciu, jak to chroniłaś? Przed dziadkiem? Jakie spojrzenia?

– Zwyczajne – wtrąciła Małgorzata. – Zazdrosne.

– Właśnie – przytaknęłam. Kiedyś trzeba będzie to wszystko opowiedzieć Joannie. Kiedyś.

– I to jest teraz twoja wina? To, że ja wolę kobiety?

– Oj, przestań. – Wykonałam szeroki gest chochlą. – Ty jeszcze nie wiesz, czego chcesz.

– I to jest twoja wina? – Upierała się Joasia.

– Dlaczego moja?

– Bo nie dałaś mamie i cioci wystarczająco dużo ciepła.

– No wiesz.... – Żachnęłam się. I zaczęłam się śmiać.

– No właśnie. Przestańcie się obwiniać. Dlaczego nie może być dobrze tak, jak jest? Dlaczego ktoś musi być winny? Jakaś martyrologia? Bo tobie było, babciu, ciężko, to mama ma być oziębła?

– Ja? Oziębła?

– Och, taki tylko przykład. Dlaczego po prostu nie możemy cieszyć się tym, co mamy?

Po chwili ciszy wstałam i podałam półmisek z ciągle parującymi pierogami.

– To niech będzie na naszą radość.

– O – powiedziała Joanna z zadowoleniem. – Nie wiem, gdzie to zmieszczę, ale dam radę. – Nałożyła na talerz osiem wielkich pierogów. – Najwyżej wezmę dokładkę – dodała po chwili.

Najpierw ja się roześmiałam. Cicho, jakbym wstydziła się głośnego odgłosu. Bo się krępowałam, co tu mówić. W moim domu śmiałam się z babcią. Pamiętam to, śmiałam się z nią. Ale gdy wychodziliśmy na zewnątrz, nie wypadało się głośno zachowywać, nawet śmiać. W kościele nie wolno było, ani w sklepie. Zresztą, do sklepu rzadko chodziliśmy.

Potem uciekaliśmy. Trzeba było być cicho, ciągle milczkiem, po kryjomu, w konspiracji. Nie było powodów do radości i śmiechu. W Warszawie tym bardziej. Cicho. Dzieci wszędzie miały być cicho. A potem mama nie wróciła i już w ogóle nie myślałam o tym, że można się śmiać. A jeszcze potem? Umarł ojciec. Dorosłe życie. Trochę radości ze Stanisławem, ale dorośli się głośno nie śmieją. Więc teraz też zaśmiałam się cicho.

Dołączyła Małgorzata. Najpierw delikatnie, cichym parsknięciem. *Jak koń* – pomyślałam, co rozbawiło mnie bardziej, zaśmiałam się głośniej. Małgosia spojrzała na mnie i śmiała się już nie tylko ustami, ale i oczami. Dołączyła Joanna. Śmiałyśmy się coraz głośniej i bardzo długo, aż pierogi zrobiły się letnie, a roztopione masło pokryło się cienką, stężałą warstwą. Bo życie nie może być tylko od smutku, prawda?

Rozdział 84

MA

– Małgosiu, przylatujemy za tydzień. – Głos Katarzyny był zniekształcony.

Zmienił jej się akcent? – pomyślała Małgorzata, zanim wykrzyczała:

– Katarzyno, źle słyszę, możesz szczegóły przesłać na maila?

– Na co? Nie w tym świecie żyjesz. Sprawdź na lotnisku, lecimy przez Frankfurt w piątek za tydzień.

Nic więcej nie udało się powiedzieć. Połączenie zostało przerwane.

Ta rozmowa była jak moje życie – pomyślała Małgorzata po odłożeniu telefonu. *Staralam się. Jak zawsze starałam się dopilnować całości. Żeby było wszystko na czas i każdy był zadowolony. I czuł wdzięczność, oczywiście. Pozory. W moim życiu zawsze tylko pozory. Teraz też, skupiłam się na tym, co widać. Słysząc. Uwagę poświęciłam trzaskom na łączach.*

Podeszła do wielkiej trzydrzwiowej szafy. Sąsiedzi chcieli mebel wyrzucić, był stary i skrzypiący. Tylna ściana pękła w dwóch miejscach, drążek w lewej części spadał z mocowania. Małgorzata akurat przejeżdżała, wracałyśmy z Warszawy, gdy zauważyła, z jakim trudem trzech chłopów wynosi wielkiego

grata przed drzwi nowoczesnego domostwa. A że w tym samym momencie sąsiad wjeżdżał furgonetką w bramę, musiała się zatrzymać na wąskiej drodze. Kierowca wracał właśnie do auta po otwarciu wrót wjazdowych. Uśmiechnęła się do mężczyzny, znała go z widzenia. W tamtym momencie, kierowana nieznanym sobie wcześniej odruchem, wysiadła z auta i podeszła do furgonu.

– Dzień dobry – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– Ja panią znam. Dzień dobry.

– Ja też pana kojarzę. Kupiliśmy leśniczówkę. – Wskazała ręką w stronę lasu. – Ale my nie poznaliśmy się jeszcze.

– Pani zajdzie – powiedział gospodarz. – Tylko wjadę na podwórze, widzi pani, jaki tu zamęt.

– Nie będę przeszkadzać. Zresztą, z mamą jestem. – Odwróciła się w stronę samochodu.

– Dzień dobry – powiedziałam z uśmiechem. Zdążyłam wysiąść z auta.

– Zapraszam panie – powtórzył mężczyzna i wsiadł za kierownicę.

– Mamo, jedziemy do domu – powiedziała Małgorzata.

– Nie wygłupiaj się, jak zaprosił, nie wypada odjechać. Zachowuj się – powiedziałam i weszłam na podwórko. – Tylko zaparkuj jakoś porządnie, na środku drogi samochodu nie zostawisz.

Przystanęłam przy schodkach na werandę. Trzech chłopów dalej stękało wokół wielkiej szafy.

– Jaki piękny mebel! – Małgorzata się zachwyciła. Zaparkowała tuż koło bramy i właśnie podeszła pod dom.

– To grat, pani! Wynosimy, coby porąbać i na spalenie – odpowiedział jeden z przepychających mebel.

– Na spalenie? Coś pan! – Małgorzata się zmitygowała,

unosząc zawstydzonym gestem rękę do ust.

– A co pani, chcesz go?

– Pewnie! – odpowiedziała Małgorzata bez zastanowienia.

– To pakujemy i wieziemy – powiedział kierowca, który właśnie podszedł od strony podwórza. – Będzie prezent zapoznawczy. Wchodźcie, panie, wchodźcie, zaraz żona co na stół poda, a wy chłopaki – do furgonu mebelek!

Żona sąsiada postawiła ciasto, mocną herbatę Assam w białym imbryku i zaproponowała kawę po turecku. Gospodarz wypił taką, szklanka była w metalowym koszyczku.

– Mąż tylko taką pije – powiedziała sąsiadka, wzdychając. – Ja to nie lubię, jak fusy między zębami zostają.

Małgorzata uśmiechnęła się.

– Ten imbryk to piękny.

– Po teściowej jeszcze, ślubny prezent. Ona nie używała, oszczędzała, a i tak większość się wybiła. Tylko to zostało.

Leśniczówka Małgorzaty i Karola miała w sąsiedztwie tylko drzewa, ludzie mieszkali kilka kilometrów dalej, we wsi. Najbliższe gospodarstwo, to właśnie, w którym piły mocną herbatę nalewaną z porcelanowego imbryka, było półtora kilometra od nich. Od czasu przewożenia szafy, jej ustawiania i opijania stali się sąsiadami.

W pobliskiej wsi znalazł się stolarz – amator, który ekspresowo wyremontował mebel. Po renowacji był piękny. Zajął większą część ściany w sypialni, trzeba było przesunąć łóżko w stronę okna, ale samo patrzenie na niego sprawiało Małgosi przyjemność. Teraz sięgnęła do najwyższej szuflady – była tak wysoko, że nie widziała zawartości. Wyczuła jedwabistą gładkość; wyciągnęła pończochy. *Dlaczego wcześniej nie cieszyłam się pięknymi rzeczami?* – zapytała lustro. *Czekałam na lepszy czas... Teraz pończochy zakładam, choć nikt tego nie widzi. Może gdzieś w nich pójdę? Kiedyś?*

Mało miała teraz czasu na rozmyślania. Codziennie wozila mnie do Warszawy, stary dom wymagał czulej ręki. Zaglądała w kąty, sprzątała, pieściła. I cieszyła się drobiazgami.

Małgorzata założyła pończochy. Obejrzała się przed lustrem. *Majtki za kuse. W moim wieku. Pokręciła głową. Ale niech zostaną. Tylko tutaj trochę nie bardzo...* Dotknęła skóry nad koronką pończochy. *Zwisa, i jakieś takie... cellulit.* Sięgnęła po balsam do ciała. Stał na jej nocnym stoliku, rzadko używany. Obejrzała się jeszcze raz. *Co będę się katować, zakryję te fałdy.* Ubrała się szybko. Domowa sukienka, zapinana z przodu na guziki, praktyczna, w dziwnym kolorze szarego koralu. Na to gruby sweter – w leśniczówce tylko wokół kominka było bardzo ciepło. Stary dom wypuszczał ciepło przez drewniane gonty, jakby oddychał. Już kilka razy rozmawiali z Karolem o remoncie.

Ja odpoczywałam w swoim pokoju, Joasia uczyła się przy kuchennej ławie.

– Głupie to – powiedziała do Małgorzaty krzątającej się przy kolacji.

– Ale musisz zaliczyć.

– Niestety. To i jeszcze więcej.

Trzeba było nie zmieniać studiów – pomyślała Małgorzata.

– Wiem oczywiście, że to wszystko przez zmianę kierunku. – Dziewczyna wykrzywiła usta.

Małgorzata wywróciła oczami.

– Nie musisz mówić. Widzę, co myślisz.

– To nic nie mówię – odparła Małgorzata. – Ale chyba jednak nie wszystko.

– Co nie wszystko?

– Przez zmianę. Cięża na przykład nie wynika z kierunku studiów.

– Ha, ha – powiedziała Joanna, krzywiąc się bardziej. – Ciężko

mi czasami, ale nie zamierzam wracać do Artura. – Zastrzegła, mrużąc oczy.

– A czy ja coś mówię? – Małgorzata udała zdumioną.

– Nie musisz. Czytam w tobie jak w otwartej księdze, pamiętasz?

– A tak, rzeczywiście. Kompotu chcesz? – Małgorzata odwróciła się w stronę okna. Kątem oka zobaczyła przesuwany się blask od strony drogi.

– Ojciec przyjechał.

– Wyczuwasz go mentalnie?

– Światła widzę.

– Może mnie odwiezie. Nie chce mi się tłuc autobusem. Chcę. Kompotu – dodała, widząc zdziwioną minę matki.

Gdy Karol podjechał pod bramę, zimowy cień zmienił się już w zmrok. Wprowadził samochód, zamknął bramę i wolnym krokiem szedł w stronę domu. Zatrzymał się, odetchnął. *Jak ona może przypuszczać, przecież nie chciałbym być nigdzie indziej. Żadna kochanka, najpiękniejsza i najłatwiejsza, nikt i nic, tylko Małgorzata. Las, dom wymagający tak strasznie dużo troski, sterty liści do zgrabienia, nieefektowny rejwach – pomyślał.*

– Tato, wchodzisz? – Joasia wyjrzała z werandy.

– Lecę, pędzę – odpowiedział.

– Co cię tak przypiliło? – powiedział, zdejmując płaszcz. Joanna zdążyła wrócić na wygrzaną poduszkę na kuchennej ławie.

– Odwiesz mnie? – Uśmiechnęła się przymilnie do ojca. – Późno już, brzuch musi spać. A ty pewnie chcesz coś zjeść, odpocząć, i tak dalej. Wszystko, co muszą zrobić dorośli tatusiowie. Więc zrób to jak najszybciej i mnie odwieź.

– Jeśli tylko mama się zgodzi – Uśmiechnął się do żony.

Małgorzacie kompot kapał z wielkiej chochli.

– A może... Może zechciałybyś u nas zostać? Wiesz, mamy dość miejsca.

Joanna westchnęła.

– Mamo, rozmawialiśmy o tym. Jeszcze nie teraz.

– A kiedy będzie ten dobry czas?

– Drogie panie, dajcie spokój. Dobry czas będzie wtedy, kiedy nadejdzie. Poproszę kompotu. – Podstawił szklanę Małgorzacie. – Zjem coś i odwiozę Joannę.

Może to i racja – pomyślała młoda kobieta. *Im mniej słów, tym więcej treści. Ciekawe, że to nie działa z kolegami. Czy w rodzinie rozumiemy się aż tak dobrze, czy też tak bardzo się wstydzimy?*

Karol odwiózł Joannę, kiedy wypił cały kompot i stał w kuchni podłogę. Małgosia cmoknęła córkę symbolicznie w policzek. Doczekał się też Karol, przyciągnęła go do siebie namiętnie, chociaż był już w płaszczu.

– Przestańcie, zgorszę się – mruknęła Joanna.

– To się pospiesz, bo zaraz jedziemy – odparł Karol.

– Jestem gotowa – odpowiedziała dziewczyna.

– Pospiesz się ze zgorszeniem, bo możesz nie zdążyć przed wyjazdem.

– Ha, ha.

Rodzice znów mieli zajęte usta.

– Do samochodu! – Karol wskazał córce drzwi władcym gestem i uśmiechnął się do żony.

– I'll be back – wyszeptał.

– Dobrze, gdy się dogadujecie – powiedziała Joanna w samochodzie.

– Ani przez chwilę nie chciałbym, żeby było inaczej. Chociaż nie zawsze jest tak, jak chcemy.

Im mniej słów... – znów pomyślała Joanna.

– Dajesz radę? – zwrócił się do córki po kilku minutach

milczenia.

– Ciężko. – Westchnęła. – Brzuch ciąży.

– W końcu jesteś w ciąży.

– Ciężko mi się toczy. Muszę zaliczyć sesję, staram się codziennie być w butik, na basen nie bardzo mam siłę. Zwolniłam.

– Jak to w ciąży.

– A wy? Obrazek przed wyjściem był jak bożonarodzeniowa pocztówka. Co będzie po świętach?

– Pracujemy nad tym.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Jutro przyjedziesz? – zapytał ojciec.

– Mogę nie dać rady.

– Ale dzwoń.

– Jak codziennie, tato.

Uśmiechnął się.

– Jak codziennie, córeczko – powiedział do siebie, patrząc na córkę przez szybę. Ostrożnie stawiała kroki, odwróciła się, zanim zniknęła na klatce schodowej.

Wracał zamyślony. Wieczorne ulice były prawie puste, prowadził odruchowo. Za miastem zwolnił. Dzięki temu zdołał zahamować przed dzikami przechodzącymi przez drogę. *Nie wierzyłem. Sąsiad mówił o dzikach, a ja nie wierzyłem.* Zadzwoił do Małgorzaty.

– To było niesamowite – mówił szybko. – Przechodziły w poprzek drogi, jakby były u siebie.

– One są u siebie – odpowiedziała.

– Fakt. – Uśmiechnął się. – Pora zrozumieć, że mieszkamy w lesie.

– Przyjeżdżaj – powiedziała.

Czekała na niego ubrana w pończochy zakryte kolorowym fartuchem. *Nie będzie, że tylko pończochy i korale, niech tak nie*

myśli. Aż tak to nie. Chciała jednak, żeby tak myślał. Po cóż zakładałaby pończochy?

Rozdział 85

JO

– Dziwnie się Joanna zachowuje – powiedział Karol do Małgorzaty.

Jechali do terapeutki. Cieszyłam się bardzo, że wreszcie, moim zdaniem i tak za długo zwlekali z tą wizytą. Małgorzata była spięta, siedziała obok mojego zięcia wyprostowana i milcząca. Musiał powtórzyć.

– Dlaczego tak uważasz?

– Nie cieszy się z dziecka.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Przytrafiło się nie w tym momencie. Chciałaby pofruwać, zażyć wolności, a tu nic z tego. Jak się nie uważało...

– Małgosiu, nie mów tak, to nasz wnuk.

– Ale córka wykazała się nieodpowiedzialnością, przyznaj.

– Powtórzę, to nasz wnuk.

Znów wzruszyła ramionami.

– I bardzo się z niego cieszę – powiedziała. – A Joanna, jak już urodzi, zmieni nastawienie. Każda matka tak ma.

– Ja tam się nie znam – powiedział ostrożnie – ale nie zdarzają się jakieś depresje poporodowe?

Małgorzata fuknęła.

– Też mi coś. Depresje. Wymyśliły rozpieszczonych pańienek. Kiedyś nie było bieżącej wody i ubrań dla dzieci, to i depresji nie było. Joanna urodzi, to zmądrzeje.

– Martwię się o nią. Jest smutna i mam wrażenie, że wcale nie chodzi o ciążę.

– A o co niby?

– No właśnie nie wiem. Jakby była szara. – Karol zamilkł na chwilę. – Odwożę ją czasami, do miasta, do butik. Ostatnio nawet na hasło basen się nie uśmiecha, prawie zresztą tam nie chodzi. A jak już... Zawsze wracała zrelaksowana, rozluźniona, to było widać z daleka, nawet w tych kilku krokach, które robiła, idąc do mnie do auta. Teraz...

– Żałuje swojej głupoty, ot co. Była nieroztropna.

– I śmiała się. Nasza córka więcej się śmiała.

– Daj już spokój.

– Denerwujesz się?

Kiwnęła głową.

– Właściwie to czym my się denerwujemy. – Bardzo chciał rozluźnić żonę, stąd liczba mnoga.

– Mam się spowiadać komuś obcemu. Nie bardzo mi się to podoba.

– Żadnej spowiedzi. Szukamy porady i pomocy, nie arbitra.

– Ale ten ktoś oczekuje, że najpierw dostarczymy mu danych. Ten etap mnie stresuje.

– Powiesz tyle, ile uznasz za stosowne.

– Nie wiem, czy w ogóle jestem gotowa – powiedziała Małgorzata, odwracając głowę.

Zdjął rękę z dźwigni zmiany biegów i położył na udzie żony.

– Ja też się trochę denerwuję.

– Nie widać.

Uśmiechnął się.

Dojechali w milczeniu, Karol kilka minut szukał miejsca do

parkowania.

Chwycił Małgorzatę za rękę, gdy zapytała przed wejściem do niskiego, żółtego budynku z rzędem dużych okien:

– Może jednak nie wejdziemy?

Rozdział 86

TUTAJ

Tutaj. Teraz. Terapia. Tezaurus. Tętno.

*Tutaj nic nie czuję, ale potrafię wyobrazić sobie wszystko.
Każde tyknięcie serca, każde przepchnięcie tlenu przez tracheę,
zawrót głowy jak turbulencję. Wszystko.*

*Totalne transmisja, transfuzja, transcendentalna
transmutacja.*

Rozdział 87

MA + KAROL

- Nie, to zupełnie nie tak. – Małgorzata gwałtownie zaprzeczyła.
- Nie przechodzimy kryzysu.
- Nie? – Karol się zdziwił.

Terapeutka uśmiechała się łagodnie. Niewysoka kobieta, ładniejsza w rzeczywistości niż na zdjęciu, miała półdługie brązowe włosy, piwne oczy i była nieumalowana. Małgosi podobała się jej brązowa spódnica z wełny, o fatalnej długości skracającej tułów, tuż za kolano. Niewysoki obcas też nie dodawał jej uroku. Karol, wpatrzony w żonę, nawet tego nie zauważył. Moja córka dokładnie obejrzała psycholożkę, zanim usiadła na lekko wytartej kanapie w niedużym pokoju, w którym umeblowanie było nadzwyczaj skromne. Żółte zasłony były krzywo przypięte, chociaż firanka się Małgorzacie spodobała.

Nie powiem ani słowa, jeśli mi się nie spodoba – obiecała sobie Małgorzata przed wejściem do gabinetu.

Ale powiedziała. Psychoterapeutka raczej słuchała niż mówiła i Małgorzata poczuła w pewnym momencie potrzebę wypełnienia miękkiej ciszy, jaka panowała w gabinecie.

- Nie. My tylko... Ja mam problem.

Karol uniósł brwi. Psychoterapeutka skupiła wzrok na pacjentce.

– Posądzam męża o... różne złe rzeczy.

– Czyli? – bez ponaglenia w głosie zapytała terapeutka po dłuższej chwili ciszy.

– Podejrzewam, że mnie zdradza.

– A to prawda? – Kobieta nie patrzyła na Karola, ale to on odpowiedział.

– Ależ skąd!

Pokręciła głową.

– Pan zna fakty – powiedziała z delikatnym uśmiechem. – Ale to pani musi je zaakceptować.

Karol uniósł dłonie w geście przeprosin.

– Ja... cóż, teoretycznie wiem, ale w praktyce... denerwuję się. Czasem coś we mnie wstępuje, jakby mi przesłaniało oczy, tak jak wtedy, gdy mam te ataki... I wtedy nie kontroluję myśli.

– Jakie ataki? – zapytała łagodnie psycholożka.

– No, te z ręką – odpowiedziała odruchowo Małgorzata.

– Z ręką? – Karol się zdziwił.

Westchnęła. – Mam tak czasami. Siadam gdzieś i raptem czuję, że serce zaczyna mi walić, jakby chciało wyskoczyć. Tracę oddech. Łapię go jak ryba wyjęta z wody. Za pierwszym razem myślałam, że to zawał. I wykręca mi się ręka. Jakoś tak.

– Zademontrowała.

– Jak to, za pierwszym razem? Ile razy ci się to zdarzyło? Dlaczego nic nie mówiłaś? – Karol zmarszczył brwi.

– Przeszło. – Wzruszyła ramionami.

– Często się to pani zdarza?

– Kilka razy. – Małgorzata przygryzła wargę. – Ostatnio sanitariusz powiedział, że nic mi nie jest.

– Sanitariusz? – Karol wyprostował się jak rażony prądem.

– Ktoś wezwał karetkę – powiedziała Małgorzata niechętnie.

Karol siedział wpatrzony w żonę.

– I? – wtrąciła psycholożka.

– I nic nie stwierdzili. Mieli kolejne wezwanie, więc nawet nie zabrali mnie do szpitala.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? – W głosie Karola była wyraźna pretensja.

– Chyba nie będziemy sobie tu robić wyrzutów – odpowiedziała Małgorzata.

Po prawie pięćdziesięciu minutach rozmowy psychoterapeutka stwierdziła:

– To nasze pierwsze spotkanie, trudno jeszcze diagnozować, wygląda to jednak jak typowe objawy lęku panicznego.

Małżeństwo patrzyło na lekarkę w milczeniu.

– To zespół lękowy spowodowany długotrwałym napięciem. Może być to nieuświadomiony, stały stres, którego poziom zaczyna być nieakceptowalny dla organizmu. Kołatanie serca połączone z wrażeniem zbliżającego się zawału powoduje skrócenie oddechu i paniczne łapanie powietrza. Doprowadza do hiperwentylacji, w wyniku której bardzo często pewne partie mięśni ulegają skróceniu. Stąd takie, dosyć zresztą typowe, wykręcenie ręki.

– Typowe? – Małgorzata się zdziwiła.

– Cóż, tak – odpowiedziała terapeutka. – Chociaż rozumiem, że wrażenie zawału połączone z przeświadczeniem o umieraniu trudno za takie uznać.

Małgorzata znów przygryzła wargę.

– Wie pani, bo ja... nawet trochę zaczęłam obawiać się publicznych miejsc. Bo to jest strasznie krępujące, kiedy tak raptem człowiek się wykrzywia albo nie może złapać oddechu. Kilka razy mi się zdarzyło, że z niechęcią myślałam o wychodzeniu z domu. A raz nawet nie pojechałam do sklepu, poprosiłam męża o zrobienie zakupów.

– Małgosiu! – Karol był zszokowany.

– To się może zdarzyć. A nawet często się zdarza. Bywa, że napady lęku panicznego prowadzą do agorafobii.

– Ale to lęk przed dużymi przestrzeniami!

– W psychologii to też lęk przed otwartymi przestrzeniami, na których jest dużo ludzi, mogą zdarzyć się nietypowe i nieprzewidziane sytuacje, a my nie mamy gdzie się przed nimi schować.

– I ja...

Terapeutka czekała.

– I ja to mam? – zapytała Małgorzata.

– Za krótko rozmawialiśmy, ale prawdopodobieństwo jest duże.

– Jak to się leczy?

– Stety i niestety – uśmiechnęła się lekko kobieta – nie ma na to tabletki. To nie jest schorzenie neurologiczne ani w żaden sposób anatomiczne, chociaż w fizjologii się objawia. Tego typu dolegliwości leczymy terapią, ale przede wszystkim leczenie wymaga zmiany trybu życia.

– Ja całkowicie zmieniłam tryb życia – powiedziała z dumą Małgorzata.

– A objawy ustąpiły?

Małgorzata nie odpowiedziała.

– Kiedy miała pani ostatni atak?

– Dwa tygodnie temu.

– To już było po owej zmianie?

Małgorzata kiwnęła głową.

– Zmiana, o której rozmawiamy, musi odbyć się w pani. W pani rozumieniu świata. W wewnętrznym spokoju.

– Zmieniliśmy miejsce zamieszkania – wtrącił Karol. – W wakacje. Kupiliśmy leśniczówkę, żona zrezygnowała z pracy na uczelni.

– Fantastyczny wstęp. Ale praca dalej jest do wykonania. – Psycholożka spojrzała na zegar wiszący na ścianie.

– Ale... my prawie w ogóle nie mówiliśmy o zdradzie Karola. To znaczy, o moich podejrzeniach. A po to tu przyszliśmy.

– Proszę pani, wręcz przeciwnie. Cały czas o tym mówiliśmy. Jedno nie istnieje bez drugiego. Tak bardzo jest pani wewnętrznie napięta, że tworzy wymaginowane sytuacje, które jeszcze bardziej panią stresują. Pani ciało na tyle przywykło do wysokiego poziomu stresu, że potrzebuje go coraz więcej. Coraz bardziej się napina, aż samo owego napięcia nie wytrzyma. W ten sposób myślenie i napięcie psychiczne objawia się w reakcjach fizjologicznych.

Uśmiechnęła się.

– Dziękujemy – powiedział Karol, wstając.

– Na kiedy się znów umawiamy? – zapytała Małgorzata, także wstając.

Jak dobrze – pomyślał. Gosia chce tu przychodzić.

– Za tydzień? Zwyczajowo spotykam się z pacjentami raz w tygodniu, w wybrany dzień i o stałej porze. Czy to państwu odpowiada?

Małgorzata kiwnęła, Karol potwierdził.

W milczeniu szli do samochodu. Karol wyciągnął zza wycieraczki ulotki z rozneglizowanymi paniami, zgniótł i wepchnął do kieszeni.

– Chowasz, żeby wykorzystać? – zapytała Małgorzata.

– Słucham? – Nie zrozumiał.

Małgorzata wybuchnęła śmiechem.

– Widzisz? Naprawdę jestem chora, widzisz?

Rozdział 88

JO

– Tato, odwieź mnie na basen, proszę – marudziła Joanna do słuchawki.

– Dziewczyno, jest mróz. Przeziębisz siebie albo dziecko. – Był środek dnia, Karol był zajęty, rozmawiał z córką półgębkiem. Chciał szybko skończyć pracę i jechać prosto do leśniczówki, Małgorzata obiecała, że popróbują różanych konfitur, które latem zrobiła według mojego przepisu. Systematycznie wprowadzałam w życie plan pozostawienia po sobie czegoś. A gotować umiałam najlepiej.

Karol zamierzał przysmak rozsmarować na ciele Małgorzaty, a potem wylizywać powolnymi ruchami każdy zakamarek ciała.

– Tato, brzuch też musi ćwiczyć, każesz mi autobusem w takie zimno? – Córeczka tatusia potrafiła ojca podejść.

Karol zaraz po pracy zawiózł Joannę, gdzie chciała.

– Córku, coś ty taka smutna ostatnio?

– Smutna? Wydaje ci się.

– Nie sądzę.

– Z czego mam się cieszyć?

– Jak to z czego? Jesteś zdrowa, masz kochających rodziców, w drodze zdrowe dziecko, całe życie przed sobą. Mało?

– Jestem szczęśliwie zdrowa i jestem w zdrowej, całkowicie przypadkowej i niechcianej ciąży. Mam kochających rodziców, chociaż wolałabym sobie całe przyszłe życie raczej układać samodzielnie, niż planować długotrwałą symbiozę z rodzicami. Problem w tym, że ja nie wiem, jak mam je sobie układać. Ojciec mojego dziecka mnie mierzi, moja ukochana okazała się nie całkiem fajna, a ja za nią tęsknię.

– O to chodzi? Jesteś nieszczęśliwie zakochana?

– Nie tylko. Chodzi o to, że ja nie wiem, czy jestem zakochana. Nie wiem, co czuję. *I nic mnie to nie obchodzi* – dodała w myślach.

– Kochanie, prawie nie przechodziłaś buntu nastolatka, może teraz nadszedł na ciebie taki czas? Kryzys? A może to hormony? Wiesz, podobno w ciąży tak się zdarza.

– Naprawdę myślisz, że świruję, prawda? Ty nic nie rozumiesz, tato.

– Córeczko.

– Nic nie wiem, tato.

Dojechali na miejsce. Joanna, zanim wysiadła, cmoknęła ojca w policzek.

– Poczekaj na mnie, dobrze? – Uśmiechnęła się.

– Nie będę czekać. Nie ma mowy – powiedział. – Masz na taksówkę, spieszę się. Do domu.

– Ale was pogoniło – powiedziała.

– W przyszłym tygodniu zaczynamy właściwą terapię. Na razie było jedno spotkanie, mama zaakceptowała psycholożkę. Chociaż właściwie już zaczęliśmy. Domową.

– Jasne, jasne. Poradzę sobie – odpowiedziała moja wnuczka. Cmoknęła ojca jeszcze raz i wyturlała się na resztki śniegu. Wróciła jednak i przez uchylone okno dodała: – Ładna z was para.

– Zawsze była – powiedział do siebie.

Żeby to było takie proste, tato. Żeby to były tylko hormony – pomyślała Joanna, oddalając się chodnikiem.

Moje baby. Same baby. Uwielbiam moje baby – pomyślał Karol. Zawracając, myślał o Małgorzacie. W jego wyobraźni wsuwała na udo pończochę. *Jadę do domu –* pomyślał pogodnie.

– Karol – Małgorzata zadzwoniła, gdy dojeżdżał do następnego skrzyżowania. – Możesz podjechać do domu mamy?

– Jestem jeszcze w mieście. Mogę.

– Dzwonił lokator. Podobno kanalizacja szwankuje.

– To nie może wezwać hydraulika?

– Stwierdził, że nie będzie za to płacił i musimy zobaczyć, jak bardzo owa kanalizacja szwankuje.

– Mamy assistance.

– Upiera się.

– Już zawracam. Ale ty się szykuj! – Przybrał groźny ton.

– Buziaki! – powiedziała filuternie.

Teraz jest jak w niebie. Tak ma być zawsze. Czy tak będzie zawsze?

Rozdział 89

MA

Tym razem nie było fartucha. Miała pończochy i korale, i mnóstwo różanej konfitury. Ja udawałam, że już śpię. Następnego dnia powiedziałam do córki mimochodem:

– Małgosiu, ty się jakoś zabezpieczasz, prawda?

Małgorzata zakrztusiła się świeżą bułką.

– Słucham? – Spod kaszlu ledwo było ją słychać.

– Cóż, byłoby zabawne, gdyby córka Joasi miała młodszą ciotkę.

Małgorzata nie brała tej ewentualności pod uwagę.

– Mamo, to niemożliwe.

Nic już nie powiedziałam. Byłam starszą panią i widziałam dość, żeby się nie dziwić. Nawet jeśli nie miałam ochoty o tym opowiadać.

Od następnego poranka Karol regularnie odwiedzał aptekę, a różnorodne smaki wzbogaciły ich małżeńskie pożycie. *Ile ja traciłam, niech to licho! Wiktor i uczelnia, też mi coś. Seks z własnym mężem, to jest to!* – myślała Małgorzata.

Jednak były też inne myśli. Małgorzata spoglądała na ekran komputera, migały na nim „uzależnienie”, „natręctwo”, „seksualna trzeźwość”. To ostatnie rozbawiło ją. Następnego

wieczoru Karol zerknął do domowego komputera. Otworzyły mu się strony, które zostawiła Małgorzata oraz plik z listem: „Wybacz – wciąż nie potrafię o tym rozmawiać. Ciężko mi czasem. Często. Kocham Cię. Po tylu latach, kocham Cię, mężu. Może to śmieszne, ale wolę to napisać niż powiedzieć. Mam problem. Mamy wspólny problem. Coraz bardziej to rozumiem. Będę z tobą. Bądź ze mną. Piekło czy raj, chcę być z tobą. Bądźmy razem.

Boję się terapii. Z Tobą ciężko mi rozmawiać, nie wiem, jak dam radę przy kimś obcym. Postaram się. Tylko ze mną o tym nie rozmawiaj. Nie poza gabinetem. M.”

Kochać Małgorzatę czy jej nienawidzić? Nie potrafił odpowiedzieć. Ale przecież pytania, na które istnieją łatwe odpowiedzi, nie są ich warte, prawda?

Rozdział 90

TUTAJ

Uwielbiam utylitarne podejście do życia. Zawsze uważałam je nie tylko za użyteczne, ale też uniwersalne.

Uncja uczciwości, żadnej utopii.

I niczego nie będę sobie uzurpować.

Rozdział 91

KA + MA

Katarzyna i Miłosz wylądowali na Okęciu z niewielkim opóźnieniem. Czekali na nich Karol i Małgorzata.

Małgorzata obawiała się spotkania z Miłozsem. *Po tylu latach nie będę dla niego interesująca, to oczywiste. I dobrze, ma Kaśkę. Ale czy on nie będzie interesujący dla mnie?* – pytała siebie wieczorami, zanim Karol przyjeżdżał z pracy. To było w długie, zimowe wieczory. Około południa wozila mnie na rehabilitację, został jeszcze tydzień zabiegów. Podobno ostatnia tura. Wracałyśmy około trzeciej, w lesie już zapadał mrok.

– Jeździsz tutaj tak wolno, że rowerem bym szybciej dojechała. – Zdenerwowałam się kiedyś na córkę.

– Od kiedy ci przeszkadza, że jeżdżę ostrożnie?

– Nie przeszkadza, tylko łatwo się denerwuję ostatnio. Nie wiem czemu.

– Karol spotkał tu niedawno lochę z czterema małymi. Piękny widok, ale trochę niebezpieczny. Jechał wolno, bo było ślisko, tylko dlatego zdołał zahamować.

– Przepraszam.

– Coś konkretnego cię irytuje?

– Nie... – Zawahałam się. – Ta rehabilitacja mnie męczy. Miała

pomóc, a kręgosłup boli mnie bardziej.

– Rozmawiałaś z lekarzem?

Kiwnęłam głową.

– Mówi, że tak może być. Czasami. Więc ja jestem to „czasami” widocznie.

– Niedaleko już. Pójdiesz się położyć, przyniosę ci herbaty.

– Aż tak niedołączna jeszcze nie jestem!

– Mamo. – Małgorzata uśmiechnęła się ciepło.

– Przebiorę się i przyjdę na herbatę – odpowiedziałam.

Leniwe popołudnia, które w lesie były już zmrokiem, przeciągały się. Dużo odpoczywałam, a Joanna, zajęta przygotowaniami do sesji, z rzadka przyjeżdżała. Karol wracał do domu jak najwcześniej mógł, ale było to zwykle około dziewiętnastej. Małgorzata miała sporo czasu. Trochę pisała, trochę sprzątała. Rozmyślała. O Karolu, o terapii, o Joannie i jej dziecku, o mnie. I o Miłoszu wraz z Katarzyną.

– Witamy narzeczonych! – trąkotała Małgorzata na lotnisku.

– Małżonków! – Katarzyna zachichotała.

– Pobraliście się? – Karol i Małgorzata zdziwili się głośno, stojący w pobliżu pasażerowie zaczęli bić brawo. Miłosz skulił głowę w ramiona.

– Chodźmy już, proszę. – Pociągnął Katarzynę za łokieć. Po drodze Małgosia opowiedziała o mojej chorobie.

– Nawet nie zadzwoniłaś! – Kasia zgłosiła pretensje.

– Zadzwoniłam. Ale o tym nie mówiłam.

– No właśnie!

– A co byś pomogła? Mama powiedziała mi dopiero ostatnio, jak już się przekonała, że nie ma remisji. Wcześniej przecież nie wiedziałam. Pretensje zgłaszaj do mamy.

– Dobra, bez pretensji.

– Właśnie.

– Uważasz, że nie zajęłam się mamą?

Katarzyna podniosła rękę.

– Dziewczyny, jeszcze z lotniska nie wyjechaliśmy, już się kłócicie?

– Skądże, siostrzane przepychanki, sam rozumiesz.

– Nie rozumiem. Co u was? – Karol zwrócił się do Miłosza.

– Świetnie. Tylko zimno.

Roześmiali się.

– Przytyłaś? – powiedziała Małgorzata z sympatią.

– To zazdrość czy złośliwość?

– Zazdrość, definitywnie. Pięknie wyglądasz. I te kolory.

– Prawda? Będą szły jak świeże bułeczki.

– Ty zawsze o interesach.

– Skądże. Dla ciebie też przywiozłam. Mama naprawdę w porządku?

– Chyba tak. – Małgorzata nieznacznie rozłożyła rękę. – Jest słaba, ale wyniki miała dobre, chociaż bez rewelacji.

Kiedy dojechali, udowodniłam, że czuję się świetnie.

– Mamo, jak ciebie odmładzają te kolory! – Katarzyna patrzyła na mnie z uznaniem i zazdrością. W przywiezionej właśnie przez nią bluzce, turkusowej przetykanej złotą nicią, prezentowałam się szykownie.

– Zacznesz, mamo, romansować! – Córki się śmiały.

Bawiło mnie to. Amory nie były mi w głowie, chociaż błysnęła mi nieśmiała myśl: a gdyby tak? Nieznany, szpakowaty, albo całkiem siwy? Gdybyśmy tak? Przez kilka najbliższych dni poświęcałam tym rozważaniom kilka minut codziennie przed zaśnięciem. Z narastającą przyjemnością. – Im jestem starsza, im mniej mam czasu, tym gęściej z niego korzystam – myślałam.

Katarzyna i Miłosz, usadowieni za wielkim stołem, ciągle opowiadali.

– Umyjcie tylko ręce – powiedziała Małgorzata.

– I wracaj szybko, bo musimy wszystko opowiedzieć – dodała Katarzyna, która przyszła już z łazienki. – Pomóc ci? – zapytała grzecznościowo siostrę.

– Nie. Siadaj i opowiadaj.

– Polecieliśmy najpierw do Delhi, to wcale nie jest największe miasto w Indiach. Bombaj jest większy, niewyobrażalnie. Wrażenia są nie do opisanego, ale najbardziej poruszające są kontrasty. Bogactwo i przepych, a obok nędza tak głęboka, że dolar wystarcza na tydzień życia. Ale wiecie, co nas najbardziej zdumiało? Ci nędzarze, żebracy bez widoków na przyszłość – są szczęśliwi! Uśmiechają się. Tak po prostu.

– Widzieliśmy buddyjskie świątynie – uzupełniał Miłosz. – Zjeździliśmy Indie od Nepalu po Morze Arabskie. Słyszeliśmy języki, których nazw nie potrafię wymówić. Piliśmy herbatę z masłem. – Miłosz się skrzywił. – Wypiłem całą!

– Byliśmy w buddyjskich świątyniach. Tak, Tadź Mahal jest przepiękne, i widzieliśmy jeszcze... – Katarzyna i Miłosz przerzucali się opowieściami. Pikantne aromaty przeplatały się z tęczowym blaskiem.

Małgorzata słuchała głosu siostry zafascynowana nie tyle słowami, ile ich brzmieniem. Katarzyna mówiła tak jak ona sama, piętnaście lat temu. *Jesteśmy takie same? I tak różne. Geny matki, geny ojców.*

Głos siostry usypiał ją, nie słuchała uważnie. Była ciekawa opowieści, ale wolałaby smakować ją stopniowo. Obejrzeć zdjęcia, najlepiej w samotności, dokładnie, a potem zadawać pytania. Dopiero wtedy wysłuchać gawędy, jak baśni. *Zadam kilka pytań, będziemy same, powie mi to, co istotne. Teraz mówi wszystko, bez porządku.* Małgorzata dyskretnie obserwowała Miłosza. Myślała o nim, nie o Indiach. Przywitali się uściskiem, jak szwagier ze szwagierką. Nie potrafiła jednak wyobrazić sobie, jak powinny wyglądać ich relacje.

Zastanawiała się także, czy nasza szpitalna rozmowa będzie miała ciąg dalszy. Na razie zawiesiła szczerść ze mną na kołku. *Wisi tam i usycha.* Małgorzata odruchowo spojrzała na drzwi. Wbity w nie olchowy kołek służył do odwieszania toreb, ale może pod spodem znalazłaby coś jeszcze? Czego nikt nie powiesił?

Rozdział 92

MA + KA

Pod pretekstem opowieści o Indiach Małgorzata kilkakrotnie umawiała się z Katarzyną. Siedziały na parkowej ławce, zmęczone zakupami do sambal oelek, które zamierzały ugotować następnego dnia. Niezrażone chłodem wróble szukały zagubionych ziaren. Nie mogły wiedzieć, że zimą dzieci nie gubią okruchów i nie wyrzucają w parkach kanapek. Uczniowie na wagary chodzą do pobliskiej kawiarni, a staruszkowie grzeją reumatyzm przy kaloryferach. Siostry kruszyły bułkę, wróble podchodziły im pod stopy.

– W Indiach jest znacznie cieplej – narzekała Katarzyna.

– Nie marudź – ofuknęła ją Małgorzata. – Tak naprawdę...

– ...chcesz porozmawiać, ale nie wiesz jak.

Małgorzata popatrzyła na siostrę wściekła.

– Co się denerwujesz? Jesteśmy siostrami. Ja też się zastanawiam, czy powiedzieć.

– Podobno prawda najlepsza. – Małgorzata wzruszyła ramionami.

– Najlepsza jest cudza prawda. – Katarzyna się skrzywiła.

– Może i tak. Ale to nasze życie, musimy powiedzieć. – Małgorzata w końcu zdecydowała, a Katarzyna kiwnęła

smętnie głową.

– Tak właśnie sądziłam. Jesteś beznadziejnie uczciwa. Że też akurat twoje decyzje muszą mieć kluczowy wpływ na moje życie.

– Chcesz się kłócić? – Małgorzata spojrzała bokiem.

– Dajże spokój. Martwię się o przyszłość.

– O własną się nie martw. Lepiej martwmy się o Joannę.

– Może z Joasią poczekajmy? – Katarzyna oglądała swoje paznokcie. – Prawie wszystko może poczekać, oprócz przeprowadzki. Nie zamierzam siedzieć u ciebie na garnuszku.

– Ona ma stamtąd bliżej na uczelnię...

– Karol codziennie jeździ do miasta. A ja nie chciałabym cię krępować.

– Jesteś moją siostrą!

– A ona twoją córką. I mam męża, który...

– Dobra, rozumiem.

Dyskutowały długo; wróble odleciały, zrobiło się zimno. Ustaliły, że Joanna musi się przeprowadzić. I że trzeba powiedzieć.

Komu? Co? Po co?

Rozdział 93

JO

Joanna wciąż regularnie chodziła na basen.

– Tylko to mnie trzyma. Inaczej utopiłabym się we własnych wodach płodowych – mawiała, głaszcząc się po wystającym pępku.

Karol odbierał córkę z basenu i razem wracali do domu. W wieczornym tłoku na ulicach mieli dla siebie kilkadziesiąt minut.

– Masz w końcu imię?

– Mam cały skarbczyk imion!

Karol patrzył na córkę z wyrzutem.

– Skąd mogę wiedzieć, jak ma na imię? Jeszcze jej nie widziałam! Jak się urodzi, od razu będę wiedziała, kim jest! Teraz się nastawię, że Zosia, a potem okaże się, że Ania. I co wtedy? – przekomarzała się moja wnuczka. Nie powiedziała nikomu, że jej córka ma nosić imię Grażyna. Dopiero niedawno przyznała się, że urodzi dziewczynkę.

– A jak się czujesz?

Wzruszyła ramionami.

– Świetnie.

– Jasne – powiedział, cedząc litery, Karol. – I dlatego w ogóle

się nie uśmiechasz.

– Nic się nie zmieniło, tato.

W leśniczówce ogarnął ich zapach curry. Katarzyna i Miłosz jeszcze się nie wyprowadzili, chociaż mieszkanie na Mokotowie od trzech dni stało wolne. Rodzina spotykała się w kuchni, często posiłki przygotowywali nowożeńcy.

– Ożeż... – Karol się zatrzymał, a Joanna parsknęła śmiechem. – Nic nie powiedziałem – zarzekał się. – Pachnie tak... orientalnie.

– Możesz jeść takie ostre? – Karol nieregularnie próbował normować życie córki. Za każdym razem jego rady odkładała *ad acta*.

– Jakoś mało indyjska – skomentowała szarlotkę Joasia. – Jaki jest typowy indyjski deser?

– Kulfi na przykład – odruchowo odpowiedziała Katarzyna. – Takie nibylody. Ale my...

– Musimy porozmawiać – dokończyła Małgorzata za siostrę.

– Znowu? – jęknęła moja wnuczka. – Dajcie spokojnie zjeść jabłecznik. A macie bitą śmietanę? – Zainteresowała się z pełnymi ustami.

– Kochana, urodzisz grube dziecko. Dzisiaj nie ma. Porozmawiać musimy, ale najpierw zjedz. – Katarzyna i Małgorzata kiwały głowami.

Miłosz nie zabierał głosu, po prostu kończył trzeci kawałek ciasta.

– Miłosz... – Małgorzata oficjalnie zwróciła się do szwagra, który zastygł z łuską jabłka w palcach. Joanna łakomie oglądała ostatni kawałek na paterze, a Karol właśnie wyszedł z łazienki. Dołączył do milczenia.

– Chcę coś powiedzieć. – Małgorzata zagryzła wargi. Zamknęłam oczy, chciałam przerwać córce. Miałam nadzieję, że jednak nie będzie chciała mówić. Że moje córki nie będą aż tak

uczciwe.

Po co ona wszystko rujnuje? – myślałam.

– Joasiu, jak wiesz, kiedyś Miłosz i ja byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

– Że co? – Joanna parsknęła szarlotką. – Byliście parą, przecież wiem. Mamo, nie rób z tego sprawy. – Była rozbawiona anachronizmem matki.

– No właśnie. – Chrząknęła Małgorzata. – To było, zanim poznałam twojego tatę. To znaczy... widzisz... Miłosz jest twoim ojcem.

– Co?! – wykrzyknęli Joanna, Miłosz i Karol.

Przynajmniej połączyło ich coś więcej, niż tylko upodobanie do szarlotki – pomyślała Katarzyna.

Dwóch ojców i córka siedzieli po jednej stronie stołu, ja patrzyłam na nich z drugiej strony. *Idealna gromadka do badań psychologicznych* – pomyślałyśmy niemal równocześnie, Katarzyna, Małgorzata i ja.

Joasia jęknęła, spoglądając na rozlewającą się pod krzesłem kałużę.

– Podobno wody płodowe powinny odchodzić powoli...

– I nie powinny być zielone. Karol, do szpitala! – zarządziła Małgorzata. Jako jedyna zachowała zimną krew. Najwięcej zamieszania robił Miłosz. Joanna zachowywała się spokojnie, chociaż była przerażona. Ja postękiwałam nerwowo „wszystko będzie dobrze, dzisiejsza medycyna radzi sobie z wcześniakami”, Karol biegał, szukając kluczyków, a Katarzyna myślała tylko: *Mogę stracić Miłosza*.

Późnym wieczorem Małgorzata, sącząc piątego drinka, przypomniła sobie, że nie ma rozwiązań bezbolesnych. *Kiedyś o tym słyszałam*. Bolał ją żołądek, głowa, każdy mięsień i dusza. Skąd wiadomo, jak boli dusza?

Rozdział 94

TUTAJ

Wszystko już wiadomo. Jesteśmy tylko wasalami, a może wagabundami na wachcie życia. Nie ma wagarów, nie ma wakatów. To nie gra w warcaby.

Wandale dawno zostali wyeliminowani. Pozostała waluta wierności, bez weksli, wszystko uwiecznione na weducie życia.

Jeden wers, jeden sen. Wiele wersji, jeden werdykt. Wertuję wiadomości, a tam na końcu zawsze wierność witalności. Nawet jeśli ktoś jest życiowym woltyżerem, i tak w ostateczności będzie musiał być wierny sobie.

Rozdział 95

MA

Joanna rodziła cesarskim cięciem, nie pozwolono nikomu do niej wejść. Karol z Miłozsem czekali na korytarzu, symulując rozmowę. Używali skromnej ilości słów. Podobno przeciętnie inteligentny człowiek posługuje się mniej więcej tysiącem słów. Oni używali pięćdziesięciu. W końcu wyszedł do nich lekarz, zmęczony, szary jak szpitalna lamperia, ale wieści miał dobre.

– Który z panów jest ojcem? – Machnął ręką. – Dziadkom też mogę powiedzieć. – Zdrowa córka, trzy sto pięćdziesiąt, sporo jak na tak wczesny poród, jedźcie do domu.

Każdy z nich cieszył się z bycia dziadkiem – niedziadkiem.

Czekałam w swoim pokoju. Po wyjeździe ojców z Joanną poszłam do siebie. Próbowałam czytać, słuchać radia, nawet telewizor włączyłam. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca.

Katarzyna nie chciała rozmawiać. Położyła się w pokoju teoretycznie gościnnym, teraz przygotowanym dla Miłosza i dla niej, na pościeli haftowanej w słowiki, i pomyślała: *Życie jest jak ten ptaszek. Szare i nieciekawe, dopóki nie zaśpiewa. Dopiero wtedy włos staje dęba. W życiu nie zawsze z zachwytem.*

Małgorzata siedziała nad piątym drinkiem sama i nawet zaczęło jej się to podobać. *Co tam – babcia. Kichać na starość.*

Na Karola też kichać i na Miłosza też. Na Joannę może nie, ale jej tu nie ma. I innych też nie ma, przecież jestem sama – myślała. Upiła się do nieprzytomności. W nocy rzygała. Kiedy ojcowie wrócili ze szpitala, chrapała obok łóżka, na indyjskim dywaniku. Spała w majtkach i rajstopach, nie zdążyła ich zdjąć. Świat jest taki miękki – myślała, zasypiając. Jak to niewiele nam czasem potrzeba, prawda?

Rozdział 96

MA

Wstałam jako pierwsza. Zanim przygotowałam śniadanie dla wszystkich, zebrałam ubrania Małgosi, porzucone na fotelu w salonie. Ucieszyło mnie, że stanik miała koronkowy. Wreszcie. Nie miałam ochoty na rozmowy, chociaż były nieuniknione. Dziwna to miała być konwersacja – Karol nie chciał rozmawiać, Kasia i ja nie chciałyśmy słuchać, zostali Miłosz i Małgosia.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Powiedziałaś? Do Kanady nie można było zadzwonić z budki telefonicznej. Ani z komórki. – Małgorzata była skacowana i wściekła. – Wyjechałeś, nie pamiętasz?

– Pamiętam. – Miłosz cedził słowa. – Pisałem, tęskniłem, chciałem wracać. A ty milczałaś. W końcu ułożyłem swoje życie tam.

– Przecież byś nie wrócił.

– A może właśnie bym wrócił! – wrzasnął Miłosz.

– Na mnie możesz nie krzyczeć, jestem tylko szwagierką. Krzyczy się na żonę i dzieci.

Miłosz miał trudności ze znalezieniem odpowiednich słów.

– Bałem się przyjazdu tutaj.

– I słusznie.

– Bałem się i nie miałem racji, oczywiście. Teraz powinienem się bać. Gdybym przyjechał od razu, nie musiałbym się niczego obawiać. Kochałbym cię nieprzerwanie, razem chowałibyśmy Joannę i mielibyśmy jeszcze pięcioro dzieci. – Próbował załagodzić.

– Czy ty próbujesz powiedzieć, że moją siostrę wzięłeś w zastępstwo? – Małgorzata się wściekła.

– Nie. Katarzyna jest wspaniała. Cudowna. Jest jak ty – tylko polepszona o wszystkie lata, których ze sobą nie przeżyliśmy. Wiesz co, Małgosiu? – Była wstrząśnięta zdrobnieniem i tonem głosu. Wycierała spocone dłonie o przybrudzone jeansy. – Ślub z Katarzyną to najlepsze, co mogło mnie spotkać. W moim wieku, po latach poszukiwań, zagubień i wszelkich stratach, które wyczerpały mnie niemal do cna. Uważałem, że już nic nie jestem wart. Katarzyna przyjęła mnie ze wszystkimi brakami i dziurami. Dzięki temu związkowi dowiedziałem się, że jestem ojcem. Żałuję, że nie mogłem patrzeć na pierwszy krok Joanny, znosić ząbkowania i jej przewijać. Równocześnie spadła na mnie wiadomość o wnuczce. Chciałem namówić Katarzynę na dzieci – pewnie się nie zgodzi. Mniejsza z tym. Jestem szczęśliwy, wiesz?

Nie myśl o szczęściu. Nie przyjdzie – nie zrobi zawodu. Przyjdzie – zrobi niespodziankę. Bolesław Prus – przypomniła sobie szkolny cytat Małgorzata. Czy Miłosz znał te słowa?

Rozdział 97

KA

Trzymałem szczęście za ogon; wyrwało się, zostawiając mi w ręku pióro, którym piszę – te słowa znała za to Katarzyna, która wprawdzie nie pisała, ale często czytywała Stanisława Jerzego Leca. Nie słyszała rozmowy Małgorzaty z Miłoszem. Spodziewała się wielkiej awantury, a potem pogodzenia byłych kochanków. Szczególnie teraz, kiedy Małgorzata i Karol mają problemy – myślała. Okaże się, że wyszłam za prawdziwego męża mojej siostry.

Katarzyna miała ochotę się upić, tak jak poprzedniego wieczoru Małgorzata. Poszłyśmy na spacer do lasu, niedługi, tylko na taki miałam siłę. Przykryła mi ramiona chustą w złotopomarańczowe pasy. Pachniała czymś przyjemnym, może słońcem Indii?

– Możesz ją zatrzymać, mamó – powiedziała, widząc, jak oglądam połyskującą materię. Chciałam ją zatrzymać. Trochę słońca w szafie.

W końcu Katarzyna weszła do kuchni. Czuła się jak gołąb ze złamanym skrzydłem. Miłosz podszedł do niej, zamknął w uścisku i powiedział:

– Jesteś dla mnie centrum wszechświata, wiesz?

Nie wiedziała. Skąd mogła wiedzieć?

Rozdział 98

TUTAJ

Zamykam. W zaafierowaniu o niczym jednak nie zapominam.

Alfabet nie ma już znaczenia, i tak zostają tylko te litery, których pragnę.

Jestem.

– Na szczęście – mówi Stanisław.

On też jest.

Na szczęście.

Rozdział 99

JO

Pierwszą dobę po porodzie moja wnuczka przespała. Otumaniona lekami niewiele pamiętała. W drugiej dobie przyniesiono jej Grażynkę. Matka patrzyła w granatowe oczy noworodka i widziała w nich przepaść. Szukała radości, chciała się cieszyć, nie potrafiła. Wpatrywała się w głębię oczu dziecka, aż do dna. I wydawało jej się, że widzi tam piekło. *Mam dziecko, którego wcale nie chciałam i którego się boję. A teraz muszę je kochać!*

Mała zaczęła płakać. *Jak mam cię zrozumieć?* – denerwowała się Joanna. Gdy dziewczynka była głodna – krzyczała. Miała mokro – krzyczała. Chciało jej się spać – krzyczała. Joasia nic z tego nie rozumiała. A malutka jakby wołała – kochaj mnie! Wiele dni zajęło Joannie zrozumienie, że dziecko jest bytem odrębnym. Nie potrzebuje filozofii, uznania słuszności bycia, po prostu jest. Ma być kochane i to jest słuszne. Pomimo otumanienia Joanna od razu jednak rozumiała, że to nie Grażynka. Mała była Zosią.

Następnego dnia rodzina przyszła w odwiedzin. Zosia przyjęła gości spokojnie, żywiej reagując wyłącznie na dotyk Małgorzaty. Poza tym spała. Dużo spała. Małgorzata

powiedziała Joannie, że to całe szczęście.

– Dziecko rośnie, kiedy śpi – wygłosiła ludową mądrość, w którą bezgranicznie wierzyła. Wszyscy się zgodzili.

– Kiedy się denerwuje, uspokaja ją plusk wody. Będzie chyba lubiła kąpiel? – Joasia zastanawiała się głośno.

– Jak mamusia. – Karol wyszczerzył zęby. Wiedział, że jak tylko Joanna dojdzie do formy, ponownie zostanie basenowym szoferem.

Małgorzata obawiała się, że Joanna zmieni zdanie – po urodzeniu dziecka matki zakochują się w noworodkach, to naturalne. Wtedy nie mogłaby opiekować się małą.

Ale Joanna nie zakochała się w Zosi. Po czterech dniach wyszły ze szpitala, Karol zawiózł je do leśniczówki, tam Joanna od razu ustaliła z matką harmonogram opieki nad dzieckiem. Kombinowała tak, żeby nie karmić, nie przewijać, nie usypiać i nie zajmować się małą. Zośka jednak nie chciała jeść z butelki. Wzbudzało to niechęć Joanny.

– Zniekszałci mi piersi! – Oburzała się wewnętrznie i publicznie. Nikt nie traktował tej niechęci poważnie, prócz mnie i Karola. Tylko my rozumieliśmy, że Zofia dla Joanny urodziła się za wcześnie. I to nie o miesiąc za wcześnie.

Przecież wszystko powinno mieć swój własny czas, prawda?

Rozdział 100

MA + KAROL

– Pospiesz się. Już drugi raz się spóźnimy. – Przeze mnie wyjechali odrobinę później. Małgosia uparła się, że przed wyjazdem musi mi podać zupę, jakbym nie potrafiła sama jej sobie odgrzać.

– Nie spóźnimy się, nie denerwuj się. – Karol uspokajał żonę.

– To byłoby nieeleganckie.

– Polubiłaś ją, prawda?

Małgorzata zastanowiła się chwilę.

– Tak.

– Brzmisz, jakbyś była tym zdziwiona.

– Bo jestem. – Uśmiechnęła się.

Wsiadli do samochodu.

– A masz wrażenie, że wszystko idzie w dobrym kierunku? – zapytał, gdy wyjechali na główną drogę.

– Porządkują się różne sprawy. Jakby było lepiej.

– Czy to znaczy, że już nie jestem najgorszym zdrajcą na świecie?

Szturchnęła go.

– Ostrożnie – powiedział z udawanym oburzeniem.

Uśmiechnęła się.

- Jest źzej. Nie jestem tak spięta... chyba.
- Cieszę się – odpowiedział ciepło.
- Jak myślisz, długo jeszcze potrwa terapia?
- A długo jej będziesz potrzebowała?

Rozdział 101

JO + MA

Joanna z Zosią mieszkały w leśniczówce, Katarzyna z Miłozem wprowadzili się na Mokotów.

– Joanna będzie chciała wrócić na studia – zauważył któregoś dnia Miłoz. Nie próbował już odnaleźć się w rodzinnych układach. Brał całość taką, jaką była. Trzymał się Katarzyny jak boi na zbyt dużym basenie.

Mieszkanie wymagało odświeżenia. Katarzyna rozmyślała nad nowym kolorem ścian, nie przyłożyła więc odpowiedniej wagi do przekazanej przez Miłozia informacji.

– Co oznacza, moim zdaniem – kontynuował z naciskiem – że będzie potrzebowała tego mieszkania.

– Jasne. – Katarzyna myślała o beżowo-pomarańczowych pasach z brązowymi ptakami pod sufitem. – Jak to, tego mieszkania? A my? – Zatrzymała się w drodze do kuchni, gdy dotarła do niej wypowiedź Miłozia. – Mamy się wyprowadzić? Gdzie chciałbyś mieszkać?

– Nieważne. Byle z tobą. – Miłoz przytulił żonę.

– Obawiam się, że masz rację – powiedziała.

– Bycie razem to powód do obaw? – Miłoz próbował ją rozweselić.

– Musimy się zastanowić. Może trzeba porozmawiać z Małgorzatą? Jest jej matką... – Katarzyna oddała się rozmyślaniom, a Miłosz bardzo chciał dodać, że przecież on jest ojcem. Ale tego nie zrobił.

Małgorzata miała inne zmartwienia. Moja wnuczka uparcie odmawiała opieki nad małą. Małgosia liczyła na macierzyński instynkt Joanny, kusiła, opowiadała o urokach macierzyństwa, zachwycała się małą. Posunęła się nawet do tego, że kupiła Joannie koronkową, chociaż bawełnianą bieliznę do karmienia. *Może to ją przekona* – myślała z nadzieją. Na próżno. Joanna postanowiła wrócić do miasta bez małej i niewiele mówiła o tym, co zamierza robić.

– Będę chodzić codziennie na basen. – Zbywała wszelkie pytania. – Muszę dojść do formy.

Powinna wrócić na studia, skończyć je w wyznaczonym terminie i obronić pracę z wyróżnieniem – myślała Małgorzata. Jednak coś działo się inaczej. Nie potrafiła określić co, ale czuła całą sobą: źle! Tylko co, do cholery, było źle?

Rozdział 102

MA

Źle było wszystko. Joanna albo nic nie mówiła, albo przerywała w pół zdania. Karol próbował z nią rozmawiać. Miłosz próbował z nią rozmawiać. Ja próbowałam. Katarzyna i Małgorzata. Joanna pewnego dnia zniknęła, zostawiając tylko kartkę: „Nie szukajcie mnie. Będę szczęśliwa tam, gdzie wreszcie będę rozumiana”.

Tylko policja potraktowała to życzenie poważnie. Małgorzata, Karol, Katarzyna, Miłosz, a także i ja w miarę swoich możliwości – wszyscy – próbowaliśmy jej szukać. Pytaliśmy sąsiadów, odszukaliśmy kierowców autobusów, którzy tego ranka jechali trasą w pobliżu, obdzwoniliśmy wszystkich znanych nam kolegów i koleżanki Joasi. Nikt i nic.

Zniknęła moja córka. Małgorzata rozpaczała. Co ja takiego zrobiłam? Jak straszna musiałam dla niej być, jak musiała się męczyć, dlaczego nawet nie potrafię zrozumieć, w czym zawiniłam? Kiwała się na krześle, często zgniatając rąbek bluzki. Czasami nawet zapominała ubrać się kompletnie. Chodziła w samych majtkach, bo spodnie najpierw miała w ręku, a potem w zamyśleniu odłożyła je na krzesło. Albo zakładała dwie różne skarpetki. Nawet rajstopy miała na sobie

nie zawsze, o pończochach nie wspominając.

Wszyscy mieszkaliśmy razem. Katarzyna i Miłosz też często pomieszkiwali w leśniczówce. Zosia przywykła do butelki, rosła wzorcowo, uśmiechała się, gaworzyła. Tego dnia, w którym po raz pierwszy przekręciła się z brzuszka na plecy, leśniczówkę odwiedził policjant. Małgorzata obserwowała go na podwórzu i nie miała najmniejszej ochoty otwierać. To eufemizm, bo drzwi nigdy nie były zamykane. Nikt nawet nie wiedział, gdzie jest klucz.

Policjant wszedł, Małgorzata kiwnęła głową.

– Napije się pan? – zapytała zamiast powitania. Skinął głową. Był w leśniczówce już kilka razy, lubił mocną herbatę parzoną przez Małgorzatę w jej tajemny sposób.

Przez kilka ostatnich miesięcy Małgorzata zżyła się z sąsiadami. Chociaż mieli do siebie daleko, odwiedzali się dość regularnie. Bywała też na plebanii, a i ksiądz zachodził do niej. Policjant także. Do tej pory prywatnie, najczęściej gdy robił przerwę w grzybobraniu lub gdy zimą tropił kłusowników. Teraz siedzieli w milczeniu, czajnik na środku stołu parował.

Małgorzata nie śmiała zapytać.

– Chyba znaleźliśmy państwa córkę. Żyje, proszę się nie denerwować – dodał szybko, widząc, jak Małgorzata przykłada rękę do ust. – Prawdopodobnie Joanna przebywa w sekcje.

Małgorzatę zasypały skojarzenia. Poblężliwe uśmiechy Joanny, niedokończone: „Och, gdybyście rozumieli... jaki ten świat jest płytki..., i po co to wszystko...”.

– Joanna jest pełnoletnia, wolno jej przebywać, gdzie chce. Ze względu na list nawet nie mogę oficjalnie jej szukać – dokończył policjant.

Małgorzata warknęła:

– Ale ona ma trzymiesięczne dziecko! Dziecko!

– Gosiu, musisz pozbawić ją praw rodzicielskich

i przysposobić wnuczkę. Żeby nikt nie mógł ci jej odebrać...

Małgorzata patrzyła na policjanta zdumiona. Gosiu? Kto do niej tak mówił? Kiedy? *Właściwie to całkiem przystojny ten policjant.*

– Pomóż mi – wyszeptała wysuszonymi wargami.

Policjantowi więcej nie trzeba było. Zmężniał, we własnych oczach stał się podporą. O Karolu był łaskaw zapomnieć, widywali się rzadko. A Małgorzacie było to obojętne. Joanna odeszła; nie chciała znać matki. Katarzyna wyszła za miłość jej życia, za drugą połówkę jabłka. Karol był mężem chyba dobrym, ale podejrzzenia ciągle wracały, chociaż na terapię jeździli regularnie. I ostatnie wyniki moich badań nie były najlepsze. Małgorzata wciąż zadawała sobie pytanie: *Czym zawiniłam?*

Rozdział 103

MA

- Nie mam ochoty – odpowiedziała Małgorzata apatycznie.
- Przecież lubisz terapię. Lubisz psycholożkę – namawiał żonę Karol.
- Ale po co tam jeździć. I tak mi nie pomoże.
- Mówisz jak Joasia. Tak nie można.
- Ona mogła, to i ja mogę.
- Małgosiu. – Karol przysiadł na ławie obok żony. Westchnął.
- Joasia podjęła niezrozumiałą dla nas decyzję, która bardzo boli. Chcesz też dostarczać takiego bólu?

Małgorzata bez słowa wstała, założyła lekką kurtkę i ruszyła w stronę samochodu.

Gdy wyjeżdżali na terapię, Zosia zostawała ze mną. Małgorzata wcześniej przygotowywała wszystko, wyparzone butelki równo ustawiała na blacie w kuchni, obok kładła zapasowy smoczek, na ławie niedaleko stołu czyste ciuszki na zmianę, kilka pieluch, mokre chusteczki. Jakby nie wierzyła, że sama sobie poradzę. Poza spotkaniami z psycholożką moja córka nigdy nie zostawiała swojej wnuczki. Była dla niej lepsza niż matka – po pierwsze dlatego, że biologiczna matka ją zostawiła, po drugie dlatego, że każda młoda rodzicielka chce

od czasu do czasu побыć kobietą, wyskoczyć z roli karmicielki. Małgosia nie miała takiej potrzeby. Była babką, która chciała nieprzerwanie pełnić rolę matki.

Strasznie skomplikowana ta nasza rodzina.

Teraz dojechali do miasta w milczeniu. Kilkakrotnie Karol zagadywał żonę, poruszał różne tematy. Małgorzata nie odpowiadała. Wsiadła bez słowa pod żółtym budynkiem z szeregiem dużych okien. Po wejściu do gabinetu po prostu usiadła, zamiast dzień dobry, kiwając terapeutce głową.

Tego dnia mówił Karol. Małgorzata nie dawała się wciągnąć w żadne rozmowy. Dopiero parę minut przed końcem sesji odezwała się. Dosłownie przerwała psycholożce.

– To bez sensu.

Terapeutka zatrzymała na niej wzrok. Czekwała.

– Żadna zmiana nic mi nie pomoże.

Terapeutka dalej nic nie mówiła.

– Nasza córka od nas uciekła. Zostawiła trzymiesięczne dziecko i wyjechała, nie wiemy gdzie. Co z tego, że zawracam pani regularnie głowę. Co z tego, że rozmawiamy. Co z tego. To mi nie zwróci córki.

Małgorzata bez słowa wstała. Karol zauważył, że, jak jej się to ostatnio często zdarzało, znów była bez bielizny. Jej piersi zafalowały. *Uwielbiam ją – pomyślał. Jest najpowabniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałem.* Jego żona w tym czasie zdążyła założyć lekką kurtkę i ruszyła w stronę samochodu.

Karol westchnął. Terapeutka zacisnęła wargi.

– Nic na siłę – powiedziała. – Pana żona potrzebuje przerwy, jak sądzę. Zrobiła ogromne postępy, tak to postrzegam, ale pozwólmy jej ochłonać.

– Czyli... – Karol nie potrafił uporządkować myśli.

– Myślę, że pani Małgorzata podejmie znów terapię za jakiś czas. Gdy będzie na to gotowa.

Karol westchnął.

– Nie ma sensu, żebym przyjeżdżał sam, prawda?

– Jak pan sobie życzy.

– Nie ma sensu. Odezwę się do pani. Za jakiś czas.

Kiwnęła głową na pożegnanie. Czy była zawiedziona?

Rozdział 104

MA

Wiosna była tego roku ciężka – musiała ważyć ze sto ton i mieć podkute obcasy. Znaczyła drogi dziurami, na których pękały opony, samochody zostawiały olejowe miski, a kierowcy gubili warczące słowa. Dlatego lato przyszło piechotą, znienacka.

Razem z latem pojawiła się zakurzona postać, wysoka i anorektyczna, z błyszczącymi oczami i obgryzionymi paznokciami.

– Joanna... – Tyle razy Małgorzacie wydawało się, że widzi Joannę, chciała biec za nią na ulicy, że teraz nie czuła nic.

Córka podeszła do matki i zapytała: „Wpuścisz mnie?“, a Małgorzata odsunęła się od drzwi. Dom był pusty. Ja byłam w szpitalu na kolejnych badaniach, Karol w pracy, Katarzyna i Miłosz pojechali zaszczepić Zosię. Joasia usiadła na kuchennej ławie, spoglądała na kurz, który jej kroki uniosły z drewnianej podłogi. Zamknęła oczy.

– Przepraszam – powiedziała.

Pierwsi domownicy zjawili się po godzinie. Katarzyna z Miłoszem przynieśli śpiącą Zosię i ledwo zerknęli do kuchni. Zanieśli dziewczynkę do sypialni Małgorzaty, tam było łóżeczko małej, zostawili uchylone drzwi i przeszli do swojej sypialni –

nie chcieli przeszkadzać. Małgorzata klęczała u stóp córki, łkała. Joanna tuliła matkę. Trwały tak długo.

Kiedy skończył się zapas łez, Małgorzata podniosła się, wzięła córkę za rękę i zaprowadziła do pustego pokoju. Czekał na nią – odkurzony, wysprzątnany i wywietrzony. Tak Małgorzata utrzymywała go stale. Moja wnuczka po prostu położyła się na łóżku.

Karol wrócił do domu wieczorem. Odebrał mnie ze szpitala, byliśmy w dobrych humorach. Nikt nie zawiadomił nas o przybyciu długo oczekiwanego gościa.

– Hej, hej! – powiedział głośno Karol, wchodząc do domu.

– Ćśśś. – Katarzyna go przywitała, wychylając się zza kuchennej futryny. Palce położyła na wargach.

– Ale że co? – Karol się zdziwił.

– Joanna wróciła.

– Co? – Drgnął.

– Co mówicie? – Weszłam z podwórza. Przed wejściem do domu sprawdzałam jeszcze, jak dojrzewa agrest na krzakach rosnących wzdłuż ogrodu. – Joanna? Fantastycznie!

– Nie wiem – odpowiedziała Katarzyna.

– Jak to? – Spojrzałam na córkę z niedowierzaniem.

Katarzyna wzruszyła ramionami.

– Najpierw Małgośka rozmawiała z Joanną w kuchni, klęcząc przed nią nie wiem jak długo. Ryczały jak bobry, chyba obydwie. Teraz młoda śpi, a Małgorzata siedzi przed kominkiem i nic nie mówi. Nie mam pojęcia, czy się cieszy, czy martwi.

Karol zdecydowanym krokiem wszedł w głąb domu. Przysunął fotel i usiadł tuż obok żony.

– Dobrze, że jest – powiedział.

Uśmiechnęła się blado.

– Będziemy wreszcie razem. Będzie dobrze.

– Dużo mi powiedziała – odparła Małgorzata.

Milczeli.

– Dołożę do kominka – powiedział Karol. Zamierzał znów usiąść na fotelu, gdy Małgorzata chwyciła jego dłoń i uniosła się. Usiadł, ona usiadła na jego kolanach.

– Jak nastolatki – powiedziała.

– Jak nastolatki. – Przytulił ją.

Pozostali domownicy rozsiedli się w kuchni. Katarzyna robiła kolację.

– Chodźmy do nich – powiedziała Małgorzata, słysząc trzaskanie talerzami. Pokręcił głową.

– Posiedźmy jeszcze – powiedział cicho.

Zostali tam, w ciszy i cieniach rzucanych przez ogień z kominka.

– Zmęczona jestem – powiedziałam, wzdychając.

– Połóż się, mamó – odruchowo odpowiedziała Katarzyna.

– Przy takich emocjach? – ostentacyjnie uniosłam brwi.

– To może ziółek nastawię – powiedział Miłosz.

– A poproszę. – Zgodziłam się chętnie. – Tylko tych mocnych, bo mi serce wali jak szalone.

Miłosz uśmiechnął się. Kilka miesięcy wspólnego życia sprawiło, że polubił swoją teściową. Mnie. Lubiliśmy razem usiąść po południu i raczyć się kieliszeczkiem nalewki, ziołową herbatą lub po prostu swoim towarzystwem. Nikt też – poza nim – nie zrozumiałby wypowiedzianego przeze mnie życzenia. Tylko on wiedział, że ziółka mają być wzmocnione piołunówką, dodaną, gdy ziołowy napar z melisy, skrzypu i szaławii już przestygnie.

Kolacja upłynęła w milczeniu. Każdy z nas przeżywał radość, intensywną, świeżą i trudno wypowiedalną.

– Co to teraz będzie? – głośno zapytałam, gdy już naczynia po kolacji były posprzątane.

– Nic nie będzie – odpowiedział Miłosz. – Joanna jest. To

lepiej, niż gdy jej nie było. Nie musi być łatwo, może i nawet trudno będzie, ale w ogóle będzie. A wcześniej jej nie było, więc jest lepiej.

– Pokrętnie, ale trudno się nie zgodzić – odpowiedziała Kasia. – Jak chcecie, posiedźcie, ja idę spać. Jutro z samego rana mam spotkanie w hurtowni.

– Idę z tobą – powiedział Miłosz natychmiast.

– To i ja pójdę – dodałam, oglądając się w stronę salonu. – A oni...

– Dadzą sobie radę – dopowiedziała Katarzyna.

– Joasia wróciła, to może i my pojedziemy na Mokotów? Do mnie? – zapytała Katarzyna już w łóżku. W przeciwieństwie do swojej siostry bez względu na stan emocjonalny zawsze miała na sobie co najmniej elegancką, częściej fikuśną nocną koszulkę. Nie uznawała bielizny innej niż piękna, przy czym piękno – w zależności od okoliczności – mogło oznaczać czarne stringi lub jedwabny biały komplecik. Zawsze jednak była to elegancka odzież spodnia, Katarzyna po prostu innej nie uznawała. Teraz okrywała ją bordowa atłasowa koszulka na ramiączkach, jakiej ja nigdy bym na siebie nie włożyła. Miłoszowi bardzo się podobała.

– Do ciebie? – Miłosz się zdziwił.

– Mieszkanie nie jest wynajęte, teraz będzie tu tłoczno.

– Leśniczówka jest duża, ale jak chcesz. – Miłosz przytulił żonę.

– Chciałabym.

– Dobrze. – Uśmiechnął się.

Jak to dobrze – pomyślała Katarzyna. Nie chciała tego przyznać, ale bała się powrotu Joanny. Bała się reakcji Miłosza na obecność córki. A jeśli zechce zacieśnić z nią więzy? Ma prawo. A wtedy... Może i zechce być bliżej z Małgošką? Będziemy w trójkącie? Lepiej zadziałać od razu.

Tego wieczora Małgorzata i Karol siedzieli na fotelu przed kominkiem jeszcze długo. Dopiero po północy, objęci, poszli do sypialni.

Joanna spała do siedemnastej następnego dnia, mieszkańcy domu zamienili się w koty. Nawet psy w obejściu nie czekały. Cisza w całym domu była przejmująca, zmęczona. Ulga przyszła nagle, ale ciężar zdejmowała powoli. Kiedy będzie radość?

Rozdział 105

JO

– Uciekłam – monotonie mówiła Joanna. – Najpierw od was. Od twojej opieki, mamo. Od taty, po którym nie wiedziałam, czego się spodziewać. Zdradza czy nie? Kłamie czy nie? Pokrzywdzony czy drań? Nie wiedziałam, więc uciekłam. Także od Zosi, której nie chciałam, i od Artura, który ją chciał.

Siedziała z matką w kuchni, zapadł zmrok. Obiad zrobiła Katarzyna, był rozgrzewający jak wszystkie indyjskie potrawy. Potem matka z córką zostały same, nad szklankami z herbatą i talerzykami pełnymi okruchów po drożdżówce.

– Sekta to smutne miejsce – kontynuowała Joanna. Była smutna, jakby wyzuta z emocji. – Chciałam znaleźć spokój. Nie miałam ochoty na podporządkowanie się, na przypadkowy seks. Sekta to nie jest miejsce na duchowe poszukiwania. I nie można stamtąd tak po prostu wyjść. Kiedy się zorientowałam, byłam więźniem. – Zamilkła. Podjęła temat po dłuższej przerwie: – To niesamowite, jak łatwo można ulec takiej indoktrynacji, jak łatwo uwierzyć. Naprawdę wierzyłam, że znajdę tam spokój i duchowe objawienie. – Uniosła kącik ust w drwiącym uśmieszku. – Narkotyki, zbiorowe gwałty, jakieś bzdury o duchowym podporządkowaniu guru, który nosił białe

szaty i sandały ze sznurków. My żyliśmy w wielkiej nieogrzewanej hali, nie było lekarstw, żywiliśmy się ryżem z odrobiną cukru, a ten przywódca – wypluła to słowo – pojawiał się u nas raz dziennie, na krótko, bo było mu za zimno, za brudno i za głośno. Kiedyś niechcący wyjrzałam przez okno, podczas pracy w kuchni. Wiesz, mamó, jak się zmywa osiemdziesiąt talerzy w zimnej wodzie? W misce? I gdy zobaczyłam, jak szedł przez podwórze w granatowym garniturze w prążki, a kierowca otworzył mu drzwi granatowego bmw, wkurzyłam się. Pięć dni myślałam o tym, co widziałam. Nikomu nawet nie wspomniałam. Zdałam sobie sprawę, że stamtąd nie można tak po prostu wyjść. Więc uciekłam.

Popatrzyła na swoje ręce. Spierzchnięte, poobcierane i z resztką paznokci. Po długiej przerwie dodała:

– Coś mi się jednak udało. Szukałam siebie i odkryłam, że nie wiem, kim jestem. To krok do przodu, prawda, mamó? – Joanna popatrzyła z dziwnym blaskiem w oczach.

Małgorzata zastanawiała się, czy było to wyzwanie, czy błaganie. O pomoc? Nie zadawała córce żadnych pytań. Miesiące tęsknoty dodały jej zmarszczek, ale nie zabrały instynktu matki. Przyniosła Joannie torbę wypchaną basenowym ręcznikiem. Córce błysnęły oczy, a może łzy.

– Ależ jestem głupia. Tylko ty wiesz, co pomoże. Nie umiem z tobą rozmawiać, a ty i tak wszystko wiesz.

Następnego dnia z samego rana Karol zabrał Joasię do miasta. Pływała trzy godziny, aż jej skóra zdawała się odchodzić od ciała. Pragnęła zmyć z siebie wątpliwości, naiwność i wstyd. Nie udało się, ale poczuła się lepiej.

Wszyscy szukamy odpowiedzi, a znajdujemy kolejne pytania. Co to za los?

Rozdział 106

MA

– Myślę, że powinniśmy – powiedziała Małgorzata do Karola.

– W każdej chwili – odpowiedział, nie kryjąc uśmiechu.

– Zadzwonisz?

Uśmiechnął się szerzej.

– W ciągu dnia. Spieszę się już trochę do pracy. – Spojrzał na zegarek.

Jednak oddzwonił do Małgorzaty w ciągu kilkunastu minut.

– Już się udało. Wizytę mamy w czwartek o osiemnastej.

Małgorzata westchnęła.

– Mam naprawdę ochotę.

– To dobrze rokuje.

– Miłego dnia. – Małgorzata uśmiechnęła się mimowolnie.

– Buziaki. – Pożegnał ją.

– Myślę, że tego chcę – powiedziała do siebie po odłożeniu telefonu. *Może nawet chcę wreszcie znów założyć pończochy. Ale czy jestem tego pewna?*

Rozdział 107

MA

Karol przejął etat domowego szofera. Pokonywał trasę: dom – szpital – hipermarket – szpital – dom trzy razy w tygodniu. Znow przechoziłam serię zabiegów. Poza tym Karol pracował, pomagał w ogrodzie i unikał wszystkiego, co mogło wydawać się seksualnie atrakcyjne. Na wszelki wypadek, aby nie drażnić Małgorzaty.

Nie radził sobie z terapią. Chociaż właściwie to Małgorzata się jej poddała, on w niej aktywnie uczestniczył. Zostały zwerbalizowane ograniczenia, a przecież owoc zakazany kusi. Nigdy nie myślał o zdradzie, a teraz zaczęła pojawiać mu się w snach. Inna kobieta, przygodny seks. Po ciemku z nieznajomą. Przypierał ją do ściany, odwróconą tyłem, z zadartą spódnicą. Albo wybierał się z koleżanką z pracy do teatru, w którym w rzeczywistości nie był od lat, a i to na służbowej gali. We śnie wybierał się do teatru, w antrakcie muskał delikatnie udo koleżanki z sąsiedniego działu po to, by po wyjściu znow zobaczyć przed sobą wypięte pośladki na tle szarej ściany. Nie wiadomo dlaczego, zawsze we śnie to było Ateneum.

Czasami czuł, że seks go bombarduje i wciska się w myśli.

Wbrew temu, co uważał kiedyś. Choroba Małgorzaty odcisnęła na nim piętno i to niezupełnie takie, jakie mógł przewidzieć. Terapeutka tłumaczyła, że potrzeba czasu, więcej czasu, a potem jeszcze czasu, i tak do końca życia. Karol się starał, Małgosia też.

Karol nigdy nie zadał pytania, kiedy została poczęta Joanna. Cieszył się z córki, nie chciał nic wiedzieć, nawet przypuszczać. Wysznuł teorię, którą podzielił się z terapeutką.

– Podświadomie domyślałem się, że Joanna to nie moje dziecko i bałem się je utracić, obydwie, żonę i córkę. Dlatego chciałem być wzorowy – powiedział.

Terapeutka uznała to za jedno z możliwych wyjaśnień. Jednak takie dotarcie do źródeł teraz nie było Karolowi pomocne. Nikomu nie opowiadał o swoich snach – w tym równoległym świecie marzył o kobietach; śniły mu się piersi, pachnące sokiem krocza, głębokie zadrapania od brokatowych tipsów. Budził się mokry i spocony, przerażony. A może to był wstyd? *To takie proste, nikt się nie dowie* – myślał czasami nad ranem, tuż przed tym, jak zagłębiał się w ciepło chętnych kobiet, które najczęściej nie miały twarzy. I tak aż do przebudzenia, kiedy to zlewał go zimny pot.

Powrót Joanny oderwał go od własnych problemów – zajął się córką. Nie obchodziło go, że cudzą. Kochał Joannę, wychował ją, była jego dzieckiem. Nikt nie chciał tego zmieniać. Miłosz nie miał odwagi, Katarzyna się nie wtrącała, Małgorzata udawała, że temat nie istnieje. *W końcu nie istniał przez tyle lat* – usprawiedliwiała się w myślach. Nie umiała zresztą z Miłoszem rozmawiać, na żaden temat. Próbowwała zrozumieć i wybaczyć. Rozmawiała z księdzem, czytała nauki Buddy i poradniki psychologiczne. W końcu doszła do wniosku, że potrafi wybaczyć, zapomnieć wyjazd, opuszczenie, brak listów. Ale nie potrafi zrozumieć. *Jestem na to za słaba. Zrozumienie*

oznaczałoby, że mnie już to nie obchodzi, a ja nie chcę zapomnieć. Już nic nie muszę. Mogę założyć pończochy albo rajstopy, jak chcę. Wszystko jak chcę. A chcę pamiętać, bez ograniczeń. Ładnie to brzmi – pomyślała na zakończenie, chowając ogrodnicze narzędzia. Kiedy przebierała się przed wyjazdem do szpitala, rozmyślała już o czymś innym.

Tym razem zostałam w szpitalu przez trzy dni. Jechali po mnie razem z Karolem.

Było zupełnie inaczej. Zamiast mnie, ubranej w lekką sukienkę z narzuconą ulubioną beżową chustą na ramionach – czekał na nich lekarz.

Jak można się uśmiechać, mając tak twarde spojrzenie? – pomyślała Małgorzata. Lekarzowi drgały mięśnie policzka. Małgorzata poczuła irytację. Wolała zdenerwowanie niż strach. Za długo się bała, zbyt wielu rzeczy.

– Ostatnie wyniki nie są dobre – powiedział lekarz po prostu, bez żadnych wstępów. – Będzie wskazana chemia, omówiłem ją już z pacjentką. Rozmawiam z państwem tylko dlatego, że mnie o to prosiła.

– Mama? Prosiła pana o rozmowę z nami?

Kiwnął.

– Może byłoby wskazane, gdyby państwo poszukali dla pani Wandy hospicjum. Za jakiś czas. – Wyciągnął kartkę z adresami. – Jeszcze nie na teraz, ale w przyszłości... może niedalekiej. Będzie państwu coraz trudniej.

– Wie pan, to dosyć... nagłe – mówiła Małgorzata, przetykając ślinę. Karol objął żonę.

– Nie bardzo – odparł lekarz. – Rozumiem, że państwo nic nie wiedzieli?

– Mama mówiła, że przeszła operację, trzy lata temu. I że teraz jest już wszystko dobrze.

– Wszystko dobrze... – Lekarz zerknął na Karola. – Prawie.

Potrzebna jest chemioterapia.

– Czyli była remisja? – dopytywał się Karol.

Lekarz kiwnął głową.

– Pacjentka znosi chorobę bardzo dobrze, ale sytuacja może się dynamicznie zmieniać. Choroba postępuje.

– To dlatego zapewne mama prosiła, żeby pan z nami porozmawiał – wtrącił Karol. – Jakie są rokowania?

Lekarz zamyślił się. – Cuda się zdarzają, organizm ludzki to niezbadany mechanizm, czasami... wszystko się może zdarzyć.

– Może być różnie – dodał po dłuższej chwili. – Może być tydzień, mogą być trzy miesiące. Może pół roku.

Tydzień? Trzy miesiące? Co on plecie? Małgorzata stała bez ruchu.

– Do widzenia – powiedział lekarz, gdy nie doczekał się reakcji. Małgosia i Karol nie patrzyli na niego, kiedy wychodził z sinozielonej salki.

Karol mocniej przytulił żonę.

– Trzeba będzie... powiedzieć mamie? – powiedziała Małgorzata.

– Ona chyba wie. Przecież prosiła lekarza o rozmowę z nami – odpowiedział Karol.

– Znowu przed nami coś ukryła – powiedziała Małgorzata z żalem.

– Chciała nas chronić – odpowiedział Karol z pewnością w głosie.

– Na pewno – potwierdziła. – Nie oddam mojej matki do anonimowej umieralni – dodała.

Wargi miała zbielełe. Karol skinął.

Podeszłam do nich kwadrans później.

– Strasznie długo mnie dzisiaj maglowali. Przepraszam, że czekaliście.

Uśmiechali się plastikowo. W połowie korytarza zapytałam:

– Rozmawiał z wami lekarz? Rozmawiał – odpowiedziałam sama sobie, widząc ich twarze. – Ile mi dają czasu? Bo w sumie nawet nie zapytałam. Niewiele, tyle wiem.

Nie byli przygotowani na odpowiedź. Nikt nie jest. Nie zmieniłam wyczekującego wyrazu twarzy, nawet kiedy wyszli już na parking. Małgorzata się zatrzymała, przytrzymując mi drzwi. Nie przeszłam przez próg.

– Kilka... miesięcy – w końcu odpowiedziała moja córka, przytłoczona własnymi słowami.

Strasznie byli zmartwieni. Też było mi z myślą o umieraniu niewygodnie, ale miałam dość choroby. Ukrywania jej, niemartwienia otoczenia, pokazywania wszystkim, jak jest dobrze, że wszystko jest dobrze. Doszłam w oszukiwaniu do takiej wprawy, że stało się niemal łatwe.

Oni tego nie rozumieli. Ani Małgosia, ani Kasia, Karol, Joasia. Nikt. Ja już miałam dość życia, wcale mi na nim nie zależało. Nażyłam się i tęskniłam do Stacha takiego, jaki był na początku.

Tego wieczoru Joasia po raz pierwszy samodzielnie wróciła z basenu. Zamieniła z matką tylko kilka zdań, cały wieczór spędziła ze mną w moim pokoju. Bałam się, że będzie płakać, rozpaczać. Że będzie tak okropnie ciężko. Ale to była moja wnuczka, moja krew.

Więc kiedy Joanna wyszła z mojego pokoju, po prostu poszła do ciotki i zaprosiła ją na kolację następnego dnia.

Katarzyna rozmawiała już wcześniej z siostrą, jeszcze ze szpitala Małgorzata zadzwoniła do Katarzyny. Młodsza z sióstr od razu chciała przyjechać do szpitala.

– Jak się czuje mama? – Kasia poderwała się z fotela, na brzegu którego siedziała.

– Dobrze, na ile to możliwe.

– Pójdę do niej. Natychmiast.

– Ciotka, poczekaj. Babcia się położyła. Prosiła, żeby wszyscy się stawili jutro wieczorem na uroczystej kolacji. Takiej wiesz, z długimi sukniami i biżuterią. To nie ja wymyśliłam. Teraz nestorka śpi, a mama na jutro ma jakiś artykuł do napisania, pewnie długo w nocy będzie pracować. Jutro.

Czekanie na jutro było wiecznością dla Katarzyny.

Jutro jest czasami o wieczność za daleko, ale czy ta myśl mogła w jakikolwiek sposób pomóc Katarzynie?

Rozdział 108

WA

Już od południa komenderowałam przygotowaniem. Nie miałam siły gotować, ale dyrygowanie szło mi sprawnie. Wieczorem na śnieżnym obrusie haftowanym bogato richelieu stały dania mojego życia. Uważnie je przemyślałam. Nawet obrus nie był przypadkowy. Marzyłam o takim w czasach szarego smutku PRL. Niektóre z sąsiadek pokazywały mi koronkowe cuda, ocalałe z wojennej pożogi, odziedziczone po matkach i babkach. Zazdrościłam. Podejmowałam nawet próby haftowania takim ścięciem, raczej nieudolne. Nierówno ściągałam nitkę, a potem przy wycinaniu najczęściej którąś przecinałam. W końcu zamówiłam obrus u polecanej hafciarki, duży, śnieżny, z ogromnymi otworami. To była chyba jedyna rzecz, w której tak wprost przeciwstawiałam się Stachowi. Skłamałam. Nie powiedziałam, ile ten obrus kosztował.

Popatrzyłam na tkaninę i od razu się roztkliwiłam. *O nie! Jak ja się rozkleję, to wszyscy inni też. Nie ma mowy.* Zebrałam myśli i wzięłam głęboki oddech.

– Dzisiaj z każdym kęsem się cofamy – powiedziałam. Głos lekko mi drżał, ale przy następnym zdaniu już go opanowałam.
– Dopiero jako staruszka spróbowałam rukoli. Wcześniej nie

wiedziałam nawet, że istnieje. Zaczniemy więc moim najmłodszym daniem – opowiadałam, podając rukolę z suszonymi pomidorami i żurawiną. – Sos musztardowo-miodowy to też moje niedawne odkrycie. Zupa cebulowa – wskazałam na wazę – była przymusowo ulubionym daniem w czasach kryzysu. Szlifowałam ten przepis, dzisiaj się nim dzielę, niczego w nim nie zmieniajcie. Ta wersja jest najlepsza. Boeuf stroganow był serwowany na moim ślubie, tak skromnym, że nikomu takiego nie życzę. To nie było smaczne danie, niestety, nie wtedy i nie tam. Nigdy, ale to nigdy nie próbujcie robić go z mięsa innego niż polędwica wołowa. To byłby zwyczajny gulasz. – Podniosłam wskazujący palec jak ksiądz na ambonie. – Boeuf jest na wyjątkowe okazje. I nie jedzcie go w restauracjach, nie potrafią go tam robić. Ziemniaki zapiekane w taki sposób odkryłam pewnego popołudnia u naszych znajomych, w czasie gdy wasz ojciec jeszcze utrzymywał kontakty ze znajomymi. Są pracochłonne, każdy oddzielnie nadziany i zawinięty, ale warto, więc też nie upraszczajcie przepisu. I na deser tort makowy. Opowiadała mi o nim moja przyjaciółka, stanowił osłodę jej dzieciństwa. Przepis od babki. Był w jej domu wyłącznie na Boże Narodzenie. Mam cały czas ten oryginalny przepis, ale nigdy nie udało mi się odtworzyć tego prawdziwego smaku. Może zabrakło szczypty tego czegoś, co istniało w opowieści mojej przyjaciółki. Może jej mama dosypywała odrobinę magii, gdy nikt nie widział. – Uśmiechnęłam się. – A kiedy już zjemy, przyjdzie czas na jeszcze jeden deser. Ale to już przy gorzkiej czarnej kawie.

Oblizywanie palców nie sprzyjało rozmowie. Przed deserem każdy dostał ode mnie upominek. Rozpakowywali je ostrożnie. Wielkie kawały tortu czekały na talerzykach, w srebrnych łyżeczkach odbijało się światło wielu świec. To były same książki. Brylowało wśród nich bibliofilskie wydanie

W poszukiwaniu straconego czasu dla Joanny.

Na koniec zostawiłam to, czego wcale nie chciałam mówić, a zebrani usłyszeć. Czułam, że jestem im tę opowieść winna, ona za chwilę odejdzie razem ze mną, zaginie. A nie powinna, chociaż nie była słodka. Z detalami opowiedziałam historię ojca Katarzyny i własnej walki o odpryski godności.

Czarna kawa była gorzka, pili ją wszyscy. W ciszy wręczyłam Kasi czarny zeszyt, zapisany nierównym pismem.

– Tu są moje marzenia. Tylko tyle mogę wam zostawić – dokończyłam. Na koniec trochę jednak zaczęło drapać mnie w gardle.

Pisałam pamiętniki od trzydziestu lat – nieregularnie i niedbale. Traktowałam oprawiony w skaj zeszyt jak terapeutę. Po rozmowie z Małgorzatą przeczytałam swoje zapiski, uporządkowałam i dopisałam dalszy ciąg. *Niech coś po mnie zostanie* – myślałam.

Wieczorem, z lampką koniaku w ręce, Joanna myślała: *I to ja szukam sensu życia?*

Rozdział 109

KA i JO

Zmarłam trzy tygodnie później. Bez bólu i w otoczeniu bliskich. Każdemu życzę takiej śmierci, takiego przejścia.

Katarzyna stała nad moim grobem pełna żalu. Nie było do kogo składać reklamacji. *Jestem dorosła, muszę zrozumieć. Mogłam nacieszyć się mamą przez tyle lat. Ojciec już nie żył, kiedy się rodziłam. Tak widocznie miało być* – myślała i wzdychała.

Joanna natomiast pojęła, że wybaczenie i rozumienie nie ma sensu. *Liczy się dla mnie, o mnie i we mnie, chociaż z myślą o innych* – doszła do wniosku. Po wielu miesiącach próbowała wytłumaczyć to Grażynie. To moja wnuczka odezwała się pierwsza. Tęskniła cały czas, ale już bez tego uczucia przygniatającego gorącym żelazem, które wcześniej parzyło ją na myśl o pierwszej kochance.

– Nie chodzi o egoizm, bardziej o to, żeby szukać motywacji, które spełnią nas w działaniu dla innych. Działalność charytatywna albo śpiewanie ostrego rocka – wszystko jest ważne, jeśli się w tym odnajdujesz. Nie ma jednej, uniwersalnej drogi. Ciągłe szukamy i nigdy nie znajdujemy. Rozumiesz?

Grażyna nie rozumiała. Pogubiła się. Od czasu rozstania

z Joanną nic nie umiała znaleźć. Miała przekonanie, że Joanna była tylko przystankiem, przystanią na zatankowanie paliwa, chwilą odpoczynku. Miała nie być istotna.

Tak nie było.

Mieszkanie ciotki stało puste, Katarzyna i Miłosz wrócili do Indii.

– Tam postanowiliśmy zamieszkać – powiedziała Katarzyna kilka dni po moim pogrzebie.

– W tamtym słońcu skóra mojej żony skrzy się jak pokryta złotem – dodał Miłosz, cmokając Katarzynę w szyję.

– Poza tym nic się nie zmienia. Mieszkanie jest dla Joanny, firma to jest jej kłopot. Ja dostarczam towar, ona pilnuje interesu tutaj.

– I co, będziecie się tam tułać po hotelach? – Skrzywiła się Małgorzata, która uznała, że rodzina powinna być razem. *Bo tak jest dobrze* – myślała. *Matka była tak długo z nami i my też powinniśmy trzymać się razem.*

– Kupiliśmy mieszkanie – odpowiedziała Katarzyna.

– I nic nie powiedziałaś? – Małgorzata syknęła.

– Właściwie jeszcze nie kupiliśmy. – Miłosz uspokajał. – Dopiero wybraliśmy. Musimy wrócić, żeby załatwić formalności, jakiś drobny remont i w ogóle...

– I w ogóle – sarknęła Małgorzata.

– Po co się kłócisz? – Katarzyna podniosła odrobinę głos.

– Ja się kłócę? – Małgorzata się wyprostowała.

– A kto? Nie ustawiaj naszego życia. Jesteśmy rodziną i tak pozostanie. Na co dzień każdy z nas niech idzie swoją drogą. Kiedy mieszkałam w Warszawie, też nie widywałyśmy się codziennie. W sumie to nawet częściej ostatnio do siebie pisałyśmy, niż przed wyjazdem rozmawiałyśmy, mieszkając dwa kilometry od siebie.

Małgorzata opuściła ramiona. *Ona ma rację. Powinnam się*

zająć swoimi sprawami.

– Już się nie kłóczę – powiedziała.

– Nieprawdopodobne. Moja siostra przyznała mi rację – powiedziała Katarzyna. – Dobra, nie całkowitą, tylko troszeczkę – dodała, widząc minę Małgorzaty.

– Zamierzam zamieszkać w twoim mieszkaniu, ciociu – powiedziała Joanna.

– Właściwie to w twoim – odpowiedziała Katarzyna.

– Jak to, tutaj jest twoje miejsce! – wtrąciła Małgorzata.

– Każdy swoją drogą, pamiętasz? – cicho odparowała Katarzyna.

– A Zosia? – odpowiedziała Małgorzata, ale już bez buńczucznej nuty w głosie.

– Bez zmian, mamó. Zostaje z tobą. Nie miałabym warunków...

– Ach, to świetnie. – Małgorzata wstała, wyraźnie uradowana.

– Pomóżcie mi ze sprzątaniami.

Miłosz zapukał potem do pokoju córki.

Uśmiechnęła się do niego, gdy wszedł.

– Jesteś pewna?

– Nie bardzo – odpowiedziała. – Ale nie chcę mieszkać z mamą. Trochę się muszę odpepnić.

– Ale Zosia... to twoje dziecko. – Miłosz usiadł na krześle przystawionym do niewielkiego biurka.

Joanna podeszła do biurka i odsunęła stertę książek.

– Zamierzasz wrócić na studia – skomentował Miłosz.

Spojrzała na niego bokiem.

– Tylko nie mów mamie. Będzie mnie o to pytać cztery razy dziennie. I poganiać do nauki.

– Jasne. Ale z Zosią... jesteś pewna?

Kiwnęła.

– Nie czuję się matką, magia narodzin nie zadziałała. Mama

zadba o nią lepiej.

– Dla niej to chyba będzie dziecko wszystkich spraw.

– Słucham?

– Zosia stanie się światem Małgorzaty. Jeśli potem będziesz chciała ją zabrać... dla twojej mamy to będzie koniec świata.

– I dlatego mam tu nie zostawiać małej?

– Nie... nie umiem wytłumaczyć. Pójdę już.

Joanna podeszła do ojca i go uścisnęła.

– Nigdy wcześniej nie miałam okazji.

– Tak – potwierdził, sztywno obejmując ją rękami.

– Jesteś szczęśliwy z ciotką?

– Ja... – Spojrzał spłoszony.

– Wycofuję pytanie. Przepraszam.

– Tak. Jestem. – Uśmiechnął się.

– I dlatego chcesz wyjechać?

– Nie rozumiem.

– Żeby przypadkiem nie wrócić do mamy, prawda? Nawet ojciec, to znaczy... Karol, by ci w tym nie przeszkodził.

– Przez tyle lat dałem radę żyć bez twojej mamy to i dalej dam.

– Roześmiał się. – Pójdę już.

Za drzwiami cały czas się uśmiechał, jednak coraz słabiej. Uśmiech gasł jak energooszczędna żarówka. *Naprawdę? Jestem tego pewien?* – zastanawiał się. *Skąd moja córka tak mnie zna? Teoretycznie nie ma prawa, bo mnie nie zna. Ale zna.*

Joanna po wyjściu Miłosza zgarnęła książki do torby. *Żeby tylko mama nie zobaczyła* – pomyślała. Usłyszała podjeżdżający na podwórze samochód. Wyszła do kuchni. Karol właśnie wrócił z pracy.

– Tato, przeprowadzisz mnie jutro?

– Jak to: przeprowadzę?

– Na Mokotów. Do ciotki. To znaczy, do mnie.

– Tutaj ci źle?

– Dobrze. Ale chcę pobyć sama.

– A Zosia?

– Zostanie z mamą.

Karol stał oparty o zlew. Małgorzata była z Zosią w łazience, Katarzyna z Miłozsem w sypialni.

– Obarczysz mamę wychowaniem kilkumiesięcznego dziecka?

– Nie, dam mamie zajęcie na najbliższe miesiące.

– Wykluczone – odpowiedział Karol. – Nie zgadzam się. Małgosia nie zostanie sama z dzieckiem. Może się opiekować wnuczką, ale nie non stop. Nie jest jej matką. Musisz wziąć odpowiedzialność za swoje życie.

– Odpowiedzialność? Urodziłam dziecko, bo tego chcieliście!

– My chcieliśmy?

– Muszę pobyć sama, rozumiesz?

– Sama? Czy ty słyszysz, co mówisz? Jesteś matką!

– Ale chcę być znowu studentką.

Karol cmoknął.

– I dlatego uważasz, że możesz pozbyć się odpowiedzialności?!

– Uzgodniłam to już z mamą.

– Małgorzata jest zakochana we wnuczce. Zgodzi się na wszystko.

– I właśnie się zgodziła.

– Ja się nie zgadzam. Ani z tobą, ani z Małgorzatą. Ale tak, oczywiście, jutro wieczorem przewiozę twoje rzeczy na Mokotów.

Następny dzień upłynął Joannie na pakowaniu i szwendaniu się po domu. Córkę widziała głównie na rękach Małgorzaty, czasami śpiącą. Nie potrzebowała ani jej zapachu, ani dotyku.

Wieczorem Karol odwiózł ją do Warszawy, prawie nie rozmawiali. Wnieśli razem kartony, nie było ich dużo, po czym wrócili do leśniczówki.

– Jutro przyjadę z tobą do miasta, tato, i rozgoszczę się tutaj. Dzisiaj już nie mam siły na ścielenie, rozpakowywanie. Jutro.

– Pomyślę o tym jutro – mruknął Karol.

– Tato!

– Nie bądź takim karcącym dzieckiem – powiedziała sarkastycznie. – Jestem na ciebie zły. Nie rozumiem ani ciebie, ani Małgorzaty. I przy najbliższej okazji będę chciał zmienić waszą decyzję.

Nie odezwała się do ojca.

Ciągle myślę o nim „ojciec”. O Miłoszu też myślę „ojciec”. Rozdwojenie. Ten, który mnie nie zna – wspiera. Ten, który mnie wychował – chce wychowywać dalej. Może ma rację, może nie. A może ja nie mam. I co z tego – myślała.

Grażyna zadzwoniła następnego dnia po południu.

– Muszę pobyć sama, rozumiesz?

Grażyna nie rozumiała.

– Chcę wreszcie dojrzeć! – Joanna się denerwowała.

Grażyna nie rozumiała.

– E tam. – Joanna w końcu odpuściła. – Nie dzwoń do mnie na razie. Nie ma sensu. Tak, wiem, że ci było ze mną dobrze. Mnie nie było dobrze, kiedy znikłaś jak sen złoty. Daj mi spokój.

Zakończyła połączenie. To jest dorastanie? Podejmowanie decyzji? Zaczynam wiedzieć, czego chcę?

Do ciotki Joanna pisała długie e-maile, na które często odpowiadał także Miłosz. Joanna nie potrafiła rozmawiać z Miłoszem, tak jak nie potrafiła tego jej matka. Za to wspaniale jej się z Miłoszem korespondowało. Założyła specjalny folder, w którym przechowywała wyłącznie jego maile.

Szybko nadrabiali lata, w których się nie znali, aż kontakt Joanny i Miłosza stał się bliższy niż Joanny z Karolem.

– Jadę na żagle – pisała następnego roku.

– Uważaj na siebie – odpisałby Karol, gdyby do siebie pisali.

– Cudownie! Robisz jakiś patent? Tylko uważaj na siebie –

odpisał Miłosz.

Moja śmierć nie zmieniła porządku świata. Nie uporządkowała go, nie zachwiała podwalinami. Dla wielu pozostała niezauważalna, dla innych pozostała w pamięci. Świat wrócił do swoich spraw. Będę go obserwować. Wszystkich obserwować. Kiedy się spotkamy?

Rozdział 110

ZOSIA

Na trzecie urodziny Zosi zjechało mnóstwo gości.

Katarzyna z Miłozsem przylecieli z Indii, jak zresztą co roku na urodziny małej. Miłosz odrobinę stremowany mailową relacją z Joanną, której nie umiał przekuć na prawdziwą rozmowę. Katarzyna pogodzona z ojcostwem Miłosza, ale – czego trochę się wstydziła – spragniona rodzicielstwa. *W moim wieku. Wyśmieją mnie* – myślała. Jednak myśl nie opuszczała jej przez minione miesiące i tym razem zamierzała ogłosić, że podjęli wraz z Miłozsem decyzję o adopcji pięcioletniego chłopca. Hindusa, oczywiście. Procedura była zaawansowana, ale Katarzyna zwlekała z wiadomością. *W końcu muszę to powiedzieć* – pomyślała. *Chyba muszę*.

– Ile można żyć z papużką – próbowała żartować Katarzyna w rozmowie z siostrą.

Małgorzata przyjęła wiadomość spokojnie.

– To znakomicie – powiedziała siostrze. – Dobrze jest mieć kim się opiekować.

Strywializowała – pomyślała Katarzyna, ale nie skomentowała wypowiedzi siostry. Po prostu ją objęła.

Na urodzinowym przyjęciu był także Artur z żoną. Interesował

się Zosią jak mógł, bywał u niej, a nawet zabierał do siebie – od kiedy Joanna na to pozwoliła. To Małgorzata przekonała córkę, żeby zgodziła się na kontakt małej z ojcem bez poniżających sądowych procesów. I była także, oczywiście, Joanna, która uznała, że odnalazła siebie i nie będzie mieszkać z Grażyną, tylko z Karoliną.

I Małgorzata, centrum świata dla Zosi. Babka jak matka. Opowiadała wnuczce o jej mamie same najlepsze rzeczy. Ku mojemu zdumieniu, opowiadała także o mnie same najlepsze rzeczy. Nawet nie wyobrażałam sobie, jaką dobrą matką byłam. Pokazywała jej zdjęcia. Często mówiła do małej: „Babcia Wanda by tak nie powiedziała”. Albo: „Babcia Wanda by tego nie pochwaliła”. Jakie to mogło mieć znaczenie dla trzylatki? A jednak było mi miło. Miłość i miło są całkiem blisko, i tutaj są tak samo aktualne jak na ziemi.

Zosia cieszyła się z przyjęcia, ale nie rozumiała wszystkiego, co mówili dorośli; nic jej to zresztą nie obchodziło, czekała na prezenty. Kiedy rozpakowała wielką lalkę, powiedziała:

– Witaj w domu. Będzieś miała na imię Wan-dzia.

– Ma-ma – odpowiedziała jej lalka.

Domek dla Barbie, który wybrała żona Artura, mała odstawiła z niesmakiem do kąta. Potem upiększyła go czarnym i brązowym flamastrem, sraczkowaty efekt zadowolił ją. Umieściła w nim małą, starą lalkę. Koń na biegunach spodobał jej się od razu. Miłosz z trudem uchronił go od rozkręcenia na lotnisku. Dokładne prześwietlenie strzemion zapobiegło zniszczeniu zabawki, ale lot opóźnił się o półtorej godziny.

– Że też nie mogliśmy kupić zabawki w Polsce – utyskiwała Katarzyna.

– Nie mogliśmy, bo to jest specjalny koń, robiony na zamówienie. I w ogóle – odpowiedział Miłosz. – Zresztą, w Polsce nie będziemy mieli czasu na łażenie po sklepach.

Zosia spadła z konia tylko dwa razy, przewidując słusznie dodatkowy kawałek tortu jako pocieszenie. Po zjedzeniu trzeciego kawałka było jej niedobrze, usiadła więc w kącie, wzięła Wandzię i przytulając ją do siebie mocno, wypróbowała umiejętności lalki. Siu-siu, ma-ma, ta-ta, nie było tego wiele. Zanim Zosia ozdobiła wypastowaną podłogę leśniczówki zwróconym kawałkiem tortu, wyszeptała jeszcze do lalki: „Babcia by tego nie pochwaliła”. Nikt tego nie słyszał.

Podziękowania

Za każde słowo, które otrzymuję od moich Czytelników – dziękuję. Jesteście siłą napędową pisarza – kto twierdzi inaczej, zapewne nie ma potrzeby publikowania. Dziękuję każdemu, kto zechciał poświęcić swój czas na przeczytanie mojej książki, w szczególności zaś dziękuję tym Czytelnikom, którzy później znajdują jeszcze chęć i czas, by podzielić się swoją opinią.

Napełnia mnie wdzięcznością fejsbukowa grupa Miejsce Spotkań z Agnieszką Lis – założona i prowadzona przez Czytelników moich książek. Do niedawna nie wyobrażałam sobie, że ich lektura może tak spajać ludzi, którzy osobiście się nie znają. W szczególności za prowadzenie grupy dziękuję Monice Szydłowskiej, Agacie Legun i Dorocie Gronkowskiej. Zawsze mogę na was liczyć... Dziękuję.

Niniejsza książka miała kilka wersji. Dojrzewała i się zmieniała, a na jej ostateczny kształt miało wpływ kilku beta-readerów (przedczytaczy? kto zna odpowiednie polskie słowo?), którym bardzo, bardzo serdecznie dziękuję. Ewa Jowik, Monika Szydłowska, Dorota Gronkowska – każda z was wniosła swój znaczący wkład w szlifowanie tej powieści. Członkom grupy jestem wdzięczna za merytoryczne uwagi dotyczące procedur

zusowskich, dla mnie lekko magicznych i tajemniczych. Dzięki wam nie wysłałam Małgorzaty na emeryturę, która (jak się okazało) w realiach polskiego ubezpieczenia nie miałaby prawa zaistnieć... Dalej nie rozumiem dlaczego, ale to nic. Ustrzeżliście mnie przed popełnieniem tego błędu. Wdzięczna jestem także Ewie Chmurskiej za uświadomienie mi pewnych aspektów zaburzeń psychicznych. Mam nadzieję, że dzięki tym okropnie trudnym książkom, które kazałaś mi przeczytać, Małgorzata i jej kłopoty wpisują się w realia prawdziwej choroby psychicznej. Trzykrotne podziękowania ślę w stronę Hanny A. Greń. Za nieustające wsparcie. Za konstruktywne uwagi „przedczytacza”. I za tytuł. Tak, Hanna kiedyś, poniekąd przypadkiem, wymyśliła tytuł tej książki, za co serdecznie jej dziękuję.

Ogromne podziękowania składam osobom, które pracowały przy tej książce. Całej ekipie wydawnictwa Czwarta Strona, zwłaszcza Monice Długiej – mail, który wysłałaś do mnie po otrzymaniu maszynopisu (brzmiał po prostu: „Bardzo!”), dodał mi skrzydeł; Kasi Zych – za wszystkie pomysły, o których nawet nie zawsze mi mówisz, i pewnie słusznie; Ani Wasik – za, generalnie, sprzedaż; mam wrażenie, że sprzedałabyś Eskimosom zamrażarki, gdybyś uznała to za właściwie. Agnieszce Czapczyk – za redakcję i za szczegółowe pochylenie się nad tekstem. Jednym słowem – dziękuję wszystkim za współpracę, zrozumienie i wspólne plany.

Jak zawsze na końcu dziękuję mojej rodzinie. Czuję się niekiedy zakłopotana, gdy mój syn mówi do mnie: „Masz wolne popołudnie? Pewnie idziesz zaraz do komputera?”. Mam ochotę przestać pisać i po prostu zostać z nim. Ale wtedy syn przytula się i mówi: „Napisz książkę dla mnie”. Wprawdzie wiara moich bliskich w to, co robię, zwiększa się wprost proporcjonalnie do nakładów, ale i tak nie mogłabym bez was żyć. Bez mojego

męża i dzieci. Dziękuję wam, że jesteście.

Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Rozdział 71](#)

[Rozdział 72](#)

[Rozdział 73](#)

[Rozdział 74](#)

[Rozdział 75](#)

[Rozdział 76](#)

[Rozdział 77](#)

[Rozdział 78](#)

[Rozdział 79](#)

[Rozdział 80](#)

[Rozdział 81](#)

[Rozdział 82](#)

[Rozdział 83](#)

[Rozdział 84](#)

[Rozdział 85](#)

[Rozdział 86](#)

[Rozdział 87](#)

[Rozdział 88](#)

[Rozdział 89](#)

[Rozdział 90](#)

[Rozdział 91](#)

[Rozdział 92](#)

[Rozdział 93](#)

[Rozdział 94](#)

[Rozdział 95](#)

[Rozdział 96](#)

[Rozdział 97](#)

[Rozdział 98](#)

[Rozdział 99](#)

[Rozdział 100](#)

[Rozdział 101](#)

[Rozdział 102](#)

[Rozdział 103](#)

[Rozdział 104](#)

[Rozdział 105](#)

[Rozdział 106](#)

[Rozdział 107](#)

[Rozdział 108](#)

[Rozdział 109](#)

[Rozdział 110](#)

[Podziękowania](#)